Nowa Mutti

Kto ukoi tęsknotę Niemców za Angelą Merkel

▸22

W co on gra?

Schwarzenegger atakuje tego, którego lęka się Donald Trump ▸18

WYSOKIE OBCASY

Lilianna Kupaj:

Ksiądz zobowiązał mnie do tajemnicy, ale ciało nie zapomniało

FOT. CLEMENS BILAN/EPA/PAP, DAVID MCNEW/GETTY IMAGES

MAGAZYN wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

STEFAN CHWIN:

Polacy lubią się stawiać

▸4

FOT. MARTYNA NIEĆKO / AGENCJA WYBORCZA.PL

Gazeta Wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 15>

Węgrzy wybierają

Czy nadejdzie koniec hamulcowego Europy? ▸2-3

Kryzys dzietności

Korpo lepsze od bąbelków? To nie tak ▸10

Geniusz ściągał od kolegi

Sensacja w świecie nauki ▸28

Wykiwał cenzurę

i rozsierdził Rosjan ▸46

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Sobota – czwartek, 11-16 kwietnia 2026 | Redaktor prowadzący Andrzej Kulasek | Cena gazety 12,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 84.11183, 1 | Nakład 71 tys. + 322 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl bce484ca04

WĘGRY WYBIERAJĄ

Kampania na Węgrzech
W bastionie Fideszu

FOT. MICHAŁ RYNIAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Péter Magyar, przewodniczący partii TISZA, tuż przed niedzielnymi wyborami na Węgrzech odwiedził 40-tysięczne miasto Baja. To jeden z bastionów rządzącego Fideszu - od 1998 roku nikt nie wygrał tam z partią Viktora Orbána.

Żaden kraj obcy nie może ingerować w węgierskie wybory. To nasz kraj. Węgierska historia nie jest pisana w Waszyngtonie, Moskwie ani Brukseli – jest pisana na ulicach i placach Węgier

PETER MAGYAR
lider opozycyjnej partii TISZA o wizycie J.D. Vance'a w Budapeszcie

Wiadomości z kraju i ze świata czytaj teraz na
wyborcza.pl

UŻYJ BEZPŁATNEGO KODU i bądź na bieżąco przez cały weekend*
92VE6R1

- Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- Wpisz kod w polu „Kod promocyjny"
- Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 11-12.04.2026 r.

Andrzej rysuje

Viktor przekleństwo

Był nadzieją na odbudowę kraju i rozwój. Jest autokratą na czele skorumpowanej oligarchii i jawnym agentem Władimira Putina. Po 16 latach może teraz stracić władzę. I Węgry, i Europa mogłyby wtedy odetchnąć.

Roman Imielski

Węgry Viktora Orbána są dziś liderem europejskiej populistyczno-nacjonalistycznej międzynarodówki i najważniejszym hamulcowym zmian w Unii Europejskiej, które mogłyby wzmocnić wspólnotę jako globalnego gracza i zamienić ją w sprawnie działającą maszynę.

Orbán jest dumny z bycia narzędziem w rękach prezydenta USA Donalda Trumpa i jego administracji, która oficjalnie obsadziła go w roli rozbijacza jedności UE. Bo Waszyngton traktuje Unię jako rywala, a nie partnera.

Władze w Budapeszcie ostro atakują unijne instytucje, bo te patrzą Orbánowi i jego ludziom na ręce. I interweniują, gdy okazuje się, że łamane są podstawowe demokratyczne wartości, a unijne pieniądze rozpływają się w korupcyjnym bagnie.

To wreszcie węgierski premier jako jedyny przywódca państw UE ostentacyjnie lata do Moskwy na spotkania z Władimirem Putinem, przy okazji blokując unijną pomoc dla walczącej z rosyjską agresją Ukrainy. To Orbán żąda, by nadal mógł korzystać w rosyjskiego gazu i ropy, choć mógłby dostawać surowce z innych źródeł.

Ale stworzony przez Orbána – premiera Węgier od 2010 r., a wcześniej też w latach 1998-2002 – system drży w posadach. Opozycyjna partia TISZA Petera Magyara, niegdyś kolegi Orbána z Fideszu, ma we wszystkich niezależnych od władzy sondażowniach zdecydowaną przewagę.

Ludzie systemu czują wiatr zmian. Córka Orbána wraz z mężem i dziećmi jeszcze w zeszłym roku przeniosła się do USA, oligarchowie zabezpieczają za granicą majątki i wyprzedają węgierskie nieruchomości.

Koń trojański Moskwy

Reputacja Orbána i jego otoczenia ostatecznie legła w gruzach, gdy do mediów wyciekły nagrania rozmów węgierskiego premiera z Putinem oraz szefa węgierskiego MSZ Pétera Szijjártó z jego rosyjskim odpowiednikiem Siergiejem Ławrowem. Służalcze wobec kremlowskich mocodawców, w których politycy z Budapesztu zapewniają, że będą odgrywać rolę konia trojańskiego Moskwy w strukturach Unii Europejskiej.

Nie przeszkadzało to światowym populistom w politycznej turystyce, która miała pomóc utrzymać się Orbánowi u władzy.

Do Budapesztu w ostatnich miesiącach wybrali się wiceprezydent USA J.D. Vance i szef amerykańskiej dyplomacji Marco Rubio, polski prezydent Karol Nawrocki, były polski premier Mateusz Morawiecki, szefowa AfD (Alternatywy dla Niemiec) Alice Weidel, jeden z liderów Konfederacji Krzysztof Bosak, Marine Le Pen z francuskiego Zjednoczenia Narodowego, wicepremier Włoch Matteo Salvini, przewodniczący hiszpańskiej partii Vox Santiago Abascal, szef Austriackiej Partii Wolności Herbert Kickl czy lider holenderskiej Partii Wolności Geert Wilders. Prezydent USA Donald Trump nagrał wideo, wsparcia udzielił też Putin.

Dla nich wszystkich Orbán jest pożytecznym agentem wpływu. Cenią to, że ostro atakuje UE, straszy imigrantami i napływem obcych. Że stawia się w roli zagorzałego obrońcy tradycyjnych wartości i chrześcijańskich korzeni Europy – co z tego, że cynicznie, przecież to tylko polityczna pałka na przeciwników.

Wreszcie wielu z nich podziwia, jak Orbán rozgrywa agresję Rosji na Ukrainę. W kraju rozpętał antyukraińską fobię, strasząc wciągnięciem Węgier do wojny.

Ta operacja rozpoczęła się niewinnie od demonstracyjnego wysłania uzbrojonych po zęby żołnierzy na granicę z Ukrainą, choć nic groźnego na zakarpackim odcinku Węgrom nie groziło i nie grozi. I nawet ukraińska mniejszość węgierska pukała się w czoło, gdy pojechaliśmy tam z pomocą humanitarną w grudniu 2022 r.

Dziś Orbán na wiecach przestrzega przed inspirowanym przez Kijów spiskiem

eprasa.pl bce484ca04

Orbán, Węgier i Europy

• Podobizna Viktora Orbána z koszulki, jakie noszą zwolennicy premiera Węgier. Według propagandy Orbán próbuje powstrzymać wybuch III wojny światowej
FOT. MARTON MONUS/REUTERS

i wzywa wyimaginowanych ukraińskich agentów do opuszczenia Węgier.

Ale jego polityczni przyjaciele, którzy wkładają właśnie tyle wysiłku w poparcie dla słabnącego węgierskiego przywódcy, przede wszystkim mu zazdroszczą. Tego, że wygrywa kolejne wybory z konstytucyjną większością, że taśmowo zmienia ustawę zasadniczą dla doraźnych potrzeb, że skolonizował instytucje publiczne i politycznie zabetonował prawie każdą dziedzinę życia, że praktycznie zlikwidował wolne media i niezależne sądownictwo.

Zazdroszczą mu też ostentacyjnego bogacenia się „krewnych i znajomych królika", w tym samej rodziny Orbána.

Symbolem rozkradania państwa jest posiadłość Hatvanpuszta, kupiona w 2011 r. przez ojca premiera i gruntownie wyremontowana za publiczne pieniądze. Dziś warta jest ok. 30 mln euro (ok. 130 mln zł).

Sam Orbán uwielbia spędzać wakacje w Chorwacji na luksusowych jachtach należących do węgierskich oligarchów, którzy dorobili się fortun za jego rządów.

Węgry cofają się w rozwoju

Pisząc to wszystko, doskonale pamiętam, z jakimi nadziejami Węgrzy czekali na powrót Orbána do władzy. Od lat 90. często tam jeździłem i widziałem, jak kraj popada w marazm, podczas gdy Polska szła do przodu. W 2008 r. spędzałem wakacje nad Balatonem i dziewczyny pracujące w lokalnym kantorze z podziwem mówiły o naszym kraju, jednocześnie marząc o wyjeździe z ojczyzny.

Czas był nieprzypadkowy, Węgry pod rządami socjaldemokratów Ferenca Gyurcsany'ego zapadały się gospodarczo z prędkością światła. Dwa lata wcześniej kraj przeżył wstrząs, gdy publiczne radio ujawniło nagranie Gyurcsany'ego z jednego z partyjnych spotkań, na którym szef rządu przyznawał się do okłamywania rodaków i ukrywania fatalnej sytuacji budżetu. W Budapeszcie opozycja na czele z Orbánem zorganizowała manifestacje, które zakończyły się policyjną pacyfikacją i zamieszkami.

Wtedy, w 2008 r. wszyscy czekali na wybory i odsunięcie skompromitowanego rządu od władzy. Orbán dawał nadzieję na wyprowadzenie kraju na prostą, ukrócenie korupcji i nepotyzmu, na normalność. Miało być tylko lepiej, bo gorzej być już nie mogło.

Szybko okazało się, że ogromne zaufanie, jakim obdarzyli go rodacy (Fidesz wraz z koalicyjną Chrześcijańsko-Demokratyczną Partią Ludową zdobyli 263 mandaty w liczącym ówcześnie 386 miejsc parlamencie), przekuł w autokratyczne pomysły, które miały mu zapewnić władzę dożywotnią. Bez żadnych hamulców i zwykłej przyzwoitości.

Aż do teraz czuł się niezagrożony, co chwilę gmerając przy ordynacji wyborczej i rozdając na lewo i prawo publiczne pieniądze dla kluczowych dla niego grup wyborców. Węgry zaczęły się wręcz cofać w rozwoju, co rodacy Orbána widzą, gdy wyjadą za granicę do jakiegokolwiek unijnego sąsiada.

Korupcja jest dziś problemem powszechnym, a zwykli obywatele ubożeją. Pandemia, inwazja Rosji na Ukrainę oraz wojna USA i Izraela z Iranem tylko węgierskie kłopoty pogłębiły.

Wróciłaby nadzieja

Upadek Orbána byłby fatalną wiadomością dla populistycznych i nacjonalistycznych organizacji z całej Europy, które miały iść po władzę na kontynencie – we Francji, Hiszpanii czy Niemczech, gdzie AfD rośnie w siłę. I byłby to upadek jednej z największych gwiazd, wspieranej przez tak potężnych ludzi, jak Trump i Putin.

Po wygranej Koalicji 15 Października w Polsce w 2023 r. byłby to też kolejny mocny znak, że Europa schodzi z eurosceptycznego i antydemokratycznego kursu. Zabrakłoby wielkiego hamulcowego, a pamiętajmy, że wiele kluczowych decyzji w UE wymaga jednomyślności.

Dla Ukrainy przegrana Orbána oznaczałaby, że znika największy europejski przyjaciel Putina. I że nikt nie zatrzyma już pomocy dla walczącego z rosyjską agresją Kijowa – jak stało się z 90 mld euro specjalnej pożyczki, zawetowanej przez Budapeszt.

Unia Europejska mogłaby wtedy rzeczywiście i w pełni uniezależnić się od rosyjskiego gazu i ropy.

Na Węgry wróciłaby też nadzieja, że może być i lepiej, i normalniej. Że państwo nie będzie już traktowane jako prywatny folwark premiera i jego ludzi, ukrócona zostanie wszechobecna propaganda i wrócą prawdziwie wolne media. Że kraj zacznie się rozwijać i stanie się „drugą Polską", bo nad Dunajem bardzo często słyszy się właśnie o takich marzeniach. ●

REKLAMA
Kraj/34427896

Safari w jednym z najlepszych miejsc na spotkanie Wielkiej Piątki Afryki, wyjątkowa podróż najbardziej luksusowym pociągiem świata i cztery dni w Kapsztadzie.

10 śniadań, 7 obiadów i 8 kolacji w cenie

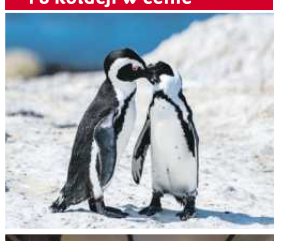

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do RPA. **Dz. 2** Przylot do Johannesburga oraz zwiedzanie Pretorii. Przejazd do Ranger Camp. **Dz. 3–5** Ranger Camp. Codzienne safari w rezerwacie Entabeni. **Dz. 6** Ranger Camp – Pretoria i początek podróży pociągiem Rovos Rail. **Dz. 7** Rovos Rail – Kimberley. Wycieczka do kopalni diamentów i zwiedzanie miasta. **Dz. 8** Matjiesfontain. Zwiedzanie kolonialnego miasteczka z epoki wiktoriańskiej i przejazd w stronę Kapsztadu. **Dz. 9** Przyjazd do Kapsztadu i czas wolny. **Dz. 10** Kapsztad – Wycieczka na Półwysep Dobrej Nadziei i pingwiny na plaży. **Dz. 11** Kapsztad. Wycieczka do winnic Winelands i Stellenbosch. Pożegnalna kolacja. **Dz. 12** Kapsztad. Czas wolny i wylot do Warszawy lub przedłużenie pobytu (do wyboru – Kapsztad, Wodospady Wiktorii, Mozambik lub Mauritius). **Dz. 13** Przylot do Warszawy.

13 dni | Wylot z Warszawy 13/09 2026 | od 23.998,–

2 posiłki dziennie

W cieniu Wezuwiusza – Neapol, Pompeje i Amalfi

Historyczne bogactwa Neapolu, tragedia Pompejów, niespokojny i majestatyczny Wezuwiusz, malownicze wybrzeże Amalfi i wiele innych skarbów regionu Kampanii.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot do Rzymu i przejazd do hotelu. **Dz. 2** Wizyta w fabryce włoskiego makaronu w Gragnano, po południu opcjonalna wycieczka do krateru Wezuwiusza. **Dz. 3** Wizyta w Pompejach. Zwiedzanie Neapolu i jego słynnej starówki wpisanej na listę UNESCO. **Dz. 4** Wybrzeże Amalfi oraz greckie świątynie w Paestum. **Dz. 5** Wycieczka do Sorrento. **Dz. 6** Wycieczka na wyspę Capri. **Dz. 7** Czas wolny lub fakultatywna wycieczka do Herkulanum. **Dz. 8** Transfer na lotnisko i wylot do Polski.

8 dni | Wylot z Warszawy 27/05 2026 | od 6.298,–

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8 p.
Kod reklamy: GW14

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

eprasa.pl bce484ca04

WAŻNY TEMAT

Zachwiało się wszystko

Ludzie zaczynają wierzyć, że w takim momencie historycznym tylko pewien typ polityka potrafi nas ochronić.

Z PISARZEM **STEFANEM CHWINEM**
ROZMAWIA **ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI**
ZDJĘCIA **MARTYNA NIEĆKO / AGENCJA WYBORCZA.PL**

Kto wygra wybory parlamentarne w 2027 roku?
– Premier Donald Tusk i jego ministrowie z koalicji rządzącej działają energicznie i rozważnie, ale pod działaniami wizerunkowymi, wywiadami i dziarskimi wpisami w internecie wyczuwam spokojną melancholię nadciągającej klęski.

Pan też uważa, że Koalicja 15 Października przegra?
– Moja wiara w zwycięstwo nie jest mocna.

Czuję się związany z formacją gdańskich liberałów, głosuję na nich od niepamiętnych czasów. Dlatego boleśnie znoszę ich każde nierozsądne posunięcie. Kiedy robi się w Polsce politykę, trzeba cały czas pamiętać, z jakim społeczeństwem ma się do czynienia.

Otóż, czy chcemy tego, czy nie, głównym rdzeniem polskiej kultury od końca XVIII wieku jest idea niepodległości. To święte słowo w naszym języku politycznym i domowym wyzwala w polskiej głowie mistyczny rozbłysk i paletę uczuć takich jak: wzruszenie, nostalgia, lęk, nadzieja, zachwyt.

Polacy to naród, który bardzo lubi się stawiać. Kocha słowa „wolność" i „suwerenność". I nie chce nawet słyszeć, że walka o niepodległość jest już skończona. Dlatego trzeba im od rana do nocy mówić, że cały czas walczymy o niepodległość. I PiS mówi to od rana do nocy.

Liberałowie po 1989 roku wybrali tymczasem fałszywy mit: chcieli zbudować społeczeństwo kosmopolityczne i europejskie, wierząc, że w miejsce idei wiecznego szarpania się o niepodległość dadzą skuteczną nowoczesną religię modernizacji i postępu.

I PiS to chwyta: skoro oni nie mówią o walce o niepodległość, zupełnie im na niepodległości nie zależy, nie tak jak nam, prawdziwym polskim patriotom, dla których prawdziwa niepodległość jest wszystkim. I tak oto mamy na całego fałszywą licytację, która tylko ludzi wprowadza w błąd.

Ostatnio jeden z polityków KO przyznał mi, że oni uwierzyli w narrację, która nie zaszczepiła się na żywym ciele narodu. Na szczęście dzisiaj co jakiś czas Donald Tusk i inni politycy KO mówią językiem niepodległości, który dla liberalnych purystów ma niedobry zapach. Słychać wtedy głosy, że Tusk skręca w prawo.

Sam napisałem na ten temat kilka tekstów.
– To niech pan więcej ich nie pisze, bo to nie jest mądre, ponieważ trzeba brać pod uwagę refleksję kultu-

eprasa.pl bce484ca04

roznawczą, która powinna być fundamentem każdej roboty politycznej.

Polityk powinien rozpoznać, z jakim podmiotem zbiorowym ma do czynienia. Jeśli więc zagramy na nucie, która ten podmiot rani, nawet jeśli celem jest szlachetna metamorfoza narodu ku nowoczesności, to polityka osiągnie efekt odwrotny.

Czyli większą radykalizację nastrojów i Grzegorza Brauna?
– A także dr. Karola Nawrockiego. Mamy w Polsce do czynienia ze zróżnicowanym społeczeństwem prawicowo-lewicowym, dlatego liberałowie, przesłaniając ideę permanentnej walki o niepodległość swoją religią modernizacji, popełnili duży polityczny błąd. I mimo niektórych działań Tuska nadal go popełniają.

Inne błędy?
– Zjednoczenie liberalno-demokratycznego rządu i prawicy w dążeniu do zablokowania imigracji. Z mojego punktu widzenia nie ma żadnego zagrożenia dla niepodległości Polski w obcych, którzy postanawiają u nas zamieszkać, pracować i płacić podatki.

Bardzo mi się też nie spodobało zawieszenie przez obecny rząd prawa do azylu, zresztą kompletnie sprzeczne z naszą konstytucją. Tymczasem nikomu dziś nie przeszkadza mur przy wschodniej granicy. A pamięta pan, co „Wyborcza" pisała o antyimigracyjnej polityce Prawa i Sprawiedliwości?

Nadal ją krytykujemy, tym razem w wykonaniu obecnego rządu.
– No nie wiem, trzeba jednak przyznać, że nastroje społeczne są zdecydowanie po stronie muru. Rząd niepotrzebnie gra tymi emocjami, pozwalając prawicy na budowanie panicznej narracji o śmiertelnym zagrożeniu dla Polski ze strony setek tysięcy ludzi forsujących naszą granicę. Ta narracja ma im pomóc wygrać w wyborach.

Gdańsk jest bardziej dumny z premiera czy prezydenta? Obaj pochodzą z Trójmiasta.
– Dr Karol Nawrocki przegrał u nas, ponieważ Gdańsk od lat jest bastionem Koalicji Obywatelskiej. I to się na razie nie zmienia.

Choć jednocześnie prezydent urodził się właśnie w pańskim, liberalnym mieście. Nie wydaje się panu, że Nawrocki wygrał wybory, bo symbolizował awans klasowy? Chłopak z blokowiska, któremu udało się wyjść z podwórka i szemranego towarzystwa, zrobił doktorat, był dyrektorem ważnych instytucji. To działa na społeczną wyobraźnię?
– Dodajmy, że dr Karol Nawrocki bardzo dobrze wypada w oczach wielu polskich kobiet, o czym powiedziała mi ostatnio moja żona.

Popiera go ponad połowa społeczeństwa, a jego amerykańskiego odpowiednika, prezydenta Donalda Trumpa – tylko 30 proc. To wynik lepszy niż w wyborach.

Wiąże się to z trzęsieniem ziemi, które wstrząsnęło niedawno polskim społeczeństwem. Przez nasze polskie dusze przepłynęła zimna rzeka przerażenia. W ciągu paru tygodni runął mit Ameryki, na którym po 1989 roku opieraliśmy nasze poczucie bezpieczeństwa.

Uważam, że zaletą Tuska jest właśnie jego elastyczność ideowa

60 proc. Polaków nie wierzy w to, że Ameryka nam pomoże w chwili ostatecznej. Bardzo wielu utraciło też wiarę w piąty punkt Traktatu Północnoatlantyckiego, co oznacza, że nie mamy żadnej pewności, jak zachowa się NATO.

To nowa sytuacja. Zachwiało się wszystko i niczego się tu nie da zaklajstrować tradycyjną, optymistyczną retoryką proamerykańską i proeuropejską. Przeciwnie: kto chce się taką retoryką posługiwać, będzie ośmieszał się przed własnym społeczeństwem, które wie swoje i jest bardzo wrażliwe na wszelkie próby wprowadzania w błąd.

Ludzie zaczynają wierzyć, że w takim momencie historycznym tylko pewien typ polityka potrafi nas ochronić. Nie są istotne jego poglądy czy podejmowane decyzje. Liczy się asertywność, szybkość decydowania, nieugiętość, twardy upór.

Panuje przekonanie, że dr Karol Nawrocki jest właściwym człowiekiem na obecne czasy, nie tyle ze względu na wyznawaną ideologię, ile ze względu na swoją fizjonomię polityczną i modus bezwzględnego działania.

Wiem, że używam określeń niewłaściwych, ale mówiąc o obecnym prezydencie, nie możemy zapominać o takich kategoriach jak stado i przywództwo.

Jeśli bowiem zakładamy, że ludzie są istotami biologicznymi, to wybór walczącego, biorącego udział w kibicowskich ustawkach polityka, pochodzącego z podwórka, jest najzupełniej zrozumiały. Polacy chcą wierzyć, że w krytycznej sytuacji dr Karol Nawrocki zachowa się twardo i odpowiedzialnie.

I panu się to podoba?
– Nie bardzo, ponieważ jestem nieuleczalnym inteligentem i ten rodzaj prezydentury narusza moje poczucie smaku. Wolałbym kogoś w rodzaju Vaclava Havla. Ale być może nie mam racji.

Rafał Trzaskowski przegrał, bo był zbyt inteligencki? Bo fotografował się na tle biblioteczki w gabinecie?
– Jeśli polski polityk chce popełnić polityczne samobójstwo, powinien się sfotografować na tle książek.

Ale czy przegrana strony liberalnej w wyborach prezydenckich nie wpisuje się w mechanizm, który obserwujemy od 2014 roku, kiedy Donald Trump został prezydentem USA, a potem Wielka Brytania wyszła z Unii Europejskiej, władzę w Polsce przejął Jarosław Kaczyński? Mówiąc inaczej: czy ciągle lud sprzeciwia się starym elitom?
– Ale dlaczego pan wyznacza tę datę? W polskiej kulturze ta sprawa ciągnie się od XIX wieku, kiedy mieliśmy do czynienia z antagonizmem szlachecko-ludowym, który przeszedł potem w antagonizm ludowo-inteligencki. I to napięcie – będące immanentną częścią polskiej kultury – trwa do dzisiaj. Nie sądzę, żeby wygasło.

Do tego dochodzi generalna orientacja świata internetowego, która jest orientacją plebejską. Platformy społecznościowe – czyli najbardziej żywa część sieci, w której codziennie kąpie się nasz lud – nienawidzą skomplikowanej myśli inteligenckiej. Kiedy na Facebooku pojawia się dłuższy tekst, to znaczy taki, który czyta się dłużej niż 60 sekund, ma niewiele kliknięć. Cierpią na tym ambitni dziennikarze.

I nie wierzy pan, że lud z inteligencją może się pojednać?
– Absolutnie, nie wchodzi to w grę. Podziały są fundamentalne, więc trudno jest sobie wyobrazić, na czym konkretnie miałaby polegać ta symbioza. Lud zasadniczo nie lubi inteligentów. Dobitnie przekonałem się o tym w Marcu 1968, kiedy robotnicy pałowali studentów nie tylko dlatego, że byli w ORMO.

Lud szczególnie nie lubi inteligentów pochodzenia ludowego. Ma ich za zdrajców. Dzisiaj w kręgach postępowych jest moda na eksponowanie własnych ludowych korzeni, ale nie przypadkiem inteligenci ludowi od Zandberga cieszą się u ludu małym wzięciem.

Zgoda narodowa? Czy pan sobie wyobraża harmonijną wspólnotę zwolenników i przeciwników aborcji? Może jedynie moment krańcowego zagrożenia zewnętrznego nas połączy.

A czy ten konflikt jest siłą twórczą?
– No pewnie, że tak.

Radość z wysferzenia się jest jedną z najważniejszych motywacji ludzkiego życia.

Wiele satysfakcji przynosi ludziom moment wyjścia z dołów społecznych, które potem traktuje się z góry.

Polska jest zagrożona?
– Żyjemy w najbardziej słonecznym okresie Rzeczypospolitej od czasów Mieszka I. I pod względem dobrobytu, i wygody życia. Po 1989 roku byłem przekonany, że weszliśmy w dobrą fazę historii: nic strasznego nie może nas już spotkać.

A dzisiaj rano, kiedy byłem w sklepie, ekspedientka, która od czasu do czasu widzi mnie w telewizji i nieraz mnie pyta o ważne sprawy, zapytała: „Niech mi pan powie, ale tak szczerze, będzie ta wojna czy nie?".

Paweł Demirski, scenarzysta i człowiek teatru, powiedział mi osiem lat temu, że zaraz wybuchnie wojna.
– Demirski był prorokiem. Ja wierzyłem, że Rosja jest nowym krajem, który porzuci imperialną politykę. Że Rosjanie są zdolni do zbudowania jakiejś rosyjskiej wersji demokracji liberalnej. I to marzenie rozwiało się jak dym. Wojna ukraińska przekreśliła wszystko.

A tu jeszcze na naszych oczach Stany Zjednoczone Ameryki żegnają się ze swoim mitem szerzenia demokracji liberalnej, obrony najsłabszych państw, królestwa wolności, praw człowieka i promocji wolnego rynku.

Ameryka była miejscem, w którym chciało się żyć. W tej chwili nasze dusze zmroziła „doktryna Donroe".

Upadły więc dwa mity – bezpieczeństwa i Ameryki?
– Czego nie chce przyjąć do wiadomości polska prawica. Chociaż z sondaży wynika, że 19 mln Polaków porzuciło wiarę, że nasz odwieczny sojusznik przyśle swoich żołnierzy dla odparcia ataku ze Wschodu. Tymczasem prawica twierdzi, że to premier Donald Tusk chce wypędzić z Polski wojska amerykańskie i zerwać Sojusz Transatlantycki. To brednie. Ale pytanie jest inne: W jaki sposób budować polską kulturę w nowym kontekście geopolitycznym?

W tym momencie jesteśmy społeczeństwem wytrąconym z równowagi.

Dezorientacja jest powszechna. Możemy albo udawać, że nic się nie stało i walczyć o emancypację, równość, aborcję i „Pana Tadeusza" na liście lektur. Albo mówić otwarcie, jak poważna jest sytuacja, w której się znaleźliśmy, i co trzeba zrobić bez względu na cenę, byśmy sobie jakoś w tej poważnej sytuacji poradzili.

Stefan Chwin

• Rocznik 1949. Prof. dr hab., pisarz, eseista, grafik. Ostatnio opublikował: „Gombrowicz i »dusza polska«", „Dziennik pisany w Gdańsku", i powieść „Piratki. Przygody trzech kobiet na wyspach Archipelagu San Juan de la Cruz" z własnymi ilustracjami.

eprasa.pl bce484ca04

Czyli powinniśmy przestawić przemysł na produkcję uzbrojenia, zmienić działalność instytucji kultury i mediów, tak jak to robią od lat kraje skandynawskie?
– Niedawno mój znajomy ze Sztokholmu opowiadał mi o obronnej mentalności Szwedów. Tam nie ma człowieka, który nie wiedziałby, gdzie w jego sąsiedztwie znajduje się najbliższy schron. Mało tego! Każdy wie, jaką ma odegrać rolę w momencie ataku. Powstały wspólnoty schronowe, w których każdy obywatel ma przypisaną funkcję. A u nas? Szkoda nawet gadać.

I jeszcze jedno. Dziennikarze i publicyści nie wiedzą, jak mówić o Donaldzie Trumpie. W Polskim Radiu słyszę karkołomne konstrukcje językowe, w których prywatna niechęć redaktora do prezydenta Trumpa miesza się z politycznym obowiązkiem sympatii dla naszego sojusznika. Ta narracja jeszcze bardziej dezorientuje ludzi.

A czy wiara pańskiego pokolenia w to, że Ameryka nam zawsze we wszystkim pomoże, nie była naiwna?
– Była. Uwierzyliśmy w amerykański sen, który był niezwykle silny w czasach mojego dzieciństwa, a więc w latach 50. XX wieku.

Ludzie marzyli o amerykańskich butach, kurtkach wojskowych, dżinsach, w których Marek Hłasko chodził po Warszawie.

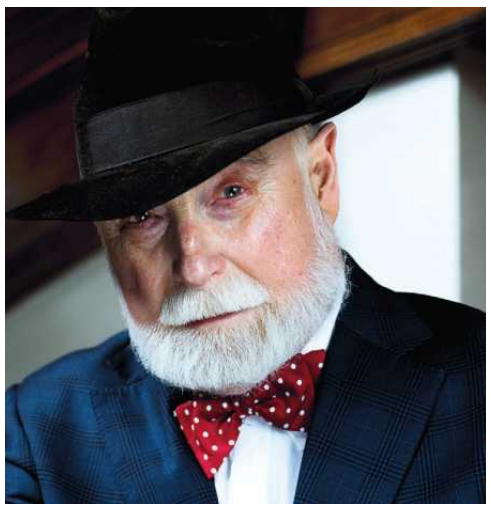

Te opowieści działały na wyobraźnię. Ponadto paczki z UNRRY (Administracji Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy) tworzyły mit amerykańskiego dobrobytu.

A moje pokolenie nie wierzy w amerykański mit, ponieważ byliśmy w USA i wiemy, że życie jest tam koszmarne. Moi rówieśnicy nie mają dostępu do publicznej opieki zdrowia, urlopów macierzyńskich czy bezpłatnych uniwersytetów.
– Myśmy to odbierali inaczej. Kiedy w kinie oglądałem „Taksówkarza" Martina Scorsesego, to widziałem Amerykę jako demokratyczne państwo bez cenzury, gdzie można publikować czy kręcić to, czego tylko dusza zapragnie.

Moje pokolenie widziało w Ameryce kraj pełnej wolności, której nam w Polsce brakowało. Mało się interesowaliśmy socjalną stroną życia w USA. Przyjaciel mojego ojca z Cleveland nad jeziorem Erie co roku na Wielkanoc przysyłał nam paczkę z prezentami z Ameryki. I to była dla nas wizytówka Stanów.

Wrażliwość pańskiego pokolenia jest inna, ponieważ urodziliście się i wychowali w kapitalizmie. A my widzieliśmy Amerykę jako szlachetną alternatywę dla komunistycznej cywilizacji.

A co dzisiaj jest alternatywą dla USA?
– Z tego, co dzisiaj wiem o Ameryce, przyznaję, że wolę mieszkać w Gdańsku niż w Dallas. Ja się boję chrześcijaństwa Trumpa, bo to chrześcijaństwo silnych, które woli Chrystusa z mieczem niż Chrystusa miłosiernego.

Mimo wszystko wolę nasze, polskie, bo to chrześcijaństwo słabych. Mam na myśli naszą formę życia, która opiera się na chrześcijańskich tonach współczucia i wybaczenia, nawet jeśli chodzi o życie świeckie. I która mówi: kiedy ktoś jest biedny, to należy mu pomóc, pochylić się, przytulić.

Ameryka też to ma.
– Ale u nich to się instytucjonalizuje w formie pomocy charytatywnej. A u nas chodzi o osobiste relacje między ludźmi.

Widzieliśmy to dokładnie w lutym 2022 roku, kiedy Polacy – nieproszeni przez rząd – pomogli wojennym uchodźcom z Ukrainy.
– To był chrześcijański z ducha odruch „pomocy bliźnim", którzy – o czym myśmy potrafili na chwilę zapomnieć – 80 lat wcześniej mordowali naszych rodaków. Ale dzisiaj, skoro Ukraińcy są krzywdzeni, trzeba im pomóc – i taka postawa w Polsce dominuje.

Tamten czas był nadzwyczajny, cały świat był zdumiony, ponieważ zachodnie społeczeństwa deklarowały raczej ostrożną pomoc. A my zapraszaliśmy uchodźców do naszych prywatnych domów! Na Zachodzie trafiliby do ośrodków.

Powiem to wprost: cztery lata temu zobaczyliśmy, czym jest mistyka polskiego domu i na czym polega moralny algorytm myślenia chrześcijańskiego. Nawiasem mówiąc – nie jest aż tak straszny, jak próbuje się nam wmówić, nawet jeśli Kościół ma wiele grzechów na sumieniu.

Czyli laicka Polska nie byłaby dobrym rozwiązaniem?
– Panie redaktorze, w Polsce nawet ateista jest katolikiem, ponieważ nie dostaje ideologicznego szału, kiedy ulicami przechodzi procesja Bożego Ciała. Woli powiedzieć: a niech sobie idą, jak lubią. Mają prawo. Bo on ma zwykle za sobą sakrament Pierwszej Komunii Świętej i matkę, która mu wiele razy powtarzała w dzieciństwie, że bliźnim trzeba pomagać.

A czy mówienie dzisiaj głośno, że chrześcijańska Polska jest czymś naturalnym, nie oznacza przypisania się do obozu prawicy?
– Prawica często przedstawia obóz liberalno-lewicowy jako antychrześcijańskie zagrożenie moralne dla Polski. Nie należy jej dostarczać dodatkowych argumentów. Przecież wielu polskich ateistów ma w sobie aurę chrześcijańskiej wrażliwości, nawet jeśli mają dosyć metafizyki, bo pomaganie biednym, słabym i wykluczonym uważają za rzecz oczywistą. Dokładnie jak zaleca Kazanie na Górze.

I ci sami ludzie dzisiaj narzekają na Ukraińców. Chrześcijański odruch był chwilowy?
– Dzisiaj widziałem w autobusie młodą Ukrainkę z dziećmi, której dwie Polki spontanicznie pomogły przy wysiadaniu. Mówi się o napięciach polsko-ukraińskich, ale nie widzę Polaków, którzy atakują w tramwajach Ukraińców. Nie ma band na dworcach, które biją ludzi mówiących po ukraińsku. A coś takiego widziałem w Wiedniu wobec uchodźców arabskich.

Też tego nie widzę, to prawda, ale słyszę szum niezadowolenia: w zaciszu rodzin mówi się, że Ukraińcy dostali za dużo.
– Gdyby te napięcia ograniczały się tylko do tego rodzaju szumu, byłbym szczęśliwy. Historia Polski zna gorsze rzeczy.

Ale nie podobało mi się demonstracyjne odcięcie pomocy dla rodzin ukraińskich zaproponowane przez ugrupowanie mające moje poparcie. Premier i jego ministrowie mówili, że należy ograniczyć wypłatę 800+ dla rodziców, którzy nie pracują.

A jak ma pracować matka samotnie wychowująca dwoje małych dzieci daleko od domu? Jesteśmy na tyle bogatym społeczeństwem, że stać nas na wspieranie bezpiecznego dzieciństwa ukraińskich dzieci w Polsce.

Ano właśnie: stać nas. Wchodzimy do grupy G20, czyli najbogatszych gospodarek świata, mamy na kontach odłożone 1,5 bln złotych, żyje nam się lepiej niż 10 lat temu. Czyli stajemy się dumnym społeczeństwem?
– Niezadowolona, a nawet wściekła jest wciąż znaczna część Polaków. Nie tylko Prawo i Sprawiedliwość mocno się trzyma, ale rośnie poparcie dla dwóch radykalnie prawicowych Konfederacji. Partia Grzegorza Brauna ma 11 proc. poparcia, czyli wejdzie do Sejmu z 40 posłami.

Powiedział pan w „Polityce", że trzeba się cieszyć, ponieważ 90 proc. nadal nie popiera Brauna.
– Tak powiedziałem.

Czym pan zalegalizował Konfederację w dyskusji publicznej.
– Bez przesady, stwierdziłem oczywistość. Na Brauna głosuje tylko 11 proc., więc nie należy wpadać w panikę, ponieważ on ma nad sobą szklany sufit. Zagospodarował część elektoratu młodych mężczyzn, ale nie jest w stanie sięgnąć po wyborców centrowych ze względu na swój program i swoje polityczne akcje, które mocno nie podobają się wielu ludziom w Polsce.

Nie przekonują mnie argumenty, że dzisiejsze poparcie dla Brauna jest zapałką, od której wybuchnie wielki pożar.

Czyli nie należałoby zdelegalizować partii Brauna?
– A jaki osiągnęlibyśmy efekt? Proszę zobaczyć: kiedy Parlament Europejski nakłada kary finansowe na Brauna, wówczas ten ogłasza zbiórkę i zbiera jeszcze więcej pieniędzy, niż stracił. W wyniku represji powstaje silny ruch społecznego poparcia, który liczy około 2 mln ludzi.

Nawet jeśli zlikwidujemy mu partię, to on założy nową pod nową nazwą, która będzie dokładnie taka sama. Parlament Europejski zabrał mu immunitet, co też mu życia nie ułatwia.

Dodam coś więcej: należy ostrożnie posługiwać się takimi słowami jak „faszyzm", ponieważ zabraknie nam ich, kiedy ten naprawdę pojawi się w Polsce.

Nie rozpoznaję dzisiejszego poparcia dla Brauna jako sytuacji niebezpiecznej, ponieważ on nie wejdzie do żadnego rządu. Ameryka do tego nie dopuści. W końcu powiedziała to wyraźnie ustami swojego ambasadora.

Poza tym, jeśli on dostanie wyrok w zawieszeniu, co go od razu odetnie od skutecznej działalności politycznej, znajdzie się na marginesie. Rządzić z tylnego siedzenia to nie jest jego marzenie. Jeśli zaś trafi do więzienia, najpierw wybuchną burzliwe protesty, które mogą wpłynąć na wynik nadchodzących wyborów, a potem zostanie stopniowo zapomniany, jak wszyscy, którzy dłużej siedzą w odosobnieniu.

20 lat temu nie przypuszczaliśmy, że Alternatywa dla Niemiec, czyli siostrzana partia Konfederacji, będzie miała szanse na samodzielne rządy.
– To prawda.

Czyli może jednak powinniśmy reagować. Mamy milczeć?
– Powinniśmy wskazywać na absurdalność programu Grzegorza Brauna, który opowiada brednie o światowym spisku żydowskim. W jego programie są jednak elementy, które powinny dać do myślenia stronie liberalnej.

Braun, ale też Sławomir Mentzen mówi do młodych ludzi językiem, który opisuje ich realne życie w kapitalizmie. Punktem wyjścia jest diagnoza, że życie młodego Polaka w systemie wolnorynkowym jest brutalnie trudne. Liberałowie boją się ruszać tego tematu, bo to temat dla nich niewygodny, dlatego sporo Polaków się od nich odsuwa.

Tymczasem ta semantyka brutalności życia przyciąga najmłodszych, którzy zderzają się – szczególnie na początku życia – z licznymi ścianami administracyjnymi i gospodarczymi. W konsekwencji zaczynają nienawidzić państwa, które utrudnia im pracę i zarabianie.

Z ich punktu widzenia program Koalicji Obywatelskiej jest różowym ględzeniem o Unii Europejskiej i uśmiechniętej Polsce, która wcale nie jest taka znowu uśmiechnięta.

Między innymi dlatego młody wyborca Konfederacji chętnie słyszy zapewnienia, że UE pod gładką zasłoną sympatycznych obrazów współdziałającej wspólnoty narodów ukrywa, że jest także stowarzyszeniem państw kapitalistycznych, które brutalnie konkurują między sobą.

Pojawia się nowa narracja: skoro osiągnęliśmy obecny sukces gospodarczy własną, ciężką pracą, to po co nam Unia?
– Milcząc o brutalności życia w kapitalizmie, Koalicja Obywatelska traci dostęp do najbardziej energicznej, pracowitej części polskiego społeczeństwa. To nie jest rozsądne.

To co powinna zrobić?
– Deregulować, ale masowo, ułatwiać zakładanie małych firm, wspierać na każdym etapie młodych. Z obecnych działań rządu nie za wiele wynika, zmieniane są drobne przepisy, ale rząd nie zmienia mechaniki życia społecznego, niezwykle okrutnego dla młodych ludzi.

A ci chcą jednego: odejścia od kapitalizmu korporacyjnego na rzecz państwa wspierającego polskich przedsiębiorców. I mają rację!

No, ale kto zbudował takie państwo? Gdańscy liberałowie!
– Cóż, myśmy byli zaślepieni wiarą, że kapitalistyczny wolny rynek wyreguluje wszystko.

No dobrze, mówiliśmy o kodach kulturowych, które są dla nas ważne. A co z Niemcem, który znowu zaczął pojawiać się w narracji prawicy?

Możemy albo udawać, że nic się nie stało i walczyć o emancypację, równość, aborcję i „Pana Tadeusza" na liście lektur. Albo mówić otwarcie, jak poważna jest sytuacja i co trzeba zrobić bez względu na cenę.

eprasa.pl bce484ca04

– Gdyby ta narracja nie działała, to politycy PiS-u by jej nie używali. Część Polaków naprawdę nie wierzy, że Niemcy w momencie ataku Rosji na Polskę do ostatniego swojego żołnierza pomogą nam bronić polskiego Gdańska.

Znowu dotykamy problemu młodej generacji, która wpada w objęcia skrajnej prawicy, bo uważa, że rząd nie mówi prawdy o relacjach polsko-niemieckich.

Zamiast mówić prawdę na przykład w kontekście polskich zbrojeń, woli fałszywą propagandę. Widziałem ostatnio, jak młodzi wyborcy Konfederacji naśmiewali się z Tuska, który chwalił się armatohaubicą Krab jako sukcesem polskiej zbrojeniówki.

Tymczasem oni słusznie zauważyli, że Krab to składanka z brytyjską wieżą na koreańskim podwoziu, a polska zbrojeniówka to głównie montownie elementów produkowanych przez zagraniczne koncerny, także niemieckie, które nie są zainteresowane tym, by polskie fabryki stały się samodzielnymi, konkurencyjnymi dla nich wytwórniami produktu końcowego złożonego z polskich komponentów.

Rząd wychodzi więc na kogoś, kto nie traktuje młodych, oczytanych ludzi poważnie.

A zarzuty wobec niesuwerenności wobec Brukseli i Berlina?

– Mamy tu ważną kwestię kulturową. Polacy są bardzo przywiązani do dziewiętnastowiecznego wyobrażenia niepodległości. Wedle tego wyobrażenia niepodległość nie jest stopniowalna. Albo jest całkowita, albo jej w ogóle nie ma. Tak uważali Mickiewicz, Krasiński, Słowacki.

Tymczasem mamy wiek XXI i dzisiaj na świecie istnieje bardzo niewiele państw w pełni niepodległych w takim sensie. Polska dzisiejsza, jak dziesiątki podobnych państw, jest nie do końca suwerenna w sensie gospodarczym i politycznym, bo taka suwerenność jest po prostu niemożliwa.

Tymczasem PiS okłamuje nas w swojej agendzie wyborczej, twierdząc, że jest możliwa, i to jeszcze najzupełniej. Tymczasem to urojenia. Ale sporo Polaków chce w to wierzyć, dlatego głosują na pisowskich i konfederackich „niepodległościowców", którzy takie rzeczy im obiecują.

Otóż należy otwarcie mówić o naszej realnej sytuacji, żeby Polaków do siebie nie zniechęcać przemilczeniami i propagandowymi wykrętami. Równocześnie trzeba pokazywać, że w ramach naszej ograniczonej suwerenności stale walczymy o zachowanie możliwości podejmowania naszych własnych decyzji.

I myślę, że Donald Tusk to robi. I robi to nawet lepiej i skuteczniej niż PiS, bo rozumie, że nasza zależność od instytucji unijnych czy zachodnich koncernów nie tylko nas ogranicza, ale też daje nam istotne korzyści. Co pisowcy i konfederaci chętnie przemilczają w imię absurdalnej, szkodliwej idei „Unia – samo zło".

Jest też grupa wiernych wyborców Tuska, którzy na każdą krytyczną uwagę o premierze reagują hejtem.

– Może i jest, ale ja uważam, że zaletą Tuska jest właśnie jego elastyczność ideowa. Strzeżmy się sztywnych doktrynerów. Więcej z nich szkody niż pożytku.

Premier wie, że musi się odnosić do społeczeństwa zróżnicowanego, dlatego utrzymał 800+, co jeszcze 20 lat temu byłoby mu poczytane za zdradę idei liberalnych. Można mieć jedynie żal, że nie wprowadzono tego programu w 2014 roku, jeszcze w czasach rządów Ewy Kopacz.

Tusk sensownie stawia się gremiom Unii Europejskiej w sprawie umowy z krajami Mercosur i zielonej transformacji, która może uderzyć w najbiedniejszych Polaków, co przemawia do ludzi. Powiem więcej: sensowna krytyka Unii jest dobrym pomysłem, bo wybija z rąk PiS-u maczugę rzekomej niesuwerenności rządu KO.

I nie doprowadzi do polexitu?

– Cały czas nad tym rozmyślam. Wszystko zależy nie tylko od Tuska i koalicji, ale także od rozsądku aktualnych elit europejskich – czy będą skłonne do zawierania kompromisów w najbardziej zapalnych kwestiach jak emisja dwutlenku węgla czy zakaz korzystania z aut spalinowych.

Jeśli elity te się usztywnią, to dostarczą prawicy argumentów za wyjściem z Unii. Obawiam się jednak, że w Brukseli jest sporo fundamentalistów liberalno-demokratycznych, którzy mogą zmusić ludzi do jeszcze większych opłat za zanieczyszczanie powietrza.

A nie obawia się pan, że za moment obudzimy się w Europie, w której prawicowi populiści będą rządzić w Berlinie, Paryżu, Londynie, Wiedniu, a już rządzą w Pradze, Bratysławie, Budapeszcie i Rzymie? Właśnie z tych powodów, o których pan wspomina.

– W tym momencie Unia, jak i cały kontynent, przekształci się w cywilizację prawicową. O czym myślę z niepokojem.

Ale tego właśnie chce lud.

– Wtedy zmieni się relacja między Europą a Rosją, na czym lud straci. No i widzi pan, na sam koniec chce pan, żebyśmy uderzyli w tony żałobne. Mam jednak wrażenie, że ekipa Tuska robi wszystko, żeby oddalić od nas niebezpieczeństwo przejęcia władzy przez populistów.

Mówił pan na samym początku, że liberałowie przegrają wybory. Wielu wyborców z różnych części Europy uważa, że projekt liberalny się nie sprawdził, że ich porzucił, zostawił samych na wolnym rynku.

– Projekt liberalny jest sensowny, tyle że liberalna lewica płaci dzisiaj za swoje błędy.

Dla zwykłego człowieka najstraszniejsza jest wolność, jeśli jest to wolność zradykalizowana i rozkołysana. Ludzie kochają wolność umiarkowaną.

Taka wolność oznacza, że możemy bez paszportu polecieć na Ibizę na wakacje, założyć firmę w Polsce i prowadzić interesy w Hiszpanii. Jeśli ktoś im mówi, że wolność polega na zawieraniu małżeństw jednopłciowych, to wielu ludzi taka wolność przeraża.

Nasza strona uważa, że nie ma w tym nic złego.

– Ale my mówimy o czymś innym: o reakcji ludu, który jest przerażony radykalnymi zmianami cywilizacyjnymi.

Nawet mimo sondaży, że ponad połowa Polaków popiera związki partnerskie?

– Ale co z tego? Kiedy dochodzi do rozstrzygających decyzji, to lud wybiera Trumpa czy Nawrockiego. Mówiliśmy już o tym przed chwilą: wielu ludzi ma poczucie, że wszystko się dzisiaj kołysze, nie wiadomo, jak wychowywać dzieci, co jest prawdą, a co nie jest, którzy eksperci mają rację, a którzy nie mają, kogo dzisiaj naprawdę słuchać. A pod tym wszystkim mamy jeszcze zimny strach przed atakiem ze Wschodu.

Erich Fromm pisał, że w takiej sytuacji lud zwykle oczekuje polityka, przywódcy, lidera, który powie twardo, że małżeństwo jest związkiem między kobietą i mężczyzną, a ci, którzy uważają inaczej, powinni po prostu siedzieć.

Zimna rzeka strachu podlewa te reakcje. Spójrzmy na Republikę Weimarską, w której panowało poczucie, że wszystko jest możliwe, konwencje są przestarzałe, a życie polega na eksperymentowaniu i przekraczaniu granic, bo człowiek powinien być transgresyjny.

A przecież dla większości Niemców transgresja obyczajowa była czymś przerażającym, zresztą jak i dla innych społeczeństw tamtego czasu. Hitler właściwie marzył, żeby ulicami Berlina w 1933 roku przeszła parada gejów i lesbijek. To byłby dla niego prawdziwy prezent. Dostałby jeszcze więcej głosów oburzonego ludu, obiecując, że twardą ręką zrobi z tym wszystkim porządek.

Dzisiejsze zauroczenie prawicowym populizmem jest konsekwencją radykalizacji liberałów i lewicy w sferze praw człowieka. Warto o tym czasem pamiętać. Paradoks polega na tym, że zwrotowi prawicowemu sprzyjają Parady Równości i inne postulaty, w pojęciu ludu zbyt radykalne.

Tymczasem od początku XIX wieku do dzisiaj środowiska LGBT i środowiska kobiece osiągnęły naprawdę bardzo wiele. Ich sytuacja dzisiaj jest nieporównywalnie lepsza w stosunku do tego, co było dawniej, a było naprawdę niedobrze. Rozsądek nam mówi: nie warto chcieć za dużo, bo wtedy można stracić wszystko.

Ale z drugiej strony Parady Równości odbywają się raz w roku i nikomu nie przeszkadzają.

– Podkreślam raz jeszcze: zaniepokojony i zdezorientowany lud, widząc Parady Równości, zwraca się w stronę prawicy.

Budzi się we mnie bunt, kiedy słyszę to rozpoznanie. Dlaczego mam zadbać o uczucia wyborców prawicy, skoro oni chcą mi zakazać mojego sposobu życia?

– Nie chodzi tylko o wyborców prawicy, bo nie tylko oni zagłosowali na dr. Nawrockiego. W tej połowie Polaków, którzy na niego zagłosowali, byli także ludzie z centrum i lewej strony.

Ale ja występuję w naszej rozmowie nie jako postulator szlachetnych idei, lecz raczej jako obserwator, który z niepokojem patrzy na zmiany społeczne i polityczne. I coraz częściej dochodzę do wniosku, że dla znacznej części ludu jesteśmy – ja i pan – niebezpieczną mniejszością.

Myślę, że potrafię żyć w świecie rozkołysanym, więcej nawet: taki świat, chociaż mnie czasem przeraża, pobudza mnie do twórczości, bo nie ma twórczości bez jakiejś formy przekraczania granic i eksperymentowania z życiem, co czasem bywa mocno ryzykowne i może stawiać pisarza w trudnej sytuacji.

Ale wielu ludzi nie chce takiego świata. I boi się go. Kto wie, może właśnie dlatego przegramy za rok wybory, co wcale mnie nie cieszy. Może jednak moje obawy są przesadzone i miejmy nadzieję, historia raz jeszcze nas pozytywnie zaskoczy. ●

REKLAMA
Kraj/34427604

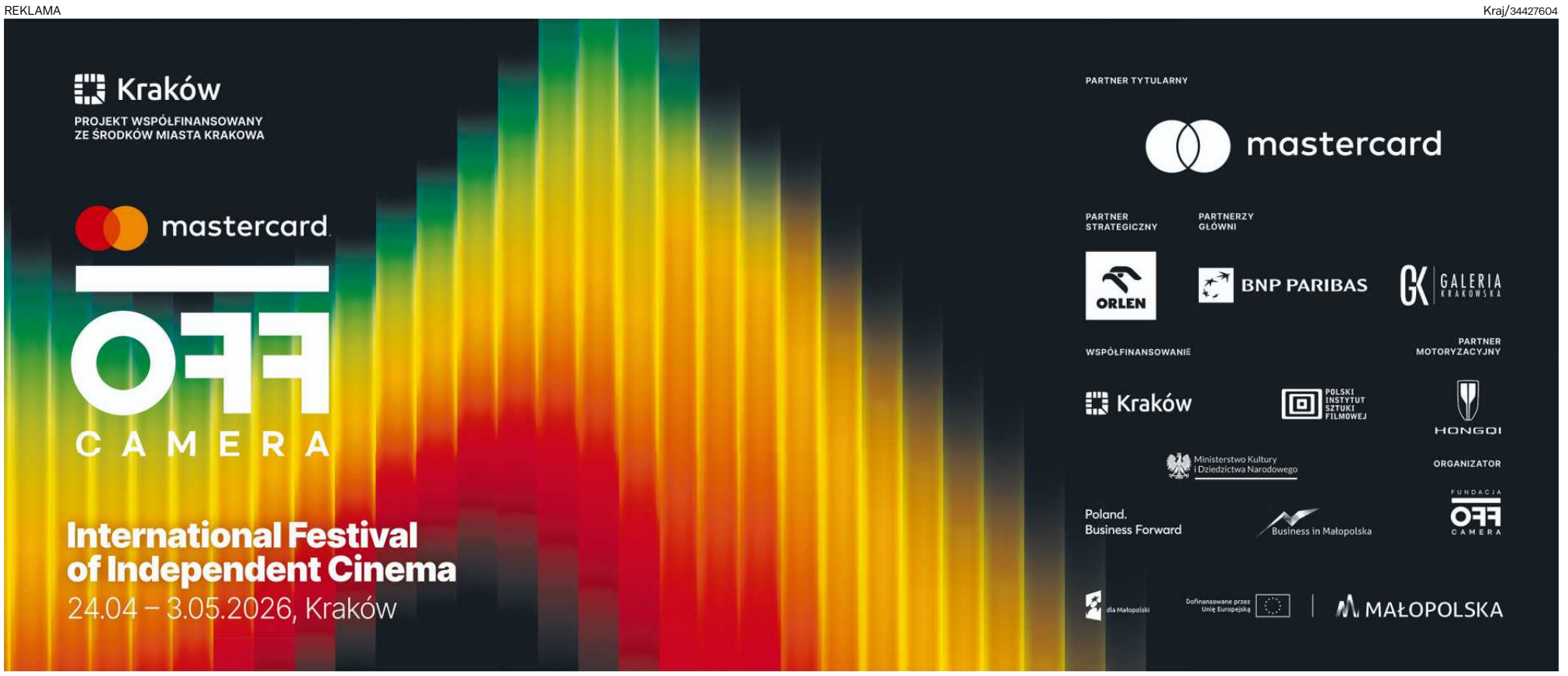

1 RP

eprasa.pl bce484ca04

KRAJ

Na którego koalicjanta padnie, na tego bęc

W koalicji słyszę, że w rządzie panuje cisza przed burzą. Wielu ministrów nie zna dnia ni godziny.

Dominika Wielowieyska

Koalicja 15 Października na tle awantur w PiS emanuje spokojem. Niedawno aż kipiało w rządzie i w Sejmie. Teraz współpraca i cisza.

Rząd Tuska ma jednego głównego oponenta, prezydenta Karola Nawrockiego, który w kluczowych sprawach – na życzenie Jarosława Kaczyńskiego – idzie na zwarcie. Sytuacja idealna, bo konsoliduje koalicję. Jedyne, co może spędzać premierowi sen z powiek, to słaba sprawczość, ale i to jakoś udaje się zamaskować głęboką polaryzacją.

Tusk poukładał sprawy w partii, wyznaczył zadania i ma wszystko pod kontrolą. Na jego decyzje wpływ mają Andrzej Domański w sprawach gospodarczych, superminister Maciej Berek w sprawach prawnych. Ważnymi postaciami wokół premiera są Paweł Graś, jego zaufany od 20 lat, i Igor Ostachowicz, obdarzony słuchem społecznym specjalista od wizerunku. Wicepremier i szef MSZ Radosław Sikorski trzyma politykę zagraniczną. Komisarz ds. budżetu Piotr Serafin i szef delegacji KO w Parlamencie Europejskim Andrzej Halicki obstawiają odcinek unijny. Wszyscy lojalni i stanowią zgraną drużynę.

Jednocześnie Tusk dokonał roszad w rządzie. Wymienił ministra aktywów państwowych Jakuba Jaworowskiego, którego wskazał Jan Krzysztof Bielecki, na sprawdzonego w ukraińskich kolejach Wojciecha Balczuna.

Posadę w resorcie stracił główny kadrowy w spółkach skarbu państwa, prawnik i poseł KO Robert Kropiwnicki. – Tusk był rozczarowany Jaworowskim, tak naprawdę rządził wszystkim Kropiwnicki, z którego dokonań premier nie był zadowolony – słyszę. Szef rządu uważał, że w MAP toczą się jakieś gry personalne, nad którymi on jako premier nie do końca panuje. A gdy kot jest zajęty sprawami wagi międzynarodowej, to myszy przy biernności Jaworowskiego nieźle rozrabiały, tworząc niezbyt przejrzyste układy biznesowe. Pod koniec 2024 r. portal Demagog i inne media, także „Wyborcza", opisały nominacje w spółkach dla niedoszłych posłów KO lub działaczy partyjnych. PiS zwietrzył okazję i raz-dwa uruchomił stronę Stoppatowładzy/przy korycie, którą reklamował jako podręczne kompendium 100 nazwisk ze wszystkich partii koalicyjnych, które można znaleźć w zarządach i radach nadzorczych.

„Ta operacja z MAP miała na celu odcięcie regionalnych baronów KO od wpływu na państwowe spółki. Balczun doprowadził do wymiany wielu menedżerów i planuje dalsze zmiany. Główną osobą z otoczenia premiera, która ma wpływ na te decyzje, jest Graś" – słyszę od moich rozmówców. Innym słowy polityka personalna ma być mocno scentralizowana. Balczun nie jest podczepiony pod żadne struktury terenowe. Ma swoich doradców, takich jak Bartłomiej Babuśka, szef Agencji Rozwoju Przemysłu, ale to Graś odgrywa najważniejszą rolę jako wyraziciel woli Tuska.

Wkrótce może dojść do kolejnych roszad, choć i Balczun, i nawet Graś muszą się liczyć ze zdaniem koalicjantów – na przykład za prezesem Orlenu Ireneuszem Fąfarą bardzo optował wicepremier i szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz. A Lewica nie da wyrzucić Cezarego Stypułkowskiego z Pekao SA. Przy czym obaj – i Fąfara, i Stypułkowski – to bardzo doświadczeni menedżerowie w swoich branżach. I nie są działaczami partyjnymi.

●

Tuskowi zależy na wizerunku Koalicji 15 Października jako siły politycznej, która dokonuje rewolucji: odchodzi od rozdawania stołków. W lutym premier podpisał Kodeks Dobrych Praktyk Nadzoru Właścicielskiego. Ministerstwo aktywów państwowych deklaruje, że zapewni neutralność i profesjonalizm rad nadzorczych oraz zarządów spółek z udziałem Skarbu Państwa.

Zgodnie z nowym kodeksem członek zarządu oraz członek rady nadzorczej nie powinni manifestować publicznie sympatii politycznych, winni zachować niezależność od wpływów i nacisków i nie angażować spółki w takie działania, jak również eliminować wpływy polityczne na wydatki, rekrutacje i awanse w spółce. Czy te standardy będą dotrzymane? Jeszcze przed wyborami europejskimi w 2024 r. fundacje największych firm państwowych sfinansowały kampanię profrekwencyjną, a w rzeczywistości uderzającą w PiS i Konfederację. Czy te praktyki się nie powtórzą, okaże się już wkrótce, w kampanii parlamentarnej w 2027 roku.

Polska 2050 już dawno temu zgłosiła projekt, który miał odpolitycznić spółki. Ale ekipa Tuska nie chce ustawy, która narzucałaby twarde procedury, bo chce mieć pole manewru i kontrolować to, co się dzieje w tych przedsiębiorstwach – ale z drugiej strony chce wyłączyć wpływ struktur partyjnych na personalia. Premier może sobie na to pozwolić, bo ma niekwestionowaną pozycję lidera w partii i nikt nie odważy mu się przeciwstawić. Wybory w regionach są już pozamykane. Czas na sprzątanie.

Natomiast Tusk nie będzie w stanie tych praktyk powstrzymać w przypadku PSL-u. Za to Kodeks może być kontrolą nad szefem MSWiA Marcinem Kierwińskim, którego pozycja nie była do końca pewna. Mówiono w rządzie, że Tusk odbierze mu funkcję odpowiedzialnego za aparat partyjny sekretarza generalnego partii, ale Kierwiński zdołał przekonać premiera o swojej lojalności i sprawności.

●

Tak więc w KO zapanowała stabilizacja, co nie oznacza, że ministrowie mogą się czuć pewnie. RMF FM podało plotkę, że Tusk rozważa dymisję trzech minister: edukacji Barbary Nowackiej, kultury Marty Cienkowskiej i zdrowia Jolanty Sobierańskiej-Grendy. Premier szybko zdementował te pogłoski, jednak niektórzy w rządzie są przekonani, że najbliżsi ludzie „Kierownika" rozpuszczają takie wieści, aby zmobilizować członków rządu do pracy. Zwłaszcza Nowacka nie jest dobrze oceniana w rządzie i to wie. Ma do przyszłego roku odwrócić zły trend i pokazać jakieś sukcesy.

Osobnym rozdziałem jest Waldemar Żurek. Jego nominacja tchnęła nadzieję w twardy elektorat KO i notowania partii wzrosły. Niemniej radykalne koncepcje ministra sprawiedliwości typu rozgonić od razu neo-Krajową Radę Sądownictwa, zostały zablokowane. Największy wpływ na tego rodzaju decyzje i strategie w sferze prawnej ma Berek, nie Żurek. Gwałtowne ruchy z użyciem policji może dają jakąś satysfakcję twardemu elektoratowi, ale z punktu widzenia marketingu politycznego mają poważną wadę: mobilizują elektorat PiS, i nakręcają oglądalność TV Republika.

Notowania ministra sprawiedliwości są słabe, ponieważ otoczenie Tuska uważa, że w prokuraturze źle się dzieje. Chodzi nie tylko o brak spektakularnych rozliczeń,

FOT. MFOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl bce484ca04

lecz także o stan samej instytucji, którą nadal trzęsą ludzie Ziobry. Usiłowano wielu odsunąć, a tymczasem po okresie zawieszenia triumfalnie wracają do pracy, jak zastępca prokuratora generalnego Marek Ostrowski.

Żurek prowadzi aktywną politykę medialną i buduje pozycję w elektoracie KO, choć raczej nie planuje kariery partyjnej, tylko prawniczą. Ale zdarzały mu się wpadki, jak wspólne występy z celebrytką Dodą, która na chwilę przebrała się w szaty obrończyni zwierząt. Nie wypada, aby minister sprawiedliwości i prokurator generalny lansował się na tle skandalistki, która została już prawomocnie skazana za swoje wybryki. Niemniej Żurek jest lubiany i nic nie wskazuje, by jego pozycja była zagrożona.

Ważnym testem dla ministra będzie efekt wyborów członków nowej KRS. Jeśli sprawnie pójdzie zaopiniowanie kandydatów przez sądy na zasadzie zbliżonej do prawyborów, a Sejm zatwierdzi tego efekt, Żurek będzie mógł na koncie zapisać duży sukces.

●

Tusk swoją trzódką zarządza sprawnie. A jak to wygląda, jeśli chodzi o relacje z partnerami koalicyjnymi?

Premier rzadko zwołuje spotkania wszystkich koalicjantów, bo takie zebrania nie były nadmiernie efektywne. Krytyczny wobec rządu koalicjant relacjonował: „Tusk ochrzania wszystkich, Kosiniak coś tam próbuje tłumaczyć, Czarzasty ma wywalone na wszystko i słucha tego z ledwo widocznym uśmieszkiem, a Hołownia robił się czerwony na twarzy i wpadał w stupor". Więc dziś premier stawia na relacje bilateralne: poszczególne sprawy załatwia w bezpośrednich rozmowach „jeden na jeden" z liderami partii. Przy czym dotyczy to głównie marszałka Sejmu Włodzimierza Czarzastego oraz wicepremiera i ministra obrony narodowej Władysława Kosiniaka-Kamysza. Ministra funduszy i polityki regionalnej Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz czy ministra klimatu Paulina Henning-Kloska raczej na częstą uwagę premiera nie mogą liczyć. Po rozłamie w Pl2050 ich pozycja jest bardzo słaba.

Nie zwołując spotkań całej koalicji, szef rządu unika sytuacji, w której mniejsi koalicjanci próbowaliby coś wspólnie wynegocjować. A tak Tusk pełni rolę arbitra, bo reszta koalicji jest skłócona albo ma sprzeczne interesy.

Gdy Polska 2050 rozpadła się na dwie części – połowa utworzyła klub parlamentarny Centrum – Pełczyńska-Nałęcz straciła szansę na bycie wicepremierką, czego domagała się od miesięcy. Ta pani minister i Hołownia byli recenzentami własnego rządu, co premiera irytowało. Rozłam w ich partii był mu na rękę, bo osłabiał – w jego mniemaniu – rozbijacką politykę Polski 2050. Niektórzy posłowie, którzy odeszli z PL2050, dostaną miejsca na listach KO. Tusk nie zobowiązywał się do przyjęcia wszystkich, ale nastąpi wchłonięcie Centrum do KO, podobne jak w przypadku Nowoczesnej.

Choć i w nowym klubie są politycy, którzy chcieliby zagrać o coś więcej. – Henning-Kloska nie jest realną przywódczynią, są konflikty w Centrum, Ryszard Petru szykuje się, by ją zastąpić – słyszę w kuluarach. Założyciel i lider Nowoczesnej nadal myśli, że zdobędzie poparcie biznesu i zbuduje własną partię.

Zamieszanie wokół Centrum potęguje fakt, że Henning-Kloska jako ministra klimatu weszła w ostry konflikt z PSL. Poszło o Bank Ochrony Środowiska. Ludowcy byli wściekli, że w połowie marca doszło do dymisji prezesa BOŚ Bartosza Kublika. Resort głosi, że to rada nadzorcza decydowała, a ministra nie interweniowała. Jednak głównym udziałowcem BOŚ jest Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska, nad którym nadzór sprawuje Henning-Kloska, więc ludowcy w zapewnienia nie wierzą. A okoliczności dymisji prezesa były dziwne. Radio Zet podało, że opracowano raport, którego wynikało, że członkowie zarządu BOŚ szastali pieniędzmi przy użyciu służbowych kart – ale zanim Kublik zdążył to omówić w banku, stracił posadę. Choć to nie on był liderem w wydawaniu pieniędzy na wypasione kolacje biznesowe. W każdym razie PSL ma kosę z ministrą i szansa na wspólny start w wyborach się oddala.

Więc Centrum jest skazane na łaskę KO. A skoro rozważano także deal wyborczy z PSL, po co było robić ludowcom wbrew? Być może Petru, by ocalić niezależność i uniknąć skonsumowania przez KO, będzie chciał odwrócić tę sytuację, pogodzić się z Kosiniakiem.

●

Niezależnie od losów Henning-Kloski posłowie klubu Centrum głoszą, że owszem, nielubiana przez nich ministra Pełczyńska-Nałęcz się wyciszyła, nie rozkręca konfliktów w rządzie, jak to miało miejsce jeszcze kilka miesięcy temu – ale to jest tylko cisza przed burzą. Bo tak naprawdę – zdaniem ludzi Centrum – planuje opuszczenie koalicji na pół roku przed wyborami parlamentarnymi w 2027 roku. Sama ministra w rozmowie ze mną kategorycznie zaprzecza: to plotki wyssane z palca.

Ale załóżmy, że zmieni zdanie. Jej partia ma około 1-2 proc. Pojawiały się sugestie, że może dogada się z Razem i Adrianem Zandbergiem. Oba ugrupowania mają podobne zdanie np. w sprawie polityki mieszkaniowej. Inna moja rozmówczyni powątpiewa: „Jeśli Katarzyna zdecydowałaby się opuścić koalicję, to pytanie, czy aby na pewno ludzie, którzy przy niej zostali, też będą chcieli odejść, a po drugie – ci posłowie niekoniecznie pasują do Razem, bo światopoglądowo jest im do lewicy daleko".

Zresztą 1-2 proc. PL2050 plus 3-4 pproc. Razem nie zapewnia 6 proc. w wyborach. Owszem, Polska 2050 jest atrakcyjnym partnerem, bo ma subwencję partyjną. Ale ile z niej zostało? Nie wiadomo. Partia wzięła potężny kredyt na wybory w 2023 r., do czego doszła wielomilionowa pożyczka na kampanię prezydencką Hołowni. Marszałek Sejmu mocno zapożyczył partię, bo był przekonany, że znajdzie się w drugiej turze. – Nawet jeśli Pełczyńska-Nałęcz wymyśli, że wychodzi z rządu, to co z tego? Nikt tego rządu nie obali. Nie ma szans na konstruktywne wotum nieufności. Najwyżej będzie rząd mniejszościowy, a KO będzie się na tym tle jawić jako siła stabilna i przewidywalna. Nawrocki i tak wetuje masę ustaw, więc warunki funkcjonowania rządu nie zmienią się jakoś diametralnie – słyszę od moich rozmówców.

Pojawiały się sugestie, że może Pełczyńska-Nałęcz dogada się z Zandbergiem. – To co z tego? Najwyżej będzie rząd mniejszościowy, a KO będzie się na tym tle jawić jako siła stabilna i przewidywalna – słyszę od moich rozmówców

Może i tak, niemniej kluczowe pytanie dla Koalicji 15 Października i perspektyw utrzymania władzy brzmi tak: w jakiej konstelacji partnerzy KO pójdą do wyborów. Jeśli będą to dwa bloki skupione wokół KO i Lewicy, to szanse na większość w nowym Sejmie rosną. Jeśli bloki będą trzy, bo PSL pójdzie osobno, może się okazać, że obóz Kl5P i obóz PiS oraz obu Konfederacji będą miały zbliżoną liczbę mandatów. I to jeszcze pod warunkiem, że PSL przekroczy próg 5 proc., co nie jest przesądzone.

●

Zdania co do strategii ludowców są podzielone. – Ludowcy nie wykluczają, że poproszą Tuska o koalicję" – to jeden głos. Ale jest i drugi: – PSL pójdzie samo do wyborów, nawet jeżeli pojawi się groźba wyniku poniżej progu.

Szerokim echem odbiła się ostatnia debata Kosiniaka-Kamysza z Mateuszem Morawieckim podczas Forum Rolniczego w Jasionce. – Tusk patrzył na to niechętnie, ale nie będzie robił z tego powodu awantury – opowiadają moi rozmówcy. Kontakty PSL z byłym premierem PiS organizuje słynny polityczny spinacz, ludowiec chadek Artur Balazs, który w 2023 r. doprowadził do współpracy KO z rebeliancką Agrounią Michała Kołodziejczaka.

Innym orędownikiem współpracy z Morawieckim jest Michał Kamiński. Wicemarszałek Senatu i legendarny spin doktor braci Kaczyńskich, który został ludowcem, ale ma dobre kontakty z Nowogrodzką, twierdził nawet, że zmiana koalicji jest możliwa w tej kadencji. Kosiniak nie bierze tych rad na serio, ale Kamińskiego nie wyrzucił, choć marszałkini Małgorzata Kidawa-Błońska chciałaby się go pozbyć z prezydium Senatu. Lider PSL Kamińskiego trzyma na zapleczu.

PSL postanowił się przygotować na ewentualny rozpad PiS i nie wyklucza jakiejś współpracy z frakcją Morawieckiego. To nie zachwyca Tuska, za Morawieckim ciągnie się afera Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych, gdzie wydano w patologiczny sposób co najmniej 700 milionów złotych. Układanie się z taką frakcją mogłoby być źle odebrane przez szeroki – wcale nie tylko najtwardszy „platformerski" – elektorat demokratyczny, który żądał rozliczenia złodziejstwa z czasów PiS.

Ale z drugiej strony rozpad partii Kaczyńskiego byłby dla KO wspaniałą wiadomością. A otoczenie „Kierownika" rozumie, że Kosiniak-Kamysz, by zaspokoić emocje swojego aparatu partyjnego, próbuje pokazać różne opcje i chce uniknąć wizerunku koalicjanta, który jest całkowicie uzależniony od Tuska. Działaczom w terenie to się podoba. Poza tym lider PSL sądzi, że im bliżej wyborów i im bardziej PiS słabnie w sondażach, to uda się pozyskać jakieś nazwiska, które obstawiają bardziej centroprawicowy elektorat, a są mocne w swoich okręgach wyborczych. Potem pozbiera się jeszcze jakiś popularnych samorządowców, może zagospodaruje się resztki po Polsce 2050 i jednak te ponad 5 procent się uciuła.

●

Mniej zestresowany swoim potencjalnym wynikiem wyborczym jest Czarzasty. Ustały krzyki o jego przeszłości w PZPR i roli w korupcyjnej aferze Rywina, która była początkiem końca rządów SLD i dała rozpoznawalność Ziobrze. Czarzasty ma poukładaną sytuację w partii, wyniki w okolicach 6-7 proc., a jako marszałek Sejmu buduje swoją pozycję i wierzy, że to podciągnie Lewicę w sondażach. Koalicjanci z KO przyznają, że na sprzeciwie wobec Trumpa – czyli nagłośnionej odmowie poparcia dla Nobla dla prezydenta USA – Czarzasty zbudował się w lewicowym elektoracie. Jest lojalny wobec Tuska, trzyma się ustaleń, nie wyciąga konfliktów na światło dzienne.

Ale też dba o interesy swojej partii. Jak trzeba, to będzie twardo negocjował, a KO jest teraz w trudnej sytuacji, bo szykuje się referendum w sprawie odwołania prezydenta Krakowa Aleksandra Miszalskiego. Marszałek na nie omieszka czegoś załatwić w zamian za neutralność, choć sam do Miszalskiego ma różne pretensje.

Czarzasty będzie też namawiał Zandberga do wspólnego startu w wyborach parlamentarnych, ale szansa, że Razem się zgodzi, jest niewielka. W 2023 r., za rządów PiS, i Lewica, i Razem były w wielkim opozycyjnym sojuszu. Teraz Zandberg jest ostrym krytykiem rządu i wspólna lista z zaangażowanym koalicjantem KO mogłaby zniechęcić młody, antyelitarny, zbuntowany elektorat.

Czarzasty bierze to pod uwagę, lecz uważa, że ma mocne atuty w ręku. Część Razem na czele z Magdaleną Biejat została przy Lewicy. Zandberg nie ma zbyt wielu rozpoznawalnych postaci. Na fali entuzjazmu po wyborach prezydenckich w 2025 roku wielu młodych ludzi zapisało się do jego partii, ale teraz nastąpiła stagnacja. Nie widać żadnych spektakularnych działań, a sama Marcelina Zawisza – skądinąd dość aktywna – nie udźwignie kampanii wyborczej. Widoczny jest jeszcze Maciej Konieczny, ale w zasadzie na tym kończy się lista znanych nazwisk. Pauliny Matysiak, pragmatyczki próbującej podkupować wyborców Konfederacji i PiS, już w Razem nie ma, pozostali nie są wyrazistymi postaciami medialnymi. Po wyborach prezydenckich notowania partii Zandberga oscylowały wokół 3-6 procent, w styczniu już tylko 2-4,5 procent.

A tymczasem Lewica ostatnio zaliczyła wielki sukces. Prezydent Karol Nawrocki podpisał – pod naciskiem lidera związkowej „Solidarności" Piotra Dudy – nowelizację ustawy o Państwowej Inspekcji Pracy. To wersja kompromisowa, ale jednak polepsza pozycję pracownika wobec pracodawcy. Lewica teraz będzie powtarzać jedno: może jesteśmy słabszym partnerem, ale jednak różne rzeczy udaje się nam załatwić, jesteśmy sprawczy. Lepsze to niż tkwienie na wieki na pozycji recenzenta, który nie chce za nic brać odpowiedzialności.

Już wcześniej Lewica przygotowała grafikę, które z jej postulatów weszły w życie. Teraz ta plansza powróci w wersji rozbudowanej. Bo – czego Razem nie wypada krytykować – sporo działo się również w polityce mieszkaniowej. Ministra Pełczyńska-Nałęcz do spółki z Lewicą mogą się chwalić odejściem od kredytu zero procent na rzecz zwiększenia nakładów na budownictwo socjalne. Na liście sukcesów jest ograniczenie prywatyzacji mieszkań komunalnych i ustawa o jawności cen mieszkań.

Jednocześnie Czarzasty będzie się budował na konfrontacjach z prezydentem. A że Razem nie będzie zachwycać się Nawrockim, siłą rzeczy pozostaje na marginesie tej rozgrywki: polaryzacja jest bardziej w interesie widocznego Czarzastego, a nie wycofanego, dzielącego włos na czworo Zandberga.

Koalicja 15 Października może więc zawalczyć o kolejną kadencję. Jej największym bólem głowy jest to, co zawsze – by żadne głosy oddane na partie koalicyjne nie zostały pod progiem. Zbyt duże rozdrobnienie partyjne po stronie rządzących zwiększa szanse PiS i obu Konfederacji na przejęcie władzy w 2027 roku.

Co prawda i w obozie KO są ludzie, którzy marzą o wykluczeniem Lewicy i koalicji z Konfederacją i PSL, ale ten scenariusz wydaje się mało prawdopodobny. Elektoraty Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka raczej by tego nie przeżyły mimo całego ich krytycyzmu wobec partii Kaczyńskiego. Dlatego podział na obóz rządzący i obóz PiS plus Konfederacja wydaje się trwałym.

eprasa.pl bce484ca04

NIE MA JAK ROBIĆ DZIECI. ANI Z KIM

Jeśli nie potrafimy dogadać się w sprawie zmywarki, to co dopiero w sprawie wychowania

Z **ANNA GROMADĄ*** ROZMAWIA **DAWID KRAWCZYK**

FOT. GETTY IMAGES/IMAGE SOURCE/CATHERINE DELAHAYE

Czy łatwiejszy dostęp do mieszkań rozwiązałby w Polsce problem niskiej dzietności? Najnowsze statystyki mówią o 1,09 urodzenia na kobietę przez całe jej życie, a prognozy GUS, że jeśli trend się utrzyma, to w roku 2060 będzie nas o jedną czwartą mniej.

– Łatwiejszy dostęp pomógłby wielu rodzinom, ale nie rozwiązałby problemu dzietności. Rozważania lokalowe są poprzedzone egzystencjalnymi pytaniami, które dziś wybrzmiewają głośniej niż kiedyś: czy w ogóle chcę mieć dzieci? Czy mam z kim? Czy dam radę nie tylko materialnie, ale też emocjonalnie?

Dostęp do mieszkań powinien być politycznym priorytetem. To problem całościowy – od braku planów zagospodarowania, które zawyżają ceny gruntów, przez patodeweloperkę, która sponsoruje nasze partie, aż po grasującą na tym Dzikim Zachodzie figurę „agenta nieruchomości" zawyżającego ceny o 2,5 do 10 proc., którą trzeba uregulować, tak jak to zrobiono z zawodem notariusza. Nominalne ceny mieszkań w Warszawie są dziś wyższe niż w Antwerpii, a relatywnie do dochodu mieszkańców – radykalnie droższe niż w Dublinie, Madrycie, Kopenhadze czy Oslo.

Natomiast w perspektywie dzietności to tylko jeden z czynników. Rozróżnijmy między „skokiem" w rodzicielstwo a decyzją o kolejnych dzieciach. Gdy 11 lat temu, jako doradczyni w Kancelarii Prezydenta, patrzyłam na polskie społeczeństwo, widziałam, że zdecydowana większość ludzi jest w poważnych związkach. I z czasem zdecydowana większość tych par będzie mieć co najmniej jedno dziecko. Odnosiłam wrażenie, że w tamtych czasach decyzja o pierwszym dziecku była bardziej egzystencjalna, a o kolejnych – bardziej pragmatyczna.

Polityka publiczna – w tym mieszkaniowa – liczyła się szczególnie w tym drugim przypadku.

Dziś związków jest mniej, a decyzja o pierwszym dziecku zapada później albo wcale.

Gdy rozbijemy urodzenia na pierwsze i kolejne, to okazuje się, że w ostatnich kilku latach liczba tych drugich dzieci wcale nie spadła. Za ostatnie tąpnięcie demograficzne odpowiada mniej debiutów rodzicielskich.

Jak bardzo istotnie?

– Jeśli spojrzymy na kobiety urodzone w Polsce w latach 50., to 10 proc. z nich było definitywnie bezdzietnych. Wśród tych z lat 70. – już 20 proc. A wśród tych urodzonych na początku lat 80., czyli tych, które dziś mają czterdzieści kilka lat, to 30 proc.

Jeśli ta tendencja się utrzyma, to z matematycznego punktu widzenia gdzieś w okolicach roczników 2050 – sto procent kobiet powinno być bezdzietnych.

– Na szczęście historia nie jest łukiem postępu, równią pochyłą ani kołem powtórzeń. Jest na bieżąco negocjowana przez zmieniające się relacje władzy.

Spójrzmy na USA. Wśród kobiet urodzonych w 1935 r. bezdzietnych było 6 proc. W rocznikach do 1954 było to już 17 proc. A potem, wśród kobiet urodzonych w latach 70. – znowu tylko 10 proc.

Często taki wzrost pojawia się w momentach większych społecznych przesileń – rewolucji obyczajowych, negocjowania relacji władzy, szukania nowych form bycia razem. Ludzie próbują wtedy różnych modeli życia – często w wahadłowej negacji do poprzednich.

Mam nadzieję, że ten wskaźnik będzie spadał. Nie dlatego, że martwię się o „potencjał obronny kraju", jak ginekolog z pana reportażu o dylematach związanych z dzietnością. Mam nadzieję, że będzie spadał, bo większość osób po prostu chce być w związku i mieć dzieci. W Polsce wśród osób w wieku 18-40 lat zaledwie 6 proc. mężczyzn i 10 proc. kobiet deklaruje, że na pewno chce być bezdzietna.

Chcemy, ale nie możemy. Skoro ta lewicowa opowieść, że wszystkiemu winny jest brak mieszkań, jest nie do końca prawdziwa, to może rację ma prawica? Przestaliśmy

1 RP

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Dr Anna Gromada

• kierowniczka zespołu badawczego WELLMOD (Dobrostan Przyszłości) w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Stypendystka Cambridge, Yale, Sciences Po Paris, Uniwersytetu w Oslo i Uniwersytetu w Tokio. Doradzała m. in. ONZ, OECD – Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju, Parlamentowi Europejskiemu, prezydentowi Polski i rządowi Francji w sprawach związanych z polityką społeczno-ekonomiczną. Felietonistka „The Guardian" i magazynu „Pismo". Mieszka z rodziną na warszawskiej Ochocie.

• **Anna Gromada będzie gościnią międzynarodowego kongresu Impact'26.** Od 10 lat w jednym z najważniejszych wydarzeń gospodarczo-technologicznych w Europie biorą udział eksperci i ekspertki z największych globalnych firm i organizacji z całego świata związani z zarządzaniem, polityką, prawem i nauką.

• Wyborcza.biz, Wyborcza.pl i WysokieObcasy.pl objęły patronat medialny nad wydarzeniem. **Szczegóły:** Impactcee.com/impact/2026/pl/start/

eprasa.pl bce484ca04

się rozmnażać, bo Bóg nas opuścił i wolimy zajmować się psieckiem?
– Chciałabym poruszyć kilka kwestii, zanim wpadniemy w staroszlachecki zwyczaj tropienia największego zdrajcy i niegasnącą wiarę, że ludzi da się zreformować przez zawstydzanie.

Ostatnia rzecz, która może tu pomóc, to narracje o „strasznych incelach" albo „wybrednych kobietach, które wolą korpo od bąbelków". Te opowieści są przeciwieństwem tego, czego dziś potrzebujemy, czyli renegocjacji kontraktu społecznego między płciami, klasami i pokoleniami.

Rozgrywanie ludzi przeciwko sobie jest nie tylko nieproduktywne i niemoralne. Jest też często statystycznie błędne. Weźmy choćby mit wokół psiecka wypierającego dzieci.

Mit, który zmaterializował się na transparencie Młodzieży Wszechpolskiej podczas Marszu Niepodległości. Przekaz był taki, że kobiety o progresywnych poglądach porzuciły rolę matki, a psy traktują jak dzieci.
– Przeciętna posiadaczka psa w Polsce częściej jest matką niż osobą bezdzietną. Nie mamy do czynienia z wyborem między psem a dzieckiem, tylko z przekierowaniem wektora życiowego na wzięcie odpowiedzialności za innych. I opieka nad dzieckiem, i nad zwierzęciem koreluje z wiekiem i stabilizacją życiową.

Czyli ani lewica, ani prawica nie ma racji w sprawie dzietności?
– Teoria, która moim zdaniem najlepiej opisywała sytuację dzietności w Europie przed pandemią, przyznawała trochę racji obu stronom: i konserwatywnej, i liberalnej.

Najprościej mówiąc: najwięcej dzieci było tam, gdzie panowała spójność.

Albo domknięty konserwatyzm, jak w Turcji, gdzie i sfera publiczna, i prywatna są konserwatywne: mężczyzna pracuje, kobieta zajmuje się dziećmi, oboje akceptują ten podział ról.

Albo domknięty liberalizm, jak w Skandynawii, Wielkiej Brytanii czy we Francji, gdzie mamy równość na rynku pracy, więcej równości w domu i wsparcie państwa w opiece.

Najniższa dzietność pojawiała się natomiast w krajach głębokiej nierównowagi.

Znam taki jeden kraj.
– Polska jest takim krajem, ale też zaliczają się do nich Niemcy, Włochy czy Hiszpania. To społeczeństwa, które bywają równościowe w edukacji i pracy, ale konserwatywne w modelu rodziny. I to powoduje mnóstwo konfliktów dnia codziennego – psychologicznych, czasowych, logistycznych. Taka niespójność realnie przekłada się na mniejszą liczbę dzieci.

Od lat mamy w Polsce jedną z niższych luk płacowych w UE. Od lat 80. większość absolwentów studiów wyższych to kobiety. Dostajesz więc komunikat o równouprawnieniu, a potem trafiasz w konserwatywny model rodziny. Kilkanaście lat temu było to szczególnie dotkliwe, bo było wtedy w żłobkach miejsce dla zaledwie 3 proc. dzieci do lat trzech. Kobiety były zmuszane do „dwóch zmian": pracy zawodowej i opieki domowej. Wiele rezygnowało z do drugiego dziecka, bo płaciły za nie znacznie więcej: zdrowiem, karierą, stresem.

Dziś nawet tego pierwszego dziecka nie ma z kim począć. Co się stało, że jeszcze 10 lat temu łączyliśmy się w pary, a dzisiaj już tak sobie nam to wychodzi?
– Zaszły ciche rewolucje, które sprawiły, że jednostką analizy coraz rzadziej jest „my", a coraz częściej „ja". Jeśli spojrzymy na dorosłych Polaków do 30. roku życia, zobaczymy, że 44 proc. nie jest w żadnym związku. Kolejne 21 proc. jest w relacji, ale z kimś, z kim nie mieszka – a jeśli nie potrafimy dogadać się w sprawie zmywarki, to co dopiero w sprawie wychowania dzieci? W sumie 2 na 3 dorosłych do 30. roku życia nie jest w związku, w którym można by zacząć rozmawiać o dzieciach.

Bycie w związku przestało być atrakcyjne? Czy raczej chcemy, ale nie umiemy?
– Tu zachodzi kilka procesów. Pierwszy to ciężar gatunkowy, jaki zawieszamy na relacji romantycznej. Bliskie jest mi to, co mówi psycholożka Esther Perel: dziś od partnera oczekujemy tego, czego kiedyś chcieliśmy od całej wioski. Czyli: bądź mi przyjacielem, kochankiem, ojcem moich dzieci, współgospodarzem codzienności, a przede wszystkim kimś, kto pomoże mi zrealizować najlepszą wersję siebie.

Niełatwo unieść taki ciężar oczekiwań. Ale dlaczego tyle oczekujemy wobec siebie, skoro jeszcze 50 lat temu nie oczekiwaliśmy?
– Po pierwsze, mamy dziś silniejsze poczucie tego, co nam się należy. Z jednej strony to cywilizacyjny sukces, że dajemy sobie prawo do dobrego związku i nie chcemy tkwić w „naszej małej stabilizacji", takiej gierkowszczyźnie życia miłosnego, którą wielu z nas obserwowało w poprzednim pokoleniu. Tylko nie zawsze potrafimy dowieźć dobry związek, bo to wymaga kompetencji, które mało kto wyniósł w domu.

Po drugie, to pochodna procesów alienacji i samotności. Kiedyś mieliśmy więcej kontaktów niewymagających pracy kuratorskiej, więcej tzw. grup pierwotnych: sąsiadów, grup przyjaciół, rozległej rodziny. Od ćwierć wieku jesteśmy społeczeństwem jedynaków już pełną parą. Coraz mniej osób ma rodzeństwo, a nawet kuzynów.

Wspomnienia z mojego dzieciństwa na siedleckim blokowisku lat 90. są dziś nie do powtórzenia. Dostałam klucze do mieszkania w wieku siedmiu lat, nigdy nie było opiekunki, a założenie było takie, że gdy zapomnę kluczy, to mam czekać u sąsiadów albo iść 15 minut spacerem do jednej z przyszywanych cioć. Do dziś zresztą uważam, że rodzina nuklearna niezanurzona w sieci społecznej się degeneruje.

No tak, ale który sąsiad miałby się dzisiaj zająć, skoro nawet ich nie znamy. Przesunął nam się wskaźnik z kolektywnego funkcjonowania na bardziej indywidualistyczne?
– Nie bardziej, tylko na skrajnie indywidualistyczne, alienujące i potwornie kosztowne. Zatrudnianie opiekunek, organizowanie wielopiętrowej infrastruktury wokół dziecka drenuje rodziców, finansowo i emocjonalnie. I może mieć biograficzne konsekwencje: np., gdy tkwimy w pracy zatruwającej duszę, przekonani, że musimy finansować te piony logistyki, bo „przecież nie ma alternatywy". W 2021 r. powstał globalny wskaźnik wypalenia rodzicielskiego obejmujący 42 kraje i Polska zajmuje pierwsze miejsce.

Polska górą!
– Z jednej strony to mnie wzrusza, kiedy patrzę na rodziców, którzy tak bardzo chcą dać dzieciom to, czego sami nie mieli. Ale mam poczucie, że wiele osób, które zarzynały się pracą, teraz znajduje pole do podobnego „samozaorania" przy bąbelkach. Jakby mechanizm bycia w świecie był ten sam – nadaktywność jako najbardziej akceptowalna społecznie ucieczka od traumy.

Ale ciągle nie do końca rozumiem, dlaczego przestaliśmy się łączyć w pary. Zostawmy na boku romantyczne uniesienia. Bycie w związku to przecież także bezpieczny, regularny seks. To też przestało działać jako zachęta? A może przestaliśmy realizować te potrzeby w monogamicznych relacjach i mamy teraz masę one-night standów?
– Wolnoamerykanka nie prowadzi do lepszego seksu. A coraz więcej młodych w ogóle nie ma doświadczeń seksualnych – zwłaszcza takich, które rozwijałyby się w czasie.

A to istotne, bo rozwój seksualny może iść w dwóch kierunkach. Albo „w głąb", poprzez poszerzanie zdolności odczuwania z bliską osobą – co nie musi oznaczać związku do grobowej deski, chodzi raczej o zaufanie, widzenie drugiej osoby, pewną komitywę, minimum zaangażowania i motywacji do nauczenia się jej ciała.

Albo można iść „wszerz", bombardować się coraz silniejszymi bodźcami – wtedy trzeba szukać coraz mocniejszych impulsów, żeby osiągnąć ten sam efekt.

Okazuje się, że coraz mniej młodych ludzi w ogóle uprawia seks. W Polsce 38 proc. młodych mężczyzn i 28 proc. młodych kobiet nie spało z nikim od co najmniej roku.

Czyli część z nich żyje w mimowolnym celibacie od lat albo seksu nie uprawiała nigdy.
– Z USA wiemy, że w ciągu kilkunastu lat potroił się odsetek młodych mężczyzn, którzy nie mają doświadczeń z żywą kobietą. Później trudniej jest im budować związki i satysfakcjonujące relacje seksualne.

Z żywą kobietą nie mają, tzn., że mają jakieś doświadczenia ze sztuczną?
– Można tak powiedzieć, bo w międzyczasie napięcie rozładowują przez pornografię, która stała się erzacem seksu. I zmieniła charakter – to, co w latach 70. nazywano pornografią, dziś nazwalibyśmy erotyką.

Współczesna pornografia jest dużo ostrzejsza. Co dziesiąty młody mężczyzna mówi, że obniża jego zainteresowanie realnymi kobietami. Jej ilość rośnie, treści się radykalizują, a coraz mocniejsze bodźce są przesuwane do płatnych stref. Jednocześnie Polska jest jednym z krajów najsłabiej chroniących dzieci przed pornografią. Co czwarty dziesięciolatek już ją oglądał na smartfonie.

Połączmy kropki: jesteśmy najbardziej wypaleni rodzicielsko, ale często uzyskujemy efekty odwrotne do zamierzonych. Może wytracamy energię w złych kierunkach?

Może – jak mawia autorytet prawicy – „troszczysz się i niepokoisz o wiele, a potrzeba mało albo tylko jednego"? Albo – jak mawia autorytet lewicy – „uwaga to najczystsza i najrzadsza forma hojności"?

I tak oto udało się pogodzić Jezusa Chrystusa z Simone Weil. Ale wróćmy do pornografii. Stereotypowo oglądają ją mężczyźni.
– Pornografię dziś konsumują coraz częściej i mężczyźni, i kobiety. Ale wśród tzw. codziennych użytkowników chłopcy stanowią grupę od pięciu do dziesięciu razy liczniejszą.

To oni tworzą ekstremalne grupy „gooners". To nowe określenie na chłopców tak silnie uzależnionych od pornografii, że praktycznie nie wychodzą z domu, tworzą własne społeczności i wzajemnie się w tym uzależnieniu utwierdzają. Trochę jak hikikomori, tylko w wersji pornograficznej.

Do tego dochodzi struktura rynku seksualnego. Kobiety są znacznie bardziej selektywne. W typowej aplikacji randkowej statystyczna kobieta akceptuje jednego na szesnastu mężczyzn, podczas gdy mężczyzna akceptuje jedną na dwie-trzy kobiety.

Część mężczyzn powiedziałaby nie „selektywne", tylko „wybredne".
– Wolę słowo „selektywne" – prawo kobiet do mówienia „nie" jest cywilizacyjnym sukcesem. Ale ta statystyka jest ważna w kontekście tego, jakie opcje seksualne są na stole. Dziewczęta, jeśli zechcą, bez problemu zdobędą realne doświadczenia seksualne. Dla chłopców, nawet jeśli bardzo tego chcą, jest to dużo trudniejsze.

A może wcale nie o seks ani pornografię chodzi, tylko o politykę. Z kilku ostatnich wyborów wynika, że młode kobiety głosują raczej na lewicę, a młodzi mężczyźni na prawicę. Może dlatego nie łączymy się w pary?
– Mężczyźni i kobiety rzeczywiście się rozjechali, a wybory polityczne są tylko jedną z wielu emanacji tego procesu. Chodzi o wszystko: o politykę, o wartości, o biografie. Przypomnę, że jesteśmy krajem, w którym 2 na 3 dyplomy studiów wyższych zgarniają kobiety.

Dodałabym jeszcze aspekt, który brzmi jak termin ze słownika demograficznego, ale jest na wskroś filozoficzny: migrację.

Ale co ma do tego migracja?
– Migracja jest nie tylko fizycznym przemieszczeniem się z punktu A do punktu B. Jest fila-

FOT. CATHERINE DELAHAYE/GETTY IMAGES

Chcę być rodzicem, ale nie umiem

30 proc.
• kobiet urodzonych na początku lat 80. jest bezdzietnych. Ten wskaźnik dla kobiet urodzonych w latach 50. to 10 proc.

10 proc. kobiet
6 proc. mężczyzn
• w Polsce w wieku 18-40 lat deklaruje, że nie chce mieć dzieci

44 proc.
• dorosłych Polaków do 30. roku życia nie jest w żadnym związku; 21 proc. jest w relacji, ale z tym kimś nie mieszka

38 proc.
• młodych Polaków i 28 proc. młodych Polek nie spało z nikim od co najmniej roku

1 na 16 mężczyzn
• akceptuje statystyczna kobieta w aplikacji randkowej.

2 na 3 kobiety
• w takiej aplikacji akceptuje mężczyzna

2 na 3 migrantów
• w Polsce tzn. ludzi, którzy próbują żyć poza rodzinną miejscowością – w grupie wiekowej 20-40 lat – to KOBIETY

na 100 mężczyzn
• w wieku 25-29 lat w Krakowie, Gdańsku, Lublinie i Warszawie przypada 116 KOBIET

70 proc. młodych
• ludzi próbowało aplikacji randkowych,

9 proc.
• tylko tyle trwałych związków osób do 45. roku życia powstało dzięki aplikacjom

na 3 sposoby:
• przez znajomych, w szkole i w pracy – poznała się w Polsce większość poważnych par przed 45 rokiem życia

co 4 osoba
• w Polsce w grupie wiekowej 18-44 lat nie ma ojca w swoim życiu. 8 procent w tej grupie nie ma również kontaktu z matką

1. miejsce
• zajęła Polska w obejmującym 42 kraje wskaźniku wypalenia rodzicielskiego

eprasa.pl bce484ca04

rem autokonstrukcji. Nie mam na myśli katalogowych wypraw do Mongolii dla mężczyzn w kryzysie wieku średniego ani „zaliczania stolic świata", gdzie Airbnb wszędzie wygląda tak samo, na TripAdvisorze fancy restauracje z Manhattanu mają bliźniacze filie na Patriarszych Płudach.

Już prędzej mam na myśli wyjazd z rodzinnej wsi do Łomży, żeby otworzyć warsztat samochodowy – sprawdzić się w nieznanych wodach. Chodzi o wytwórstwo, bycie gnanym przez potrzebę, marzenie czy wyobraźnię, o wyjazd w okresie formacyjnym, czasowe odłączenie się od zasobów rodziny, próbę życia na własnych warunkach. Trafiasz gdzieś, gdzie nikt cię nie zna, zaczynasz od wynajmowania przechodniego pokoju na przedmieściach, musisz zbudować się od nowa.

Niedojrzałość bierze się z braku prawdziwych doświadczeń. Te zaś wymagają podejmowania ryzyka w realnym świecie, które nie może być asekurowane przez rodziców w nieskończoność. Gdy ryzyko kończy się sukcesem – buduje poczucie sprawczości, filar poczucia własnej wartości. Gdy kończy się porażką – wymaga zakwestionowania dotychczasowych metod i spróbowania od nowa.

I tu dotykamy kolejnego paradoksu współczesnego rodzicielstwa: chcąc zabezpieczyć jedynaka przed wichrami życia, ścielimy atłasem drogę, którą kroczy. Tymczasem człowiek, który niczego nie zrobił na własnych zasadach, często, zamiast być wdzięczny i szczęśliwy, dyskretnie sobą gardzi.

To najgłębiej zdeponowana w kulturze historia dojrzewania: podróż i powrót, *exodos* i *nostos*. Tyle że kiedyś migrował Odyseusz, a Penelopa czekała. Potem panicz wyruszał na Grand Tour, a panna „pilnowała wianka". Zresztą Grand Tour funkcjonuje w niemieczyźnie jako „Kavalierstour" – formacja męskości przez migrację z samej definicji.

Dziś jesteśmy w momencie historycznym, w którym nie tylko mężczyźni, ale i kobiety mogą wyjechać, zbudować siebie, a potem wrócić, żeby coś stworzyć razem.

Dziś Odyseusz zostaje na prowincji, a Penelopa kończy drugie studia i robi karierę?
– Tak, kobiety znacznie częściej z tej historycznej szansy korzystają – w grupie wiekowej 20-40 lat stanowią 2 na 3 migrantów. I ma to swoje konsekwencje, bo geograficznej migracji odpowiada przemieszczenie mentalne.

W Krakowie, Gdańsku, Lublinie i Warszawie przypada dziś 116 kobiet na 100 mężczyzn w wieku 25-29 lat.

Gdy rozbijemy urodzenia na pierwsze i kolejne, to okazuje się, że w ostatnich kilku latach liczba tych drugich dzieci wcale nie spadła. Za tąpnięcie demograficzne odpowiada mniej debiutów rodzicielskich

Mężczyźni są w takim razie dobrem deficytowym. Kobiety powinny się o nich bić, a wcale tak nie jest. Ilu z tych 116 mężczyzn jest w ogóle branych pod uwagę jako potencjalni partnerzy?
– Nie wiem. Wiem za to, że 70 proc. młodych ludzi spróbowało „piramidy finansowej" aplikacji randkowych. Jednocześnie tylko 9 proc. trwałych związków osób do 45. roku życia powstało w ten sposób. Gdy rozmawiamy o aplikacjach w kontekście dzietności, ważniejsze od związków, które nie powstały, może być intymne złomowisko osób, które stanęły tyłem do miłości z powodu doznanych tam zranień. Nie tylko nie są w parze dziś, ale wypisały się z tej gry na przyszłość.

No tak, wyobraźmy sobie użytkownika aplikacji, którego ktoś wyśmiał.
– Odrzucenie jest wpisane w sam mechanizm aplikacji. Jeśli kobiety akceptują jednego na szesnastu mężczyzn, a mężczyźni jedną na dwie-trzy kobiety, to tworzy wirówkę, która zasysa zdecydowaną większość mężczyzn, zwłaszcza tych o niższym wzroście i niższym statusie, na samo dno rynku matrymonialnego.

Gdy opowiedziałem o tym podczas debaty Polityki Insight, prowadzący skomentował: „O, to jak moja szkolna dyskoteka! Dziewczyny patrzą na jednego z szesnastu chłopaków, a faceci próbują zagadywać co drugą dziewczynę". Trafne porównanie?
– I tak, i nie. Nawet jeśli założymy, że w kobiecej selektywności jest coś „naturalnego" – biologia ewolucyjna dostarcza argumentów o nierównych ryzykach i kosztach reprodukcji – to w prawdziwym życiu nie parametryzujemy się w tak patologiczny sposób. Wchodzimy na dyskotekę i widzimy ludzi, którzy nam się podobają albo nie. Nie biegasz z linijką, aby sprawdzić, ile mają wzrostu, nie masz kompulsji pytania o PESEL.

W aplikacjach można ustawić wiek, a od niedawna również wzrost.
– Aplikacje wymuszają kult metryki. I aktywują dwie iluzje: iluzję nieskończonych opcji oraz iluzję racjonalnego wyboru. Obie obracają się przeciw wybierającemu.
Przykład: większość kobiet w USA ustawia w aplikacjach filtr tak, żeby wyświetlali im się wyłącznie mężczyźni powyżej sześciu stóp, czyli 183 centymetrów. Mały problem polega na tym, że 85 procent mężczyzn w Stanach nie ma takiego wzrostu. Czyli, wracając do metafory szkolnej dyskoteki, już na starcie „wymazujesz" sześciu na siedmiu facetów. Algorytm zmiata ich z planszy.

Dodatkowo ten jeden mężczyzna na siedmiu, który zostaje w grze, dostaje od systemu silne zachęty do nieetycznych zachowań. I to w praktyce uderza też w kobiety.

Wzbudza zainteresowanie wielu kobiet, więc nie szanuje ich zaangażowania?
– Ale to działa do czasu. Presja urody i wieku zawsze była okrutniejsza wobec kobiet, ale mężczyźni nie są wyjęci spod tej logiki, tylko działa ona później i inaczej. W USA widać krzywą wznoszącą, gdy pewien typ mężczyzny po 30. staje się „królem dyskoteki". Jego popularność rośnie, czuje, że nie musi się na nic decydować, że ma czas na wszystko. A potem przychodzi klif, z którego spada między 42. a 44. rokiem życia.

Dlaczego akurat wtedy?
– Bo młodsze kobiety, na które nasz „król dyskoteki" się nastawił poczwórnie – seksualnie; w łaknieniu podziwu, który łatwiej wygenerować wśród młodszych; w nadziei na odzyskanie straconego czasu; i w iluzji nieograniczonego horyzontu ojcostwa, które po przekroczeniu pewnego wieku trudno realizować z rówieśnicami – filtrują kandydatów właśnie do tej granicy wieku. Po jej przekroczeniu wielu wzbudzających wcześniej zainteresowanie mężczyzn staje się niewidocznych.

Ostrzeżenie dla czytelników. Jeśli czujecie się „królami dyskoteki", a zbliżacie się do 42.–44. roku życia, to zaraz może się skończyć.
– Należy przygotować się na mniejsze zainteresowanie młodszych kobiet. Rówieśnic niekoniecznie.

Ale jest też większy problem. Żyjemy w perwersyjnym stadium kapitalizmu, który kreuje nieistniejące potrzeby – od jednosezonowej mody po operacje plastyczne narządów płciowych – a następnie przekierowuje dwa najcenniejsze zasoby człowieka – skupienie i czas – na parametryzowanie do trzeciego miejsca po przecinku naszych pseudopreferencji w dziedzinach, które nie mają żadnego znaczenia.

To jak z 200 tysiącami rodzajów wieszaków w ofercie Amazona. Możesz myśleć, że o ile kasa się zgadza, jesteś „wolny", bo masz wolność wyboru dowolnego z nich. Jednak właściwe pytanie nie brzmi: Jak wybrać najlepszy? Ono brzmi: kim się staniesz w długim okresie, spędzając swoje życie w ten sposób?

Łatwo ulec iluzji, że da się wszystko zoptymalizować, dopasować i poskładać pod siebie jak modułowe meble. Ta logika w odniesieniu do rzeczy prowadzi do straty czasu i pamięci RAM, zaś w odniesieniu do ludzi – pogłębia samotność i uderza w dzietność.

O tempora, o mores! To coś charakterystycznego dla współczesności czy da się poszukać jakichś historycznych analogii?
– To problem starszy niż internet, a nawet niż rachunek różniczkowy. W 1611 r. Johannes Kepler, niemiecki astronom i astrolog, myślał, że rozgryzie rynek matrymonialny niczym ruchy planet. Rekrutował wśród 11 panien z finezją, której nie powstydziłyby się gwiazdy ra-

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34429390

NEWSLETTERY WYBORCZEJ

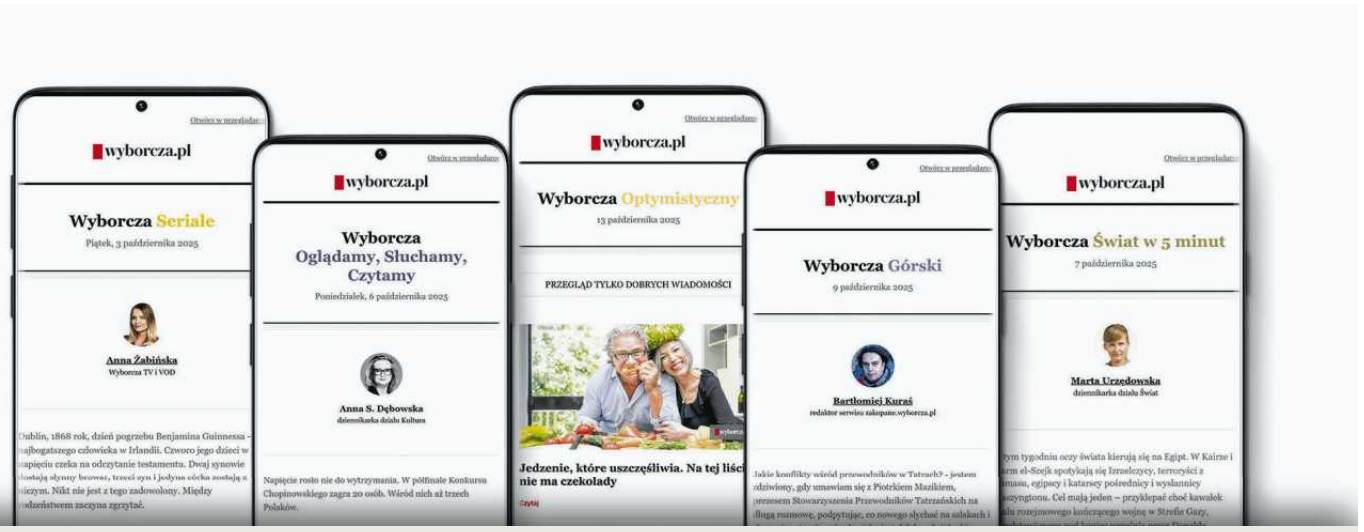

Wszystkie piszą ludzie, nie maszyny. Nasi najlepsi redaktorzy.
Możesz wybrać z bogatej oferty ponad **40** różnych newsletterów.

Zapisz się na:
wyborcza.pl/newslettery

wyborcza.pl

1 RP

eprasa.pl bce484ca04

chunkowości i audytu. Jego kryteria brzmiały: „czy jest gospodarna?", „czy jest chorowita?", „czy kocha pasierbów?", „czy jej matka jest wartościową osobą?", „czy oczekuje kosztowego wesela"? Proces rozwlekł się na lata. Kepler był na tyle samoświadomy, by przyznać, że jest nim emocjonalnie wykończony. W końcu zmobilizował się do złożenia oferty, by odkryć, że najatrakcyjniejsze kandydatki... wycofały się z wyścigu. Mam nadzieję, że kiedyś powstanie zespół badań nad tinderozą imienia Keplera.

Ale chodzi o coś więcej niż trzymanie w poczekalni ludzi, którzy są dla ciebie tylko opcją. Chodzi o iluzję samopoznania manifestującą się jako „wyrażanie preferencji", które nie mają końca, niczym *newsfeed* Facebooka.

Amerykański psycholog John Gottman od lat 70. próbuje zrozumieć, co sprawia, że związki działają. Na długo przed tinderozą zebrał ogromne bazy danych cech kobiet i mężczyzn. Gdyby pan podał kilkadziesiąt cech wymarzonej kobiety, a on znalazłby kogoś, kto idealnie pasuje i chce się z panem spotkać, to zdaniem samego Gottmana w realnym spotkaniu i tak by to nie zadziałało.

Dlaczego? Czy to iluzja, że wiemy, czego, a tak naprawdę, kogo chcemy?
– Nie jest iluzją głęboka znajomość siebie, swoich najważniejszych potrzeb i nienegocjowanych wartości. Nie jest iluzją dla jednego człowieka wiedzieć, że nie widzi sensu w życiu bez dzieci, dla drugiego – że religia jest zbyt ważną sferą, aby nie dzielić jej z partnerem, a dla trzeciego – że pociągają go wyłącznie drobne blondynki.

Iluzją jest natomiast przekonanie, że da się cyzelować drugiego człowieka. Połączenia, które działają, mogą umknąć naszej liście „preferencji". Skuteczniejsze jest aktywizowanie się w realnym życiu.

I tu upada metafora dyskoteki. I online, i offline ona sprzyja autopromocji i spuszczaniu napięcia, a nie poważnym związkom. Trzy najbardziej niedoszacowane cechy z punktu widzenia jakości relacji to te, na zobaczenie których dyskoteka nie daje żadnych szans: stabilność emocjonalna, życzliwość i lojalność.

Większość poważnych par przed 45. rokiem życia w Polsce poznała się na zaledwie jeden z trzech sposobów: przez wspólnych znajomych – 24 proc., w szkole – 17 proc., w pracy – 15 proc.. To przeciwieństwa dyskoteki w tym sensie, że pozwalają na obserwację czyjegoś charakteru w czasie.

Zrobiło się naprawdę pesymistycznie. Czy coś daje pani nadzieję?
– Wspominałam już o nielinearności historii i momentach przełomu, które odwracają trendy. Mam poczucie, że w Polsce doświadczamy takiego przełomu, momentu renegocjacji relacji międzypłciowych i międzypokoleniowych.

Ostatnio media obiegła historia Brooklyna Beckhama, syna Davida i Victorii, który zerwał relacje z rodzicami. Jeśli utrzyma brak kontaktu przez rok, trafi do grupy 5-8 proc. młodych Brytyjczyków, którzy postąpili podobnie. W Polsce ta grupa jest większa, choć nie mamy jeszcze precyzyjnych danych.

W tym bastionie wartości rodzinnych?
– W grupie wiekowej 18–44 lata co czwarta osoba nie ma ojca w swoim życiu. Część dlatego, że ojciec zmarł – to może być mniej więcej 5 proc. Co oznaczałoby, że mniej więcej 20 proc. to zerwane relacje. 8 proc. tej grupy nie ma również kontaktu z matką. Zakładając, że 2-3 proc. to sytuacje, gdy mama nie żyje, nadal zostaje około 5 proc. osób, które świadomie nie utrzymują z nią relacji.

Dla dużej części osób rodzicielstwo staje się aktem improwizacji: nie wiedzą jeszcze, jakimi rodzicami chcą być – ale wiedzą jedno: na pewno nie takimi jak ich rodzice. Do konfliktów płciowych, które dziś obserwujemy, dodałabym zatem konflikty międzypokoleniowe. Operacje „przekroczyć rodzinny głaz".

Pytałem o nadzieję, a słyszę o kolejnych, poważnych, przeszkodach, które raczej zwiększenia dzietności nie zwiastują.
– Zatem o nadziei. Uważam, że to wspaniałe, jak wiele osób w Polsce próbuje dziś zawalczyć o lepsze relacje. Mam tylko poczucie, że w tej pierwszej fali prowadzi to paradoksalnie do większej niekompatybilności.

Spośród około 22 proc. Polaków, którzy w ostatnich pięciu latach trafili na terapeutyczne kozetki, przeważają młode, niezamężne kobiety. Wychodzą z terapii, mówiąc językiem potrzeb i granic. Mają wydrukowane koło emocji Plutchika, mówią „ja czuję...", a nie „ty jesteś..." – tak jak głosi „Porozumienie bez przemocy". A potem próbują rozmawiać w tym języku z mężczyznami, którzy odpowiadają idiomem obowiązku, powinności, ogarniania życia. Na razie więc mamy sporą niekompatybilność.

I po nadziei.
– Wcale nie. Bo to etap przejściowy. W kolejnym pokoleniu część mężczyzn dołączy do tego procesu. Zresztą już to widzimy, choćby u tych, którzy próbują być lepszymi ojcami. Szybko rośnie ilość czasu, który spędzają z dziećmi. Coraz więcej mężczyzn mówi wprost, że w decyzji o ojcostwie przeszkadza im brak własnego wzorca ojca – ten odsetek wzrósł z 12 do 18 proc. i świadczy o rosnącej samoświadomości. Samo to, że młodsze pokolenie chce walczyć o lepsze relacje, jest źródłem nadziei.

Wciąż niewiele tej nadziei. Może powinniśmy poszukać jej gdzieś za granicą? Nie jesteśmy w końcu chyba aż tacy wyjątkowi.
– Nigdzie na świecie nie ma zapisanego scenariusza, którym będzie zmierzać Polska. Zresztą czasami ważniejsze od kierunku bywa tempo marszu. A Polska jest krajem cywilizowanym w pośpiechu...

W pośpiechu?
– Kraje, które rozwijały się dłużej, ale wolniej – Dania, Francja, Szwecja, Wielka Brytania, USA – miały czas, żeby zmiany ekonomiczne, społeczne i kulturowe zachodziły równolegle. Rynek pracy się zmieniał, normy społeczne dostosowywały się stopniowo. Tempo jest kluczowe. Im szybciej zachodzi zmiana, tym silniejszy wywołuje opór. Tym więcej grup czuje się stratnych i nie nadąża z adaptacją. Są kraje, które zostały dosłownie katapultowane w nowoczesność – Polska, Japonia, Korea Południowa.

Gdzie Polska, a gdzie Korea?
– Mamy sporo wspólnego: to kraje frontowe, funkcjonujące na granicach kluczowych konfliktów XX wieku, które dostały turbodoładowanie do nowoczesności od światowego hegemona, który skorzystał na ich wolcie geopolitycznej. W Korei PKB na osobę wzrósł w pół wieku z 600 do 35 tysięcy dolarów.

Skrajności krystalizują mechanizmy. Dziś Koreańczycy deklarują, że chcieliby mieć dwójkę dzieci, a mają 0,7 dziecka na kobietę – absolutnie bezprecedensowy wynik w warunkach pokoju.

Korea to dobry przykład tego, co się dzieje, gdy rozwój gospodarczy i społeczny nie nadążają za sobą. Jedna grupa, np. kobiety, ma motywację, żeby szybko wskoczyć do tramwaju postępu, uczestniczyć w przemianie: wyedukować się, wejść na rynek pracy, zdobyć niezależność. Druga czuje, że traci. A ludzie bardzo nie lubią tracić, zwłaszcza nagle.

I kolejna lekcja z Korei. Jeśli para decyduje się na dziecko, to główny powód rezygnacji z drugiego – tak mówi 27 proc. – to koszty edukacji.

Lepiej nie mieć dziecka, niż mieć dziecko niewykształcone?
– Dokładnie taka stoi za tym logika. To taka przypowieść ku przestrodze dla Polski w naszym pędzie do lepszego życia. ●

Antyprojekt dziecko

Osoba zajmująca się małym dzieckiem żyje w deficycie potwierdzenia.

Marcin Matczak

Dziecko to dzisiaj projekt podwyższonego ryzyka. Jest temu winna i ekonomia, i zbyt małe wsparcie państwa, i jeszcze z pięć innych rzeczy. Niska dzietność wynika jednak także ze strachu przed zniknięciem i pogardy dla bycia niewidzialnym.

Hannah Arendt w „Kondycji ludzkiej" pisała, że życie ludzkie dzieli się na aktywności, które mają zupełnie inną widoczność. *Labor*, praca rozumiana jako trud życia, to sfera biologicznego przetrwania – związana z ciałem, brudna i niespektakularna. Pranie, sprzątanie, mycie, wyrzucanie śmieci. *Action* to sfera widzialności publicznej – kariera, sukces, docenienie publiczne. Tu człowiek się ujawnia i zyskuje uznanie.

Współczesny kryzys dzietności można odczytać także przez ten pryzmat: ludzie masowo uciekają od *labor* na rzecz *action*. *Labor* jest postrzegana jako upokarzająca niewidzialność, a *action* jako jedyna forma godnego bycia człowiekiem.

Gary jak głowy Hydry

Opieka nad małym dzieckiem to czysta *labor* – praca całkowicie podporządkowana cyklowi biologicznemu: jedzenie, wydalanie, sprzątanie, spanie. I tak 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu. Jest brudna i śmierdząca: pieluchy, wymiociny, odbijanie, ulewanie, pot. Dzieje się za drzwiami domu, niewidoczna z zewnątrz, a często także z wewnątrz (okrutne i bezmyślne: „Co ty robisz cały dzień?").

Arendt pisze, że *labor* to proces życiowy, który zostawia po sobie tylko odpadki. To nie jest nawet *work* – trzecia wyróżniona przez nią aktywność pozostawiająca po sobie trwałe dzieło. Stolarz robi stół, murarz muruje mur, a *labor* to proces syzyfowy. Raz zmyte gary odrastają w zlewie jak głowy Hydry, czyste pranie znowu się brudzi, a śmieci nie da się wynieść raz na zawsze. Nie ma tu kreatywności, nie ma twórczego „ja". Jest tylko ciało dziecka i drugie ciało, które służy.

Labor jest niewidzialna, bo nie ma publiczności. Kiedy budzisz się o 3 nad ranem, żeby uspokoić płaczące niemowlę, rzadko jest ktoś, kto mówi: „Łał, jaka jesteś cierpliwa i kompetentna". Kiedy godzinami nosisz dziecko na rękach, nie dostajesz za to powdwyżki.

Dlatego osoba zajmująca się małym dzieckiem żyje w deficycie potwierdzenia. Robi jedną z najważniejszych rzeczy, jakie człowiek może robić – formuje nową ludzką istotę, buduje jej poczucie bezpieczeństwa, zaufania do świata i zdolność do relacji, a jednocześnie czuje się, jakby robiła coś drugorzędnego, mniej wartościowego niż „prawdziwa praca".

Jest tak, bo widzialność to dzisiaj wszystko. Christopher Lasch już w 1979 pisał w „Kulturze narcyzmu", że człowiek nowoczesny żyje w lustrze cudzych reakcji. Nie wystarczy być – trzeba być odbitym w spojrzeniu innych. To spojrzenie potwierdza naszą wartość i atrakcyjność. Narcyzm według Lascha nie polega na miłości do siebie, lecz na uzależnieniu od bycia widzianym.

W kulturze narcystycznej praca staje się przedłużeniem teatru osobowości. Musi dawać okazję do bycia zauważonym, do budowania wizerunku kompetentnego „ja". Praca zarobkowa daje przynajmniej iluzję widoczności: spotkanie, awans, nawet wyjście z domu w czystym ubraniu, bez rozwianego włosa. Opieka nad małym dzieckiem tej iluzji nie daje. Dlatego jest nieatrakcyjna w kulturze, która uzależnia naszą samoocenę od lustra cudzych reakcji.

Życie widzialne

O widzialności pisze także filozof Byung-Chul Han. Jesteśmy społeczeństwem osiągnięć, w którym panuje przymus ekspozycji: wszystko, co ma wartość, musi zostać wystawione na widok. To tyrania widzialności. Rzeczy (i ludzie) nie istnieją naprawdę, dopóki nie staną się policzalne i udostępnialne, a wartość prawdziwa ustępuje miejsca wartości wystawienniczej.

W społeczeństwie osiągnięć człowiek zamienia się w projekt – coś, co trzeba nieustannie ulepszać, wystawiać i sprzedawać. Opieka nad małym dzieckiem jest antyprojektem, bo wymaga zapomnienia o sobie jako o projekcie.

W tej logice praca przy małym dziecku staje się podwójnie podejrzana. Po pierwsze – nie jest osiągnięciem w rozumieniu społeczeństwa Hanowskiego. Nie buduje CV, nie zwiększa doświadczenia zawodowego w tradycyjnym sensie. Godziny spędzone na karmieniu, noszeniu, uspokajaniu nie sumują się w żaden widoczny „postęp", który mógłby zostać zmonetyzowany.

Po drugie – jest niewystawialna. Prawdziwa opieka nad małym dzieckiem rozgrywa się w strefie intymnej, cielesnej, często brudnej i chaotycznej. Nie da się tego ładnie sfotografować bez zakłamania rzeczywistości (opieka nad dzieckiem na Instagramie to inna, wysterylizowana rzeczywistość).

Jeśli życie musi być widzialne, żeby istnieć, to owo spędzone na niewidzialnej opiece nad drugim człowiekiem wydaje się życiem zmarnowanym, zacofanym, nieefektywnym. Ktoś, kto „tylko" zajmuje się dzieckiem, słyszy w głowie ten cichy, zinternalizowany głos społeczeństwa: „nie rozwijasz się".

Labor można zmierzyć

Ironią jest, że w „Kondycji ludzkiej" Arendt łączy *action* z *natality* – zdolnością człowieka do zaczynania czegoś absolutnie nowego. Ale kiedy *action* to przede wszystkim widoczność, staje się ono przeszkodą dla zaczynania czegoś nowego w sensie absolutnie ścisłym – do powoływania nowego życia. *Action* nie jako odpowiedzialna publiczna aktywność, ale jako szukanie publicznego uznania, paradoksalnie zabija prawdziwą *natality*. Bo ta wymaga czegoś, czego dzisiejsza *action* nienawidzi, czyli zniknięcia.

Jak temu zaradzić? Na pewno nie mówiąc kobietom, że nie rodzą, bo dają w szyję, i nie zaganiając ich ponownie do niewidzialności. Były tam zbyt długo i miały pełne prawo z niej wyjść. Bardziej przez wejście w niewidzialność mężczyzn, którzy ze swojej sfery publicznej rzadko chcą do niej wracać. W końcu pisanie felietonów dla „Wyborczej" i występowanie w TVN są dużo bardziej atrakcyjne niż zmiana brudnej pieluchy.

Powinniśmy jednak też uwidocznić niewidzialne. *Labor* można zmierzyć i pokazać światu, ile jest warta, ile kosztuje w walucie utraconej kariery i emerytury. Trzeba uhonorować i nazwać *labor* realną pracą. Nie „obowiązkami domowymi", nie „rolą matki".

Żeby zmniejszyć kryzys dzietności, należy zrobić wiele w zakresie wsparcia państwa dla młodych ludzi. Ale trzeba także wreszcie zobaczyć i docenić to, co dla naszej kultury jest ciągle niewidzialne. ●

eprasa.pl bce484ca04

NIEDŹWIEDŹ A SPRAWA POLSKA

Po co godzinami zbierać jagody czy orzeszki bukowe, skoro można jednym ruchem łapy sięgnąć po czyjś obiad lub kilkadziesiąt kilo buraków cukrowych.

Anna Maziuk

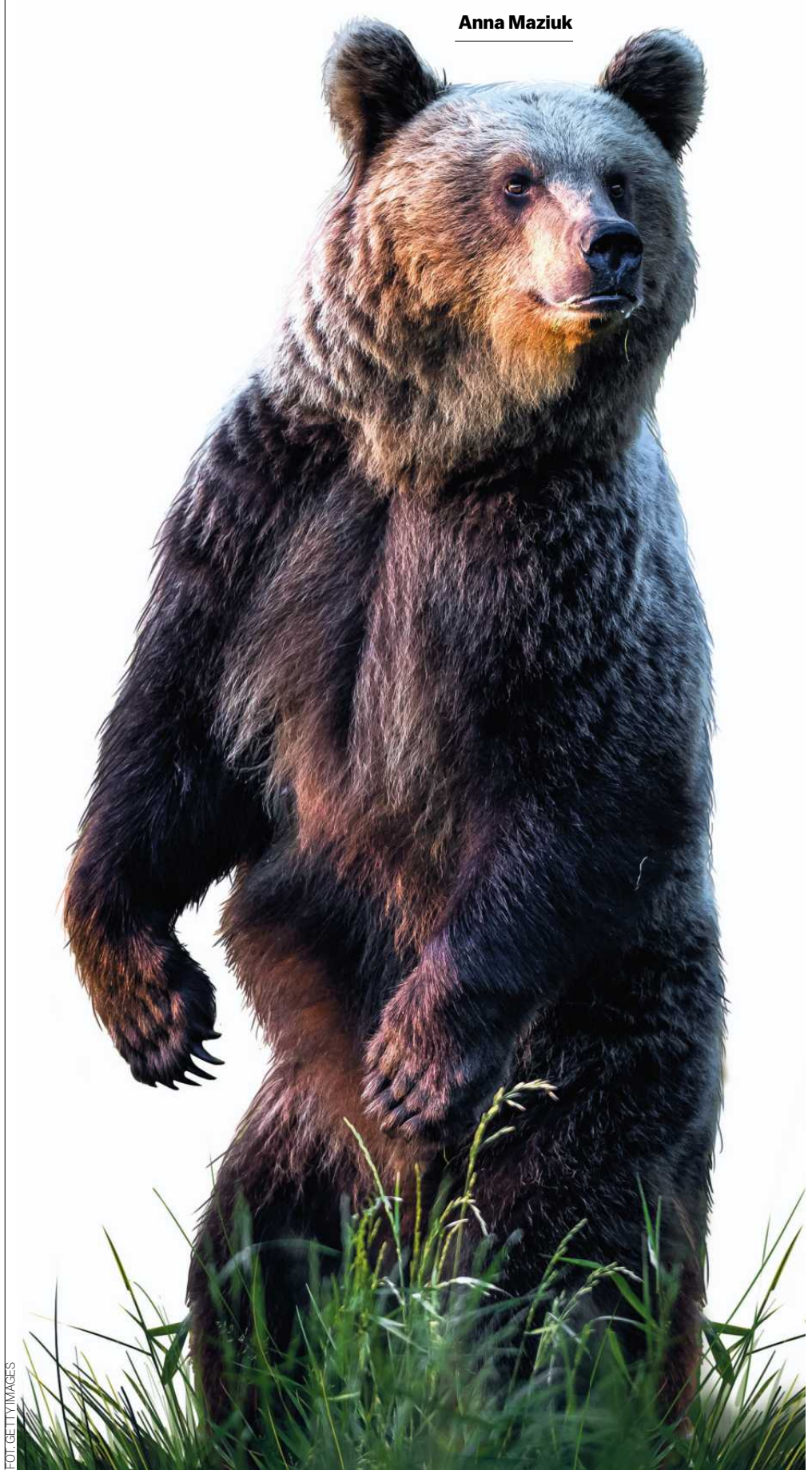

FOT. GETTY IMAGES

Niedźwiedź jak w soczewce skupia to, o co chodzi w wielu problemach, z jakimi się w Polsce mierzymy. Nierealistyczne oczekiwania – na przykład takie, żeby mieszkać dziko, na uboczu i żeby dzika przyroda była, ale nie przeszkadzała, żebyśmy nie musieli zabezpieczać naszych zwierząt i w ogóle za nic odpowiadać. Brak działań zapobiegawczych ze strony mieszkańców i lokalnych władz. Ignorowanie wiedzy i dostępnych narzędzi, uparte trzymanie się, również przez instytucje, starych schematów, bo zawsze tak było. Oczekiwanie, że pojawi się zbawca – nowa regulacja, nowy projekt, w tym przypadku za 16 milionów – albo doraźna interwencja, tu: odstrzał, i nas wybawi.

Kim jest obecny zbawca, czyli właśnie ogłoszony program ochrony niedźwiedzia i poprawy bezpieczeństwa mieszkańców w Karpatach? I na czym zbawienie ma polegać?

●

Niedźwiedzica włamuje się na zaplecze schroniska w Dolinie Pięciu Stawów. Wynosi beczki z coca-colą. Następnie w kosówkach rozgryza je zębami i razem z trójką młodych zlizuje z łap. To słynna Kaśka. Jest rok 2000. Dwa lata później pracownicy TPN chwytają ją i zakładają jej obrożę telemetryczną. Dzięki temu odpłaszają, kiedy samica z młodymi zbliża się do schronisk. Już wcześniej likwidują też wszystkie śmietniki przy szlakach, a te przy schroniskach grodzą pastuchami elektrycznymi albo ukrywają w piwnicach budynków. Edukują turystów co do trzymania dystansu i niedokarmiania. Problem na terenie parku w zasadzie znika. Nadal zdarza się, że drapieżniki pasą się blisko szlaku, którym wędrują ludzie, ale nie szukają u nich pożywienia. Samo Zakopane nie zastosowało się do zaleceń TPN, więc kłopoty ma do dziś. Coraz większe.

Dwadzieścia sześć lat później – przeszło pół wieku temu! – rząd uruchamia program, który ma minimalizować sytuacje konfliktowe z niedźwiedziami na Podkarpaciu. Piętnaście lat po tym, jak naukowczynie z Instytutu Ochrony Przyrody w Krakowie razem z pracownikami TPN składają w Ministerstwie Środowiska projekt ogólnokrajowego Programu Ochrony Niedźwiedzia. Ten obecny jest przewidziany tylko na cztery lata i koncentruje się na Bieszczadach. Wciąż nie są to działania systemowe. Ale to postęp, bo dotąd żaden poprzedni rząd nawet tyle nie zdziałał. Czemu się udało?

●

W 2014 roku Nuria Selva, naukowczyni z IOP, ze współpracownikami prowadzi w Bieszczadach badania nad poziomem stresu i dietą niedźwiedzi. Towarzyszy jej Chorwat Djuro Huber, jeden z pierwszych, który zakładał obroże telemetryczne tym drapieżnikom w Europie. Pomaga szkolić pozostałych. Ja też tam wtedy trafiam, piszę reportaż. Ponieważ niedźwiedzie odławia się m.in.w pobliżu myśliwskim nęcisk, naukowcy współpracują z Lasami Państwowymi, które zarządzają tymi terenami. Pośród leśników jest jeden szczególnie zainteresowany dobrem dzikich zwierząt. Marek Pasiniewicz powołał właśnie ośrodek rehabilitacji dla nich przy Fundacji Bieszczadziki. Niepolujący pracownik LP o takim podejściu to rzadkość.

Jednocześnie w latach dwutysięcznych w Bieszczadach dzieje się parę rzeczy, które stopniowo nabudowują przyszłe konflikty z niedźwiedziami w regionie.

Pod koniec pierwszej i na początku drugiej dekady XXI wieku zachodzą zmiany w praktykach łowieckich. Karma mająca poprawić sytuację populacji kopytnych na nęciskach ląduje już nie tylko zimą, ale od wiosny do jesieni. W poprzedzających ten proces latach intensyfikuje się uprawa kukurydzy i pasz przemysłowych, stają się łatwiej dostępne i tańsze. I to ten wysokokaloryczny, a mniej naturalny pokarm trafia pod ambony. Takie miejsca szybko stają się hotspotami, czyli punktami, które przyciągają niedźwiedzie i zmieniają ich zachowania, także zimą. Nie dość, że pokarm wykłada człowiek, w dodatku często blisko miejscowości. Ciekawski niedźwiedź łączy kropki. Tam kieruje kolejne kroki i niemal bez pudła znajduje łatwo dostępne pożywienie.

Od 2009 do 2023 roku podwaja się też liczba pszczelich rodzin w Polsce – z 1,123 do 2,354 miliona. Najszybszy przyrost – związany ze wzrostem popytu na miód oraz jego cen – widać zwłaszcza od 2021 roku. Niezabezpieczone pasieki stoją pod lasem na obrzeżach wsi i miasteczek.

Bieszczadzkie gminy coraz głośniej skarżą się na kłopoty z niedźwiedziami i powodowane przez nie szkody narastające od około ośmiu lat. Samorządowcy, lokalne media i większość mieszkańców nie łączą tego z faktem, że w 2013 roku to gminy zaczęły zajmować się odbiorem odpadów, ludzie z kolei – wystawiać je przed domy zawsze tego samego dnia, zwykle wieczorem przed odbiorem następnego. Już wtedy pierwsze niedźwiedzie zaczynają się uczyć grafików przejazdu śmieciarki. Od 2017 roku wchodzi podział na różnokolorowe, nieco cieńsze worki, w tym oddzielnie składowane bioodpady, dla niedźwiedzi – wyselekcjonowane, posiłki, które w dodatku pachną intensywniej. W 2020 roku segregacja staje się obowiązkowa, a jeśli nie segregujesz – płacisz więcej albo dostajesz kary. Efekt? Część odpadów biologicznych trafia do lasu, potoku i za płoty na tyłach obejść. Za kolejnymi obowiązkami segregacyjnymi nie idzie wyposażenie gmin przez władze albo mieszkańców przez gminy w niedźwiedzioodporne pojemniki na śmieci. A odbiór odpadków odbywa się zbyt rzadko. Resztki żywności, nawet jeśli w worku, pozostawione pod domkami sezonowymi przyciągają zwierzęta przez wiele dni czy tygodni.

Zintensyfikowana budowa tych ostatnich i moda na Bieszczady przypada zwłaszcza na czas pandemii i okres tuż po niej. Kolejne dacze i domeczki stają tuż przy lesie losowo, rozproszone, gdzie komu się podoba, w miejscach, które do tej pory były dzikie i stanowiły część terytoriów drapieżników, zresztą nie tylko z rodzaju *Ursus*. Równocześnie coraz więcej odpadków coraz liczniejsi wędrujący zostawiają przy wiatach i szlakach turystycznych, gdzie wysypują się ze śmietników. Przy gwałtownie rosnącej skali ruchu swoje robi zgubiona na szlaku kanapka czy wyrzucony ogryzek.

Niedźwiedzie, które wchodzą do Soliny w 2022 roku, o czym rozpisują się portale i gazety, o wiele sprawniej poruszają się w miejskich korytarzach, są sprytniejsze i śmielsze od swoich ostrożnych matek. To wciąż pojedyncze zwierzęta, ale że przemieszczają się szybko na duże odległości (średni areał jednego niedźwiedzia w Bieszczadach wynosi kilkaset kilometrów kwadratowych), a ich determinacja w zdobywaniu pożywienia jest ogromna – problem staje się bardzo medialny.

W maju tego samego roku, jeszcze przed szczytem kłopotów, w Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Rzeszowie odbywa się spotkanie, w którym biorą udział Djuro Huber, Agnieszka Sergiel i Teresa Berezowska-Cnota z IOP-u, Robert Gatzka z Parku Ochrony Bieszczadzkiej Fauny i ja. Chodzi m.in. o powołanie grupy interwencyjnej. Tyle że to nie pierwsze spotkanie z urzędnikami od przyrody w tej sprawie. Te z ostatnich paru lat nie przyniosły rezultatów. Tym razem słyszymy zapewnienia, że za miesiąc w większym gronie, z udziałem przedstawicieli Lasów Państwowych, gmin i policji, spróbujemy ustalić konkrety.

Bieszczadzkie samorządy są już zdeterminowane, aby coś zrobić. Dotychczasowych zaniechań nie da się dłużej ignorować. Kolejne spotkanie się odbywa, ale z pominięciem naukowców i przyrodniczych organizacji pozarządowych. Na szczęście Marek Pasiniewicz pcha temat wypracowania rozwiązań i sam je testuje – próbuje we współpracy z RDOŚ odpłaszać zdemoralizowane niedźwiedzie. Tyle że bez finansów, sprzętu, a przede wszystkim zmian w prawie – nie da się tego robić, jak należy.

eprasa.pl bce484ca04

Wraz ze zmianą rządu pojawia się nadzieja na potraktowanie tematu poważnie, ale Koalicja 15 Października dostrzega powagę sprawy dopiero półtora roku później, kiedy wiosną 2025 wójt Soliny, a po nim wójt Cisnej składają do Generalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska wnioski o zgodę na odstrzał kilku niedźwiedzi. Cisna zgodę otrzymuje, co wywołuje protesty w całym kraju. Szybko zostaje cofnięta. A ministerstwo dowiaduje się nie tylko o braku systemu, ale też o własnej niekompetencji – bo środowisko naukowe poddaje krytyce resortowy pomysł relokacji problemowych niedźwiedzi.

To wtedy pada zapowiedź powołania grupy interwencyjnej i podjęcia działań związanych z edukacją oraz uporządkowaniem tematu odpadów w Bieszczadach. Jest lipiec. Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych w Krośnie reaguje niemal błyskawicznie, zapowiadając powołanie własnego zespołu do spraw niedźwiedzi. Jedyna naprawdę kompetentna osoba w podkarpackiej dyrekcji Lasów – Marek Pasiniewicz – zmarł miesiąc wcześniej, dlatego przyrodnicy patrzą na te ruchy sceptycznie. Trudno nie odnieść wrażenia, że Lasy przygotowują grunt, aby podpiąć się później pod rządowe działania i nie wypaść z gry w decydowaniu o tym, jak kształtuje się narrację na temat dużych drapieżników w regionie.

Niedługo potem RDOŚ zakłada pięciu osobnikom obroże telemetryczne. Konkretnie – robią to specjaliści z TPN, ale w przekazie medialnym część dokonań przykleja się do działań Lasów, które w tym czasie, owszem, spotykają się z ekspertami, ale jedynie, aby się szkolić i edukować. Dyrektor krośnieńskiej Regionalnej Dyrekcji LP Marian Pigan zapewnia, że jego zespół złożony z 25 pracowników ma być przede wszystkim merytorycznym wsparciem dla działań grupy powołanej przez rząd – służyć jej informacjami i znajomością terenu. Jedna część zespołu skupia się na poznaniu biologii niedźwiedzia. Druga na edukacji mieszkańców. Trzecia opracowuje zasady modyfikacji gospodarki leśnej, m.in.pod kątem ograniczenia cięć w pobliżu gawr. Dyrektor deklaruje, że leśnicy powinni zmienić podejście tam, gdzie bytują niedźwiedzie, nawet kosztem spadku wpływów ze sprzedaży drewna. Chce też odsłaniać runo leśne, żeby rosło więcej borówek, i zakładać sady.

Dopytuję o kluczowe źródło nasilania się konfliktów z niedźwiedziami, które do tej pory dyplomatycznie przemilczano, także podczas inauguracji rządowego programu – nęciska myśliwskie, jako że LP prowadzą gospodarkę łowiecką na swoich terenach, a część z nich dzierżawią kołom łowieckim. – Być może dojdziemy do takiej sytuacji, że karmę dla jeleni będzie można wykładać tylko zimą, kiedy niedźwiedzie nie powinny być aktywne, ale na przykład jesienią będzie zakaz. Albo trzeba będzie zweryfikować skład tego, co się wykłada, skoro wysokobiałkowa kukurydza może się przyczyniać do zwiększania się populacji i liczby konfliktów. No nad tym będziemy się jeszcze zastanawiać z kołami łowieckimi, bo tu potrzeba wspólnej polityki – mówi Marian Pigan.

Lasy Państwowe wyciągają na szczęście lekcję z działań, które zażegnały problemy w Tatrach i usuwają wszystkie pojemniki na odpady, także spod leśnych wiatek. Zamiast nich będą tablice o obowiązku zabierania śmieci ze sobą. Leśnicy włączają się też w walkę z nielegalnym składowaniem bioodpadów na terenach, które dzierżawią. Właśnie na prośbę WWF zlikwidowały dwa takie miejsca.

●

Jednocześnie z włodarzami gmin spotyka się właśnie WWF. Próbuje wypracować kierunki działań, organizuje spotkania edukacyjne, tworzy tablice informacyjne, a przede wszystkim nieodpłatnie przekazuje wójtom niedźwiedzioodporne pojemniki na odpady. Do dziś w sumie 130, z kolejnymi 20 w planie na ten rok, przy czym 12 z nich trafi w Tatry. Tylko od 2022 roku podkarpackie gminy otrzymały 64 120-litrowe zielone kontenery bear-proof.

Na jednym z takich spotkań w styczniu 2025 roku słyszałam, jak wójt Lutowisk Janusz Krupa chwalił, że odkąd ich używa, niedźwiedzie przestały się pojawiać. Co prawda musi płacić za częstszy wywóz śmieci, ale to i tak opłaca się bardziej niż łatanie szkód wyrządzonych przez drapieżniki. Nie wspominając o bezpieczeństwie publicznym, za które odpowiada. Do tej pory pojemników ma 13. Poprosił o sto, ale na tyle WWF nie ma budżetu.

Gmina Solina w latach 2022 i 2023 przyjęła od WWF dziewięć pojemników, ale część stoi w pomieszczeniach niewykorzystana. Dlaczego? Gmina mi nie odpowiedziała. Za to jej wójt Adam Piątkowski nie tylko wnioskował o odstrzał pięciu niedźwiedzi, ale także wysłał petycję do premiera w sprawie redukcji populacji, powołując się między innymi na nieskuteczność dotychczasowych działań. Wiele z jego wypowiedzi w mediach ilustrował film niedźwiedzia grzebiącego w niezabezpieczonych pojemnikach na odpady. Zupełnie odwrotnie zachowała się Cisna – po tym gdy jej mieszkańcy wzburzyli się zgodą na odstrzał trzech niedźwiedzi, podjęła działania prewencyjne. Już wcześniej pozyskała od WWF 13 kontenerów bear-proof. Kolejne sześć, które właśnie dostali, to grubszy kaliber – 1100-litrowe metalowe kontenery przygotowane pod punkty zbiorcze, szkoły czy restauracje. Przypominają te na popiół, tyle że są wzmacniane.

Fundacja planuje też testowanie za pomocą fotopułapek następnych prototypów tak zwanych szafoskrzyń na odpady w workach między innymi na terenie Bieszczadzkiego Parku Narodowego i gminy Czarna. Nagrania ujawnią, czy ich konstrukcja sprawdzi się pod naporem niedźwiedzich łap i cielska.

Organizacja przekazała gminie Cisna także trzy pastuchy elektryczne do grodzenia kompostowników oraz punktów gromadzenia odpadów, dodatkowo prowadzi w tych punktach monitoring. A w samym urzędzie powołano nowe stanowisko – osoby odpowiedzialnej wyłącznie za kompostowniki, konkretnie – doradzanie ludziom, jak zabezpieczać i kontrolować miejsca składowania odpadów.

Marta Chrzanowska z WWF cieszy się, że to będzie modelowa wioska, złoty przykład, na który będzie można się powoływać jako historię sukcesu prewencji. Bo eliminowanie dostępności pożywienia przywabiającego niedźwiedzie po prostu działa. Pokazują to doświadczenia Yellowstone, Kolumbii Brytyjskiej, miasteczka Pettorano sul Gizio we włoskich Apeninach czy Baile Tusnad w Rumunii. Po zabezpieczeniu nęcących miejscówek liczba interwencji spada niemal do zera.

●

A jak to zrobią organizatorzy ministerialnego programu dla Bieszczadów?

Za realizację programu, na który przeznaczono 16 mln złotych, odpowiada RDOŚ w Rzeszowie. Ponad 13,5 mln to środki z UE, reszta z budżetu państwa. Trzy miliony pójdą na zakup 1500 niedźwiedzioodpornych pojemników. Zostaną rozdane samorządom, następnie konkretnym gospodarstwom. Natomiast projekt nie obejmuje opłacenia częstszego odbioru śmieci, co znaczy, że gminy same będą musiały znaleźć na to środki. Żeby te dodatkowe wydatki nie przekładały się na negatywny stosunek do gatunków chronionych, nie najzamożniejsze przecież karpackie gminy powinny dostawać na ten cel dopłaty. To najlepszy sposób, aby lamenty, że ochrona przyrody tyle kosztuje szarego człowieka, przerodziły się w docenianie tego, co robią na przykład bobry – dbając o darmową małą retencję, wilki – ograniczając szkody kopytnych w uprawach, a niedźwiedzie – roznosząc w odchodach i rozsiewając nasionka jagód, które lokalsi później zbierają nie tylko na powidła, ale też na handel.

Podczas konferencji inaugurującej projekt parokrotnie pada informacja o planach nasadzeń drzewek owocowych i pielęgnacji starych sadów w lasach. Ministra Paulina Hennig-Kloska mówi o „odtworzeniu" bazy pokarmowej dla niedźwiedzi. Tyle że nie mierzymy się z brakiem ich naturalnego pożywienia w lesie. Jest go pod dostatkiem. Rzecz w tym, że równie dużo pokarmu, tylko bardziej kalorycznego i łatwiejszego do pozyskania, jest w miejscowościach i na nęciskach. Po co godzinami zbierać jagody czy orzeszki bukowe, skoro można jednym ruchem łapy sięgnąć do śmietnika po czyjś niedojedzony obiad, resztki rzeźne spod płotu czy paręset kilo buraków cukrowych spod ambony?

Nasadzenia to w dużej mierze wyrzucenie pieniędzy w błoto. Poprawią warunki, ale raczej dla drozdów, dzięciołów czy sikorek. Jak mówi dr Agnieszka Olszańska z IOP, nie istnieją badania pokazujące, że sadzenie jabłoni ogranicza niedźwiedzie szkody we wsiach, a skutek takich działań może być dokładnie odwrotny do zamierzonego. Na szczęście przeznaczona na ten cel kwota to zaledwie parę procent całości. A może resort wykazał się kreatywnym myśleniem? Bo wpisanie nasadzeń w projekt umożliwiło otrzymanie większych funduszy – bo te działania obejmą także Małopolskę, przez co cały projekt zyskuje charakter ponadregionalny.

Powszechne jest mylenie redukcji osobników z redukcją problemów. A odstrzał niczego nie rozwiązuje, gdyż działa tylko na chwilę, z czasem pojawią się kolejne drapieżniki korzystające z drogi na skróty

Część środków jest przeznaczona na edukację – warsztaty i spotkania, tablice w miejscach największego ruchu turystycznego oraz stworzenie dwóch filmów informacyjno-edukacyjnych. Choć to raczej nie wystarczy, żeby zmienić myślenie i zachowania całych pokoleń i na pokolenia – jakoś zacząć trzeba.

Powstanie też elektroniczna platforma do gromadzenia danych z fotopułapek, obroży telemetrycznych i interwencji. Dzięki temu będzie można lokalizować punkty zapalne i skuteczniej je usuwać.

Wreszcie to, od czego obecne wzmożenie się zaczęło – powołanie grup interwencyjnych z siedzibami w Cisnej i Polańczyku. Około 20 osób, z czego 11 na etat. Ich skład nie jest na razie znany, ale nieoficjalnie usłyszałam, że dziewięć osób współpracujących najpewniej zrekrutuje się z Lasów, bo to ludzie z „gotowym" zatrudnieniem. Czy w takim razie będą w nich jacykolwiek specjaliści? Nie wiadomo.

Podczas konferencji padają podziękowania gminom, Lasom, ale – poza wskazaniem Filipa Zięby, zastępcy dyrektora TPN i szefa zespołu odpłaszania niedźwiedzi – ani słowa o środowisku naukowym czy „pozarządówkach", od których projekt się rozpoczął. A jednocześnie urzędnicy dopytują te organizacje, kiedy będą miały wyniki testowania wytrzymałości śmietników, bo już trzeba robić przetarg... Może warto więc oficjalnie dać im miejsce przy stole?

●

Media robią szum wokół odpłaszania gumowymi kulami, bo działa na wyobraźnię i brzmi seksowniej niż pojemniki, pastuchy elektryczne – lecz to one są ważniejsze. Bo tak długo, jak niedźwiedzie będą miały po co przychodzić do ludzi, zawsze znajdzie się jakiś, który przełamie lęk przed bólem. A poza tym rolą grup interwencyjnych nie jest strzelanie, ale sprawdzanie, co drapieżniki gdzieś przywabia, i usuwanie lub modyfikacja niezabezpieczonych śmietników, kompostowników, pasiek.

Monitorowanie z obroży telemetrycznych z nadajnikiem satelitarnym wbrew powszechnemu przekonaniu, które buduje elektryzujące wyobrażenie, również wśród dziennikarzy, czegoś na kształt działania antyterrorystów czy komandosów: dyżurka, ludzie przed ekranami, rozlega się sygnał, ekipa wskakuje do Land Roverów – nie służy do bieżącej interwencji. Te dane często spływają po czasie. Ich podstawą jest radiotelemetria. Za pomocą anteny kierunkowej zwiększającej częstotliwość pikania, kiedy zwierzę się zbliża, pracują w Tatrach. Trzeba stale być w terenie i sprawdzać, czy futrzasty złodziejaszek nie podchodzi w zakazane rejony. Grupie z Bieszczadów ułatwią to także drony.

Ważnym narzędziem są samochody – ale nie chodzi wyłącznie o oczywiste kwestie transportowe. Pojazdy muszą być w czasie akcji blisko, aby było gdzie się schronić. Filip Zięba podkreśla, że jeżeli robią to przeszkoleni profesjonaliści, którzy z czasem też wiedzą już, czego się po danym zwierzęciu spodziewać, ryzyko niebezpiecznych sytuacji maleje. Zdarza się zresztą, że wystarczy dać miśkowi kilka razy w zad, żeby później reagował ucieczką na same światła samochodu czy klaśnięcie w dłonie. Ale nigdy nie dzieje się na odwrót – czyli jeśli nie założymy takiemu zdemoralizowanemu niedźwiedziowi obroży i nie dostanie najpierw paru bolesnych lekcji – można strzelać petardami hukowymi czy krzyczeć do woli i nic to nie da.

Może się zdarzyć, że któryś zuchwalec mimo stałych gumowań będzie wracał, bo proces „ośmielenia" jest już zaawansowany i nie do odwrócenia. Zięba przyznaje, że jeżeli wyeliminowało się przyczyny i wykorzystało wszystkie środki, być może konieczna będzie eliminacja.

Niestety, powszechne jest mylenie redukcji osobników z redukcją problemów. Odstrzał niczego nie rozwiązuje, gdyż działa tylko na chwilę, z czasem pojawią się kolejne drapieżniki korzystające z drogi na skróty. Nie zmniejsza też liczby wypadków z udziałem niedźwiedzi. Odwrotnie – w Skandynawii, w której się do nich strzela, w latach 1977-2016 aż 33 z 44 wypadków z tymi drapieżnikami miało miejsce podczas polowań na nie. Pozostałe 11 to incydenty z matkami broniącymi młodych.

Dlaczego projekt nie obejmuje Tatr? Bo pracownicy TPN wzorcowo sobie radzą. Tyle że ich kompetencje kończą się na granicy parku. Jeśli więc tydzień „pracują" z jakimś niedźwiedziem na jego obrzeżach, a ósmego dnia on wchodzi do Zakopanego, przepisy nie pozwalają im reagować, mimo że mają środki, sprzęt i ludzi w gotowości. A w stolicy Tatr problem wygląda dokładnie tak samo jak w Bieszczadach. Zwłaszcza napływowi nie znają zasad.
– My w Polsce nie nadążamy za rytmem przyrody – kwituje Zięba. I dodaje, że natura coraz bardziej wchodzi w przestrzeń miejską, bo ta z kolei wylewa się w drugą stronę. – W Estes Park w Kolorado chmary jeleni, stada liczące

Anna Maziuk

• Ur. w 1986 r., reporterka (publikowała m.in. w „Wysokich Obcasach", „Magazynie Wyborczej", „Polityce", „Tygodniku Powszechnym") i przyrodniczka (prowadzi warsztaty stacjonarne i w naturze dla dzieci i dorosłych), na stałe związana z pismem „Kosmos dla Dziewczynek". Mieszka w Beskidzie Niskim. Autorka książek **„Instynkt. O wilkach w polskich lasach"** i właśnie wydanej **„Niedźwiedź szuka domu".** Oba reportaże dostępne wkKsięgarniach, na stronie wydawnictwa Czarne i w formie e-booków na Publio.pl.

eprasa.pl bce484ca04

50 osobników, włażą na pola golfowe. Ale oni tam z tego żyją. Sprzedają to jako atrakcję – tyle że granice są jasne i nikt się do tych zwierząt nie zbliża, nie karmi.

Zięba, jak wszyscy, z którymi rozmawiam, podkreśla, że cieszy się z zainicjowania rządowego programu, tyle że potrzeba nam rozwiązań systemowych – stałych, z uprawnieniami, jakie daje mundur, w tym z możliwością wejścia na prywatne posesje i zinstytucjonalizowanych, dzięki temu również przyswojonych przez ludzi. Bo projekty wcześniej czy później się kończą, a wynikające z nich dobre nawyki niekoniecznie zdążą zakorzenić.

Zwłaszcza że choć rządzący wszystkich opcji powołują kolejne służby obsługujące coraz bardziej detaliczne kwestie, akurat polska przyroda wciąż się ich nie doczekała. Straż łowiecka odpowiada tylko za gatunki łowne, poza tym to zupełnie inna mentalność niż ta, o której mówi dyrektor TPN. Policja zwierzętami się ani nie zajmuje, ani na nich nie zna. Jak trafi się ranny łoś, ryś czy wilk przy drodze, nie wiadomo kogo wzywać. Zwykle na miejsce – pomóc albo szybko i bezboleśnie uśmiercić – przyjeżdżają zajmujące się danym gatunkiem stowarzyszenia, tyle że one też utrzymują się z grantów lub wsparcia darczyńców. A uprawnione do reakcji w takich sytuacjach ośrodki rehabilitacji też skarżą się na potężne niedofinansowanie.

●

Tymczasem tworzone „rządowe" grupy z Bieszczadów nie mają nawet narzędzi prawnych, żeby robić to, co robią koledzy z TPN, czyli legalnie korzystać z broni gładkolufowej z pociskami niepenetracyjnymi do odpłaszania. A zaproponowane przez ministerstwo poprawki do ustawy o ochronie zwierząt, umożliwiające takie działanie osobom, które mają pozwolenie na broń i zgodę GDOŚ, wciąż nie przeszły nawet pierwszego czytania w Sejmie.

Zresztą może i dobrze, bo opozycja wykorzystała sytuację, aby dorzucić do listy z niedźwiedziami i żubrami – także wilki i inne drapieżniki. Lobby myśliwskie i zwolennicy „czynienia ziemi sobie poddaną" wyłapali, że to szansa do bezkarnego strzelania – bez precyzyjnych zapisów, kto i w jakiej sytuacji ma prawo korzystać z broni do odpłaszania oraz bez określenia mocy pocisków, uprawnienie można by szeroko interpretować i nadużywać. A w przypadku mniejszych zwierząt uderzenie gumowego pocisku o zbyt dużej sile albo ze zbyt bliska mogłoby mieć tragiczne skutki, od okaleczenia po śmierć.

Sceptycy grzmią, że działania Ministerstwa Klimatu i Środowiska to marnowanie pieniędzy. Bodaj najgłośniej w swoich „sojalach" krzyczy poseł Konfederacji Andrzej Zapałowski – ten który celuje w zamieszczanie newsów o atakach wilków na ludzi, których nie było – bo okazuje się, że ktoś po prostu widział wilka z daleka albo że pijanego faceta zaatakowały wałęsające się psy – a każdą obserwację drapieżników wyolbrzymia do zagrożenia.

Czy program ma sens? Miejmy nadzieję, że presja motywowanych ideologicznie krzykaczy oraz alt-rightowych polityków nie zniechęci władz do jego kontynuacji. Bo aby się przekonać, co działa, co nie, potrzeba czasu. Odwrócenie zachowań i przyzwyczajeń zdemoralizowanych niedźwiedzi potrwa.

W Yellowstone przerobili to już w drugiej połowie XX wieku. W latach 40. i 50. często dochodziło tam do ataków niedźwiedzi na turystów. Wtedy zaczęto zabezpieczać odpady i edukować. Od lat 70. prowadzono już intensywne i skoordynowane działania, w tym odpłaszanie. Na efekty musieli poczekać blisko dwie dekady, czyli jedno pokolenie niedźwiedzi, z którym się pracuje i je „nawraca".

Ale się opłaciło – dziś mimo bardzo dużych populacji obu wspomnianych gatunków *Ursus* i *Sapiens* – wypadki zdarzają się tam rzadko. Potwierdza to także przykład z Tatr. Niedźwiedzie są reformowalne. Tylko czy my jesteśmy? ●

Żeby drwalowi, nie było żal

Z **PAULINĄ HENNING-KLOSKĄ** MINISTRĄ KLIMATU I ŚRODOWISKA ROZMAWIA **ANNA MAZIUK**

Jakie są widoki na utworzenie wyspecjalizowanych służb ochrony przyrody, których działania mogłyby obejmować gatunki nie tylko chronione?
– Ten obszar wymaga większej opieki i dodatkowego finansowania. Obecnie służby, którymi dysponuje ministerstwo, są ograniczone, a odpowiedzialność za poszczególne gatunki rozproszona – inne instytucje odpowiadają za zwierzęta łowne, inne za chronione. Uporządkowanie systemu byłoby wskazane, ale obecnie w parlamencie trudno o porozumienie w tej sprawie, działamy więc punktowo, choć w sposób systemowy. Reagujemy tam, gdzie problem jest najpoważniejszy, czyli przede wszystkim na Podkarpaciu i w Małopolsce w kontekście niedźwiedzia brunatnego.

Pojawia się coraz więcej fake newsów dotyczących dużych drapieżników, szczególnie wilków. Jakie działania ministerstwo podejmuje przeciwko dezinformacji?
– Dezinformacja w obszarze środowiska naturalnego i klimatu jest powszechna i ma różne oblicza. Część przekazów ma charakter propagandowy, ale wiele osób powiela nieprawdziwe informacje po prostu z braku wiedzy. Najskuteczniejszą odpowiedzią jest edukacja społeczna. Dlatego przeznaczyliśmy dodatkowe środki na edukację klimatyczną i środowiskową i będziemy je zwiększać. Powołaliśmy również pełnomocnika ds. walki z dezinformacją, który przygotowuje strategię przeciwdziałania fake newsom.

Równolegle działania w zakresie eliminowania dezinformacji prowadzi minister cyfryzacji. Problem dotyczy nie tylko odnawialnych źródeł energii i bzdur typu: „krowy nie cielą się przez wiatraki" czy „pralki psują przez OZE", ale także dzikich zwierząt – pojawiają się choćby filmy generowane przez sztuczną inteligencję, przedstawiające nieprawdziwe sytuacje z udziałem drapieżników. Dlatego tak ważne jest weryfikowanie źródeł informacji i fact-checking.

To musimy robić indywidualnie. A na jakie działania systemowe, rządowe możemy liczyć? Choćby dla powstrzymania zalewu tych filmików AI. Obecnie dezinformację celowo i bezkarnie szerzą nawet posłowie. Może warto dopracować narzędzia, które umożliwiałyby pociąganie takich osób do odpowiedzialności?
– W Polsce nie mamy przepisów specjalnie poświęconych walce z dezinformacją, mamy natomiast przepisy ograniczające rozpowszechnianie informacji, które zagrażają zdrowiu publicznemu. One mogą być stosowane wobec osób, które publikują materiały, w tym deepfake'i, o zagrożeniach ze strony dzikich zwierząt, należy jednak wykazać, że celowo szerzono fałszywe informacje, wprowadzając społeczeństwo w błąd.

I tu pojawia się problem, droga sądowa w takim przypadku jest długa, żmudna i kosztowna, a dezinformacja rozprzestrzenia się szybciej, niż wymiar sprawiedliwości może reagować.

Jest jednak nowe narzędzie, które ma potencjał zmienić tę dynamikę. Unijny Akt o usługach cyfrowych, który zobowiązuje platformy społecznościowe do rzeczywistej odpowiedzialności za rozpowszechnianie dezinformacji w tematach bezpieczeństwa publicznego. Do tej kategorii zalicza się zagrożenia naturalne, a także bezpieczeństwo energetyczne czy ekologiczne. I nie chodzi tu-taj o żadną cenzurę, bo Akt nie każe platformom usuwać opinii ani krytyki. Chodzi o bezpieczniki transparentności i odpowiedzialności, które teraz nie działają.

A czy planujecie zmiany przepisów lub usprawnienie egzekwowania prawa w sprawach dotyczących przestępstw przeciwko przyrodzie, np. popełnianych na gatunkach chronionych?
– Najważniejsze jest dziś skuteczne zgłaszanie i ściganie przestępstw, bo najlepszą walką z przestępczością jest skuteczna egzekucja kary. Naszym problemem nie jest źle skonstruowane prawo, tylko skuteczność w jego stosowaniu. Jednym z podstawowych celów mojej współpracy z Polskim Związkiem Łowieckim jest właśnie przeciwdziałanie kłusownictwu, które szkodzi wizerunkowi całego łowiectwa w Polsce. Spotykamy się z przedstawicielami PZŁ, by omawiać potrzebne zmiany.

Obecnie pracujemy nad poprawą procesów szkoleniowych, by nie dochodziło do takich wypadków, jak ostatnio w województwie pomorskim czy na Lubelszczyźnie. Środowisko łowieckie powinno brać na siebie większą odpowiedzialność za przeciwdziałanie łamaniu prawa na tych polach.

Paulina Henning-Kloska: Problem deep fake'ów generowanych przez AI dotyczy nie tylko odnawialnych źródeł energii i bzdur typu: „krowy nie cielą się przez wiatraki" czy „pralki psują przez OZE", ale także dzikich zwierząt

Tyle że PZŁ nie odpowiada za gatunki chronione, w dodatku w sześciu na siedem wyroków skazujących, jakie do tej pory zapadły w związku z nielegalnym uśmierceniem wilków, sprawcami byli myśliwi. No i w ogóle kuleje proces ścigania takich przestępstw – w ogromnej większości śledztwa są umarzane, policji czy sądom brakuje przeszkolenia w zakresie przestępstw związanych z dziką przyrodą, wyroki są nieadekwatnie niskie. Służby Ochrony Przyrody mogłyby być organem doradczym również w takich sprawach. Do powołania ich od lat wzywają przyrodnicy i Państwowa Rada Ochrony Przyrody. Z kolei nad samym PZŁ przydałby się zewnętrzny nadzór.
– Rzeczywiście nie zawsze te postępowania są skuteczne, choćby ze względu na trudności z wykryciem sprawców. PZŁ wyciąga konsekwencje dyscyplinarne wobec tych członków, którzy dopuścili się nielegalnych czynów. Na tym polu działają rzecznicy dyscyplinarni oraz niezależne sądy łowieckie. Karami – wewnątrz organizacji, niezależnie od postępowań sądowych – może być zawieszenie lub wykluczenie z PZŁ. Pracujemy nad zmianami w prawie łowieckim – powołaliśmy zespół, w którym razem z ekspertami, ale też myśliwymi, wypracowujemy rozwiązania.

Powołanie nowej służby w sytuacji, gdy mamy ponad 100 tysięcy funkcjonariusz policji, mogłoby być odczytane jako niegospodarność. Dlatego to, nad czym trzeba pracować, to zwiększanie wykrywalności i egzekwowanie prawa.

W kontrolę wewnątrz PZŁ wątpię. Jak w takim razie ministerstwo zamierza dalej wzmacniać ochronę dużych drapieżników? Zwłaszcza po tym, jak zagłosowało za osłabieniem ochrony wilka na poziomie całej Unii Europejskiej?
– To trudny temat. Ponieważ nie zawsze udaje się zbudować poparcie większości parlamentarnej dla zmian ustawowych, działamy pozaustawowo. Przykładem jest powołanie tej grupy interwencyjnej do płoszenia niedźwiedzi brunatnych – zamiast zabijać, chcemy je płoszyć, skutecznie chroniąc ludzi i jednocześnie zwierzęta.

Nie mamy planów zmiany krajowych przepisów w obszarze ochrony wilka. Polskie przepisy dopuszczają wydanie zgody na odstrzał osobników, które stwarzają zagrożenie albo powtarzalnie polują na inwentarz.

Co czeka tereny obecnie objęte moratorium na gospodarkę leśną? Na Podkarpaciu to jeden z elementów ochrony niedźwiedzi.
– Podczas niedawnych spotkań z samorządowcami z Podkarpacia rozmawialiśmy o tym, jak wspierać gminy w zmianie kierunku rozwoju lokalnej gospodarki. Jednym z pomysłów jest stworzenie funduszu umożliwiającego przekwalifikowanie osób pracujących dziś np. w zawodzie drwala, tak aby mogły rozwijać własną działalność, choćby w turystyce. Region Birczy ma ogromne walory przyrodnicze, wciąż mało znane w Polsce, dlatego chcemy zastanowić się, jak wzmocnić infrastrukturę turystyczną, przyciągnąć więcej odwiedzających i stworzyć mieszkańcom perspektywy stabilnego życia opartego na rozwoju turystyki i zarabianiu na tym, co tu najcenniejsze. Chcemy się skupić na wzmacnianiu obszarów chronionych, jednocześnie otwartych dla ludzi.

Może warto rozważyć fundusz dla hodowców i rolników dofinansowujący działania wspierające ochronę wilków, niedźwiedzi czy bobrów? Tak aby taki przedsiębiorca nie miał poczucia, że ochrona przyrody odbywa się jego kosztem, że coś jest mu odbierane, jest stratny. Dziś rekompensujemy straty spowodowane przez zwierzęta, ale to za mało, żeby zmienić ich postrzeganie i docenić to, co robią w środowisku, a co jest korzystne także dla nas.
– Edukacja na temat dzikich zwierząt jest ważnym elementem uruchamianego właśnie programu niedźwiedziego. Prowadzimy też inne działania mające wspierać lokalne społeczności w terenach, gdzie dzikich zwierząt jest więcej. Regionalne dyrekcje ochrony środowiska dystrybuują zestawy elektryzatorów, opłotowań, zestawów fladr, czyli sznurów z odstraszającymi chorągiewkami. Prowadzą też działania informacyjne z samorządami dotyczące reagowania na zagrożenia.

Trzeba wykorzystywać już dostępne rozwiązania w sposób adekwatny i staranny. Wymaga to nie tylko środków finansowych, ale również wiedzy, współpracy i dobrej woli. Działamy.

FOT. MACIEK JAŹWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl bce484ca04

Apel

Najbardziej jednak „zaskakuje i zasmuca" autora „Apelu do Polaków" fakt, że biskupi imputują Polakom antysemityzm.

Michał Rusinek

Obraz mówi więcej niż słowo, zwłaszcza gdy panuje zasada TLDR, czyli – delikatnie mówiąc – niechęci do czytania dłuższych tekstów. Nie ma się co dziwić, że mało kto przeczytał liczący ponad 15 tys. znaków „Apel do Polaków" umieszczony na internetowych łamach „Pedagogiki Katolickiej"; większość skupiła się na towarzyszącym mu fotomontażu przedstawiającym kardynała Grzegorza Rysia z pejsami.

•

„Apel", autorstwa ks. Beniamina Sęktasa, kapłana diecezji drohiczyńskiej i poety, jest jednak godny lektury. Zaczyna się od konstatacji, że 22 marca 2026 „zaistniała historyczna hańba". Nie wiedzieliśmy, że hańba może zaistnieć, ale widocznie jeśli jest historyczna, to może.

Oto bowiem biskupi w liście Konferencji Episkopatu Polski z okazji 40. rocznicy wizyty Jana Pawła II w rzymskiej Synagodze Większej „wezwali do uczczenia rocznicy, której nigdy wcześniej jako wspólnota wierzących nie obchodziliśmy". To rzeczywiście skandal, bo Polak nie tylko lubi tylko takie melodie, które już zna, ale i obchodzi tylko takie rocznice, które już obchodził – stąd zapewne historyczność, a właściwie niehistoryczność rzeczonej hańby. „Nie było pierwszej ani dziesiątej rocznicy wizyty w synagodze, tym bardziej nie jest to stulecie ani tysiąclecie" – zauważa przytomnie ks. Sęktas: Polak lubuje się przecież rocznicach okrągłych oraz wielkich liczbach.

•

Najbardziej jednak „zaskakuje i zasmuca" autora „Apelu" fakt, że biskupi imputują Polakom antysemityzm, a „oburza" go, że list pasterski z taką imputacją miał być odczytany w kościołach, „które służą wyłącznej czci naszego Pana i Zbawiciela Jezusa Chrystusa, i to w niedzielę poprzedzającą Wielki Tydzień".

Tu przychodzi czas na wskazanie winnego, czyli pomysłodawcy tego listu. Jest nim „znany sympatyk środowisk żydowskich" i „wyraziciel ich interesów", wielokrotnie nagradzany „za swoje zaangażowanie w dialog żydowski" kardynał Grzegorz Ryś. Lista jego przewin jest dłuższa, bo spotykał się nie tylko z rabinem Michaelem Schudrichem, ale i „byłym ministrem obrony narodowej w rządzie Donalda Tuska" Bogdanem Klichem oraz „transseksualnym aktywistą Markiem Minakowskim" (czyli Marią Minakowską, która dwa lata temu przeszła tranzycję, ale tego ks. Sęktas odnotowywać nie zamierza).

Czyli, innymi słowy, kardynał Ryś obraca się w nieodpowiednim towarzystwie: Żydów, platformersów i LGBTQ. W dodatku potępił „sprzeciw Polaków wobec przyjmowania nielegalnych imigrantów" i za to „został nagrodzony zdjęciem na stronie tytułowej Gazety Wyborczej". Słowem: „mnożą się skandale z udziałem kardynała Rysia".

List pasterski był po prostu „groźną prowokacją", usłyszeliśmy bowiem „z kościelnych ambon", że „udziałem wierzących był i bywa antysemityzm". A to przecież wierutne kłamstwo! Na dowód, że to kłamstwo, ks. Sęktas przytacza fragmenty raportu biskupa Czesława Kaczmarka, skądinąd postaci tragicznej, sporządzonego po pogromie kieleckim w 1946 roku. Pisał w nim, że „Żydzi są nielubiani, a nawet znienawidzeni", „każdy Żyd ma [...] dobrą posadę lub nieograniczone możliwości i ułatwienia w handlu i przemyśle, Żydów jest pełno w ministerstwach, na placówkach zagranicznych, w fabrykach, urzędach, w wojsku [...], kierują prasą rządową [...]. Są często aroganccy i brutalni". Wniosek jest taki, że „sami Żydzi ponoszą lwią część odpowiedzialności za nienawiść, jaka ich otacza".

•

Czyli Polacy nie są antysemitami, a jeśli są, to sami Żydzi są temu winni: „wobec tego wszystkiego mamy prawo zapytać naszych biskupów: komu służy napisany przez nich mętny list z obrazoburczą tezą o antysemityzmie?!". Jest to pytanie retoryczne, bo odpowiedzi ks. Sęktas nie udziela.

Zauważa jednak, że „mamy przecież różnych Żydów", np. „żydowskie korzenie posiadają miliarderzy-filantropi", którzy promują „kosmopolityzm i liberalną demokrację", mamy też „formację ideową żydów (sic!) o komunistycznym rodowodzie, którzy aktywnie biorą udział w aktualnym dyskursie politycznym" i mają „poczucie elitarności". Poza tym są „zadufani w sobie" i korzystają „nawet z najniegodziwszych środków dla osiągnięcia swoich rasistowskich celów".

•

Nie łudźmy się, nie ma żadnego dialogu chrześcijańsko-żydowskiego, a jest tylko „wydawanie stronie chrześcijańskiej poleceń". Ani wybranych przez siebie tez biskupa Kaczmarka, ani tym bardziej własnych nie uważa ks. Sęktas za antysemickie. Przecież to Żydzi, „rękami pogan", ukrzyżowali Chrystusa. Aż się prosi, żeby zacytować anegdotę, której bohaterem był ponoć sam biskup Kaczmarek. Kiedy po jakiejś jego antysemickiej wypowiedzi ktoś powiedział: „Ale, księże biskupie, przecież Chrystus był Żydem", ten miał odpowiedzieć: „Tak, ale nie za to go głównie cenimy".

Ks. Sęktas pyta, „czyż w Polsce brakuje nam naszych świąt i rocznic"? Rzeczywiście, nie brakuje: mamy ich w Europie chyba rekordową liczbę. Dla niego jest to kolejny powód, byśmy zbojkotowali list pasterski. Nie odwiedzajmy żadnych synagog, „nie czyńmy tego aktu taniego naśladownictwa, teatralnego lub wręcz komediowego gestu «pójścia w ślady Jana Pawła II»". Niech dzień 13 kwietnia pozostanie dla nas „wigilią rocznicy Chrztu Polski", i niech „z głębi serc popłynie dziękczynne Ciebie Boga wysławiamy za Polskę, która jest chrześcijańska!". Tak kończy się „Apel", na tle którego fotomontaż kardynała Rysia z pejsami wydaje się niewinnym żartem.

Pozostaje nam sięgnąć do wiersza ks. Beniamina Sęktasa, w którym czytamy:

„Choć duch mój bywa spowity mrokiem,
/ A serce zatrute złością,/ Gdy patrzę na innych kainowym okiem,/ Ty okiem opatrzności/ Spoglądasz na mnie z miłością".

Takie przeświadczenie z pewnością pozwala ks. Sęktasowi pisać podobne apele. ●

Płonący krzyż

„W krzyżu zbawienie", „w krzyżu cierpienie", mam z tobą Pański krzyż", „tylko pod tym krzyżem, tylko pod tym znakiem", rym do „a kysz".

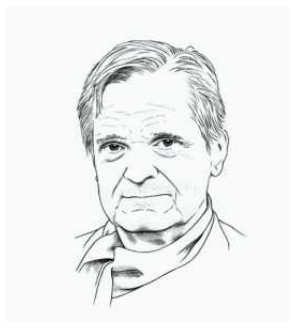

Jarosław Mikołajewski

Felieton z cyklu Za pięć trzynasta

Już choćby tylko graficznie, jako motyw, kształt, krzyż jest znakiem bliskim większości z nas, w kraju nad Wisłą w trzeciej dekadzie XXI wieku. Dwie proste, które przecinają się wyżej lub niżej, ukośnie albo pionowo, jak tylko wyobraźnia czy graficzny przypadek, chwilowe widzimisię, je zrelacjonują.

No właśnie: skrzyżują. Bo to jedyny warunek, żeby krzyż był krzyżem – ich skrzyżowanie. Dwie równoległe są policzkiem dla krzyża. Prowokacją. Nieskrzyżowaniem.

• **Spalony krzyż papieski przed kościołem św. Maksymiliana Marii Kolbego w Warszawie (3.04.2026)**
FOT. PAP/LESZEK SZYMAŃSKI

Krzyżyki stawiamy długopisem w notesie na zebraniu, jeden po drugim, aż cała kartka pokryje się cmentarzem, którego nie planowaliśmy założyć.

Krzyżyki ze srebra, złota, krzyże drewniane, które wypada kupić z okazji chrztu, pierwszej komunii, bierzmowania, na urodziny, imieniny, jako dekoracje, biżuterię.

Krzyże najprostsze z najprostszych, stylizowane, przechylone, stawiane na grobie, w miejscu śmiertelnego wypadku, które wieszamy nad drzwiami bo ładne albo znaczące, o których obecność lub nieobecność spieramy się w instytucjach publicznych, szpitalach i szkołach. I słowa, słowa, tysiące słów.

„W krzyżu zbawienie", „w krzyżu cierpienie", mam z tobą Pański krzyż", „tylko pod tym krzyżem, tylko pod tym znakiem", rym do „a kysz"...

I teraz jeszcze ten krzyż, zwany papieskim, który stanął na Placu Zwycięstwa zanim ten (plac, nie krzyż) zaczął nosić imię marszałka Józefa Piłsudskiego, w 1979 roku, jako znak wiary, ale też policzek dla władz PRL, żeby Jan Paweł II mógł pod nim odprawić mszę, wezwać Ducha Bożego i upomnieć się o zmianę oblicza Ziemi, w odpowiedzi na co wszyscy, którzy tam byliśmy, podnieśliśmy przyniesione ze sobą małe krzyżyki, myślę że przede wszystkim na znak sprzeciwu, pragnienia wolności.

Rozpocznę to zdanie raz jeszcze: I teraz jeszcze ten krzyż, który spłonął właśnie przed warszawskim kościołem na ulicy Rzymowskiego, dokąd został przeniesiony po zbiorowym, historycznym uniesieniu Polaków. I ja, który moje krzyże trzymam sobie w intymnych przestrzeniach mieszkania, i burzę się na myśl, że co i raz ktoś szantażuje nimi sumienia uczniów, pacjentów, petentów, a teraz muszę przyznać: fotografia płonącego krzyża na tle warszawskiego osiedla robi na mnie potężne wrażenie.

Nie chcę mówić o znaczeniach, bo dla mnie w obrazie tych skrzyżowanych płomieni sensu nie ma żadnego. Chcę tylko dać świadectwo jego mocy. Wspomnieć o wyzwaniu dla odczuć i dla wyobraźni, jakim jest dla mnie. O tym, że ten wielki, płonący krzyż mnie zatrzymał. Poraził moją uwagę. Moje – czemuż by nie? – współczucie.

I myślę, że nowym kryterium przynależności do jednej generacji pamięci i doświadczenia jest właśnie ten krzyż, który płonie na zdjęciu. Dla jednych nieważny, dla innych – jak ja – nieobojętny. Dzieło sztuki bez sztuki. Prowokacja bez prowokatora. Skandal bez skandalisty. Pewnie nawet, jak już wspomniałem, bez sensu. ●

eprasa.pl bce484ca04

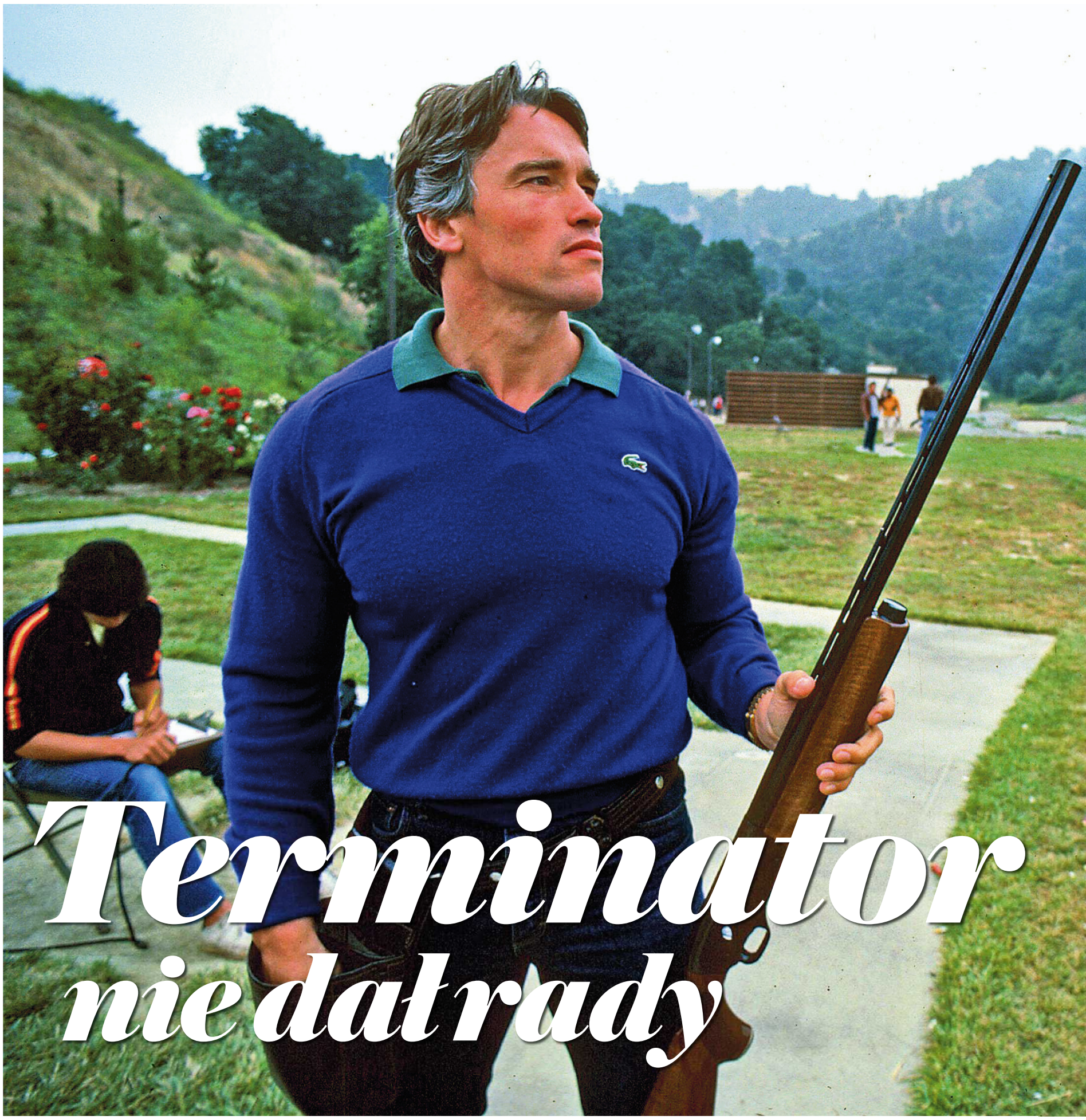

Terminator niedatrady

Mateusz Mazzini

Lewicę i prawicę dzielił tak wielki dystans, że straciły możliwość spotkania się i dialogu. Nie były zresztą nawet tym dialogiem zainteresowane, więc musieliśmy wyrwać politykę z rąk partii i oddać ją z powrotem w ręce obywateli."

Kiedy wypowiada te słowa, szeroko się uśmiecha. Krótka siwa broda dodaje mu powagi, a jednocześnie skraca dystans. Nie przypomina zawodowego amerykańskiego polityka – ani z poprzednich dekad, naznaczonych optymizmem raczkującej rewolucji komunikacyjnej i obietnicą postrasowej demokracji pod rządami Baracka Obamy, ani z czasów dzisiejszych, kiedy wszystkie gesty i słowa skrojone są pod algorytmiczną rzeczywistość kilkusekundowych filmików.

On ewidentnie nie myśli o swoich wystąpieniach publicznych w takich kategoriach, choć gdyby dzisiaj ubiegał się o jakiekolwiek stanowisko publiczne, nie byłby bez szans. Amerykańscy wyborcy żyją przecież w ekonomii uwagi, a co jak co, ale on uwagę umiał przykuwać, kiedy o Facebooku czy Instagramie nikt jeszcze nie słyszał.

Zresztą nadal to robi, bo pomimo 58 lat spędzonych w Stanach Zjednoczonych, w tym 43 z tamtejszym obywatelstwem, mówiąc po angielsku, nadal brzmi jak austriacki turysta, który przypadkowo znalazł się na planecie o nazwie „Kalifornia".

Arnold Schwarzenegger, Terminator i gubernator, kulturysta i aktywista. Wzór idealnego męskiego ciała i człowiek, który politykę chciał maksymalnie upraszczać, redukując ją, czasem nawet nadmiernie, do binarnych, zero-jedynkowych kategorii.

Do Stanów Zjednoczonych przyjechał z Europy, austriackiego obywatelstwa nigdy się nie zrzekł. Przez całą karierę, i w show-biznesie, i polityczną, zachowywał się, jakby próbował oba te światy łączyć. Nigdy zresztą nie ukrywał, że masa rzeczy w amerykańskiej kulturze, normach społecznych czy polityce go bardzo dziwi, a równie wielu nie był w stanie zaakceptować. Część amerykańskiej specyfiki uwierała go tak bardzo, że chciał zmieniać nową ojczyznę w sposób jak na tamte warunki radykalny.

●

Tak było np. z wyznaczaniem granic okręgów wyborczych. Rysowanie ich map to od dekad jeden z najbardziej kontrowersyjnych elementów amerykańskiej rzeczywistości politycznej, bo regularnie dochodzi w nim do tak zwanego gerrymanderingu – kompletnie nienaturalnego definiowania okręgów, by ich skład etniczny, rasowy i klasowy sprzyjał już rządzącej w nim partii albo konkretnemu politykowi. Co jest nie tylko absurdalne, ale i całkowicie niedemokratyczne.

Wystarczy spojrzeć na kontury niektórych okręgów w Teksasie, Alabamie czy właśnie w Kalifornii, żeby od razu zrozumieć, że są sztucznymi tworami blokującymi tę czy inną zmianę polityczną. Często

eprasa.pl bce484ca04

Brzydzi się Trumpem, ale atakuje jedynego polityka, którego boi się Trump. Co się dzieje z Arnoldem Schwarzeneggerem

na mapie mają kształty przypominające serpentyny, karkołomne figury ze znanej gry „Tetris" czy trudne do zdefiniowania wielokątne figury geometryczne. W niektórych miejscach są grube jak balon, w innych cienkie jak nić dentystyczna łącząca na przykład dwa wielkie obszary jednym wąziutkim przesmykiem.

To nic innego jak produkt profesjonalizacji tamtejszego procesu wyborczego, posuniętej do granic możliwości inżynierii politycznej, w której prosta zasada demokracji reprezentatywnej – że w parlamencie czy samorządzie reprezentuje mnie ten, kto wygrał wśród moich sąsiadów – przestaje obowiązywać. Wyborcy stają się anonimowymi rzędami danych w spisie powszechnym, a to, w którym okręgu się znajdą i w konsekwencji na kogo będą mogli głosować oraz kto będzie miał w ogóle szanse tam wygrać, zależy od kilkuosobowej, najczęściej upartyjnionej komisji pochylonej z linijką nad miejskimi mapami.

Gerrymandering dość jednoznacznie narusza zasadę równych i wolnych wyborów, bo w wielu miejscach prowadzi do stworzenia takich granic okręgów, w których opozycja nie ma szans wygrać – chyba że dojdzie do naprawdę sporych przesunięć demograficznych. To jednak najczęściej zajmuje długie lata, a nawet jeśli się zmaterializuje, to może zostać zneutralizowane przez kolejną inicjatywę wytyczenia granic na nowo.

Teoretycznie w amerykański system prawny wmontowane są bezpieczniki, które mają chronić wyborców przed takim działaniem. 14. poprawka do konstytucji, przyjęta w 1868 roku, a więc trzy lata po zakończeniu Wojny Secesyjnej, gwarantuje wszystkim obywatelom, w tym byłym niewolnikom i ich potomkom, równość wobec prawa i prawo do sprawiedliwego procesu. 15. poprawka zakazuje z kolei władzom stanowym, formalnie odpowiedzialnym za przeprowadzanie wyborów, tworzenie okręgów wyborczych w oparciu wyłącznie o rasę. Nie mówiąc już o słynnej Ustawie o Prawach Wyborczych z 1965 roku, która ostatecznie kończyła z segregacją rasową, dając wszystkim równe prawa wyborcze: czynne i bierne.

To oczywiście nie oznacza, że w amerykańskiej demokracji nie ma dyskryminacji – bo to zawsze zależy od tego, kto i dlaczego czuje się dyskryminowany.

Miał słuch społeczny i intuicję, stawiał trafne diagnozy, lecz przez całą karierę był raczej typem reformatora, a nie rewolucjonisty, wolał budować organiczne struktury niż burzyć stare, skostniałe

Nierzadko pojawiają się apele o zmianę granic okręgów wyborczych, bo populacja staje zbyt zróżnicowana etnicznie. Wówczas prawnicy i organizacje pozarządowe reprezentujące mniejszości zaczynają lobbować na rzecz utworzenia tak zwanych większościowo-mniejszościowych okręgów, w których żadna konkretna grupa nie dominuje nad innymi. Ma to konkretne konsekwencje polityczne, bo takie rzeczy nigdy przecież nie dzieją się bez powodu, z dobroci serca wnioskodawców. I nie ma w tym nic złego, każdy ma taki sam dostęp do systemu, może więc wpływać na jego kształt. Chodzi po prostu o to, by zrozumieć, że takie manipulacje prowadzą nie tylko bogaci szowinistyczni biali, również postępowi a wpływowi czarni – i wszyscy inni Amerykanie, którzy znajdą dość energii i środków, by stworzyć lobby. Każdy ma dostęp do bebechów tego systemu i każdy próbuje je przerobić na własną korzyść.

•

Schwarzenegger nigdy tego nie rozumiał, gerrymandering uważając za nowotwór wykańczający amerykańską politykę. Dlatego, kiedy w 2003 roku został wybrany na gubernatora Kalifornii z ramienia Partii Republikańskiej, odpolitycznienie procesu wytyczania granic okręgów wyborczych uznał za swój priorytet.

Słowa o rosnącym dystansie pomiędzy lewicą a prawicą pochodzi ze spotkania, które były gubernator Kalifornii zorganizował w nazwanym jego imieniem instytucie poświęconym polityce krajowej i globalnej. Nawet krótki rzut oka na jego zakres działalności i cele statutowe pokazuje, że docelowo miał różnić się diametralnie od podobnych tego typu placówek.

Fakt, że polityk po odejściu z eksponowanego stanowiska zakłada think-tank lub, najczęściej, patronuje nowej jednostce na ważnym uniwersytecie, jest elementem amerykańskiej tradycji politycznej. Albo wychodzi z inicjatywą popartą solidnym czekiem i listą darczyńców, albo uczelnia sama decyduje się go uhonorować. Dlatego na tamtejszych kampusach pełno jest przestrzeni nazwanych od Kennedy'ego, Wilsona, Busha, Hoovera czy Cartera. Najczęściej zajmują się one polityką zagraniczną lub kwestiami bezpieczeństwa, ale Schwarzenegger wybrał to, co od zawsze go uwierało – skrajne upartyjnienie amerykańskiej polityki. Dlatego jego instytut, włączony w struktury University of Southern California (USC), uczelni badawczej w Los Angeles, zajmować się miał przede wszystkim tak zwaną „przyszłością polityki post-partyjnej".

Miał, bo nic nie wskazuje na to, że rzeczywiście to robi. Na stronie Instytutu Schwarzeneggera ostatnie aktualności pojawiły się w styczniu 2023 roku, ponad trzy lata temu. W dodatku nie dotyczyły jakiejś przesadnie ambitnej działalności, nowego projektu czy propozycji ustawodawczej – wręcz przeciwnie, były komentarzem – choć wypada odnotować, że w dzisiejszych realiach to i tak dokonanie, bo krytycznym – do głosowania w Kongresie niektórych Republikanów spod znaku MAGA. W sieci nie ma śladu po większych osiągnięciach pracowników instytutu, choć nadal funkcjonuje – przyznaje chociażby nagrody za prace studenckie i naukowe w obszarach, które „Arniemu" były bliskie w czasach pełnienia urzędu gubernatora: polityce klimatycznej czy komunikacji politycznej.

A więc Schwarzenegger, człowiek wieku sukcesów, poniósł klęskę jako polityk i działacz społeczny na tym polu, na którym najbardziej mu zależało: gerrymanderingu i praw wyborczych. Tyle że, co mogłaby sugerować opowieść o inercji jego instytutu, nie z własnej winy – lenistwa, samozadowolenia, słomianego zapału czy jakichś machlojek. Nie trzeba być bowiem politologiem, socjologiem lub ekspertem od amerykańskiej demokracji, żeby szybko stwierdzić, że jego pomysły były szlachetne, sensowne i na pewno polepszyłyby możliwość realnego korzystania z praw wyborczych.

Lecz w takim samym stopniu, co słuszne i sensowne, były nierealne i kompletnie nieprzystające do tego, czym mniej więcej od lat 70. stała się amerykańska polityka. Czyli do systemu skomplikowanego ponad miarę, niemożliwego do nawigowania bez tabunu prawników i sponsorów-milionerów, obudowanego całą strukturą doradców, ekspertów od piaru i komunikacji.

Schwarzenegger chciał, żeby amerykańska demokracja stała się demokracją prawdziwą, reprezentatywną i partycypacyjną. Mało kto był taką zmianą zainteresowany. Choć „Arnie" się starał, i to bardzo.

•

Gdy pełnił urząd gubernatora, stworzył obywatelską komisję do spraw wyznaczania granic okręgów wyborczych. W jej skład wchodziło 14 osób – po pięć z każdej partii i czwórka niezależnych ekspertów, co w teorii miało zapewnić parytet i sprawić, że nikt nie będzie tworzył przesadzonych, sztucznych map wyborczych dla partykularnych celów. Cel, który mu przyświecał, był pragmatyczny i ideologiczny w jednym.

Po pierwsze, Schwarzennegger wyszedł z poprawnego założenia, że jeśli w Kalifornii, dotychczas albo jednoznacznie republikańskiej, albo jednoznacznie liberalnej, stworzy się więcej okręgów wiernie odzwierciedlających złożoność tamtejszej populacji, walka o mandaty będzie znacznie bardziej zacięta, co z kolei zwiększy partycypację wyborczą i ogólne zainteresowanie sprawami publicznymi. Po drugie, chciał odwrócić proces decyzyjny, słusznie zauważając, że gerrymandering doprowadził do patologicznego zjawiska, w którym „to politycy wybierają sobie wyborców, a nie wyborcy polityków". Wreszcie – chciał maksymalnie uprościć cały proces, tak żeby nikt nie musiał się zastanawiać, dlaczego lista kandydatów w jego okręgu wygląda tak, a nie inaczej i czy ktoś na takim jego kształcie zyska w sposób nieproporcjonalny.

• Arnold Schwarzenegger strzela do rzutków w klubie Oak Tree Gun w Walencji w Kaliforni. To element kampanii promocyjnej przed premierą jego filmu „Conan Barbarzyńca" (2 .05.1982)

FOT. PAUL HARRIS/GETTY IMAGES

eprasa.pl bce484ca04

Zaczął w 2008 roku, poddając pod głosowanie tak zwaną Propozycję nr 11 – akt legislacyjny, który przeniósłby pod parasol obywatelskiej komisji kompetencje w sprawie tworzenia okręgów wyborczych do władz stanowych. Dwa lata później została przyjęta Propozycja nr 20, która taką samą zmianę wprowadzała odnośnie okręgów wyborczych do federalnej Izby Reprezentantów w Kongresie. Warto dodać, że proces powoływania członków samej komisji też starano się odpartyjnić, wprowadzając elementy losowe oraz cały szereg kryteriów geograficznych, żeby zapewnić odpowiednią reprezentację wszystkim grupom wyborczym w Kalifornii.

Obywatelska komisja „Arniego" szybko stała się jednym z najbardziej udanych eksperymentów społecznych we współczesnej amerykańskiej polityce. Rozpisywano się o niej w pracach naukowych, wskazywano jako przykład tego, co miało się nie udać, a okazało się relatywnie proste – wystarczyło zapytać o zdanie samych wyborców, a nie polityków z wieloletnim stażem, partyjne gerontokracje czy milionerów kształtujących partyjne działania zgodnie ze swoim komercyjnym interesem.

Problem w tym, że wystarczyło zaledwie piętnaście lat, żeby o tym osiągnięciu wszyscy w Kalifornii zapomnieli. Co poszło nie tak?

•

Łatwo byłoby powiedzieć, że winni temu są po prostu Donald Trump i MAGA – choć to tylko częściowe wytłumaczenie tak pesymistycznego stanu rzeczy. W sierpniu 2025 roku władze stanowe w Teksasie przyjęły własne, wytyczone od nowa mapy wyborcze, później zatwierdzone przez Sąd Najwyższy. Nie byłoby w tym niczego dziwnego, gdyby nie fakt, że zwyczajowo do powtórnej weryfikacji map dochodzi nie częściej niż raz na dekadę, a Teksas nie powinien był tego robić przez koleje pięć lat.

Liberałowie natychmiast wszczęli awanturę, twierdząc, nie bez racji, że to po prostu kolejny ruch prawicy próbującej zabetonować system wyborczy i pozbawić mniejszości realnej reprezentacji politycznej. A gra była warta świeczki, bo nowe granice wytyczono w tempie ekspresowym, nie ukrywając, że celem są wybory połówkowe, zaplanowane na listopad 2026.

Już latem widać było, że administracja Trumpa zaczyna prowadzić politykę, która z elektoralnego punktu widzenia jest w wielu punktach samobójcza. Szalona wojna celna podniosła ceny wielu podstawowych produktów spożywczych, uderzając przy tym w producentów rolnych i krajowych eksporterów. Galopująca automatyzacja i wielotysięczne zwolnienia w dużych korporacjach pogorszyły sytuację na rynku pracy, a, jak wynika z niedawnych badań opinii pracowni Pew Research, aż 80 procent Amerykanów bardziej obawia się wdrożenia sztucznej inteligencji na masową skalę, niż uważa ją za coś, co podniesie ich jakość życia. Awanturnictwo w polityce zagranicznej i odpychanie sojuszników, a przytulanie się do autokratów, naznaczone często jawną korupcją, też Trumpowi popularności nie przynosiło.

Od lipca ubiegłego roku będące dobrym wskaźnikiem nastrojów społecznych rynki predykcyjne – czyli na poły sondażowe, na poły hazardowe platformy, na których to użytkownicy obstawiają prawdopodobieństwo różnych zdarzeń – jednoznacznie wskazują, że to Demokraci w listopadzie przejmą kontrolę nad Izbą Reprezentantów.

Ludzie prezydenta, w tym lojalny wobec niego ultrakonserwatywny gubernator Teksasu Greg Abbott przyszli z pomocą, wytyczając na nowo całą mapę wyborczą tego stanu – w taki sposób, żeby zredukować do absolutnego minimum liczbę mandatów, które mogą zyskać tam Demokraci. Na nic protesty na ulicach, opór Demokratów, analizy prawne wskazujące na sprzeczność tego zabiegu z konstytucją – w listopadzie Sąd Najwyższy zatwierdził nowe granice okręgów.

FOT. /GREGORIO BORGIA/AP

Pytanie o to, czemu popularny, lubiany, skuteczny jako polityk i wpływowy gubernator Kalifornii nie zdołał zreformować największej patologii systemu wyborczego w USA, jest pytaniem o upadek amerykańskiego konserwatyzmu

Gavin Newsom, wyrastający już wtedy na główną nemezis Trumpa po stronie Partii Demokratycznej gubernator Kalifornii, stwierdził, że opozycja polegająca na krzyczeniu o łamaniu praw i norm na nic się już nie przyda – z demonem populizmu walczyć trzeba jego własnymi metodami. Zaproponował, że w swoim stanie, bastionie Demokratów, zrobi to samo, co Abbott w Teksasie – ze świadomością, że też niespecjalnie ma ku temu podstawy poza oczywiście interesem partyjnym i chęcią zablokowania Republikanów w taki sam sposób, w jaki Republikanie zablokowali Demokratów w Stanie Samotnej Gwiazdy.

•

Ponieważ coraz mniej autorytetów politycznych w Stanach Zjednoczonych, włącznie z dużo powściągliwszym od prominentnych koleżanek i kolegów z szeregów Demokratów Barackiem Obamą, ma jakiekolwiek wątpliwości co do zamiarów Trumpa i natury jego reżimu, inicjatywa Newsoma nie napotkała większego oporu w przestrzeni publicznej – za wyjątkiem Schwarzeneggera właśnie.

Były aktor na chwilę znów wcielił się w rolę polityka, publicznie krytykując następcę za ponowne upartyjnienie procesu wytyczania granic okręgów wyborczych. Użył dość prostych, czarno-białych argumentów: że nie wolno powtarzać błędów swoich oponentów, że traci na tym cała amerykańska demokracja, a przede wszystkim – zwykli ludzie. I brzmiał wiarygodnie – kiedy w CNN tłumaczył, dlaczego, mimo odrazy do wynaturzonego trumpizmu, wystąpił przeciwko Newsomowi, trudno było wyczuć w tym fałsz czy chęć obrony interesów partii, która jego samego wyniosła na szczyty władzy stanowej w Kalifornii. Co jednak nie zmienia faktu, że „Terminator" wykazał się nie lada naiwnością.

Żeby bowiem zrozumieć, co naprawdę stało się w Kalifornii i co było celem Newsoma, trzeba wczytać się w tekst tak zwanej Propozycji nr 50, czyli aktu prawnego podanego pod głosowanie w specjalnych wyborach w listopadzie 2025 roku. Już sam pełen tytuł projektu wskazuje intencje legislatorów. Poza formalnym, nadanym z urzędu numerem propozycja znana jest jako „Akt Odpowiedzi na Manipulowanie Wyborami". A proponowaną nową mapę wyborczą na listopadowe głosowanie połówkowe wytyczyli urzędnicy partyjni – co oznacza, że Newsom zabrał władzę obywatelskiej komisji stworzonej przez Schwarzeneggera.

Tyle tylko, że tymczasowo, bo w 2030 roku, przy okazji kolejnego spisu powszechnego, czyli zgodnie z kalendarzem prac legislatury stanowej, mapy zostaną narysowane po raz kolejny. I wtedy znowu zrobi to ponadpartyjny podmiot powstały za drugiej kadencji „Arniego". Krótko mówiąc, Newsom nie do końca zadziałał antydemokratycznie. Stworzył natomiast coś na kształt tarczy antytrumpowej, mającej chronić nie tylko jego stan, ale przede wszystkim cały amerykański ustrój demokratyczny przed autorytarnymi zapędami obecnej administracji.

Trudno w tym zabiegu nie doszukiwać się oczywiście drugiego dna – Newsom od kilku lat jest w topie potencjalnych kandydatów na prezydenta z ramienia Partii Demokratycznej. A w ostatnich miesiącach jego szanse znacznie wzrosły, bo jako jedyny stawiał się Trumpowi w sposób stanowczy, mówiąc często jego językiem. Przy czym nie zawsze było to maczystowskie wykrzykiwanie do mikrofonu czy też brutalna słowna walka – Newsom, być może jako jedyny Demokrata poza młodymi socjalistami spod znaku Zohrana Mamdaniego, rozsmakował się w ironii skrojonej na czasy platform społecznościowych i podcastów jako dominującej formy medialnej. A poddając pod głosowanie Propozycję nr 50., popartą przez zdecydowaną – ponad 64 procent – większość wyborców, jednoznacznie pokazał, że jest gotów bić się o całą Amerykę. Oraz – że to z Kalifornii może wyjść nowa jakość w polityce supermocarstwa.

W pewnym sensie więc zrobił to samo, co Schwarzenegger piętnaście lat wcześniej. Zaproponował rozwiązanie nowatorskie, odważne, idące pod prąd dominujących norm i percepcji polityki.

•

Z tą różnicą, że czasy zmieniły się diametralnie. O dzisiejszej Ameryce, przynajmniej z punktu widzenia polityki, trudno powiedzieć, że jest Ameryką czasów pokoju. Obie partie uważają siebie nawzajem za wrogów systemu, odmawiają sobie demokratycznej legitymizacji i prawa uczestnictwa w debacie publicznej. Z jednej strony w takich warunkach ciężko myśleć o inicjatywach ponadpartyjnych, które łączyłyby, zamiast dzielić. Ale z drugiej – może to właśnie jest najlepszy moment, by takie inicjatywy proponować?

78-letni Austriak z amerykańskim paszportem nadal jest przekonany, że na odpartyjnienie polityki czas zawsze jest dobry. Co prawda obecnie nieco ograniczył aktywność publiczną. Trochę z racji wieku, bardziej z wyboru, bo Schwarzenegger ewidentnie nie odnajduje się już wśród amerykańskich konserwatystów.

Ruch MAGA krytykuje od samego początku jego istnienia. Był jednym z pierwszych, którzy publicznie potępili atak na Kapitol z 6 stycznia 2021 roku. Tyle że jego krytyka trumpistów i samego Trumpa nigdy nie była agresywna, histeryczna, przerysowana, patetyczna. „Terminator" w kulturalnej formie i bez tiktokowo-instagramowych uproszczeń odwoływał się do podstawowych wartości, przez co jego krytyka nie przebijała się do masowej wyobraźni.

Przykład? Po tym, jak zwolennicy obecnego prezydenta szturmowali budynek federalnego parlamentu, zaatakowali policjantów i strażników, grozili śmiercią politykom Partii Demokratycznej i tym spośród Republikanów, których uznali za zdrajców, on spokojnie powtarzał to samo: że nie można dzielić narodu na „nas i ich", że agresywnie zwalczające się partie zabijają wspólnotę demokratyczną. Padały krytyczne słowa pod adresem brutalnego, pozbawionego skrupułów populizmu, za pomocą którego Trump przejął kontrolę nad Partią Republikańską.

Ale „Arnie" cały czas mówił o sporze demokratycznym. Jakby wciąż wierzył, że wszyscy, włącznie z alt-rightem i sprzymierzonymi z nim, rosnącymi w siłę piewcami Mrocznego Oświecenia oraz potężnymi technomonarchistami, szanują przeszło dwustuletnie reguły gry.

I z tego powodu ostatnie lata Schwarzeneggera jako osoby publicznej są godne uwagi. Dalej zajmuje się tematami, które były mu bliskie w czasach szczytowej aktywności politycznej: walka z katastrofą klimatyczną, kultura fizyczna, język polityki i sposób prowadzenia kampanii, zaangażowanie obywatelskie. Znakiem czasów jest jednak fakt, że więcej rzeczy robi w Europie niż w Stanach Zjednoczonych, bardziej widać go w Starym, niż w Nowym Świecie.

1 RP

eprasa.pl bce484ca04

• **Dla Schwarzeneggera Ronald Reagan – aktor, który odniósł sukces w polityce – zawsze był wzorem. Tu razem z prezydentem USA na Konwencji Partii Republikańskiejw Dallas w Teksasie (23.08. 1984)** FOT. BIAŁY DOM

W Wiedniu zorganizował w ubiegłym roku własną konferencję o niskoemisyjności. Wybór miejscówki logiczny – poruszając takie tematy nawet w Kalifornii, naraziłby się na bardzo personalne ataki ze strony Trumpa i MAGA, na co ewidentnie nie ma ochoty. Prowadzenie własnego instytutu na University of Southern California też już nie jest jego priorytetem. Owszem, bywa tam i udziela się dość regularnie – ale sama instytucja jest uśpiona, nie udało się jej ewoluować w prężne centrum analityczne istniejące w publicznej świadomości.

Z takiej perspektywy trudno nie dojść do wniosku, że Arnold Schwarzenegger, kolejny aktor, który pod kalifornijskim słońcem i ze wsparciem konserwatystów chciał przebudować Amerykę, w przeciwieństwie do poprzednika – Ronalda Reagana – poniósł klęskę.

Ile w tym jego własnej winy? Trudno zarzucić mu omylność czy lenistwo. Przypadek Donalda Trumpa, tak samo, jak właśnie Reagana czy wcześniej Roosevelta, każą sądzić, że wybitne jednostki są w stanie przemeblować amerykański system tylko wtedy, kiedy działają na granicy zasad lub otwarcie je łamią bez oglądania się na konsekwencje. Schwarzenegger miał słuch społeczny i intuicję, stawiał trafne diagnozy i dawał dobre recepty, lecz był przez całą karierę typem reformatora, a nie rewolucjonisty, wolał budować organiczne struktury niż burzyć stare, skostniałe.

Tak naprawdę pytanie o to, czemu ostatecznie popularnemu, lubianemu, cenionemu w obu partiach oraz – co pokazał na poziomie stanowym, nie byle jakim, bo niepodległa Kalifornia z miejsca załapałaby się do pierwszej dziesiątki państw świata – skutecznemu, odpartyjnienie systemu wyborczego w Kalifornii udało się co najwyżej w stopniu umiarkowanym, jest pytaniem o upadek amerykańskiego konserwatyzmu.

Patrząc w szerszym ujęciu, od razu można zobaczyć, że Schwarzenegger miał po prostu historycznego pecha.

Jego kariera przypadła na początek rozkładu, również instytucjonalnego, tradycyjnych Republikanów, wewnętrzną przemianę prawicy w alt-right, wyczerpanie się elit i upadek wspólnego dyskursu, także tego moralnego. Zaczynał urzędowanie jako gubernator, kiedy prezydentem był George W. Bush, wysyłający dziesiątki tysięcy żołnierzy na tak zwane „wieczne wojny". Spośród których wojna w Iraku była całkowicie zbędna i katastrofalna – setki tysięcy zabitych cywilów, zniszczone perspektywy życiowe kolejnych setek tysięcy, narastające rozczarowanie i nienawiść do Zachodu w całym świecie arabskim, pośrednio powstanie tak zwanego Państwa Islamskiego, fala uchodźców – dla Bliskiego Wschodu, Ameryki i Europy.

Wraz z rozkręcaniem się, już na dobre po chwilowym załamaniu tak zwanej bańki dotcomów na przełomie wieków, zaczynał się kryzys tradycyjnych mediów, zawsze dla konserwatystów ważnych. Parę lat później na skutek wielkiego krachu finansowego z 2008 roku i uratowania skompromitowanych banków kosztem milionów zwykłych obywateli spadło zaufanie do instytucji publicznych.

Zaczynała się, motywowana wojną z terroryzmem, wpierw Al-Kaidy, potem ISIS, militaryzacja życia publicznego, szpiegowanie własnych obywateli, a przy okazji polowanie na wrogów republiki na każdym kroku. Wielu komentatorów, patrząc dzisiaj na Trumpa, stwierdza, że uwerturą do jego autorytarnego przewrotu było właśnie osiem lat Busha juniora w Białym Domu i skutki reform, które przeprowadził – na czele z ustanowieniem Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i ICE, słynącej dziś z brutalności policji imigracyjnej.

Pozbawiony takich zapędów, wolny od wpływów religijnych i tożsamościowych Austriak z przeszłością w Hollywood i wielkim zapałem do wciągania zwykłych ludzi do polityki czy instytucji publicznych zwyczajnie nie mógł odnieść spektakularnego sukcesu w takim otoczeniu. On wierzył, że może być coraz jaśniej, gdy wokół zbierały się czarne chmury.

Optymizm wrócił na chwilę, kiedy wygrał Obama i wydawało się, że militarno-konserwatywny zwrot był tylko epizodem na drodze liberalizacji – choć dzisiaj wiadomo, że dla wielu konserwatystów to był rzeczywiście moment przełomowy, ale w drugą stronę. Wydobył najgorsze – rasistowskie, szowinistyczne czy darwinistyczne – instynkty, zmotywował do kontrrewolucji, która dzisiaj zbiera często śmiertelne żniwo. Początki tych zjawisk sięgają pierwszej dekady XXI wieku, czyli czasu, w którym Schwarzenegger chciał eksperymentować z demokracją obywatelską.

Czy się sparzył? Trudno powiedzieć, wszak z życia publicznego całkowicie się nie wycofał. Jednak w starciu pomiędzy Terminatorem a partiami politycznymi to partie odniosły zwycięstwo. Trudno o lepsze podsumowanie amerykańskiej rzeczywistości – skoro coraz radykalniejszych Demokratów i Republikanów nie pokonał nawet najsilniejszy człowieka świata, czy ktokolwiek będzie w stanie to zrobić? ●

REKLAMA
Kraj/34423354

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ E-BOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
www.wydawnictwoagora.pl
Wydawnictwo Agora

1 RP

eprasa.pl bce484ca04

NOWA MUTTI

Następnym prezydentem Niemiec ma zostać kobieta. Są dwie wyraźne faworytki, które jednak mają politycznych przeciwników. Może je pogodzić ktoś trzeci.

Bartosz T. Wieliński

Nowy rozdział historii Niemiec zapisany zostanie przedpołudniem w sobotę 30 stycznia 2027 r., gdy rozpoczną się obrady Zgromadzenia Federalnego. W sali obrad pod kopułą w gmachu Reichstagu zasiądzie 1260 osób. Połowę będą stanowić posłowie do Bundestagu, niemieckiego federalnego parlamentu, resztę delegaci wyłonieni przez 16 landtagów, czyli parlamentów niemieckich landów.

Ze względu na sporą liczbę potrzebnych elektorów z niemieckiej prowincji landtagi delegują ludzi spoza grona czynnych polityków. Do Berlina pojedzie więc kohorta celebrytów z krajowej i lokalnej ligi, dając w ten sposób pożywkę kolorowej prasie i paparazzim. Organizowana co pięć lat sesja zgromadzenia to jedyna sposobność, by w sali spotkały się gwiazdy telewizji, piosenkarze, pisarze, znani sportowcy i wpływowi biznesmeni. W tej grupie będą też emerytowani politycy skrzętnie wykorzystujący rzadkie okazje, by przypomnieć o swoim istnieniu i ogrzać się w światłach kamer.

Zadaniem Zgromadzenia Federalnego jest wybranie w maksymalnie trzech turach prezydenta. Druga i ostatnia pięcioletnia kadencja socjaldemokraty Franka-Waltera Steinmeiera na tym stanowisku kończy się bowiem w marcu przyszłego roku. Choć do wyborów został rok, o następnym lokatorze Pałacu Bellevue, berlińskiej rezydencji federalnego prezydenta, sporo wiadomo. Po raz pierwszy w historii będzie kobietą. Co do tego zgadza się cały niemiecki mainstream.

Prezydentka Niemiec Karin Prien?

W Zgromadzeniu Federalnym większość będą mieli chadecy. Dlatego media od tygodni piszą o trwających w CDU i jej bawarskiej, bardziej konserwatywnej siostry CSU poszukiwaniach nowej głowy państwa.

W tym kontekście bardzo często wymienia się Karin Prien, 60-letnią prawniczkę z Hamburga, która przez osiem lat odpowiadała za oświatę, kulturę i naukę w rządzie Szlezwiku-Holsztyna, a od 2025 r. jest ministrą ds. kształcenia, rodzin, kobiet, seniorów i młodzieży w rządzie kanclerza Fredricha Merza. To bardzo szerokie, niespotykane wcześniej portfolio, dlatego jej resort określa się mianem superministerstwa ds. społecznych. Prien odpowiada w rządzie za wspieranie rodzin, zakładanie nowych przedszkoli i walkę z kryzysem demograficznym, a także digitalizację szkół (Niemcy mają tu olbrzymie zapóźnienia), umacnianie równouprawnienia płci i opiekę nad seniorami – to ostatnie w szybko starzejącym się niemieckim społeczeństwie jest sprawą wagi państwowej.

Przełomu na żadnych z tych pól ministra nie osiągnęła, media piszą o niej oszczędnie i bez emocji. Ale trzeba pamiętać, że resort rodziny ma w niemieckim rządzie szczególne znaczenie. Stworzono go w latach 50. Kanclerzem był Konrad Adenauer, który na czele ministerstwa postawił mężczyznę – Franza-Josefa Wuermelinga, zażartego przeciwnika równouprawnienia. Dopiero dekadę później na czele resortu stanęła kobieta – Aenne Brauksiepe, a tekę tę zwyczajowo przyznawano potem tzw. paprotkom, kobietom, które wchodziły do rządu, by uciszyć szemranie, że krajem rządzą wyłącznie roztyci podstarzali panowie.

• KANDYDATKA NR 1. Karin Prien (60 l.) prawniczka z Hamburga, od 2025 r. ministra ds. kształcenia, rodzin, kobiet, seniorów i młodzieży w rządzie kanclerza Fredricha Merza.

Jedną z nich była w 1990 r. Angela Merkel mianowana przez Helmuta Kohla, dla której jednak ministerstwo ds. rodziny stało się trampoliną do wielkiej politycznej kariery. W 2005 r. resort objęła Ursula von der Leyen, dziś szefowa Komisji Europejskiej. Czy za rok minister Prien przeniesie się z biurowca przy Glinkastrasse w śródmieściu Berlina do Pałacu Bellevue?

Strażniczka kultury pamięci

Jest pewien czynnik, który może na tym zaważyć. Karin Prien jest Żydówką, prawnuczką właściciela wielkiego domu towarowego w Düsseldorfie. Część jej rodziny w latach 30. XX w. uciekła przed antysemickimi prześladowaniami do Holandii i tam w ukryciu przeżyła wojnę. Ci, którzy zostali w Niemczech, zginęli w komorach gazowych. Prien przyszła na świat w Amsterdamie. Do Niemiec wróciła z rodziną jako mało dziecko. O swoich żydowskich korzeniach milczała praktycznie przez całe życie. Niemcy o jej pochodzeniu dowiedzieli się dopiero w 2018 r. Na oficjalnym portrecie nosi naszyjnik z gwiazdą Dawida. Jest pierwszą osobą o żydowskich korzeniach w niemieckim rządzie federalnym od ponad 75 lat. W niemieckiej historii żaden Żyd nie stał na czele konstytucyjnej instytucji.

Mogłoby się wydawać, że w czasie, gdy Izrael popełnia zbrodnie w Strefie Gazy i do spółki z USA wywołuje wojnę z Iranem i globalny kryzys paliwowy, powoływanie się na żydowskie korzenie nie jest dobrym pomysłem. Ale w powojennych Niemczech ma to zupełnie inne konotacje. Chodzi nie o Izrael, ale o część niemieckiego społeczeństwa, którą w III Rzeszy pozbawiono praw publicznych, a potem zaczęto unicestwiać. Izraelscy politycy ze zdumieniem, a często irytacją odnotowywali fakt, że niemieccy Żydzi, którzy przetrwali gehennę w Niemczech, nie chcieli emigrować do Izraela. Holocaust to główny element niemieckiej kultury pamięci (*Erinnerungskultur*), która determinuje niemiecką politykę. Losy rodziny Prien i jej samej w to uwarunkowanie się wpisują.

Jeszcze jedna kwestia: niemieccy Żydzi od pokoleń pilnują niemieckiej demokracji, alarmują, gdy reszta społeczeństwa nie słyszy rasistowskich inwektyw lub odwraca oczy podczas ekscesów ekstremistów. Polityczny klimat się pogarsza, wzrasta przemoc, skrajna prawica nie kryje, że chce w kraju władzy, w tym roku ma szanse przejąć rządy Saksonii i Meklemburgię-Pomorze Przednie. Można założyć, że Prien, gdyby została prezyden-

eprasa.pl bce484ca04

FOT. SOEREN STACHE/PAP/DPA, SVEN HOPPE/DPA, KAY NIETFELD/PAP/DPA

1 RP

tem, będzie się przeciwstawiać tym niepokojącym procesom.

Prezydentka z technikum

Ale jest też inna poważna chadecka kandydatka. To przewodniczą bawarskiego landtagu Ilse Aigner. Jest rok starsza od Prien, ale w przeciwieństwie do niej karierę polityczną zaczynała na samym dole, od zdobycia mandatu gminnej radnej w Feldkirchen-Westerham, 20-tysięcznej miejscowości w Górnej Bawarii. Jej ojciec był tam elektrykiem, jej marzyła się kariera astronautki i misja na Księżyc. Nie skończyła jednak gimnazjum, czyli niemieckiego odpowiednika liceum, i przeniosła się do technikum. Tam pod okiem ojca, w którego warsztacie odbywała praktyki, uzyskała uprawnienia elektrotechnika zajmującego się naprawą radioodbiorników i telewizorów. W 1998 r. zdobyła mandat do Bundestagu, w 2008 została ministrą ds. rolnictwa i żywności. Ale po pięciu latach postanowiła wrócić z Berlina do Bawarii. Weszła do krajowego rządu jako wicepremier i minister gospodarki. Od 2018 kieruje pracami parlamentu najbogatszego landu Niemiec.

To, że wywodzi się nie z prawniczej elity, tylko z rzemieślniczej rodziny, działa na jej korzyść, bo zbliża Aigner do ludzi. Pochodzenie, a także wyważony, niekonfrontacyjny styl robienia polityki pokazują, że Aigner może łączyć coraz mocniej polaryzujących się Niemców. Zwolennicy jej kandydatury podkreślają, że do wszystkiego doszła ciężką pracą, nie uczestniczyła w politycznych intrygach, robiła, co trzeba. A do tego pochodzi z potężnego landu, którego przedstawiciel nigdy nie stanął na czele konstytucyjnej instytucji. Bawarscy politycy, choć nie kryli ambicji, zostawali co najwyżej wicekanclerzami.

Tylko czy Aigner nadawałaby się na matkę narodu, skoro sama matką nie jest, nie ma nawet męża? W 2017 r. prasa rozpisywała się o rozpadzie jej długoletniego związku. Pojawiły się plotki, że jest lesbijką, którym Aigner stanowczo zaprzeczała. W innych częściach Niemiec nie miałoby to żadnego znaczenia, bo homoseksualni politycy zasiadali nawet we władzach CDU, ale Bawaria jest bardziej konserwatywna.

Za Merkel było lepiej

Postulat, by to kobieta została głową państwa, jako pierwsi w zeszłym roku zgłosili czołowi politycy Partii Zielonych. I od razu zaproponowali kandydatkę: Angelę Merkel, przywódczynię CDU, pierwszą w historii kobietę kierującą niemieckim rządem, która stanowisko piastowała przez 16 lat, czterokrotnie wygrywając wybory do Bundestagu. Merkel jako kanclerz szybko zyskała miano Mutti, matki narodu, bo potrafiła łagodzić niemieckie lęki przed zmieniającym się światem. Kandydatura wydawała się obiecująca.

Od jej ustąpienia z urzędu minęły cztery lata, czas wystarczająco długi i burzliwy (rząd jej następcy, socjaldemokraty Olafa Scholza się zawalił i rok temu ogłoszono przedterminowe wybory), by ludzie zapragnęli powrotu statecznej przywódczyni. Podjęta przez nią jesienią 2015 r. decyzja o wpuszczeniu do Niemiec idących szlakiem bałkańskim uchodźców i imigrantów – najbardziej dramatyczna w jej kadencji, która dosłownie przeorała niemiecką świadomość i wyciągnęła na powierzchnie ksenofobiczne demony – jakoś zaczęła się w społecznej pamięci zacierać. Większość Niemców uważa, że za Merkel żyło się lepiej. Średnio co czwarty badany za Mutti wręcz tęskni.

• KANDYDATKA NR 2. Ilse Aigner (61 l.) Od 1998 r. w polityce krajowej, w 2012 r. wróciła do polityki lokalnej. Od 2018 r. kieruje pracami parlamentu Bawarii

Czy to normalna kolej rzeczy, że przeszłość wydaje się ludziom lepsza od współczesności? A może kolejne niemieckie rządy gorzej sobie radzą? Czy wreszcie po prostu historia przyspieszyła za bardzo?

Problem w tym, że 70-letnia Merkel do polityki wracać nie chce. – To absurdalne – skomentowała pomysł swej kandydatury. Nie da się jednak ukryć, że Merkel wyznaczyła Niemkom standard politycznej kariery. Od „paprotki" w rządzie Helmuta Kohla, która nieustannie musiała się zmagać z mizoginią patrona (po latach powie o niej, że nie potrafiła się posługiwać nożem i widelcem) i udowadniać męskim koteriom, że ma niezbędne kwalifikacje, by kierować partią, a potem krajem. Jej politycznymi wrogami byli bowiem wyłącznie mężczyźni, na liście są nazwiska zarówno polityków CDU, jak i Putina oraz Trumpa. Przyszła niemiecka prezydentka też będzie musiała pokazać, że nie jest „paprotką".

• KANDYDATKA NR 3. Julia Klöckner (54 l.) działaczka CDU z Nadrenii-Palatynatu. Obecnie jest przewodniczącą Bundestagu, czyli drugą osobą w państwie

Gdzie dwie się biją?

Kandydatury Prien i Aigner nie są do końca pewne. Superministra ma wrogów w SPD, którym nie podobają się jej zbyt konserwatywne poglądy (odrzuciła m.in. postulaty wprowadzenia języka neutralnego płciowo). Bez poparcia lewicy los kandydatury będzie w Zgromadzeniu Federalnym niepewny. Aigner ma zaś problem na własnym podwórku. Następnym kanclerzem chciałby zostać bawarski premier Marcus Söder, a federalna polityka nie wytrzyma dwojga Bawarczyków na kluczowych urzędach w państwie. Söder, by nie zamykać sobie drogi do Urzędu Kanclerskiego, może kandydaturę partyjnej koleżanki utrącić.

Co w takiej sytuacji? Jest i trzecia kandydatka, Julia Klöckner, 54-letnia działaczka CDU z Nadrenii-Palatynatu, obecnie przewodnicząca Bundestagu, czyli druga osoba w państwie. Klöckner jest wojownicza, wie, czego chce, nie odpuszcza posłom łamiącym podczas obrad regulamin czy dobry obyczaj. Ma wyraziste chadeckie poglądy, nie szuka na siłę kompromisów, co zresztą nie wszystkim się podoba. Tylko czy przesiadka do pałacu prezydenckiego, i to w trakcie kadencji, dobrze by wyglądała?

W Niemczech prezydent nie ma – tak jak jego polski odpowiednik – prawa wetowania ustaw według własnego widzimisię i aktualnych politycznych sympatii. Może odmówić podpisania ustawy, gdy stwierdzi, że przyjęto ją z naruszeniem prawa lub że ustawa prawo narusza. W historii zjednoczonych Niemiec na ponad 6 tys. przyjętych ustaw zdarzyło się to tylko siedem razy. Niemiecki prezydent pełni więc funkcje ceremonialne i reprezentacyjne, a jego głównym politycznym atrybutem są charyzma i autorytet. Jest ojcem narodu, chwali go, gdy odnosi sukcesy i napomina, gdy skręca w złą stronę.

Większość Niemców uważa, że za czasów Angeli Merkel żyło się lepiej. Średnio co czwarty badany za Mutti wręcz tęskni.

Niewygodna polityczna przeszłość

Z autorytetem bywało różnie, bo niemiecka prezydentura przeżywała w ostatniej dekadzie złe chwile. W 2010 r. z urzędu niespodziewanie zrezygnował Horst Köhler, przesadnie reagując na krytykę medialną wypowiedzi o możliwości używania wojska do obrony interesów gospodarczych Niemiec. Jego następca Christian Wulff odszedł z urzędu po dwóch latach w atmosferze skandalu. Wyszło na jaw, że dzwonił z pogróżkami do naczelnego tabloidu „Bild", który zamierzał opublikować materiał o jego drugiej żonie, zarzucając jej, że w młodości była luksusową prostytutką. Naczelny leciał akurat do USA, miał wyłączony telefon, prezydent nagrał mu się na pocztę głosową... Urząd prezydenta stabilizował pastor Joachim Gauck, były enerdowski opozycjonista, który po zjednoczeniu kierował urzędem lustrującym dawnych współpracowników Stasi. Z powodów zdrowotnych nie ubiegał się o drugą kadencję.

W 2017 r. zastąpił go Frank Walter Steinmeier. Pochodzący z Dolnej Saksonii polityk przez kilkanaście lat tworzył niemiecką politykę zagraniczną, najpierw jako szef urzędu kanclerskiego za czasów socjaldemokraty Gerharda Schrödera, potem jako szef MSZ za rządów jego rywalki, chadeczki Angeli Merkel.

Potem jednak polityczna przeszłość zaczęła mu ciążyć. Niespełna dwa tygodnie po wyborze na drugą kadencję, 13 lutego 2022 r., Rosja napadła na Ukrainę. Steinmeier był w szoku. Jako szef urzędu kanclerskiego u Schrödera był architektem bezprecedensowego zbliżenia Berlina i Moskwy i zacieśniania gospodarczych więzi, czego symbolem stały się łączące Rosję i Niemcy gazociągi Nord Stream, ułożone na dnie Bałtyku, omijające Polskę i Ukrainę.

Za czasów Steinmeiera współpraca kwitła, mimo że Rosja coraz wyraźniej zbaczała z demokratycznej ścieżki. Schröder zbywał przestrogi, mówiąc, że Władimir Putin jest demokratą bez skazy. Merkel niby Putina krytykowała, ale bez przekonania i konsekwencji. A Rosjanie przez lata budowali w Niemczech sieć agentów wpływu. W czasach, gdy Steinmeier był prezydentem, grupa polityków socjaldemokracji miesiącami blokowała wysyłanie Ukrainie ciężkiego sprzętu. Schröder, skompromitowany współpracą z Rosją, publicznie o wybuch wojny obwiniał Ukraińców.

To dziedzictwo kładzie się cieniem na Steinmeierze. Zarzuty, że odpowiada za wybuch wojny, są absurdalne, ale przecież to dzięki rozbudowanym przy jego udziale gospodarczym powiązaniom Rosja dostała pieniądze i technologie do stworzenia wojennej machiny. Polityki zbliżenia z Kremlem Steinmeier bronił przecież praktycznie do końca. Po wybuchu wojny publicznie się za to kajał i przyznawał do błędu, choć Ukraińcy długo go za przeszłość piętnowali, a gdy kilka miesięcy po rosyjskiej napaści chciał odwiedzić Kijów, pokazali mu drzwi. Ojcowski autorytet głowy państwa wyraźnie osłabł.

Wiadomo, że dla następczyni wyzwaniem będzie nie Rosja, ale podziały w niemieckim społeczeństwie. Alternatywa dla Niemiec (AfD) z amerykańskim wsparciem idzie po władzę, sieje nienawiść, sięga po nieakceptowalny wcześniej rasistowsko-nacjonalistyczny wokabularz. Pytanie, czy to kobiety uratują Niemców przed tym, co najgorsze, jest otwarte. ●

eprasa.pl bce484ca04

BAWIĆ, NIE ZBAWIĆ

• Serial „Ołowiane dzieci" z Joanną Kulig w roli głównej – jedna ostatnich z polskich produkcji Netflixa. Chętnie oglądana, ale także szeroko komentowana

FOT. NETFLIX

Nasza strategia się nie zmieniła: raczej inwestujemy i budujemy, a nie kupujemy, choć można uznać, że kwestia Warner Bros. była sporym odstępstwem od tej reguły.

Z **GREGIEM PETERSEM*** CEO NETFLIXA ROZMAWIAJĄ **ANDRZEJ KULASEK i ROMAN IMIELSKI**

ANDRZEJ KULASEK. Jakie są twoje ulubione polskie produkcje Netflixa?
– Na szczycie listy jest zdecydowanie „Heweliusz". Bardzo podobały mi się też „Ołowiane dzieci", no i „1670".

A.K.: Mimo że jest dość specyficzny, ze względu na historyczne i społeczne konteksty, zrozumiały dla węższego grona odbiorców, głównie z Polski?
– Jasne, jest osadzony w pewnym momencie historycznym, ale porusza bardzo uniwersalne, wspólne kwestie, takie jak: klasizm, kwestie płci, problem przemian kulturowych i społecznych.

ROMAN IMIELSKI: Skoro już o polskich odbiorcach... Wasza oferta dotycząca kupna Warner Bros. Discovery była tu szeroko komentowana, ponieważ mówimy o TVN, którego WBD jest właścicielem. Oferta Netflixa nie obejmowała jednak stacji telewizyjnych. Dlaczego? Nie wierzycie w tradycyjną telewizję?
– Tradycyjna telewizja wygląda bardzo różnie w różnych krajach na świecie. Nasza perspektywa telewizji opierała się głównie na tym, co proponowali szefowie Warner Brothers Discovery, a ci uważali, że oddzielenie tego starszego segmentu de facto zwiększy wartość studia i streamingu, który pozostał, a którym ostatecznie byliśmy zainteresowani. Nie jesteśmy operatorem telewizji linearnej, nie wiemy, jak to dobrze robić. Jasne, nigdy nie mów „nigdy", ale doszliśmy do wniosku, że w tej dziedzinie raczej nie osiągniemy sukcesu. Przystaliśmy na pomysł, by rozdzielić te segmenty, co pozwoliłoby nam się skupić na streamingu studyjnym.

R.I.: Jaką więc widzisz przyszłość telewizji linearnej?
– To jest bardzo uzależnione od konkretnych rynków. Są nie tylko takie, gdzie przejście na treści dostarczane przez internet, na żądanie, jest już na bardzo zaawansowanym etapie, ale i takie, gdzie silną pozycję wciąż ma telewizja tradycyjna. To właśnie Polska, to Brazylia, to Japonia wreszcie. I to się jeszcze przez długo czas nie zmieni. Trudno mi coś prognozować, ale jestem prawie pewien, że ktoś będzie oglądał taką telewizję za 10 lat.

R.I.: Aż w końcu połkną ją Netflix i inne platformy streamingowe?
– Nie myślę o tym w ten sposób. To raczej kwestia rozwoju technologii i możliwości, jakie to daje, jeśli chodzi zarówno o produkcję czy dystrybucję treści, jak i zasadniczo dla naszego życia. To jest nieuniknione. Czy w niektórych przypadkach tworzymy alternatywę dla telewizji? Na pewno, ale to ma sens i jest uczciwe. Dla nas to kwestia raczej wykorzystania tych możliwości, by dostarczać naszym subskrybentom jak najlepszy towar i zaoferować im coś, czego bardziej chcą i co wybiorą.

A.K.: Na przykład sport? Próbujecie sił w relacjach na żywo, pokazywaliście mecze NFL czy walkę Jake'a Paula z Anthonym Joshuą. To jest kierunek, w którym pójdzie Netflix? Relacje z Formuły 1, Ligi Mistrzów, rozgrywek ligowych?
– Wydarzenia „na żywo" są dodatkiem do naszej głównej oferty, czyli streamingu na żądanie. Próbujemy różnych rzeczy w zakresie transmisji na żywo, w tym niektórych wydarzeń sportowych, i odkryliśmy, że wiele trafia w gust naszych widzów.

Z drugiej strony z rozgrywkami ligowymi jest taka sprawa, że ich fani śledzą je cały czas, na okrągło, co oznacza, że ten, kto ma prawa transmisyjne, ma też dużą władzę, siłę nacisku, trzeba więc zapłacić sporo pieniędzy, aby uzyskać dostęp do tych sportów.

Dlatego musimy uważać, by ci, którzy subskrybują Netflixa, a nie chcą oglądać danych rozgrywek, nie ponosili dodatkowych kosztów, by jakaś inna grupa naszych widzów mogła oglądać relacje. Z drugiej strony to wszystko musi być też opłacalne dla naszej firmy. Myślę więc, że będziemy się uczyć eksplorować różne możliwości, ale nie sądzę, żebyśmy weszli do sportu wielkiej ligi, bo jeszcze nie wymyśliliśmy, jak rozwiązać te problemy. Zobaczymy. Ale jesteśmy przy dużych wydarzeniach, jak choćby piłkarskie mistrzostwa świata kobiet [Netflix podpisał z FIFA umowę na wyłączność transmisji finałowych rozgrywek mistrzostw świata w piłce nożnej kobiet w 2027 i 2031 roku, które pokaże widzom w USA i Kanadzie].

R.I.: Więc jak chcecie konkurować o widzów z innymi platformami streamingowymi? Tym bardziej że ludzie mają coraz mniej czasu na oglądanie, a może i coraz mniej pieniędzy do wydania? Sami mamy w „Wyborczej" model subskrypcyjny, więc wiemy, że to niełatwe zadanie.
– I jak wam idzie?

R.I.: Chyba nieźle, mamy obecnie ponad 300 tys. subskrybentów.
– Ponieważ dajecie ludziom opowieści, które chcą czytać. O to w tym chodzi, dlatego odnosisz sukces, a czytelnicy dostrzegają wartość w tym, co robicie, i są gotowi za to zapłacić. Z nami jest podobnie. To, co dostajemy z subskrypcji, chcemy inwestować tak, by sprostać oczekiwaniom widzów. Opowiedzieć im niezwykłe historie w niezwykły sposób. Musimy robić to najlepiej, jak umiemy, żeby na tę miesięczną subskrypcję zasłużyć.

R.I.: Macie obecnie ponad 325 mln subskrybentów. Widzicie jakąś granicę ich pozyskiwania? Czy „sky is the limit"?
– Powiedziałbym, że odpowiedź na to pytanie, niezbyt wyrafinowana, ale emocjonalnie istotna, brzmi: „W głębi duszy powtarzamy sobie, że naszą misją jest dostarczanie rozrywki światu". Chcielibyśmy więc, aby w pewnym momencie każdy człowiek na tej planecie miał dostęp do Netflixa.

A teraz zejdziemy na ziemię... Kiedy określamy potencjał rynkowy, musimy brać pod uwagę wiele czynników. Czy macie coś, na

eprasa.pl bce484ca04

czym można to obejrzeć? Czy macie telewizor Smart TV? Czy macie dostęp do danych, np. do niedrogiego planu internetowego, za pomocą którego można przesyłać strumieniowo treści? Czy macie możliwość za to zapłacić?

Biorąc to wszystko pod uwagę, uważamy, że w stosunku do tego, co jest dzisiaj, możemy te liczby podwoić. A ten potencjał wciąż rośnie, a co za tym idzie, mamy coraz więcej przestrzeni na rozwój. Przez ten rozwój rozumiemy nie tylko liczbę gospodarstw domowych, które korzystają z Netflixa, ale także porównanie – ile razy w stosunku do naszych konkurentów, którzy również mają mocną ofertę, zrobiliśmy dobrą robotę dla tych, którzy szukali rozrywki i wybrali nas. To takie momenty prawdy.

W Polsce odpowiadamy za 2,3 proc. czasu, jaki spędzacie na oglądaniu telewizji. Gdyby udało się to podwoić, byłoby kapitalnie. A przecież na każdym rynku, na którym działamy, mamy mniej niż 10 proc.

R.I.: A jaki jest obecnie najważniejszy rynek dla Netflixa? Ameryka Północna, Azja, Europa?
– Masz dzieci?

R.I.: Tak.
– A które bardziej kochasz? Każdy rynek jest dla nas istotny. Mamy te bardzo dojrzałe, jak USA, Kanada, Wielka Brytania. Mamy sporo wschodzących, np. w Azji, a co za tym idzie, większe możliwości wzrostu. Może dobrą odpowiedzią na to pytanie będzie zapewnienie, że dlatego staramy się mieć silne zespoły na całym świecie, żebyśmy nie musieli podejmować decyzji z krzywdą dla kogokolwiek, że stawiamy na Stany, nie na Polskę.

A.K.: Właśnie, Polska. Czemu tak mocno na nią stawiacie? Nowe biuro, hub technologiczny, a w sumie w ciągu 10 lat zainwestowaliście tu 3 mld zł. Co jest w Polsce takiego wyjątkowego?
– Okazuje się, że jest tu wielu inteligentnych, naprawdę dobrych fachowców. Przynajmniej ja byłem na tyle inteligentny, żeby to zauważyć. Nie muszę być mądrzejszy od ludzi tutaj, ale jestem na tyle inteligentny, żeby zauważyć, że oni są inteligentni. Naprawdę byliśmy pod wrażeniem ich talentu. Na pewno widzieliście liczby, wiecie, że w ciągu następnego roku zamierzamy zatrudnić 200 inżynierów i specjalistów, już teraz mamy w warszawskim biurze ponad 300 pracowników..

A co wyjątkowego jest w Polsce? Wiele wspaniałych historii do opowiedzenia. Niedawno spotkałem się z Tomaszem Kolankiewiczem, dyrektorem FIN-y [Filmoteki Narodowej – Instytutu Audiowizualnego], rozmawialiśmy m.in. o Andrzeju Wajdzie i filmach, które widziałem kilkadziesiąt lat temu, „Ziemi obiecanej", „Popiele i diamencie" [Netflix wesprze program rozwoju metod zachowania i konserwacji taśm filmowych z najważniejszymi polskimi produkcjami]. To niezwykłe opowieści, których macie mnóstwo. Podobnie jak twórców, z którymi chcemy współpracować.

FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

Greg Peters: W Polsce odpowiadamy za 2,3 proc. czasu, jaki spędzacie na oglądaniu telewizji. Gdyby udao się to podwoić, byłoby kapitalnie. A przecież na każdym rynku, na którym działamy, mamy mniej niż 10 proc.

R.I.: A co z rynkiem rosyjskim?
– Cóż, powiedziałbym, że naszym celem jest dostarczanie rozrywki całemu światu, ale być może nie cały świat jest gotowy na naszą rozrywkę lub nie czujemy, że warunki są ku temu odpowiednie. Byliśmy jedną z pierwszych firm, które opuściły Rosję po inwazji na Ukrainę, i do tej pory tam nie wróciliśmy. I niestety, biorąc pod uwagę to, co się dzieje, nie sądzę, żeby to się miało wkrótce zmienić. Wspieramy oczywiście ukraińskich twórców, a nasze usługi są dostępne w Ukrainie...

R.I.: I są bardzo popularne, także wśród żołnierzy na linii frontu.
– Dla nich to okazja, aby trochę odetchnąć od tego, z czym muszą się zmagać na co dzień. Ale jak mówiłem, z naszej strony staramy się szczególnie pomóc ukraińskim twórcom, choćby dzięki programom stypendialnym, także tym, którzy musieli opuścić ojczyznę.

R.I.: A Chiny?
– W mojej ocenie chiński rząd tak naprawdę nie chce, żebyśmy tam byli, to chyba najkrótsza odpowiedź. Często odwiedzałem Chiny, próbowałem znaleźć sposób na wprowadzenie tam naszych usług, ale w formie, która by nam odpowiadała, czyli w ofercie dość szerokiej biblioteki bez cenzury i tym podobnych rzeczy. Nie udało się tego osiągnąć.

R.I.: Sytuacja polityczna w Ameryce ma jakikolwiek wpływ na waszą działalność?
– Współpracujemy z każdym rządem w każdym kraju, w którym działamy. Myślę, że zadajesz bardzo konkretne pytanie, ale dla nas istotna jest głównie odpowiedzialność programowa. Treści, które serwujemy, mają odpowiadać potrzebom naszych subskrybentów. Chcemy bawić świat, który jest bardzo zróżnicowany, na którym żyją ludzie o odmiennych poglądach na wiele kwestii. Naszym zadaniem jest oferowanie rozrywki, która zadowoli wszystkie te przypadki. Nie próbujemy zmieniać ich poglądów.

R.I.: Niedawno świat rozgrzało 15-sekundowe wideo stworzone przez AI, w którym Tom Cruise walczył z Bradem Pittem. Skomentowałeś to tak: „Umiejętność opowiadania historii to bardzo ludzka cecha. Możesz mieć mnóstwo sztucznej inteligencji i sprawić, by aktorzy, których rozpoznajesz, walczyli. Ale jeśli nie masz świetnej narracji, to ostatecznie nie ma to żadnego znaczenia".
– Naprawdę w to wierzę.

R.I.: Więc AI nie stanowi żadnego zagrożenia dla człowieka?
– Porozmawiajmy o tym. Oglądałeś tę walkę, tak? Było ciekawie, prawda? Ale czy obejrzałbyś to 20 razy? Nie. I pewnie nie obejrzysz kolejnych, prawda? Bo to była nowość, patrzyliśmy, bo wcześniej nie widzieliśmy czegoś podobnego. Ciekawostka, ale czy rozrywka? Ludzie są istotami plemiennymi. Opowiadamy sobie historie, bo pomagają nam organizować się jako ludziom. Jesteśmy zaprogramowani do słuchania historii. Nigdy nie usłyszałem sensownej opowieści od AI. Ba, nie sądzę, żeby wielu ludzi na świecie to robiło. Cóż, wy to potraficie, bo zajmujecie się tym zawodowo. Ale gdybyśmy poszli do grupy inżynierów, z którymi spotkałem się wcześniej, i poprosili, by opowiedzieli nam jakąś historię, nie potrafiliby. A są przecież bardzo mądrymi ludźmi.

Rzemiosło, sztuka to rzeczy, których się uczymy i co doskonalimy przez całe życie. Nie wierzę, że jakakolwiek sztuczna inteligencja to zrobi, więc czy jest zagrożeniem? Oczywiście, wykorzystujmy użyteczne narzędzia, ale nie sądzę, żeby mogły zastąpić narratorów.

A.K.: Ale inwestujecie w sztuczną inteligencję, w marcu 2026 roku Netflix kupił start-up InterPositive założony przez Bena Afflecka, firmę działającą w branży AI.
– To jest to, co mówiłem. Naszym obowiązkiem jest się upewnić, że korzystamy z nowych technologii, aby ludzie, z którymi współpracujemy, mogli opowiedzieć swoją historię w najskuteczniejszy sposób. Odpowiedzialność za cały proces pozostaje w rękach showrunnera i reżysera. Co nam się podobało w InterPositive to fakt, że została opracowana z perspektywy tego, jak ten proces tworzenia wygląda dzisiaj. Że wykorzystano w niej język filmu: jakiego obiektywu chcemy użyć, do jakiego ujęcia to potrzebne. Nie jest tak, że dajemy programowi zadanie: „zrób zdjęcie", tylko gotowe już ujęcia trafiają do modelu, który uczy się filmu, który kręcisz, i pozwala ci przekształcić ujęcia, które już zrobiłeś, ale wszystko dzieje się w zgodzie z zamysłem twórcy, a nic bez jego pozwolenia.

A.K.: Netflix w Polsce jest 10 lat. Sukcesy mógłbyś pewnie wymieniać bez końca, a co było największym rozczarowaniem w tym czasie?
– Największe rozczarowanie? Wiesz, moja żona mówi, że mam supermoc, czyli bardzo szybko zapominam o rozczarowaniach. Nie wiem, czy to supermoc, ale się staram. Rozczarowania? Przez większość czasu skupiasz się tylko na tym, co było dobre... Nie jestem w stanie sobie niczego przypomnieć, co nie oznacza, że tych momentów nie było. Każdego dnia cieszymy się z tego, co się udało, ale jednocześnie cały czas się zastanawiamy, jak możemy coś robić lepiej – opowiadać lepsze historie, dawać ludziom lepsze doświadczenie, kiedy korzystają z naszego serwisu. Bez takiego podejścia przestajemy być innowacyjni.

A.K.: Co zamierzacie zrobić z tymi pieniędzmi, które były przygotowane na kupno Warner Bros.? Jaki jest następny cel Netflixa?
– Nasza strategia się nie zmieniła: raczej inwestujemy i budujemy, a nie kupujemy, choć można uznać, że kwestia Warner Bros. była sporym odstępstwem od tej reguły. Uczciwie mówiąc, nigdy czegoś takiego nie robiliśmy, choć służyła nadrzędnemu celowi: dostarczaniu rozrywki. Co dalej? Będziemy działać agresywnie jak w przypadku Warner Bros., ale z zachowaniem dyscypliny, nie płacąc więcej, niż naszym zdaniem coś jest warte. Ale takie sytuacje zdarzają się dość rzadko. W tej chwili nie pracujemy nad niczym podobnym. ●

*Greg Peters

- Rocznik 1970, od stycznia 2023 prezes Netflixa. Niedawno odwiedził Polskę przy okazji otwarcia w Warszawie nowego biura Netflixa oraz hubu technologicznego, który zatrudni kilkuset inżynierów i twórców.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414015

TEMAT NUMERU:
WRAŻLIWY JAK CHŁOPIEC

W sprzedaży!

oraz:
- Jak pomóc dziecku w kryzysie
- Dojrzewanie. Jak zrozumieć nastolatka
- Szkoła nie musi być najważniejsza

żyć lepiej
psychologia codziennie

Więcej o psychologii czytaj na **wysokieobcasy.pl/zyclepiej**

1 RP

eprasa.pl bce484ca04

CZAJE LTURAIOBYCZ KU

Kłamstwo NAZYWAJMY Kłamstwem

„W przyszłości nie będzie się liczyć to, czy moja córka będzie Kanadyjką, czy Amerykanką. Ważne będzie, że wygląda jak biała osoba" – mówi autor najgłośniejszej książki non-fiction ostatniego roku.

Z **OMAREM EL AKKADEM,** AUTOREM KSIĄŻKI „KTÓREGOŚ DNIA OKAŻE SIĘ, ŻE WSZYSCY OD ZAWSZE BYLI PRZECIWKO" ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

„Titanic" pokazywany w katarskiej telewizji trwał zaledwie 90 minut. Skrócić Jamesa Camerona to spore osiągnięcie.
– 90 minut zamiast trzech godzin! Jeszcze na początku XXI wieku filmy pokazywane w arabskich telewizjach kablowych były montowane tak, by widzowie nie zobaczyli niczego, co mogłoby ich „zgorszyć". Wycinano nie tylko sceny erotyczne, ale nawet pocałunki. Czasem nie było czasu na montaż, zatem zaczerniano podejrzaną scenę i zostawiano sam dźwięk. To dopiero było dziwaczne.

Oczywiście, jeśli ktoś miał dobre łącze internetowe, mógł ściągnąć film nielegalnie. Niestety, mieliśmy bardzo słaby modem, więc pobranie filmu zajęłoby mi chyba z rok. Po raz pierwszy widziałem całego „Titanica" dopiero wtedy, gdy wyjechałem do Kanady.

Kraju bez cenzury.
– Teraz mogę sobie obejrzeć film Camerona, ale nie mogę zobaczyć, jak izraelska drużyna jest wygwizdywana na otwarciu zimowych igrzysk olimpijskich.

Co masz na myśli?
– Ceremonię otwarcia pokazywała NBC. Gdy na stadion mieli wyjść Izraelczycy, nastąpiła długa przerwa reklamowa. Do relacji na żywo wróciliśmy dopiero wtedy, gdy kamery pokazywały Libańczyków. Izraela nie pokazano na wszelki wypadek, żeby widz nie usłyszał negatywnej reakcji publiczności.

Urodziłeś się w Egipcie, jako nastolatek mieszkałeś w Katarze, potem wyjechałeś do Kanady, w końcu przeniosłeś się do Stanów Zjednoczonych. Jesteś trochę z „tamtego" świata, a trochę z „tego".
– Rzeczywiście żyłem w dwóch różnych światach. Dzięki temu jestem odporny na zachodnie narracje na temat krajów arabskich. I dlatego do wściekłości i szaleństwa doprowadza mnie amerykańska narracja o wyzwalaniu ludzi spod ucisku reżimu, głębokiej trosce o wolność i demokrację.

Amerykanom nie chodzi o demokrację, nie chodzi o dobro ludzi. Oni się tym zupełnie nie przejmują. Wojna w Palestynie, a teraz w Iranie to kolejne wywołane przez Amerykanów konflikty, które są wojnami kolonialnymi i imperialnymi. To są prawdziwe cele USA. Tylko opakowane tak, byśmy myśleli, że celem jest uwolnienie ludzi spod jarzma złych fanatyków religijnych.

Nie, prowadzenie wojny to nie jest troska o cywilizację.

Miałeś dziewięć lat, gdy wybucha pierwsza wojna w Zatoce Perskiej. Zaczyna się od najazdu Iraku na Kuwejt [2 sierpnia 1990 roku]. Mieszkałeś wtedy w Katarze?
– Muszę to policzyć. Jest ramadan, nie jadłem cały dzień i mózg pracuje trochę inaczej.

Miałem 19 lat, gdy doszło do ataków na World Trade Center [11 września 2001], a więc tak, masz rację – miałem dziewięć lat, gdy wybuchła wojna w Zatoce. I tak, mieszkałem wtedy w Katarze.

Rok przed tym, jak się urodziłem, zamordowany został prezydent Egiptu Anwar as-Sadat [6 października 1981 roku]. Zaczął się trudny czas, aresztowania, prześladowania. Ojciec pracował w firmie zajmującej się turystyką. Postanowił wyjechać z kraju. Początkowo mieliśmy pojechać do Libii, ale nie dostaliśmy wizy, okazało się, że jakiś terrorysta nosi takie samo nazwisko, co my. Libijczycy nie wnikali w szczegóły, zbieżność im wystarczyła. Ojciec się nie poddawał i gdy dostał ofertę pracy z Kataru, natychmiast się wyprowadziliśmy.

Jak odczuwałeś wojnę?
– Ojciec zrobił bardzo dużo, bym się nie bał. Pamiętam dzień, gdy przyjechał do domu z maskami gazowymi, które jego firma rozdawała pracownikom. – Zobacz, jakie śmieszne – powiedział i założył na głowę.

Byliśmy daleko od epicentrum wojny, na Katar nie spadały bomby. Ale wszyscy tym żyli. Im człowiek jest bliżej wojny, tym bardziej szuka dla siebie bezpiecznych przestrzeni. I nie myślę tu o schronach, ale przestrzeniach w głowie, wyobraźni. Od jednej z osób, która przeżyła wojnę, usłyszałem niezwykłe zdanie: „Bezpieczeństwo to odgłos bomby spadającej na dom kogoś innego".

Wojna dla dziecka – nawet jeśli jest od niej daleko i czuje się bezpieczne – jest wydarzeniem kształtującym świadomość. Zadajesz sobie pytanie – kto jest dobry,

• **Namioty uchodźców palestyńskich w obozie w Bureij w Strefie Gazy (29.12.2025)**
FOT. EYAD BABA/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl bce484ca04

a kto zły. Jak to możliwe, że czasem dobrymi są ci, którzy zrzucają bomby, a złymi ci, którzy giną?

Chodziłem do amerykańskiej szkoły, a wraz z wojną w Zatoce pojawili się w regionie prawdziwi Amerykanie. Inni niż ci, których znaliśmy z ilustracji w podręcznikach i z filmów. Nie mieszkali w hotelach, ale w namiotach na pustyni.

W szkole kazano nam pisać listy dziękczynne do amerykańskich żołnierzy. Chodziło o to, byśmy dorastali w przekonaniu, że bez Amerykanów nasz świat byłby strasznym miejscem.

Od redakcji: Wkrótce po izraelskim ataku na Gazę El Akkad napisał na Twitterze: „Któregoś dnia, gdy będzie bezpiecznie, gdy nikt nie będzie ponosił kosztów w nazywaniu czegoś tym, czym jest, gdy będzie za późno, by kogokolwiek pociągnąć do odpowiedzialności, okaże się, że wszyscy od zawsze byli przeciwko”**.**

Tweet został wyświetlony ponad 10 milionów razy i zainspirował El Akkada do rozwinięcia myśli w formie autobiograficznego eseju. Książka jest gniewnym potępieniem zachodniej hipokryzji i podwójnych standardów. El Akkad pisze z perspektywy człowieka spoza Zachodu, który kiedyś wierzyły w zachodnie ideały i czuje się oszukany nie tylko przez konserwatystów, ale i liberałów.

„Gdy upłynie wystarczająco dużo czasu, systematyczne mordowanie całego narodu stanie się już na tyle bezpieczne, by móc trafić na tablicę stawianą na trawniku przed domem. Na trawniku liberała nigdy nie zabraknie miejsca”, pisze.

„Misja stabilizacyjna”, „misja pokojowa”, „deeskalacja” – to amerykańskie określenia podporządkowania sobie kolejnych miejsc na mapie świata.
– Wierzymy pięknym kłamstwom. Gdy dorosłem, zająłem się dziennikarstwem. Większość moich relacji dotyczyła tzw. walki z terroryzmem. Wierzyłem, że wojna jest konieczna, by uratować nasz świat. Wierzyłem w kłamstwa amerykańskich władz, które twierdziły, że Irak ma broń masowego rażenia. Odwracałem wzrok od dowodów na to, że prawda jest inna.

Jak długo wierzyliśmy w to, że Guantanamo jest potrzebne i przetrzymuje się tam prawdziwych przestępców? Dziś wiemy, że większość osadzonych nie miała nic wspólnego z terroryzmem. Jedną z historii, które śledziłem jako dziennikarz, był los kilku Ujgurów, czyli prześladowanych przez chińskie władze muzułmanów, którzy trafili do Guantanamo. Wcześniej zostali ujęci przez pakistańskich łowców głów i po prostu sprzedani Amerykanom. Nie mieli nic wspólnego z wydarzeniami na Bliskim Wschodzie, ale w Gitmo, jak się potocznie mówi, spędzili kilka lat.

Gdy – po ataku Hamasu – Izrael najechał Palestynę, wielu dziennikarzy ostrożnie używało słów. Miesiącami unikano słowa „ludobójstwo”.
– Rozumiem, skąd to się wzięło. Przez wiele lat myślałem, że reporter musi być kimś neutralnym, swego rodzaju trzecią stroną, która patrzy na wydarzenia z lotu ptaka i relacjonuje je bez zajmowania stanowiska. Dzisiaj wydaje mi się to naiwne.

Od początku wojny Izraela z Palestyną pisałem o ludobójstwie, ale rozumiem mechanizmy, które sprawiły, że wiele osób unikało tego pojęcia. To w końcu niezwykle obciążone, trudne sformułowanie. Słowo oskarżenie.

Dziennikarze boją się oskarżeń o stronniczość. Używanie sformułowań takich jak „ludobójstwo” czy podważanie oficjalnych narracji może dla kogoś być końcem kariery. Większość mediów, w których pracowałem, ledwo była w stanie przetrwać. Dzięki modelom subskrypcyjnym zależymy dzisiaj od lojalności czytelników, dlatego dziennikarze – chcąc zachować pracę – często czują przymus mówienia tego, co chcieliby usłyszeć ich odbiorcy.

Dziennikarz musi mieć prawo do nazwania kłamstwa kłamstwem. Ludobójstwa ludobójstwem. Potrzebna jest nie tylko odwaga indywidualna, ale też instytucjonalna.

Jaką prawdę teraz twoim zdaniem trzeba mówić?
– Że USA nie chodzi o demokrację. To najpotężniejszy kraj na świecie. W ułamek sekundy mógłby zniszczyć życie na planecie. Dlatego trzeba przypominać o tym, że obecna administracja nie dba o demokrację, ale o swoje kieszenie i partykularne interesy.

Z amerykańskich mediów krytycznych wobec administracji Trumpa od kilku miesięcy nie znika słowo „faszyzm”. To – zwłaszcza w polskiej perspektywie – brzmi niebezpiecznie.
– Wiele osób używa słowa „faszyzm”, niekoniecznie wiedząc, co oznacza, dla wielu Amerykanów to po prostu synonim złych rządów. Jednocześnie patrząc na to, co się w Stanach dzieje, nietrudno o analogie. Uniwersytety odrzucają zasadę wolności wypowiedzi i badań naukowych. Studenci są wyrzucani z uczelni na wniosek administracji rządowej. Instytucje kultury są uciszane, udają „apolityczność”, choć przecież cała kultura i sztuka są polityczne. Gazety takie jak „Washington Post” są na skraju przepaści. Trajektoria, na której znalazł się ten kraj, to trajektoria wprost w objęcia faszyzmu.

Omar El Akkad, **„Któregoś dnia okaże się, że wszyscy od zawsze byli przeciwko”,** tłumaczenie Agata Ostrowska, wydawnictwo ArtRage 2026

Jednocześnie wciąż możesz publikować krytyczne teksty, twoja książka była bestsellerem po obu stronach oceanu. W Egipcie to nie jest możliwe. Krytycy mogą zapytać: „Czemu nie napisałeś o Egipcie?”.
– Egipt jest dyktaturą i rzeczywiście nie miałbym szans tam opublikować książki krytycznej wobec władz. Jednocześnie taka książka nie miałaby sensu. Żyjąc w Stanach, mógłbym nie wiedzieć niczego o Egipcie, ale żyjąc w Egipcie, nie mogę niczego nie wiedzieć o Stanach. Fakt, że Egipt może być jeszcze bardziej niedemokratyczny, nie wpłynie na losy całego świata. Ale jeśli USA wybiorą dyktaturę, świat odczuje to boleśnie.

Czasem czytam krytyczne komentarze na temat mojej książki. Hasło: „Wracaj, skąd przyjechałeś!”, nie jest rzadkością. Tyle że miejsce, z którego pochodzę, jest silnie powiązane z USA. Rządy Egiptu, Arabii Saudyjskiej czy Kataru są zblatowane z amerykańskim interesami. Na tym polega paradoks imperialnego kolonializmu.

Gdy wspomniałem w jednym z serwisów społecznościowych, że będziemy rozmawiać, jeden z komentujących – skądinąd bardzo wnikliwy publicysta – napisał, że skoro mieszkałeś w Katarze, a Katar finansuje Hamas, to jesteś niewiarygodny.
– Tak, dorastałem w Katarze. Tak, Katar wspiera Hamas. Tak, krytykuję Izrael i Stany Zjednoczone. Na podstawie tych danych i bez żadnych dodatkowych dowodów można utkać wiele narracji.

Podważanie wiarygodności dziennikarzy, zwłaszcza tych związanych z Al Jazeerą [katarska telewizja informacyjna], jest dzisiaj powszechne. Jeśli jesteś palestyńskim dziennikarzem, to zdaniem wielu wykonujesz rozkazy Hamasu. To, że ci dziennikarze ryzykują życie, że ponad setka z nich zginęła, się nie liczy?

Odłóżmy to na bok. Niedawno rząd USA zdecydował, że ma prawo do porwania prezydenta Wenezueli. Grupa dziennikarzy z największych gazet w USA dowiedziała się o akcji wcześniej. Uznali, że w imię ochrony interesów amerykańskiego rządu napiszą o tym dopiero wtedy, gdy Trump oficjalnie zakomunikuje, co zrobił.

Od redakcji: O tym, że „New York Times” i „Washington Post” wiedziały o nalocie, zanim Trump go zatwierdził, napisał portal Semafor. Jest to zgodne z wieloletnią praktyką amerykańskich mediów, które nie ujawniają informacji ważnych dla bezpieczeństwa narodowego.

Jeśli ktoś mi mówi, że Al Jazeera jest niewiarygodna, bo pracują tam palestyńscy dziennikarze związani z Hamasem, to myślę o tych amerykańskich dziennikarzach powiązanych z amerykańskim rządem, który uważa, że ma prawo do atakowania każdego kraju na świecie. Czemu milczeli?

Czy Al Jazeera zawsze opowiada prawdę? Oczywiście, że nie. „The New York Times” też nie. Ale wielu ludzi, którzy tam pracują, podejmują śmiertelne ryzyko, żeby choć trochę tej prawdy pokazać.

Od redakcji: El Akkad w „Któregoś dnia...” napisał : „Dopóki jednak obraz własny Zachodu opiera się na sprawianiu pozorów nieskazitelności w każdej sytuacji, trzeba wiedzieć, że najbardziej szokujące nie są wcale okrucieństwo ani obojętność. Rządy różnych krajów bywają okrutne czy obojętne. Najgorsze jest to uparte bombardowanie cnotą. Te przemówienia i deklaracje pełne elokwentnych wyrazów troski o prawa człowieka i wolność oraz żądań, żeby pociągnąć do odpowiedzialności tych, którzy te prawa człowieka naruszają lub tę wolność ograniczają. (...) Cóż nam po słowach, jeśli są kompletnie oderwane od rzeczywistości?”.

Twoja książka to manifest przeciwko Zachodowi. Czy jeszcze przeciwko czemuś?
– Przeciwko neutralności. Chcę dać ludziom siłę do tego, by wybrali mówienie prawdy o naszym świecie, bez obaw o konsekwencji. Nie potępiam tych, którzy zmieniają zdanie, za to, że zrobili to zbyt późno. Ważne, że zrobili.

Jest nadzieja?
– Piszę bardzo depresyjne książki i nadzieja nie jest moją mocną stroną. Jednocześnie nadzieję znajduję w tym, że coraz więcej ludzi dostrzega, w jakim systemie żyjemy. Jego ofiarami byli Palestyńczycy, teraz są Irańczycy, za chwilę będą Libańczycy. A kto powiedział, że nie będą nimi mieszkańcy Europy?

W listopadzie 2023 roku aktywiści propalestyńscy dwukrotnie wdarli się na scenę podczas gali Nagrody Gillera, najbardziej prestiżowego kanadyjskiego wyróżnienia literackiego. Protestowali przeciwko Scotiabank, sponsorowi nagrody, który posiadał udziały w izraelskiej firmie produkującej broń [Elbit Systems]. Był jej największym zagranicznym akcjonariuszem z udziałami w wysokości 500 milionów dolarów.

Aktywistom groziło więzienie, ale setki pisarzy wystosowało list do władz w ich obronie [protest podpisało w sumie 1700 osób]. Wiele osób wycofało swoje książki z kolejnej edycji nagrody. W 2025 roku fundacja, która stoi za nagrodą, rozwiązała umowę z bankiem. To jednak nie wszyscy sponsorzy nagrody powiązani z Izraelem i jego działaniami wojskowymi.

Na początku tego roku Scotiabank sprzedał swoje udziały w izraelskiej firmie [nie wszystkie jednak, na razie zmniejszył udziały o połowę]. Presja ma sens. Oczywiście nie jestem naiwny i mogę sobie wyobrazić, że za chwilę kupią udziały w jakiejś innej firmie, której powiązania z wojskiem będą mniej jawne, ale jednak coś się zmienia i mamy na to dowody.

Nie bałeś się konsekwencji twojej książki?
– Jestem Arabem i muzułmaninem żyjącym w Stanach Zjednoczonych. Wiem, jakie mogą być potencjalne konsekwencje tego, co napisałem. Nie wychodzę z domu bez dokumentów potwierdzających moje obywatelstwo.

Gdy pisałem „Któregoś dnia okaże się...”, nie pytałem nikogo o zgodę. Żona przeczytała pierwszą wersję książki i powiedziała, że rozumie moją potrzebę opowiedzenia tego wszystkiego.

Moja córka ma świadomość tego, że coś się dzieje, ale jest jeszcze mała i trochę nie wiem, jak z nią o tym rozmawiać. To najsłodsze dziecko na świecie i rozmawianie z nim o tym, że tata napisał książkę o reakcji świata na ludobójstwo, nie jest czymś, na co mnie teraz stać.

W domu zainstalowaliśmy kamery monitorujące.

Twoja córka rośnie na Amerykankę?
– To bardzo dziwne uczucie. Jej ojciec jest Egipcjaninem, matka Kanadyjką, a ona... Nie wiem, jaka będzie jej tożsamość. Czy bardziej arabska i muzułmańska, czy raczej świecka i amerykańska. A może podąży inną drogą?

Bohater jednej z powieści słynnego libańskiego pisarza Rabiha Alameddine'a mówi, że kiedy wraca z Nowego Jorku do Libanu, to wraca do miejsca, ale nie do domu. Gdy jest w Stanach Zjednoczonych, to jest w domu, ale nie w miejscu, do którego przynależy. Ja tak mam z Kairem. To nie jest mój dom, ale moje miejsce. Moja twarz tam pasuje, moje nazwisko nie brzmi dziwnie, religia nikogo nie zaskakuje. Nigdy tam nie wrócę, choć przynależę. Jak będzie czuła moja córka?

Wiesz... Najważniejsze wydaje mi się jednak coś innego. W przyszłości nie będzie się liczyć to, czy moja córka będzie Kanadyjką, czy Amerykanką. Ważne będzie, że wygląda jak biała osoba. Nie jestem dumny z tego, że ta myśl jest nieustannie ze mną. Taka jest rzeczywistość. ●

Omar El Akkad

• Rocznik 1982. Egipsko-kanadyjsko-amerykański dziennikarz i pisarz. Urodził się w Kairze w Egipcie, dorastał w Katarze, a jako nastolatek wyemigrował z rodziną do Kanady. Ukończył informatykę na Uniwersytecie Queen's w Kingston. Był reporterem dziennika „The Globe and Mail”, relacjonował m.in. wojnę w Afganistanie, procesy więźniów w Guantánamo, Arabską Wiosnę w Egipcie oraz protesty Black Lives Matter w USA. Za swoją dziennikarską pracę otrzymał m.in. National Newspaper Award.

• Jest autorem głośnych powieści „Ameryka w ogniu” (org. „American War”, 2017) – futurystycznej wizji II wojny domowej w USA – oraz „What Strange Paradise (2021) o kryzysie uchodźczym. Druga z nich przyniosła mu Scotiabank Giller Prize w 2021 roku. Za esej non-fiction „Ktoregoś dnia okaże się, że wszyscy od zawsze byli przeciwko” (2025) nagrodzony National Book Award w kategorii literatury faktu. Książka właśnie ukazała się w Polsce. El Akkad mieszka obecnie w Portland w stanie Oregon.

FOT. WIKIMEDIA COMMONS CC BY-SA 4.0

eprasa.pl bce484ca04

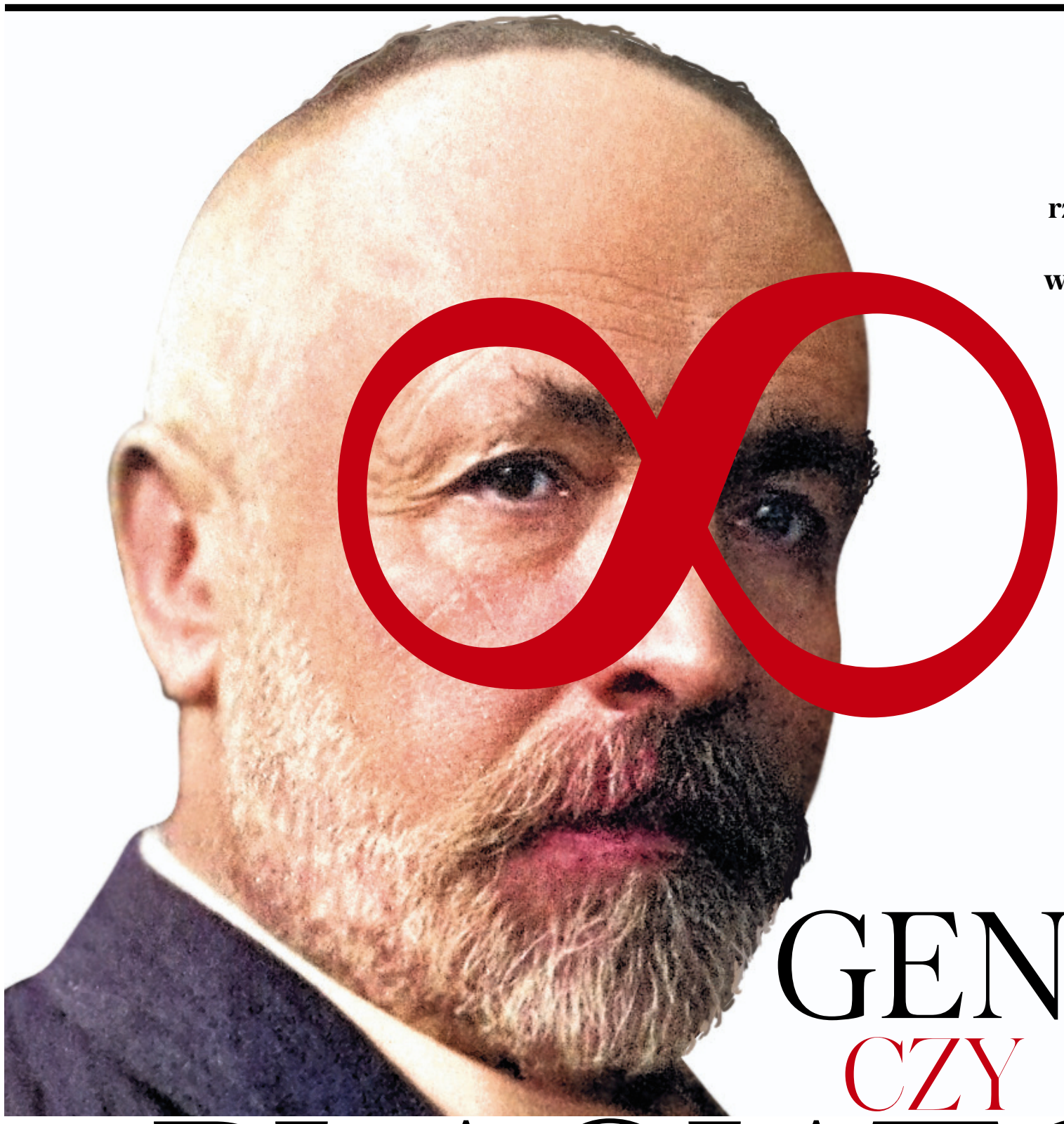

To, co odnaleziono właśnie w zakurzonych archiwach i prywatnych zbiorach, **rzuca zupełnie nowe światło na moment narodzin wielkiej rewolucji naukowej.**

Piotr Cieśliński

GENIUSZ CZY PLAGIATOR?

W historii nauki niewiele jest postaci tak tragicznych i fascynujących jak Georg Cantor* (**na zdjęciu**). To on wbrew całemu ówczesnemu światu „oswoił" nieskończoność, udowadniając, że ma ona niejedno oblicze i można ją traktować jak każdy inny obiekt matematyczny.

Jego teoria mnogości stała się fundamentem dla niemal całej współczesnej matematyki – od logiki, przez analizę, aż po teorię obliczeń komputerowych. Przez dekady znaliśmy go jako niezrozumianego wizjonera, który za swoją odwagę zapłacił odrzuceniem przez środowisko. Jednak to, co wydawało się zamkniętym rozdziałem historii, niespodziewanie powróciło.

Demian Goos, 35-letni matematyk i dziennikarz zafascynowany biografią Cantora, wyruszył śladem zaginionej korespondencji, która według oficjalnych źródeł przestała istnieć blisko sto lat temu. To, co odnalazł w zakurzonych archiwach i prywatnych zbiorach, rzuca zupełnie nowe światło na moment narodzin wielkiej rewolucji naukowej.

Z **DEMIANEM GOOSEM**
ROZMAWIA **PIOTR CIEŚLIŃSKI**

Odkryłeś, że przełomowa praca Cantora z roku 1873 o nieskończoności to w rzeczywistości plagiat?
– Cóż, w skrócie tak to wygląda. Ale gdy zagłębimy się w szczegóły, sprawa się komplikuje.

To nie jest po prostu „zwykły" plagiat?
– Jeśli chcesz etykiety: czarne albo białe, plagiat czy nie – to odpowiedź brzmi: tak, bez cienia wątpliwości to był plagiat. Ale dopiero gdy zagłębisz się w detale, zaczynasz dostrzegać wszystkie niuanse.

Wejdźmy więc w te niuanse.
– Musimy pamiętać, że ta konkretna publikacja opiera się na dwóch głównych filarach. Pierwszy to dowód na przeliczalność liczb algebraicznych, a drugi – ten słynniejszy – to dowód na nieprzeliczalność liczb rzeczywistych.

Wyjaśnijmy tylko, o co chodzi z tą przeliczalnością i co to za liczby.
– Liczby algebraiczne to te, które da się wyliczyć z prostych równań matematycznych. To np. wszystkie liczby całkowite, ułamki czy pierwiastki. Choć jest ich nieskończenie wiele, to da się je wszystkie ustawić w kolejce: pierwsza, druga, trzecia i tak dalej. Można je więc „policzyć", choć liczylibyśmy w nieskończoność.

Natomiast liczby rzeczywiste, które tworzą ciągłą linię, są rozmieszczone tak gęsto, że nie da się ich ustawić jedna obok drugiej i powiedzieć: „Kolejno, odlicz!". Są nieprzeliczalne.

Ten pierwszy wynik – przeliczalność liczb algebraicznych – to w zasadzie twierdzenie, które udowodnił Richard Dedekind, kolega Cantora. Zrobił to w liście wysłanym do Cantora, i to jest właśnie ten list, który udało mi się odnaleźć. Jest tam kompletny dowód.

Ale to drugie twierdzenie – o nieprzeliczalności liczb rzeczywistych – z dzisiejszej perspektywy jest tym ważniejszym, absolutnie rewolucyjnym. I jego dowód faktycznie należy do Cantora, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. On wpadł na ten pomysł pierwszy. Ale...

...jest jednak jakieś „ale".
–...gdy Cantor wysłał swój szkic dowodu do Dedekinda, ten go uprościł. Sprawił, że stał się elegancki, klarowny i logiczny. Więc Cantor po prostu wziął tę uproszczoną wersję i także wkleił ją do swojej pracy.

Czyli po prostu przepisał fragmenty listu Dedekinda słowo w słowo?
– Tak – znalazłem ten list.

Przyłapałeś matematycznego geniusza na plagiacie.
– Jeśli chodzi o to pierwsze twierdzenie o liczbach algebraicznych, nie widzę innej możliwości niż nazwanie tego plagiatem. Drugi dowód był już jego dokonaniem, ale w publikacji

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl bce484ca04

użył sformułowań i uproszczeń żywcem wyjętych z listu Dedekinda.

Co tu dużo mówić, technicznie rzecz biorąc, całą tę pracę napisał Dedekind, a nie Cantor.

Oczywiście znajdą się obrońcy Cantora, historycy, którzy starają się być bardzo ostrożni w rzucaniu takich oskarżeń i będą próbować go bronić. Ale podejrzenia istniały od lat. Mieliśmy przecież drugą stronę tej korespondencji – odpowiedzi Cantora na pisma Dedekinda. Znaliśmy na przykład list, w którym pisze: „Och, znalazłeś bardzo piękny dowód, ogromnie mi się podoba". Wiedzieliśmy więc, że on ten dowód Dedekinda na przeliczalność liczb algebraicznych zaakceptował i podziwiał. Ale nie wiedzieliśmy, co dokładnie napisał Dedekind. Może to była tylko luźna idea, nie w pełni dopracowany dowód? Może Cantor nie wziął go w całości, tylko sparafrazował? Pytań było mnóstwo.

Dopóki nie masz twardego dowodu, możesz zawsze powiedzieć: „Uwierzę, jak zobaczę ten list". I to był uczciwy argument. Przy oskarżeniu takiego kalibru należy zachować ostrożność.

Dla mnie jednak wymaganie, żeby nagle, po 150 latach, z niebytu wyłoniły się zaginione listy, wydawało się poprzeczką ustawioną nierealnie wysoko. Brzmiało to trochę jak ucieczka przed dyskusją – ustalmy niemożliwe warunki brzegowe, żeby w ogóle nie musieć o tym rozmawiać.

Ale ty nagle te listy odkryłeś!
– To jest w tym wszystkim najbardziej szalone. One rozwiązują tyle zagadek naraz! Nie jestem pierwszym, który zarzuca Cantorowi plagiat, robili to już wcześniej inni, ale zawsze płynęli pod prąd głównego nurtu.

Dotychczasowa narracja była jasna: Cantor to nasz ukochany bóg matematyki, nikt nie ma prawa szargać jego reputacji. Tymczasem te listy mówią same za siebie. Można próbować się wić, szukać wymówek, ale język faktów jest tu wyjątkowo brutalny.

Jakim cudem te listy nagle wypłynęły po tylu latach?
– Muszę przyznać, że na część tego pytania sam nie znam odpowiedzi. To znaczy: nie mam pojęcia, jak te dokumenty przetrwały półtora wieku w całkowitym ukryciu. Wiem tylko, że znajdowały się w rękach jednej z gałęzi rodziny Cantora.

On miał sporo dzieci, choć część zmarła młodo. Z tego, co się orientuję, pamiątki po nim rozeszły się w dwóch kierunkach. Jedna część rodziny trzymała korespondencję i spuściznę naukową, którą dawno udostępniono badaczom i opublikowano. Ale była też druga gałąź. Oni mieli u siebie stosy listów i dokumentów, których nigdy nikomu nie pokazali. Można się domyślać, że traktowali to po prostu jak prywatne pamiątki – stare papiery po dziadku trzymane gdzieś na strychu czy w szufladzie. Ale to tylko moje spekulacje, bo sytuacja jest co najmniej dziwna.

Że aż nie dawano ci wiary.
– Zanim opublikowałem swoją pracę o tych listach, minęło kilka miesięcy, podczas których konsultowałem się z historykami i ekspertami. I powiem ci, że wszyscy byli niesamowicie sceptyczni. Słyszałem: „Demian, to nie ma sensu. Dlaczego to akurat ty miałbyś znaleźć te legendarne, zaginione listy?". I szczerze mówiąc, zgadzałem się z nimi! Jasne, poświęciłem tematowi dwa lata życia, ale są ludzie, którzy badają Cantora od trzydziestu czy czterdziestu lat. Logika podpowiada, że to oni powinni na coś trafić. Skoro im się nie udało, to znaczy, że nic więcej nie ma do odkrycia, prawda?

Też tak myślałeś?
– Bardzo długo potwornie w siebie wątpiłem. Kiedy w końcu wysłałem artykuł do redakcji, w polu „sugerowani recenzenci" wpisałem największego światowego eksperta od tych zagadnień. Pomyślałem sobie: jeśli robię z siebie idiotę i popełniam jakiś kardynalny błąd, on będzie o tym wiedział. Może mi odpisze: „Daj spokój, wszyscy wiedzą o tych listach, to żadna nowość".

To oczywiście było irracjonalne, bo przecież przeczytałem wszystko, co było do przeczytania w tej sprawie. Wiedziałem, że mam w rękach coś nowego i przełomowego. Ale to odkrycie było po prostu zbyt filmowe, żeby ot tak w nie uwierzyć, bez lęku, że gdzieś umknął mi jakiś szczegół.

Wróćmy do odkrycia. Jak znalazłeś te zaginione listy?
– Muszę zaznaczyć, że... wcale ich nie szukałem. Po prostu chciałem wiedzieć wszystko o procesie twórczym Cantora. Zacząłem grzebać w źródłach. Praca historyka matematyki bardzo różni się od pracy czysto matematycznej – tutaj ogromny wpływ na wyniki ma to, jak „czujesz" epokę i ludzi. Chciałem zrozumieć, jak pracowali moi poprzednicy, jakie dokumenty mieli w rękach i jakie wyciągali z nich wnioski. Skanowałem więc cały krajobraz archiwalny – wiedziałem, co jest na którym uniwersytecie, jakie papiery leżą w Göttingen, a jakie w Brunszwiku.

Podczas przeszukiwania sieci, trafiłem na stronę Stowarzyszenia imienia Cantora, które dba o pamięć o nim w Halle, gdzie pracował, funduje nagrody dla studentów, organizuje konferencje. Na ich stronie wisiało krótkie podsumowanie historyczne etapów życia Cantora. Przewinąłem na sam dół i nagle zamarłem. Zobaczyłem skan listu. Listu od Dedekinda.

To był jeden z tych zaginionych?
– Tak, a pamiętaj, że do tego momentu we wszystkich opracowaniach czytałem: „Jaka szkoda, że te listy zaginęły"; „Gdybyśmy tylko je mieli, wiedzielibyśmy więcej". A tu nagle widzę go na ekranie monitora. To nie miało sensu.

Pierwsza myśl?
– Musi być jakieś logiczne wyjaśnienie. Wiesz, jak masz góry dokumentów, czasem coś się zawieruszy. Czasem korespondencja jest w jednym archiwum, a jeden zbłąkany list ląduje zupełnie gdzie indziej.

Skontaktowałeś się z tym stowarzyszeniem?
– Próbowałem przez pół roku! Pisałem maile: „Dzień dobry, znalazłem to u Państwa na stronie, czy jest tego więcej?". Cisza. W końcu udało mi się porozmawiać przez telefon z jedną członkinią. Była bardzo miła, ale od razu zastrzegła: „Nie mam pojęcia o historii, zajmuję się tu innymi rzeczami. Musisz rozmawiać z ludźmi od archiwów". Obiecała mnie skontaktować, ale znów – mur milczenia.

Pod skanem była mała notka: „Podziękowania dla rodziny Cantorów za udostępnienie listu". Zacząłem więc bawić się w detektywa: kto z rodziny wciąż mieszka w Halle? Znalazłem jedną osobę – prawnuczkę Cantora, z zawodu archeolożkę. Na szczęście numer do niej był w książce telefonicznej. Zadzwoniłem. Odebrała starsza pani. Powiedziała mi: „Och, ja już ich nie mam. Jakieś dwa lata temu przekazałam cały karton listów uniwersytetowi. Nie mam dzieci, uznałam, że to powinni zbadać naukowcy". Kiedy zapytałem ją, komu dokładnie to oddała, krąg się zamknął. Papiery trafiły prosto do tych ludzi ze Stowarzyszenia Cantora, którzy od pół roku nie odpisywali na moje maile.

Musiałem więc znaleźć sposób, żeby w końcu zmusić do rozmowy kogoś, kto najwyraźniej bardzo nie chciał być niepokojony.

W końcu pojechałeś tam osobiście.
– Udało mi się dotrzeć do matematyczki, która faktycznie miała te dokumenty. I historia doczekała się finału.

Wróćmy do samego Cantora. Jakim był człowiekiem, matematykiem?

Dopóki nie masz twardego dowodu, możesz zawsze powiedzieć: „Uwierzę, jak zobaczę ten list". I to był uczciwy argument. Przy oskarżeniu takiego kalibru należy zachować ostrożność

Dziś w świecie matematyki ma status niemal boski, ale jak to wyglądało wtedy?
– Jego dziedzictwo matematyczne jest potężne, ale to ludzkie... powiedziałbym, że jest przepełnione smutkiem. Zazwyczaj mówi się o nim jako o geniuszu odrzuconym przez ówczesne elity i wyszydzanym przez kolegów po fachu, którzy kpili z jego rewolucyjnych idei. Do tego dochodzi choroba psychiczna, co tylko pogłębia jego tragizm.

Ale jeśli chodzi o zdrowie psychiczne, zawsze powtarzam, że nie jestem odpowiednią osobą, by to oceniać. Powinien to robić psychiatra, a nie matematyk. Choć muszę przyznać, że wielu matematyków wygadywało na ten temat bzdury. Sam jako student słyszałem legendę, że Cantor oszalał, bo „odkrył nieskończoność".

Ale faktem jest, że nie miał łatwego charakteru.
– To prawda. Nie pasował do środowiska naukowego. Znajdował kolegów, przyjaciół, którzy go podziwiali, bo był nieprawdopodobnie utalentowanym, błyskotliwym matematykiem. Ale wcześniej czy później zawsze dochodziło do spięć.

W jego biografii widać pewien powtarzalny, smutny cykl: znajduje kogoś, z kim prowadzi niezwykle intensywną korespondencję, a potem nagle dochodzi do zgrzytu, drogi się rozchodzą i już nigdy więcej ze sobą nie rozmawiają. Potem Cantor szuka nowego powiernika i historia się powtarza. Najpierw był Dedekind, potem Mittag-Leffler, wielki szwedzki matematyk... Słowem, on desperacko próbował się zintegrować, ale mu nie wychodziło.

Może jedną z przyczyn były jego rewolucyjne idee?
– Absolutnie tak. Wielu matematyków wypowiadało się o jego badaniach w sposób po prostu podły. Na kimś tak niepewnym siebie i nadwrażliwym jak Cantor takie ataki musiały zostawiać głębokie blizny.

Ale medal ma dwie strony. Cantor też potrafił być małostkowy i złośliwy. Dedekind nie był jedynym, który mógł czuć się przez niego splądrowany – byli też inni matematycy, którzy twierdzili, że Cantor przywłaszczył sobie ich wyniki. To ludzki aspekt tej historii: ludzie byli podli dla Cantora, a Cantor był podły dla nich.

Z kim toczył matematyczne wojny?
– Jego koszmarem i arcywrogiem był Leopold Kronecker, profesor Uniwersytetu w Berlinie. Sprzeciwiał mu się właściwie w każdej kwestii matematycznej. Pamiętajmy, że dzisiaj mamy ustalony zestaw reguł. Wiemy, co jest matematyką, a co nie, choć oczywiście są debaty odnośnie do dowodów wspomaganych komputerowo czy AI.

Wtedy jednak spór był znacznie bardziej radykalny. Nieskończoność nie była pełnoprawną częścią matematyki, dopiero Cantor ją tam wprowadził. Odrzucenie jej przez Kroneckera było więc w tamtym czasie czymś naturalnym – tak jak dzisiaj niektórzy odrzucają dowody generowane przez sztuczną inteligencję.

Czyli nie da się tak łatwo przypisać Kroneckerowi roli czarnego charakteru?
– I tak, i nie. Jeśli spojrzymy na aspekt ludzki, Kronecker był idealnym kandydatem na złoczyńcę. Mamy mnóstwo relacji z tamtej epoki o tym, jak trudnym był człowiekiem. Potrafił być skrajnie złośliwy, antagonizował wszystkich wokół. Mógł podejść do najlepszego przyjaciela i prosto w twarz powiedzieć mu: „Twoje badania są gówno warte, daj sobie spokój". Nie był to facet, którego chciałbyś mieć za sąsiada.

Ale jeśli spojrzymy na to z perspektywy czysto naukowej, sprawa nie jest już taka oczywista. Jasne, z dzisiejszego punktu widzenia wiemy, że jego odrzucenie nieskończoności było błędem, a droga Cantora okazała się słuszna. Ale wtedy? To było całkowicie rozsądne stanowisko. Kronecker nie był w swoich poglądach odosobniony.

Czyli nie był po prostu szaleńcem, który uwziął się na geniusza?
– Wcale nie. Co więcej, jego podejście do matematyki jest dziś bardzo aktualne w informatyce. Wszystko, co dotyczy teorii obliczeń, w pewien sposób wraca do pytań, które on stawiał. Więc choć mylił się co do nieskończoności, to w szerszym kontekście miał sporo racji.

Sytuację zaognił jednak fakt, że Kronecker miał realną władzę. Był redaktorem ważnych pism, mógł blokować publikacje. Wiemy, że próbował utrudniać Cantorowi życie zawodowe, nie dopuszczać jego prac do druku. To, co mnie jednak najbardziej fascynuje, to fakt, że mimo opinii „toksycznego" Kronecker sam nigdy nie zostawił po sobie żadnego jadowitego pisma. Nie mamy twardych dowodów na tę jego rzekomą nienawiść. To wszystko znamy z relacji osób trzecich. Czy był aż tak zły, czy po prostu stał się ofiarą złej legendy?

Wróćmy do Cantora. Kiedy doczekał się uznania?
– Zdecydowanie zbyt późno, by mógł się nim w pełni nacieszyć. Całe życie czuł się niedoceniony. Pracował w Halle, ale szczerze nienawidził tego miejsca. Uważał, że to naukowa prowincja, że nic ważnego się tam nie dzieje. Marzył o Berlinie, chciał być w samym centrum matematycznego świata. Nigdy się tam nie dostał. Można spekulować, czy blokowali go wpływowi wrogowie, czy po prostu zabrakło mu szczęścia, ale on sam do końca życia nosił w sobie tę gorycz.

eprasa.pl bce484ca04

Cantor jest zdecydowanie postacią tragiczną. Ale tragiczne są też postacie wokół niego – ludzie, którym zaszkodził swoim zachowaniem. Zwykle o tej drugiej stronie się milczy, a ja uważam, że powinniśmy pokazywać pełny obraz. Tylko wtedy zrozumiemy, jak skomplikowaną i niejednoznaczną był postacią. Dopiero na tym tle możemy w pełni docenić to, co zostawił po sobie w samej nauce.

A tego nie da się już pomniejszyć, nawet biorąc pod uwagę odkryty przez ciebie plagiat?
– Bez dwóch zdań. Mówiąc najprościej: Cantor znalazł sposób na to, by włączyć nieskończoność do głównego nurtu badań matematycznych. Często mówi się, że przed nim nieskończoność była całkowitym tabu, ale to lekka przesada.

Matematycy z niej korzystali, tyle że była to tzw. nieskończoność potencjalna.

To znaczy jaka?
– To jak zabawa w największą liczbę. Kiedy powiesz milion, ja odpowiem dwa miliony, a ty na to trzy miliony itd. To jest proces, który nigdy się nie kończy, ale samej nieskończoności nigdy nie osiągniemy. To było fundamentem analizy czy rachunku różniczkowego.

Cantor zrobił coś rewolucyjnego – on wprowadził nieskończoność aktualną. Powiedział: „Oto ona, spójrzcie na nią, możemy na niej operować jak na konkretnym obiekcie". Zrobił to za pomocą teorii mnogości.

Oczywiście nie dokonał tego sam, bazował na pracach innych, zwłaszcza Dedekinda, ale to on stworzył ramy, które dziś są absolutnie wszędzie. Jeśli zapytasz współczesnego matematyka, czy nieskończoność jest częścią jego badań, w 99 proc. przypadków odpowie „tak". Nawet jeśli nie jest to główny temat, to gdzieś tam w tle zawsze czają się liczby rzeczywiste czy rozmaitości.

Co według ciebie jest jego największym wkładem?
– To, że znalazł właściwy język dla teorii mnogości. Wyznaczył kierunek. Ta publikacja, o której rozmawiamy, była dopiero początkiem. Potem napisał sześć kolejnych prac, tworząc teorię liczb pozaskończonych. Stawiał pytania, które zdefiniowały całą nowoczesną matematykę: jakie są granice naszego myślenia? W którą stronę możemy iść, a gdzie droga jest zamknięta?

Co ciekawe, Cantor miał bardzo nieortodoksyjne podejście do komunikacji naukowej. Często ogłaszał, że rozwiązał jakiś problem, choć w rzeczywistości wcale mu się to nie udało.

Ale nawet te jego błędy i „pytania otwarte" były genialne. Stworzył narzędzia, jak choćby argument przekątniowy [dowód na nieprzeliczalność liczb rzeczywistych], które są dziś fundamentem logiki, informatyki i teorii mnogości. I co ważne: te narzędzia są jego. Tu nie ma mowy o plagiacie. Nikt inny tego nie wymyślił.

Co istotne, odkrył, że nie ma jednej nieskończoności. Jest ich wiele i mają różne rozmiary.

Większa i mniejsza nieskończoność? Brzmi to jak logiczny paradoks.
– Wyjaśnię ci, jak do tego doszedł. Odstawmy na bok to, co podebrał Dedekindowi, bo akurat metoda porównywania wielkości to był jego autorski, genialny pomysł.

Mianowicie Cantor wymyślił nowy sposób liczenia. Choć właściwie „liczenie" to złe słowo – on udowodnił, że da się porównywać zbiory bez używania liczb.

Demian Goos:
„Wcale ich [listów] nie szukałem. Szukalem informcji o procesie twórczym Cantora. W sieci trafiłem na stronę Stowarzyszenia im. Cantora. i zamarłem. Zobaczyłem skan listu od Dedekinda."

Wyobraź sobie teatr z mnóstwem miejsc siedzących. Chcesz sprawdzić, czy zmieścisz wszystkich widzów, którzy czekają przed wejściem. Klasyczne podejście? Policz krzesła, potem policz ludzi i porównaj wyniki. Ale Cantor zaproponował coś innego – żeby sprawdzić, czy każde krzesło ma swojego widza.

Czyli po prostu: czy w kasie pozostały bilety na konkretne miejsca?
– Dokładnie! Każdy dostaje bilet z numerem rzędu i fotela. Jeśli rozdasz wszystkie bilety i każdy siedzi na swoim miejscu, a przed wejściem nikt nie został – zbiory są równe. Jeśli zostali ludzie bez biletów – widzów jest więcej niż miejsc. Proste, prawda? I co najważniejsze: nie musisz wiedzieć, czy tych miejsc jest sto, czy milion. Nie potrzebujesz teorii liczb, żeby to stwierdzić.

Cantor poszedł o krok dalej. Zaproponował, aby zastosować tę samą metodę do zbiorów nieskończonych. Jeśli uda nam się stworzyć taką „funkcję bilet", która połączy każdy element jednego nieskończonego zbioru z elementem drugiego, to znaczy, że te nieskończoności mają ten sam rozmiar.

I co się okazało?
– Że nieskończony zbiór liczb naturalnych (1, 2, 3...) ma taki sam rozmiar, co zbiór liczb wymiernych (ułamków) czy algebraicznych. Wydaje się to sprzeczne z intuicją, bo przecież ułamków jest „więcej", ale da się im wszystkim sprzedać „bilety".

Potem Cantor wziął na warsztat liczby rzeczywiste – te wszystkie liczby z nieskończonym rozwinięciem dziesiętnym, które tworzą ciągłą linię. I tu nastąpił szok. Udowodnił, że bez względu na to, jak bardzo byś się starał, nigdy nie uda ci się porównać ich „jeden do jednego" z liczbami naturalnymi. Zawsze zostaną ci jakieś liczby rzeczywiste bez pary, bez miejsca w teatrze. A więc one są „większą" nieskończonością.

To musiało wywrócić stolik w ówczesnej nauce, w której najpierw nie było żadnej nieskończoności, a nagle pojawiły się aż dwie.
– To był absolutny odlot. To odkrycie było dopiero punktem wyjścia. Cantor zagłębił się w świat nieskończoności, po czym wrócił i opowiedział nam, co tam zobaczył. Stworzył całą teorię zbiorów pozaskończonych. Udo-

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414016

1 RP

eprasa.pl bce484ca04

wodnił, że istnieją nie tylko dwie, ale nieskończenie wiele rodzajów nieskończoności, jedna większa od drugiej, aż do rozmiarów, których ludzki umysł nie jest w stanie sobie nawet wyobrazić.

Ja mam kłopot z wyobrażeniem sobie tej najmniejszej.
– Dla nas, w codziennej matematyce, najważniejsze są dwie pierwsze: nieskończoność „przeliczalna" (jak 1, 2, 3...) i nieskończoność „ciągła" – continuum (jak linia prosta). Większość dzisiejszej nauki opiera się na tym rozróżnieniu. Cantor stworzył język, którym posługujemy się do dziś, budując spójną, logiczną teorię tam, gdzie wcześniej była tylko mgła i filozoficzne domysły. To jest jego prawdziwa, niepodważalna wielkość.

Postawił też słynne pytanie: czy między tymi dwiema nieskończonościami – liczbami naturalnymi i rzeczywistymi – istnieje jeszcze jakaś pośrednia nieskończoność?
– To tak zwana hipoteza continuum. I to jest właśnie moment, w którym widać geniusz Cantora w stawianiu pytań. Intuicja podpowiadała mu, że nie ma nic pomiędzy, ale przez całe życie próbował to udowodnić. Czasem ogłaszał światu, że ma dowód, innym razem – że go obalił. Frustracja go zżerała, bo czuł, że to kluczowy element całej układanki.

Dziś wiemy coś, co dla Cantora byłoby pewnie jeszcze większym ciosem: on nigdy nie zdołałby tego udowodnić. Ani on, ani nikt inny.

To znaczy, że odpowiedź nie istnieje?
– To znowu fascynująca historia. Na początku XX wieku matematycy zaczęli dostrzegać w teorii zbiorów pewne paradoksy. Musieliśmy stworzyć sztywne reguły, system aksjomatów, żeby wszystko się nie zawaliło. Wtedy też David Hilbert, inni niemiecki geniusz matematyczny, uwierzył, że matematyka jest już kompletna – że każde prawdziwe twierdzenie da się udowodnić. Brzmi to logicznie, prawda?

Jeśli coś jest prawdą, musi istnieć na to dowód.
– A jednak. W latach 30. pojawił się młody Austriak Kurt Gödel. I on udowodnił coś, co wstrząsnęło posadami nauki: istnieją twierdzenia prawdziwe, których nie da się udowodnić. Rozdzielił pojęcie prawdy od pojęcia dowodliwości. To był szok.

Okazało się, że ta nieszczęsna hipoteza continuum, nad którą Cantor ślęczał latami, jest właśnie pierwszym „praktycznym" przykładem takiego twierdzenia!

W latach 60. ostatecznie potwierdzono, że pytanie Cantora leży poza zasięgiem standardowej matematyki. Nie możemy go ani udowodnić, ani obalić na gruncie zasad, które przyjęliśmy.

To tragiczne. Poświęcił lata na szukanie odpowiedzi, która z definicji była nieosiągalna.
– Ale z drugiej strony – to dowód na to, jak niesamowitego miał nosa. Postawił pytanie, które nie było tylko techniczną zagadką, ale dotknęło samych fundamentów tego, czym w ogóle jest matematyczne myślenie.

To właśnie sprawia, że mimo wszystkich ludzkich słabości, błędów i tego nieszczęsnego plagiatu na starcie pozostaje jedną z najbardziej fascynujących postaci w historii matematyki.

Jego wielkość jako matematyka jest niepodważalna. Dlaczego więc twoje odkrycie budzi takie emocje?
– Bo choć dziedzictwo naukowe pozostaje nienaruszone, to zmienia się coś niemal równie ważnego: nasza narracja o nim. W środowisku trwają teraz niesamowicie zażarte debaty. Ludzie pytają: „Czy Cantor to ten zły? Czy to czarny charakter tej historii?".

Problem polega na tym, że bardzo trudno nam przełknąć fakt, że splagiatował Dedekinda, bo mamy w głowach obraz Cantora jako romantycznego bohatera nauki. Matematyka rzadko rodzi historie, które wychodzą poza mury uczelni, a losy Cantora – tego niezrozumianego, odrzuconego geniusza, który walczył z całym światem i popadł w obłęd – to jedna z nielicznych opowieści, które znają niemal wszyscy.

I w tej opowieści nie ma miejsca na oszustwo.
– Ten mit po prostu nie działa, jeśli okaże się, że u progu swojej wielkiej rewolucji Cantor przepisał pracę kolegi. W naszej kulturze bohater nie plagiatuje. To domena czarnych charakterów. To odkrycie po prostu kompletnie nie pasuje do narracji, którą sobie przez lata wypracowaliśmy. I to boli najbardziej.

Dlaczego on to w ogóle zrobił? Dlaczego splagiatował przyjaciela, skoro jego własny wynik był o niebo ważniejszy?
– To pytanie za milion dolarów. Odpowiedź jest złożona, ale należę do tych, którzy uważają, że Cantor nie posunąłby się do tego, gdyby nie czuł, że to jedyny sposób, by świat w ogóle usłyszał o jego własnych ideach.

Wszystko sprowadza się do pewnego zbiegu okoliczności. Cantor opowiedział o swoich odkryciach jednemu z kolegów, wspominając też o wyniku Dedekinda dotyczącym liczb algebraicznych. Ten kolega zareagował entuzjastycznie właśnie na ten drugi temat: „Cudowne! Musisz to koniecznie opublikować". Cantor poczuł presję. Ktoś w końcu zainteresował się tym, co robi, ale akurat tą częścią, która nie była jego autorstwa. A on sam panicznie bał się, że jego główny dowód – ten o nieprzeliczalności liczb rzeczywistych – zostanie z miejsca odrzucony jako zbyt radykalny.

Czyli to nie był zaplanowany skok na cudzą własność?
– Nie sądzę, by jego celem samym w sobie był plagiat. Moja interpretacja jest taka: Cantor był zdesperowany. Czuł, że ma w rękach coś rewolucyjnego, ale wiedział też, że większość środowiska go wyśmieje. Znalazł się w ślepej uliczce. Prawdopodobnie uznał, że jeśli opublikuje dwa wyniki razem, to z tą „bezpieczniejszą", cudzą częścią, przemyci się jego własna rewolucja.

Pomyślał pewnie: „teraz albo nigdy". To nie była chęć kradzieży sławy Dedekinda, tylko strach, że jego własne życiowe dzieło przepadnie, jeśli nie podeprze go czymś, co już zyskało uznanie.

Czyli rozgrzeszasz go?
– Nie, to wcale nie usprawiedliwia Cantora. On to zrobił i kropka. Tu stawiam wyraźną linię: popełniłeś błąd, oszukałeś przyjaciela i musisz ponieść za to odpowiedzialność przed historią. Ale zrozumienie jego motywów pozwala nam zobaczyć w nim człowieka z krwi i kości, a nie posąg z brązu. I myślę, że taka lekcja – o wielkości splecionej ze słabością – jest dla nas o wiele cenniejsza niż jakikolwiek wyidealizowany mit. ●

*** GEORG CANTOR** (1845-1918), niemiecki matematyk, profesor Uniwersytetu w Halle. Uchodzi za twórcę teorii mnogości: udowodnił m.in. nieprzeliczalność liczb rzeczywistych i pokazał, że istnieją różne „rozmiary" nieskończoności. W 1904 r. otrzymał Medal Sylvestera przyznawany przez brytyjskie Towarzystwo Królewskie za wybitne osiągnięcia w dziedzinie matematyki.

REKLAMA
Kraj/34427445

1 RP

eprasa.pl bce484ca04

FANZARA
WIOSKA MURALI

Zaczęło się we wrześniu 2014 roku. 23 artystów w ciągu czterech dni namalowało 44 murale. To był szalony festiwal. Pionierski projekt. Świetni artyści. Wydawało się, że taka mała wioska nie pomieści tylu dzieł sztuki! Dzisiaj jest ich 160!

tekst i zdjęcia **Anna Wyrwik**

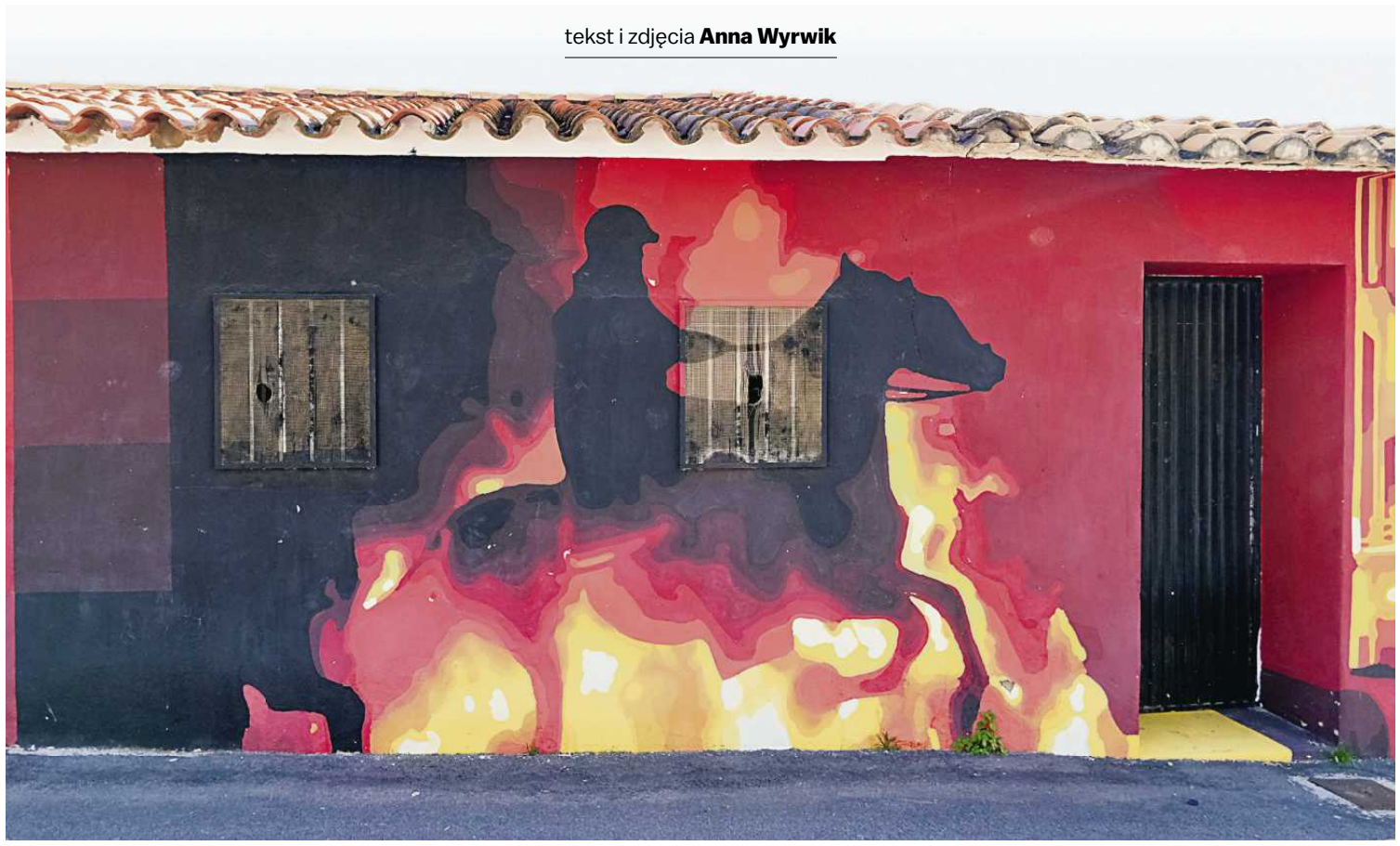

▼ **„Płonący koń" – mural Lluïsy Penelli z Walencji. Namalowała go na cześć hucznie obchodzonego w tym mieście Dnia Świętego Antoniego, patrona zwierząt**

▲ **Praca Dana Ferrera. Kobieta z żabą w koronie jest o tym, że kobiety nie potrzebują książąt i pocałunków, tylko wolności i szacunku**

▶ **Mural Eliasa Taño. Właściciel domu z rodziną i cytat z piosenki „Mi Patria Digna" („Moja godna ojczyzna"), który brzmi: „Jedyna godna ojczyzna w tym kraju nadal leży w rowie".**

1.

FANZARA leży na wschodzie Hiszpanii, w prowincji Castellón, we Wspólnocie Walenckiej. Jest municipio, co oznacza gminę, która jednak może obejmować i kilka, i tylko jedną, nawet tak małą wioskę. Otoczona jest górami, przecina ją rzeka Mijares. Do wioski prowadzi leżący nad nią most, z którego widać stojący przy brzegu rzeki betonowy klocek z muralem namalowanym przez hiszpańskiego artystę **Zesara Bahamontego**.

Do Fanzary jedzie się oglądać murale.

Na Plaza de la Iglesia spotykam się **z Javim Lópezem i Cristianem Olivaresem**. Javi jest wysoki, ma siwą kozią bródkę, ubrany jest w czarną bluzę z kapturem z logo MIAU, głównego bohatera tego tekstu. Cristian ma na sobie sztruksy i zielony sweter, oraz rudą brodę. Obaj mają kaszkiety i okulary w czarnych oprawkach. Spacer po mieście zaczynamy od lokalnego baru.

W Fanzarze jest jeden sklep mięsny, jedna piekarnia, jeden salon fryzjerski, jedna apteka i jeden hotel. El Castellet Alojamiento Rural mieści się w niskim, żółtym budynku z wielką drewnianą bramą, za którą znajdują się zadrzewione patio i schody do pokoi. Hotel prowadzi Ana i w celu rezerwacji najlepiej, czyli taniej niż na stronach internetowych, kontaktować się bezpośrednio z nią.

Są też dwa bary. My idziemy do baru d'Abajo. Drugi poza letnim sezonem jest zamknięty.

Przed wejściem w ogródku grupa ludzi pije piwo i pali papierosy. W środku na półkach za barem stoją butelki, szklanki i kieliszki, kartka informuje, że dziś nie ma na kredyt, na ścianach wiszą stare zdjęcia, przy jednej stoi automat do gier, przy innej zamrażarka z lodami.

Javi jest rysownikiem, pochodzi z Barcelony. Jako dziecko przyjeżdżał do Fanzary na wakacje do babci. Pokazuje na ścianie zdjęcie, na którym stoi wśród chłopaków drużyny piłkarskiej. 37 lat temu przeprowadził się do Fanzary na stałe. Z miłości do kobiety.

Cristian jest socjologiem i pochodzi z Walencji. Do Fanzary przyjechał cztery lata temu z miłości do spokoju i ziemi, by hodować warzywa, marchew, kalafiory, sałatę i szpinak na lokalną sprzedaż. Zamierza założyć tu piekarnię rzemieślniczą. Javi był pierwszym człowiekiem, którego poznał i który od razu opowiedział mu o MIAU.

2.

MIAU, czyli Museo Inacabado de Arte Urbano (Niedokończone Muzeum Sztuki Miejskiej), powstało w 2014 roku, ale zanim do tego dojdziemy, musimy się cofnąć do roku 2005.

Javi bierze łyk piwa Estrella i opowiada, jak to władze Fanzary chciały tu zbudować składowisko odpadów toksycznych. Mieszkańcy podzielili się na zwolenników i przeciwników pomysłu. Większość stanowili ci pierwsi.

Podczas gdy Javi opowiada, barman przygotowuje Cristianowi carajillo, jeden z tutejszych specjałów. Do szklanki wlewa rum, dodaje laskę cynamonu, skórkę cytryny, cukier, następnie podpala i miesza. Po wypaleniu alkoholu dolewa gorącą kawę. Cristian mówi, że carajillo jest dobre z bocadillo, czyli kanapką w bagietce z lokalnymi składnikami, a także z oliwkami i orzeszkami.

Wróćmy do opowieści Javiego. Przeciwnicy budowy składowiska odpadów założyli stowarzyszenie. Po sześciu latach protestów wystartowali w lokalnych wyborach i przejęli władzę w wiosce. Projekt budowy składowiska upadł.

Nowe władze chciały zrobić coś, by przywrócić spokój, naruszony przez lata konfliktu. Wtedy Javi i jego przyjaciel Rafael Gasco wpadli na pomysł skontaktowania się z **Miguelem Abellánem**, madryckim artystą znanym jako **Pincho**, i wspólnie zorganizowali pierwszy festiwal MIAU.

3.

FANZARA znajduje się blisko Walencji, więc, by się tam dostać, najlepiej polecieć do Walencji i wynająć samochód. Inaczej dostać się trudniej. Można teoretycznie pojechać pociągiem z Walencji do Villarreal, tam liczyć na autobus do Ondy i w niej łapać autobus do Fanzary. Jednak prawdopodobnie się go nie złapie, bo – jak mówią mieszkańcy – w sumie nikt nie wie, o której jeździ, a na rozkładzie na przystanku nie można tego sprawdzić, bo rozkładu nie ma. Ponoć jest w internecie, ale trudno go znaleźć.

Tak więc najlepiej wypożyczyć samochód. Można jechać autostradą A-7, zjechać na ekspresówkę CV-10, następnie skręcić na CV-20, minąć Ondę i jest się na miejscu. Można też na początku wybrać autostradę V-21, by jechać wzdłuż linii brzegowej Morza Balearskiego,

2 RP

eprasa.pl bce484ca04

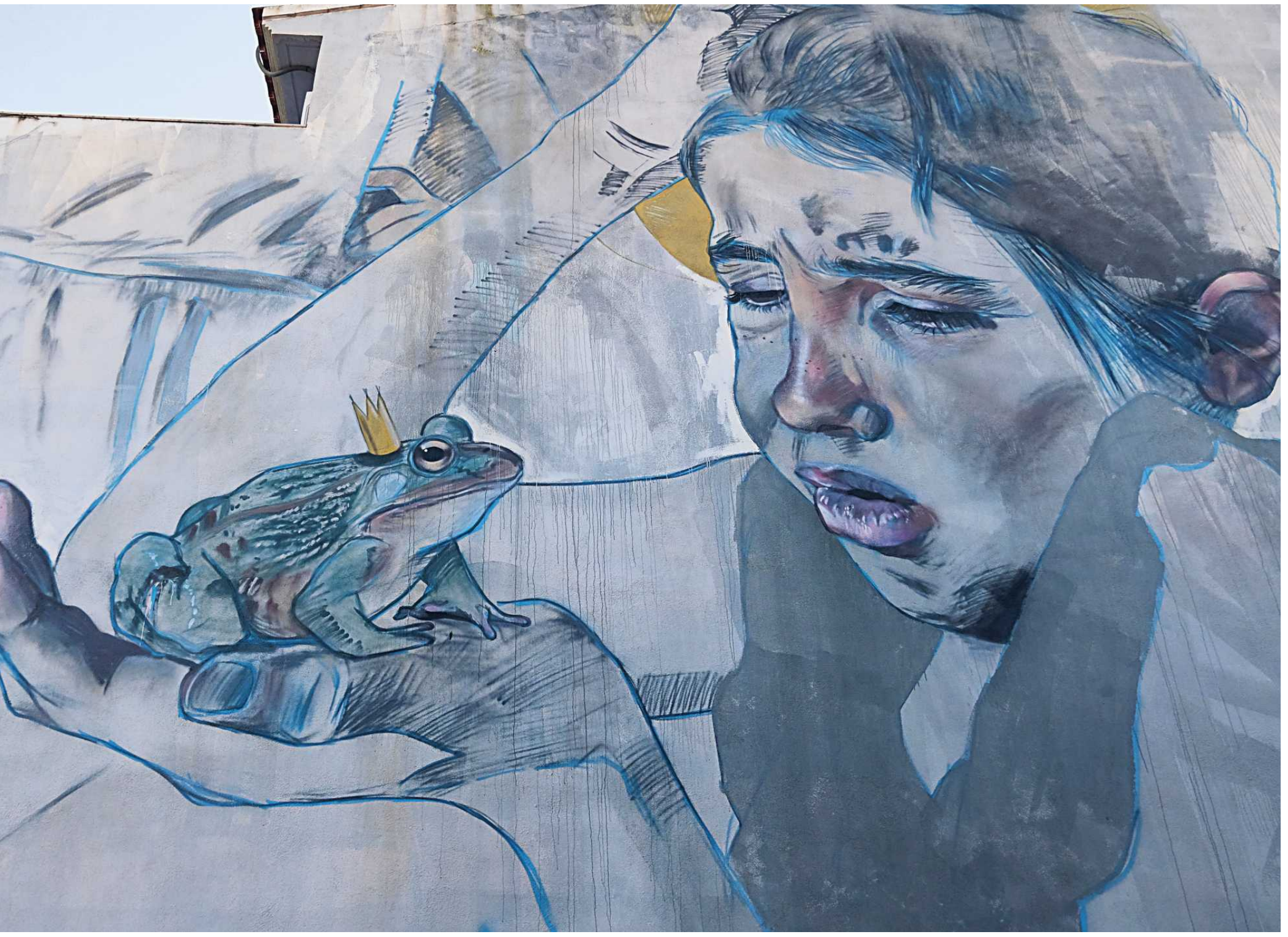

1 RP

a dopiero potem skręcić na A-7. Taka trasa zajmuje godzinę z hakiem.

Lepiej jednak pojechać dłuższą, ominąć autostrady i wybrać wąskie, kręte drogi przez małe wioski wśród gajów oliwnych i drzew pomarańczy, z ruinami zamków na horyzoncie, które zlewają się ze szczytami gór.

– Spacer ulicami Fanzary to spacer po MIAU, czyli muzeum bez drzwi i pomieszczeń, w którym można podziwiać rezultat połączenia współczesności z tradycją – mówi Javi.

Słychać śpiew ptaków, biją dzwony kościoła, a my chodzimy po wiosce. Javi pokazuje kolejne murale na starych kamienicach i kolejne interwencje w przestrzeni.

4.

BIFIDO, artysta z Neapolu, umieścił na jednym z budynków zdjęcie dziewczyny w krótkich blond włosach, z piercingiem na twarzy.

Fio Silva z Argentyny, specjalizująca się w malowaniu ptaków, na innym budynku namalowała orła. **Lluïsa Penella** pochodząca z Walencji na cześć obchodzonego tam hucznie Dnia Świętego Antoniego, patrona zwierząt, namalowała płonącego konia.

Digo Diego pochodzi z Madrytu i tworzy w odcieniach fioletu. Jego praca przedstawia ułożone obok siebie lampkę, sztućce z talerzem, telewizor, zegarek, misia, napój, a przedmioty te przedzielają pociski. Główną część pracy zajmuje czołg obok fotela. Mural nosi tytuł „Codzienne menu".

– Część artystów stawia na warstwę estetyczną, a inni za cel biorą sobie krytykę rze-

eprasa.pl bce484ca04

czywistości – mówi Javi. – **Digo Diego** chciał uświadomić ludzi, że przyzwyczaili się do oglądania wiadomości podczas spożywania posiłków, czyli tak naprawdę do oglądania podczas jedzenia masakr i ludobójstw. To sprawia, że są otępiali. Zajrzyj za ogrodzenie.

Mural znajduje się częściowo na budynku, częściowo na ogrodzeniu przed nim. Gdy się na nie wspinam, widzę, że pod czołgiem i fotelem namalowana jest trumna.

Hiszpański artysta **Raúl Ruiz**, pseudonim **El Niño de las Pinturas**, jest znany na całym świecie. Jego prace można podziwiać w Nowym Jorku, RPA czy Meksyku. W Fanzarze namalował dwie całujące się kobiety. Reprodukcja muralu znalazła się na plakacie reklamującym Marsz Równości w Granadzie w 2023 roku. Hasło na nim brzmiało „Familias LGTBI+".

Kobieta jest bohaterką pracy **Dana Ferrera**. Trzyma w dłoni żabę w koronie i zdaje się zastanawiać, co robić. – To mural o tym, że kobiety nie potrzebują książąt, tylko wolności, nie potrzebują pocałunku, ale szacunku – mówi Javi.

Artysta o pseudonimie **J.Warx** pochodzący z Walencji, gdzie jego prace można oglądać na murach (m.in. dwóch policjantów jadących na konikach na karuzeli), namalował mężczyznę na kanapie i drugiego podczas skoku o tyczce nad ciągnącymi się w rzeczywistości przy budynku kablami. Napisy brzmią: „Prawdziwy ja" (ten na kanapie), „Moje pragnienie" (ten skaczący) i „Moje cele" (kable).

Na walenckich murach od 20 lat można zobaczyć też prace artysty o pseudonimie **Deih**. Jego starszy mural z Fanzary został wybrany do top 10 najlepszych murali roku. Teraz można podziwiać inny – utrzymany w charakterystycznej dla artysty komiksowej stylistyce z widoczną inspiracją estetyką japońską przedstawia wojowniczkę z dwoma mieczami.

W dole wioski, blisko rzeki, na murze znajduje się instalacja ze spłaszczonych i zardzewiałych karoserii aut zrobiona przez **kolektyw Trashformaciones** stworzony przez braci: Montoya, Pabla i Blasa. Z kolei w górze wioski, między budynkami i skałami, na tle drzew **Julián Arranz** umieścił kota z pikseli, którego widać tylko z daleka.

Inny kot, namalowany w towarzystwie kwiatów, to dzieło **Marii Otal**, mieszkanki Fanzary. To jej pierwszy mural.

W całej miejscowości są też interwencje artysty znanego jako **Hombre López**, który jest członkiem organizacji MIAU. W małych pracach, czasem znajdujących się gdzieś na dole budynków czy na kontenerze na śmieci, czasem ograniczających się do napisów lub małej figury geometrycznej, artysta często nawiązuje do historii wioski, w tym do jej arabskich korzeni. Fanzara do połowy XIII wieku znajdowała się pod panowaniem Maurów.

Na jednej ze ścian wciąż jest mural autorstwa **Pincho**, od którego wszystko się zaczęło.

5.

FANZARA zajmuje 34, 98 km kw. i mieszka w niej mniej niż 300 osób (stan na 2025 rok to 295 mieszkańców).

– Większość to osoby starsze albo bardzo stare – mówi Javi.

Na dowód pokazuje mi mural przedstawiający Rondalla Santa Cecilia, tutejszy zespół muzyczny założony w 1983 roku. Pierwszy człon nazwy wziął się od słowa „rondalla", które określa hiszpański tradycyjny zespół instrumentów strunowych.

– Muerto, muerto, muerto. – Javi pokazuje kolejnych członków zespołu.

Autorem muralu jest **Costi**, który zamieszkał w Fanzarze jako dziecko i którego mamę przed chwilą spotkaliśmy. Mijamy pojedyncze osoby, wszyscy się znają, wszyscy witają, ale ogólnie prócz śpiewu ptaków i dzwonów kościoła niewiele tu słychać.

Inaczej jest podczas festiwali, które odbywają się w lecie, a, jak mówi Javi, w lecie i w weekendy miasto odżywa też dlatego, że wiele osób ma tu domy właśnie na wakacje czy weekendy.

FOTO ALAMY

• Mural urugwajskich artystów „z Colectivo Licuado" (Kolektyw Koktail) poświęcony lokalnej uprawie pomarańczy powstał na festiwalu MIAU w 2020 r.

• Reprodukcja tego muralu Raúla Ruiza, pseudonim El Niño de las Pinturas, znalazła się na plakacie promującym Marsz Równości w Granadzie w 2023 roku

• Rysownik Javi López i socjolog Cristian Olivares wiedzą wszystko o tutejszym festiwalu murali. W tle praca artystów o pseudonimach Seyer155 i Costi

Z pomysłu, by przywrócić spokój społeczny w Fanzarze i zaproszenia w tym celu do wioski Pincha, powstał większy pomysł – coroczny festiwal.

– To miał być po prostu fajny dzień malowania ścian, a dzięki entuzjazmowi mieszkańców i artystów stał się pierwszą edycją festiwalu MIAU – mówi Javi.

We wrześniu 2014 roku 23 artystów w ciągu czterech dni namalowało w Fanzarze 44 murale. Jednym z nich był pochodzący z Katalonii **Joan Tarragó**. Jego mural przedstawiał oko jako portal, który tworzy z widzem otwarty i pozbawiony kontroli dialog. Jest to element będący częścią języka wizualnego obecnego w całej twórczości artysty.

– To był szalony festiwal – wspomina Joan. – Sąsiedzi byli zajebiści! Starsi panowie zagadywali mnie podczas pracy. Razem jedliśmy, piliśmy, wszystkim się dzieliliśmy, w nocy się bawiliśmy, a rano, bez snu, znowu zabieraliśmy się do malowania. Poza tym to był pionierski projekt. Świetni artyści. Nie wiem, jak taka mała wioska mogła pomieści tyle tak cholernie wybitnych dzieł sztuki!

MIAU nie płaci artystom, bo nie ma z czego. Zapewnia im natomiast potrzebne do wykonania prac materiały i sprzęt (drabiny, podnośniki), a także pokrywa koszty transportu.

Oferuje również noclegi, wyżywienie i świetną zabawę. Konkretnie oferują im ją mieszkańcy, którzy przyjmują ich do domów, przygotowują dla nich posiłki, obsługują punkt informacyjny, a oprócz tego zagadują, zapraszają na drinka i mówią, żeby się nie przejmowali, zdążą skończyć swoje murale, a jak nie, to nic się nie stanie.

– Dla społeczności Fanzary spotkanie z artystami i samo uczestniczenie w procesie twórczym jest bardzo ciekawe. Z kolei artyści inspirują się tym, co ludzie im opowiadają – mówi Christian.

70-75 proc. mieszkańców udostępnia artystom ściany swoich domów, na których – po konsultacji projektu – ci tworzą sztukę.

W Fanzarze jest 160 murali i interwencji, a ich autorzy pochodzą z 45 krajów z całego świata: Hiszpanii, Francji, Włoch, Belgii, Portugalii, Wielkiej Brytanii, Danii i Polski, a także Argentyny, Chile, Kolumbii, Brazylii, Wenezueli, Urugwaju, Australii czy USA. Łącznie jak dotąd 116 artystów.

Starsze i zniszczone już murale zastępowane są nowymi.

1 RP

eprasa.pl bce484ca04

6.

– ARTYSTA może do nas przyjechać tylko raz, ale są wyjątki – tłumaczy Javi. – Podczas każdego festiwalu wybieramy artystę, którego prosimy o stworzenie wizerunku na kolejny festiwal. Jeśli się zgodzi, zapraszamy go ponownie jako gościa specjalnego.

Symbolem festiwalu w 2025 roku była mapa Fanzary namalowana przez **Lluïsę Penellę**. Kolory na niej symbolizowały sposób użytkowania ziemi na okolicznych terenach (lasy, pola uprawne, rzeka, obszar zabudowany itd.).

Prócz artystów wizualnych na festiwal zapraszani są muzycy, tancerze, performerzy. Malowaniu ścian towarzyszą spotkania, warsztaty czy pokazy filmowe.

MIAU współpracuje z Feria Internacional de Arte Contemporáneo MARTE, międzynarodowymi targami sztuki współczesnej odbywającymi się w mieście Castellón de la Plana (40 km od Fanzary) . W targach uczestniczą wybrani artyści z MIAU. Współpracuje również z Agencją Organizacji Narodów Zjednoczonych ds. Pomocy Uchodźcom Palestyńskim na Bliskim Wschodzie (UNRWA).

W ramach tej współpracy w 2025 roku powstał mural nawiązujący do sytuacji w Strefie Gazy. Namalował go artysta, który odwiedzał obozy dla uchodźców. MIAU zorganizowało też spotkanie z palestyńską uchodźczynią. Hiszpański zespół tańca współczesnego z Walencji Fil d'Arena Dansa Teatre przygotował na te okazję specjalny układ taneczny.

– To było trudne przeżycie dla mieszkańców. Kiedy wydarzenie się skończyło, ludzie byli bardzo przygnębieni – wspomina Javi. – Potrzebowaliśmy potem dużo piwa.

Tegoroczny festiwal odbędzie się 2-5 lipca. MIAU otrzymało 321 zgłoszeń od artystów z 45 krajów, spośród których wybrano dziesięcioro. W tej dziesiątce nie znaleźli się niestety zgłaszający się Polacy.

Jan Kołodziej, tworzący pod pseudonimem Autone, artysta z Gdańska, w tym roku wysłał zgłoszenia na kilkanaście open calli, a do Fanzary zachęciła go historia festiwalu i piękne położenie wioski.

Duet Kwiet Murals (małżeństwo Pauliny i Konrada Kwietniewskich) przenosi sztukę do przestrzeni miejskiej już od kilku lat, głównie w Łodzi.

– Wierzę, że obcowanie ze sztuką jest fundamentalną ludzką potrzebą, i nie widzę lepszego sposobu na robienie tego niż street art, który umożliwia ludziom styczność z nią na co dzień – mówi Paulina.

W Fanzarze jest już jedna praca Polki – to mural przedstawiający postać żonglującą piłeczkami wykonany przez **Susie Hammer (Zuzannę Młotek)**, ilustratorkę i autorkę książek dla dzieci, która od lat mieszka w Madrycie.

7.

W 2023 ROKU jednym z uczestników festiwalu był hiszpański artysta **Elias Taño**.

– Bardzo długo rozmawiałem z właścicielem domu, na którym miałem malować – mówi. – Był to starszy mężczyzna, jak się okazało, syn pierwszej osoby we wsi, która dołączyła do republikanów, czyli przeciwników generała Franco, po tym, jak dokonał on zamachu stanu. W Hiszpanii republikanie to tyle co komuniści, więc ten starszy mężczyzna całe życie przeżył z piętnem komunisty, co w Hiszpanii nie było łatwe. Szczególnie za rządów Franco, gdy komuniści byli zabijani przez faszystów. Zabijani i wrzucani do zbiorowych grobów.

Na muralu Elias Taño przedstawił swojego rozmówcę wraz z rodziną i dodał cytat z piosenki „Mi Patria Digna" („Moja godna ojczyzna") autorstwa dwóch walenckich muzyków – rapera Toniego Mejíasa z grupy Los Chikos del Maíz i Pabla z rockowego La Raíz. Cytat brzmi: „La única patria digna de este pais aun sigue en cuneta" („Jedyna godna ojczyzna w tym kraju nadal leży w rowie").

– Leżą bezimienni, a ich rodziny nawet nie wiedzą gdzie – mówi Elias. – Tym muralem chciałem zachęcić do dyskusji o ojczyźnie. Czym jest dziś Hiszpania, skoro nie ma u nas sprawiedliwości w kwestii pamięci historycznej?

Po festiwalu władze Fanzary poinformowały MIAU, że niektórzy mieszkańcy skarżyli się, że mural obraża ich wrażliwości, i poprosili o jego usunięcie. – Odmówiliśmy, bo mural nie naruszał żadnych przepisów – tłumaczy Javi.

Wtedy władze wprowadziły przepisy określające, co można malować, a czego nie. Według nich artyści byliby zobowiązani do przedstawienia im szkicu planowanego dzieła, który urzędnicy musieliby zatwierdzić.

– Swoimi pracami pragnę zachęcać ludzi do sporów intelektualnych, ale wzbudzać kontrowersje. A tu się okazuje, że ktoś chce usunąć mural, bo mu się nie podoba – mówi Elias. – Żal mi moich przyjaciół z Fanzary. Robią świetny festiwal, a przez to muszą walczyć już nie tylko o zorganizowanie kolejnych, ale jeszcze z dodatkowym problemem.

Konsekwencje były takie, że 2024 roku festiwal się nie odbył. MIAU poprosiło o opinię rzecznika praw obywatelskich i radę kultury Walencji. Obie instytucje skrytykowały działania władz Fanzary i zmusiły je do wycofania rozporządzenia. W 2025 r. festiwal już się odbył, ale MIAU straciło samorządową dotację.

Miało ją od 2014 roku, czyli od początku festiwalu. Tyle że wtedy w mieście rządziła Hiszpańska Socjalistyczna Partia Robotnicza (PSOE) – lewicowcy wywodzący się ze stowarzyszenia założonego przez przeciwników budowie składowiska. W 2023 r. władzę przejęła prawica, a konkretnie młodzi z Partii Ludowej (PP), którzy, gdy wioską targał konflikt o składowisko odpadów, chodzili jeszcze do podstawówki, ale wywodzą się ze środowiska, które wtedy budowę poparło.

Javi mówi, że tu chodzi nie tylko o lewicę i prawicę, ale też o sąsiedzkie zaszłości.

– Myślę, że mural Eliasa Taño był tylko pretekstem – mówi Javi. – Nowa władza od początku nie chciała z nami współpracować, tylko rzucała kłody pod nogi. Wymyślili, by pobierać opłaty od turystów za wstęp do MIAU. Ale przecież to jest otwarte muzeum, które obejmuje całą wioskę.

Według Cristiana „jóvenes" (młodzież) z PP, jak ich nazywa, boi się sztuki, bo boi się prawdy o świecie, którą sztuka przedstawia.

– Młodzi na całym świecie są coraz mniej progresywni. Dlatego są łatwiej przejmowani przez środowiska prawicowe. Poza tym myślą tylko o tym, jak można na czymś skorzystać finansowo.

Władze Fanfary nie odpowiedziały na prośbę o komentarz.

8.

Na stronie MIAU możemy przeczytać słowa prof. Joana Feliu Francha, historyka sztuki z Uniwersytetu w Walencji: „MIAU to sztuka miejska, ale także alternatywny sposób tworzenia społeczności i odzyskiwania lokalnej pamięci oraz dumy. To potężne narzędzie przekazywania wartości".

Po 2014 roku Fanzara stała się jednym z popularniejszych miejsc w okolicy i jednym z najważniejszych ośrodków prezentujących street art we Wspólnocie Walenckiej, a może nawet w całej Hiszpanii.

Przyjeżdżają tu turyści, grupy szkolne i studenci. MIAU oferuje wycieczki z przewodnikiem i warsztaty graffiti, dzięki którym ludzie mogą nie tylko poznać technikę, ale i zrozumieć znaczenie sztuki miejskiej jako formy ekspresji artystycznej.

Ponieważ MIAU jest muzeum otwartym, trudno określić liczbę odwiedzających. Ale można policzyć, ile mapek wydano w punkcie informacyjnym od 2014 roku – ok. 100 tys. szt.

Od 2015 roku z wycieczek z przewodnikiem i warsztatów graffiti skorzystało ok. 19 tys. osób. Trzeba zaznaczyć, że w latach 2020-21 (z powodu pandemii COVID-19) i w 2024 (z powodu działań władz) – festiwale się nie odbyły, co spowodowało spadek liczby gości.

W Fanzarze znajduje się praca angielskiego artysty **Martina Firrella** stworzona w 2015 roku, ale nie w ramach festiwalu, ale jego własnego projektu „Jak żyjemy". Firrell spotkał się z czworgiem najstarszych mieszkańców wioski. Rozmowę z nimi podsumował zdaniem, które napisał na murze otaczającym budynek tutejszej szkoły w języku hiszpańskim, a pod spodem do góry nogami w języku angielskim: „Przyszłość jest krótka. Nie boimy się".

Jaka przyszłość czeka Fanzarę?

– Dla mnie Fanzara wciąż zachowuje tę samą istotę, jaką miała, gdy przyjeżdżałem tu jako dziecko, i nie chcę, żeby się zmieniła – mówi Javi.

Jak pisałam, tegoroczny festiwal się odbędzie. Można mieć nadzieję, że odbędą się także kolejne edycje. I że wioska pozostanie otwarta na świat. Jak teraz, czego przykładem może być właśnie szkoła podstawowa w Fanzarze. Wśród 13 uczniów są także Ukraińcy. Dlatego mieszkańcy bramę, drzwi i barierki przy szkole pomalowali w niebiesko-żółte pasy. ●

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414014

Paweł Sołtys:
Dlaczego Warszawa jest dla Niego ważna?

Randka, czyli fiasko. A może rzucić wszystko i zostać swatką? Bo Tinder nie daje rady

Dlaczego Agatha Christie jest ciągle w modzie – wyjaśnia Sophie Hannah, która dopisuje kolejne śledztwa do kolekcji Herkulesa Poirot

Najlepsze książkowe nowości przed wiosną

Zamów magazyn z darmową dostawą na: **Prenumerata24.pl**
Więcej na: **Wyborcza.pl/ksiazki**

1 RP

eprasa.pl bce484ca04

KOMENTUJE ADAM MICHNIK POLECA

Nie jest *nasz*, więc go nienawidzę

Ważną cechą dzisiejszej polskiej polaryzacji jest intensywna wrogość mająca korzenie w silnej identyfikacji z własnym obozem politycznym. **Króluje niechęć, lęk, pogarda.**

Janusz Reykowski

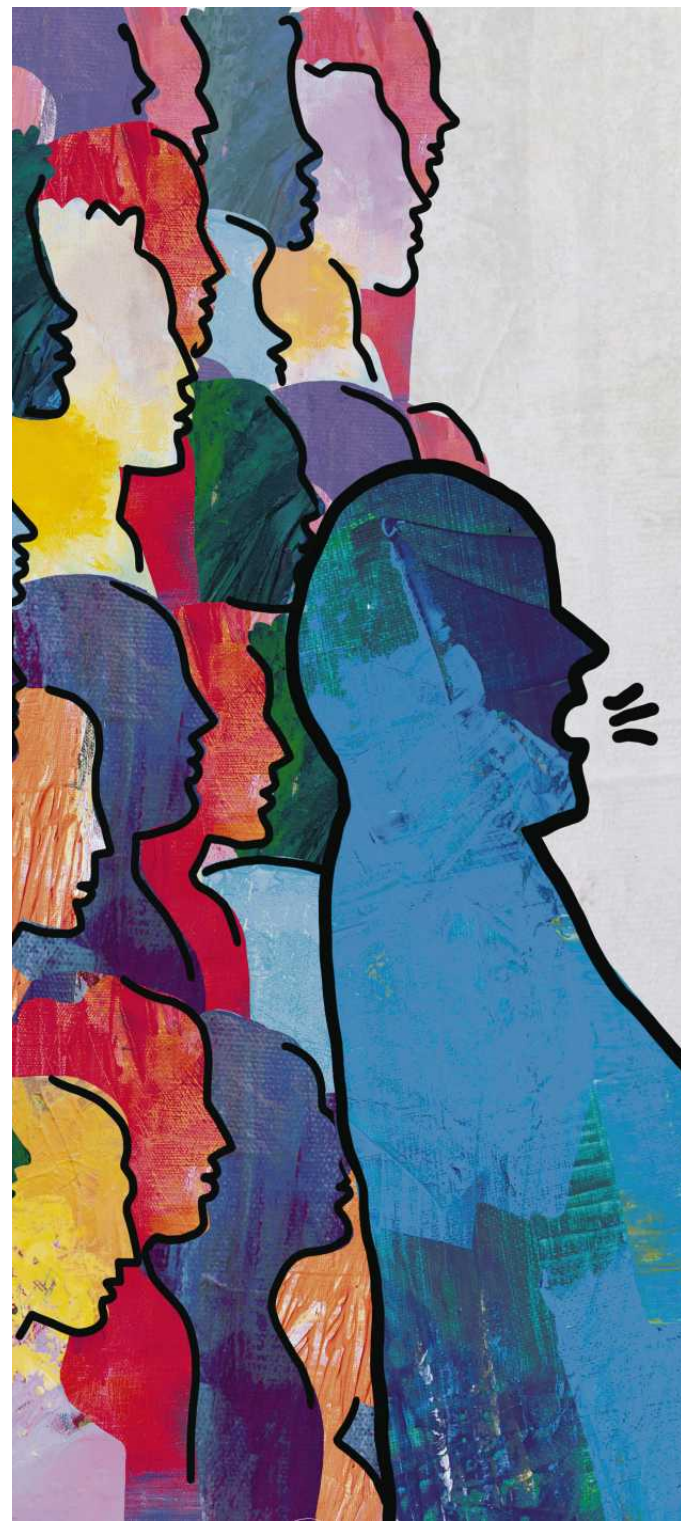

Od jakiegoś czasu pojawiło się wśród badaczy zjawisk społeczno-politycznych zainteresowanie występującym w krajach demokratycznych zjawiskiem wzrastania niechęci, a nawet wrogości między partiami politycznymi. Wrogość ta ma negatywny wpływ na życie społeczne w tych krajach. Instytucje publiczne i media stają się arenami bezwzględnej rywalizacji między dwoma lub więcej politycznymi podmiotami.

Tak się dzieje w USA

Przejawy tej wrogości mogą osiągać nawet bardzo drastyczne formy. Tak np. poparty przez Partię Republikańską prezydent USA Donald Trump na oficjalnym spotkaniu z liderami krajów Unii Europejskiej (w sierpniu 2025 roku), transmitowanym przez radio i telewizję do różnych krajów, opisał byłego prezydenta z Partii Demokratycznej (przeciwnika, z którym przegrał poprzednie wybory) jako głupca, który szkodził Ameryce. Oskarżył też Partię Demokratyczną o sfałszowanie wyników wyborów prezydenckich i zapowiedział kroki, które uniemożliwią tej partii uzyskanie „nienależnego" zwycięstwa w następnych wyborach.

Wypowiedzi tego rodzaju mogą utrwalać antagonistyczne stosunki między partiami, a także przenosić się na ich zwolenników i sympatyków. Świadczą również o tym, że klimat bezwzględnej rywalizacji politycznej, nawet w kraju, który uchodził za wzór państwa demokratycznego, może rozwinąć się do tego stopnia, że zagraża demokracji.

W USA przeprowadzono wiele badań tego zjawiska. Wskazują one, że wrogie wobec siebie polityczne obozy – zwolenników Donalda Trumpa, Partii Republikańskiej i jej zwolenników oraz ich przeciwników – Demokratów dzielą bardzo głębokie różnice ideologiczne i bardzo intensywne negatywne uczucia. Politycy tych partii (z niewielkimi wyjątkami) nie są w stanie uzgodnić między sobą jakichkolwiek ważnych dla kraju decyzji.

Decyzje podejmowane są przez większość, która nie oglądając się na drugą stronę, liczy się tylko z opiniami swoich wyborców. Ważne społeczne reformy, jak np. Obamacare (która rozszerzała dostęp do opieki medycznej dla milionów niezamożnych Amerykanów) wprowadzona przez Demokratów, została zdemontowana przez Republikanów, kiedy ci przejęli władzę w kraju.

Podział amerykańskiego społeczeństwa rozwijał się od długiego czasu. Stał się on w ostatnich kilkunastu latach przedmiotem intensywnych badań politologów, socjologów czy psychologów.

Jednym z narzędzi badań tego podziału jest tzw. termometr uczuć. Ma on mierzyć poziom „ciepła" vs „zimna" tych uczuć wobec określonych kategorii osób. Badani otrzymują arkusz zawierający 100-punktową skalę oznaczoną po stronie wysokich wartości jako ciepło, a niskich – jako zimno. Są proszeni, aby na tej skali wskazali stopień swoich uczuć wobec członków i zwolenników obu głównych partii.

Różnica tych ocen jest miarą dystansu emocjonalnego między tymi, z którymi dana osoba się identyfikuje, a tymi, którzy należą do partii przeciwnej.

Od wielu lat prowadzony jest za pomocą tego narzędzia (a także innych) systematyczny pomiar postaw emocjonalnych (uczuć) wobec członków i stronników partii, z którą dana osoba sympatyzuje czy też identyfikuje się z nią, i wobec takich, którzy są członkami lub zwolennikami partii przeciwnej.

Trwałość dwupartyjnego systemu w amerykańskiej polityce umożliwia zaobserwowanie zmian, jakie w długim czasie zachodziły w postawach amerykańskiego społeczeństwa w tym zakresie. Jak się okazało, z biegiem czasu oceny temperatury uczuć wobec członków i stronników własnej i obcej partii coraz bardziej się różnią.

Tak np. w 1978 roku średnia różnica między poziomem uczuć „ciepła" – „zimna" do własnej partii i do partii przeciwnej wynosiła ok. 23 stopni. W roku 2016 ta różnica wzrosła do ponad 41 stopni (pisał o tym Shanto Iyengar, profesor nauk politycznych i komunikacji z Uniwersytetu Stanforda, i inni w „The origins and consequences of affective polarization in the United States", 2019).

Ten podział interpretowany był przez polityków i publicystów jako dowód, że Ameryka podzieliła się na dwa odrębne kraje. Opinię taką wypowiadano już 20 lat temu.

Patrick Buchanan - konserwatywny polityk i publicysta, doradca trzech republikańskich prezydentów (sam w 2000 roku ubiegał się o urząd prezydenta USA) – w swojej słynnej wypowiedzi na konwencji Republikanów w 2004 roku stwierdził m.in.: „My już nie zamieszkujemy wspólnego moralnego uniwersum. Nie jesteśmy już jedną moralną wspólnotą. Tworzymy dwa odrębne kraje".

Wypowiedź ta została uznana za wezwanie do „wojny kulturowej".

Podział tego rodzaju określano w naukach społecznych jako „polityczną polaryzację". Był on traktowany jako rezultat poważnych różnic w sferze przekonań ideologicznych i politycznych, a w związku z tym przeciwstawnych celów polityki.

To wyjaśnienie zostało jednak zakwestionowane. W 2012 roku ukazał się w „Public Opinion Quarterly" artykuł „Affect, not ideology. A social identity perspective on polarization", który przedstawiał inną perspektywę na tę sprawę. Jego autorzy, Shanto Iyengar, oraz jego dwaj współpracownicy, Gaurav Sood i Yphtach Lelkes, przedstawili wyniki swoich badań nad 40-letnią historią relacji między Partią Republikańską i Partią Demokratyczną w USA i narastającą między nimi polaryzacją.

W ich badaniach wzięto pod uwagę psychologiczny aspekt polaryzacji. Opierając się na popularnej w psychologii Teorii Tożsamości Społecznej (social identity theory), Henri Tajfel i jego współpracownicy pokazali, że głównym powodem antagonizmu między dwoma politycznymi obozami nie były sprzeczności poglądów ideologicznych i politycznych, lecz opisany przez Teorię Tożsamości Społecznej mechanizm „in group bias and out-group discrimination", co można w przybliżeniu opisać jako tendencję do stronniczego popierania członków własnej grupy, a zarazem dyskryminowania grupy obcej.

Tendencja ta jest naturalną konsekwencją podziału na dwie grupy różniące się tożsamościowo. Według cytowanych tu badaczy tendencje te, w sposób „naturalny", pojawiają się wśród członków dwóch rywalizujących ze sobą partii.

Z podziałami tego rodzaju spotyka się w codziennym życiu każdy z nas. Np. tak dzielą się uczniowie uczęszczający do różnych klas czy różnych szkół, pracownicy instytucji różnych działów, mieszkańcy sąsiadujących ze sobą miejscowości i tak dalej.

Taka różnica nie musi automatycznie powodować niechęci lub wrogości wobec innych nienależących do grupy „my" (co bywa typowe np. wśród pewnej kategorii kibiców klubów sportowych). Różnice tożsamościowe nie uniemożliwiają współpracy i przyjaznych stosunków. Powodują tylko pewną stronni-

eprasa.pl bce484ca04

FOT. GETTY IMAGES

Polaryzacja afektywna nie jest spontanicznym czy automatycznym procesem. Wywołują ją celowo politycy i używają jako narzędzia politycznego

czość w sądach i przy podziale jakichś dóbr materialnych czy symbolicznych.

Stronniczość ta może być jednak hamowana przez uwewnętrznione normy, np. sprawiedliwości, solidarności, pomocy bliźniemu itp. Ale jeśli dane grupy pozostają w stałym układzie rywalizacyjnym i nastawione są na pokonanie przeciwnika, to ta różnica tożsamościowa może odgrywać ważną rolę w nasilaniu się negatywnych emocji wobec drugiej strony.

Otóż, jak stwierdzili cytowani tu badacze, podział między dwoma rywalizującymi amerykańskimi partiami stopniowo pogłębiał się i wzbudzał coraz większą wzajemną niechęć. Głównym czynnikiem napędzającym ten proces była nie tyle rywalizacja obu stron i walka, jaka się między nimi toczyła, ale przede wszystkim sposoby tej walki.

Szczególnie istotne znaczenie miały polityczne kampanie wyborcze – udział w nich zarówno w roli uczestnika, jak i kibica, oraz fakt, że ta walka polityczna w trakcie kampanii toczyła się w bardzo agresywnych, czasami wręcz brutalnych formach. Tak prowadzona walka polityczna wzbudzała bardzo silne negatywne emocje - gniewu, pogardy, wściekłości, upokorzenia, oburzenia, czasami wstrętu. I emocje te były przeżywane kolektywnie. W ten sposób rodziło się zjawisko, które zostało nazwane przez autorów badań AFEKTYWNĄ POLARYZACJĄ.

Jest to polaryzacja, która rodzi się pod wpływem emocji towarzyszących podziałowi międzygrupowemu. Przejawia się nie tylko w rywalizacyjnych emocjach, leczy także w przekonaniach oceniających swoją własną grupę i grupę przeciwnika w sądach ewaluatywnych. Obcej grupie przypisywane są negatywne cechy, a grupie własnej cechy pozytywne. Jest to, jak wiemy, zjawisko nader powszechne.

Należy zauważyć, że sam fakt rywalizacji między partiami politycznymi nie musi prowadzić do antagonizmu między nimi, do afektywnej polaryzacji. W Europie są kraje, w których partie, mimo że ze sobą rywalizują, potrafią współpracować i rozwiązywać problemy kraju w drodze porozumień.

Stronniczości w ocenach i postawach nie muszą prowadzić do intensywnej wrogości. Do takich konsekwencji doprowadzało działanie elit, które przyczyniały się do wzmacniania negatywnych uczuć wobec „grupy obcej".

Należałoby dodać, że różnice poglądów politycznych i ideologicznych nie były bez znaczenia dla polaryzacji, ale w wielu przypadkach były one wtórne w stosunku do reakcji afektywnej związanej z podziałem na swoich (członków i zwolenników własnej partii) i obcych (członków i zwolenników partii przeciwnej). Innymi słowy to właśnie ta reakcja mogła sprawić, że określony pogląd był akceptowany lub odrzucany w zależności od tego, czy przypisywano go grupie własnej, czy obcej.

Co to takiego polaryzacja afektywna

Są różne rodzaje polaryzacji (co opisuje Łukasz Wielgosz w pracy „Trzy ujęcia polaryzacji politycznej", „Wrocławskie Studia Politologiczne", 2020), ale polaryzacja afektywna nie jest po prostu jedną z nich. Nie można też uznać za wystarczające określenie jej w sposób, jaki przedstawili Nicholas Dias i Yphtach Lelkes (2022), pisząc, że polaryzację afektywną można uznać za zjawisko wpływu partyjności na afekt interpersonalny, który można zaobserwować na podstawie termometru uczuć, wskazującego rosnący dystans między ocenami własnej partii vs przeciwnej. („The nature of affective polarization", „American Journal of Political Science", 2022).

Przede wszystkim polaryzacja afektywna nie jest po prostu skrajną różnicą poglądów politycznych czy ideologicznych. Takie różnice mogą jej towarzyszyć, ale nie stanowią istotnych charakterystyk tego podziału. Jej kluczową cechą jest ukształtowanie tożsamości społecznej opartej na identyfikacji z określoną polityczną formacją (partią), która rywalizuje i walczy z inną polityczną formacją (partią). W związku z czym antagonistyczne postawy wobec rywali stają się jedną z istotnych cech społecznej tożsamości.

Negatywny afekt między politycznymi rywalami jest wzmagany i podtrzymywany w toku kampanii politycznych, którym kierunek i ton nadają polityczne elity.

Na ważne cechy polaryzacji afektywnej zwróciła uwagę fińska badaczka Emilia Palonen. Jej pracę opisuje polski badacz Łukasz Wielgosz. Palonen prowadziła badania nad polaryzacją polityczną na Węgrzech. Na podstawie tych badań doszła do następującego wniosku:

„W rzeczywistości polaryzacja jest narzędziem politycznym, skonstruowanym po to, aby wytyczać granice między »nami« a »nimi«. Polaryzacja to sytuacja, w której dwie grupy budują i wzmacniają siebie nawzajem poprzez wytyczanie między sobą granicy. Ta granica polityczna tworzy punkt identyfikacji i konfrontacji w systemie politycznym. Polaryzacja odtwarzana jest we wszystkich kontekstach politycznych i społecznych z intensywnością, która odróżnia ją od zwykłej polityki dwupartyjnej".

Palonen nie posługuje się terminem polaryzacja afektywna, choć ten właśnie rodzaj polaryzacji opisywała i charakteryzowała. Ale jej analiza zwraca uwagę na bardzo istotną cechę afektywnej polaryzacji: nie jest ona spontanicznym czy automatycznym procesem, ale jest intencjonalnie wywoływana przez polityków i używana jako narzędzie polityczne.

Zastosowanie tego narzędzia ma rozległe konsekwencje w społeczeństwie. Wzmaga ono postawy rywalizacyjne i antagonistyczne emocje, które obejmują stopniowo coraz szersze kręgi. W pewnych krajach dochodzi nawet do prawie dychotomicznego podziału społeczeństwa na antagonistycznie nastawione do siebie obozy. Jest to więc sytuacja, w której duże odłamy społeczeństwa zostają wciągnięte w antagonistyczny układ między sobą.

Antagonistyczny charakter polaryzacji afektywnej różni ją od polaryzacji innego rodzaju. O ile różnice między poglądami ideologicznymi lub ekonomicznymi, a także pewnymi poglądami politycznymi mogą skłaniać ich zwolenników do dialogu, aby osiągnąć jakiś rodzaj porozumień mimo różnicy przekonań, w przypadku polaryzacji afektywnej osiągnięcie takich porozumień jest bardzo mało prawdopodobne lub niemożliwe.

Jest tak dlatego, że w tej rywalizacji nie chodzi o rozwiązanie jakiejś konkretnej sprawy czy ustalenie jakiegoś sposobu postępowania, tylko o pokonanie czy poniżenie przeciwnika – pozbawienie go pewnych uprawnień, pogorszenie jego sytuacji. Innymi słowy polaryzacja afektywna to konflikt, który należy do kategorii konfliktów destruktywnych.

FOT. MICHAŁ RYNIAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

prof. dr hab. Janusz Reykowski

• psycholog, członek korespondent PAN, profesor emeritus w Instytucie Psychologii PAN. Przez wiele lat związany z Uniwersytetem Warszawskim.

eprasa.pl bce484ca04

Polaryzacja afektywna może być traktowana jako charakterystyka stanu społeczeństwa. Iyengar i jego koledzy opisali stan społeczeństwa amerykańskiego, wskazując na to, iż pojawił się nowy typ jego podziału, który polega na niechęci lub wrogości do ludzi o odmiennej politycznej orientacji.

Towarzyszy temu wzrost wzajemnej nieufności i przypisywanie drugiej stronie negatywnych cech. Zwykli Amerykanie coraz bardziej się nie lubią, a nawet nie cierpią, jeżeli popierają różne partie polityczne. Kampanie stają się okazją do wyrażenia niechęci i nieufności do drugiej strony i zademonstrowania swojej własnej tożsamości partyjnej.

Jest to sytuacja, która zagraża samym fundamentom ładu demokratycznego, które wybitny amerykański socjolog Seymour Martin Lipset opisał następująco:

„Demokracja wymaga konfliktu i podziałów, a zatem walki o pozycje władzy, krytyki rządzących i zmiany rządzących partii. Lecz bez konsensusu umożliwiającego pokojową »grę« o władzę, podporządkowanie się tych, którzy są poza systemem władzy, tym, którzy są wewnątrz tego systemu, i uznanie przez tych, którzy władzę posiadają, praw tych, którzy jej nie posiadają – demokracja nie może istnieć. Tak więc badanie warunków utrzymania demokracji musi skupiać się na źródłach i konfliktu, i konsensusu" (1963).

A prominentny przedstawiciel innej ideologicznej perspektywy, ekonomista, laureat Nagrody Nobla Friedrich August von Hayek wskazywał, że ISTOTA DEMOKRATYCZNEGO SPRAWOWANIA WŁADZY nie polega na automatycznym rozstrzyganiu spraw przez większość, lecz WYNIKA Z SZERSZEGO NIŻ DORAŹNY AKT WOLI POROZUMIENIA SPOŁECZNEGO WOKÓŁ WSPÓLNYCH ZASAD (wyróżnienie JR).

Polaryzacja afektywna doprowadza do zniszczenia tych wspólnych zasad.

Tak się dzieje w Europie

Badania nad polaryzacją afektywną w Europie zaczęły się intensywnie rozwijać w latach 2020-21, czyli ok. siedem lat później niż w USA. Różnica ta związana była z tym, iż badania amerykańskie opierały się na wypracowanej już metodologii, takiej, jakiej używali pionierzy badań nad ową polaryzacją (Iyengar i inni). Metodologia ta nie nadawała się jednak do warunków europejskich, bo była dostosowana do dwupartyjnego systemu amerykańskiego, podczas gdy w państwach europejskich panują na ogół systemy wielopartyjne.

Tak więc pierwszym zadaniem, którym europejscy badacze musieli się zająć, było stworzenie narzędzi dopasowanych do warunków panujących w Europie. Powstało kilka takich narzędzi. Jednym z nich, które stworzył Andres Reiljan z European University Institute, był Affective Polarisation Index (API), dostosowany do badań prowadzonych w związku z odbywającymi się wyborami parlamentarnymi.

Osoby badane miały na specjalnym arkuszu ocenić partie biorące udział w tych wyborach oraz ich przywódców. Ocen dokonywano przy użyciu 10-punktowej skali. Punkty na tej skali oznaczone były od „bardzo lubię" do „bardzo nie lubię" i osoba badana zaznaczała, jak bardzo lubi lub nie lubi daną partię i jej przywódcę. Osoby badane miały również wskazać partię, na którą oddały głos, co informowało o ich preferencjach.

Wskaźnikiem polaryzacji afektywnej, obliczanym osobno dla każdej partii, była ważona suma różnic między ocenami partii preferowanych a ocenami pozostałych partii biorących udział w głosowaniu. Na tej podstawie można było obliczyć wartość Indeksu Polaryzacji Afektywnej dla kraju LUB grupy krajów i regionów. Poziom polaryzacji w danym kraju oceniany był jako tym większy, im większe były różnice w emocjonalnych ocenach partii należących do systemu wyborczego danego kraju.

FOT. TOMASZ WIERZEJSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Przywódcy „Solidarności",(od lewej) senator Andrzej Wielowieyski, świeżo wybrany na premiera Tadeusz Mazowiecki i szef „S" Lech Wałęsa. Gdańsk, kościół św. Brygidy, lato 1989 r.**

Polaryzacja okresu postkomunistycznego nie wykluczała w Polsce współdziałania. Na przykład w Sejmie kontraktowym przy głosowaniach nad reformami, które wprowadzał rząd Tadeusza Mazowieckiego

Indeks ten został wykorzystany w bardzo dużym programie badawczym, którego celem była ocena poziomu Afektywnej Polaryzacji w ponad 30 krajach Europy.

Dane dotyczące Europy były częścią ogólnoświatowego programu badań – prowadzonych od 1996 roku nad systemami wyborczymi w krajach demokratycznych. Prowadzono je w związku z odbywającymi się w nich wyborami. W badaniach tych stosowana była wspomniana wcześniej 10-punktowa skala ocen.

Andres Reiljan dokonał analizy zebranych danych i przedstawił obszerne omówienie wyników tych badań. Jak się okazało, poziom polaryzacji afektywnej wśród krajów, które osiągnęły najwyższe jego wskaźniki, przekraczał lub był równy wskaźnikom uzyskiwanym w USA, w Ameryce Łacińskiej, a także w demokracjach afrykańskich.

Do najbardziej spolaryzowanych krajów w Europie należą kraje obejmujące obszar środkowo-wschodni – czyli demokracje, które powstały po 1989 roku i potocznie nazywane są postkomunistycznymi. Wyjątkami okazały się Słowenia i Litwa, które miały wyraźnie niższe wskaźniki polaryzacji afektywnej niż reszta tej grupy. Podobnie wysoki API miały dwa kraje z południa Europy – Grecja i Włochy.

Autor tych badań wyraził pogląd, że tak wysoki poziom polaryzacji afektywnej (czyli wysoce negatywne stosunki między partiami) jest związany z niskim poziomem konsolidacji demokracji w tych krajach. Historia ich demokracji liczy sobie właściwie ok. 30 lat. Wszakże ostatnie w tym programie (2020 rok) wyniki badań przeprowadzonych w USA pokazały, że poziom polaryzacji afektywnej okazał się równie wysoki, jak w przywołanych wyżej krajach Europy Środkowo-Wschodniej.

Tego wyniku nie można wytłumaczyć krótką historią demokracji i niskim poziomem jej konsolidacji. Mogą być zatem inne przyczyny tego zjawiska. Wskazują na nie wyniki badań nad polaryzacją afektywną w Europie uzyskane w opisywanym tu programie.

Przede wszystkim należy zwrócić uwagę na fakt, że najniższy poziom polaryzacji afektywnej w Europie uzyskały kraje regionu północno-zachodniego: skandynawskie i Holandia. Są to kraje o wysokim poziomie kultury politycznej. Uważa się, że są to skonsolidowane demokracje. Decyzje polityczne podejmowane są na ogół w drodze porozumień i zmierza się do osiągnięcia konsensusu. Rządy często mają charakter koalicyjny; czasami są to koalicje odległych od siebie programowo partii.

Choć we wszystkich tych krajach poziom polaryzacji jest niski, to ich wewnętrzna afektywna struktura bywa różna. Tak np. w Holandii, która uzyskała najniższy wynik polaryzacji afektywnej w całej Europie, są trzy bloki partii demokratycznych oraz jedna partia skrajnie prawicowa i jedna (demokratyczna) centrowa. Ta ostatnia wywołuje pozytywne emocje u wyborców innych partii.

Ale najpowszechniejszym wynikiem jest umiarkowanie pozytywna ocena preferowanej partii i neutralny stosunek do innych partii. Z pewnym wyjątkiem – populistyczna, skrajnie prawicowa partia wywołuje negatywne emocje u wszystkich pozostałych.

Podobny układ wyników zaobserwowano w Finlandii, Islandii i Norwegii. Natomiast w Szwecji i Danii układ afektywnych relacji był inny. Tam pewne partie wywołują silne negatywne emocje, choć ogólny poziom polaryzacji afektywnej jest w tych krajach niski – ale najwyższy w regionie. Są tam dwa główne bloki partii – lewicowy (dwie partie), prawicowy (pięć partii). Relacje wewnątrz bloku są neutralne lub pozytywne. Jest także jedna partia populistyczna radykalnie prawicowa, która wzbudza bardzo negatywne emocje u wyborców pozostałych partii.

Ten układ emocjonalnych relacji między partiami powtarza się w dużej części krajów europejskich, gdzie pojawiły się populistyczne, skrajnie prawicowe partie. W dwóch największych europejskich elektoratach, w Niemczech i Wielkiej Brytanii, poziom polaryzacji afektywnej mieści się poniżej średniej europejskiej.

Przedstawiony tu obraz pokazuje, że GŁÓWNYM ŹRÓDŁEM POLARYZACJI AFEKTYWNEJ w Europie JEST UKSZTAŁTOWANIE SIĘ w wielu krajach PARTII POPULISTYCZNYCH RADYKALNIE PRAWICOWYCH.

Wszystko to może znaczyć, że poziom polaryzacji zależy w dużym stopniu od jakości elit politycznych i że to ich działania mają istotne znaczenie dla tego, jak się układają stosunki między podmiotami politycznymi danego kraju. Trzeba jednak pamiętać, że wprawdzie politycy mają istotny wpływ na społeczeństwo, ale społeczeństwo też ma wpływ na polityków.

Tak się dzieje w Polsce

Pojęcie polaryzacja afektywna ma zastosowanie do sytuacji, gdy dwie partie dzielą nie tylko poglądy czy interesy, ale wzajemne negatywne emocje – niechęć, antypatia, wrogość, nienawiść. Tego rodzaju relacja może powstawać nie tylko między partiami, ale także między całymi politycznymi obozami, a także między dużymi odłamami społeczeństwa sympatyzującymi z określonymi partiami.

Tak rozumiana polaryzacja opisuje zatem nie tylko pewne konkretne polityczne podmioty, ale także stan podziału społeczeństwa jako pewnej całości. Tego rodzaju podział obserwuje się w polskim społeczeństwie. (Zob. m.in. Paulina Górska, „Polaryzacja polityczna w Polsce", Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW, 2019; Krzysztof Jasiewicz, „Dwa narody?", w: „Almanach Concilium Civitas", 2019).

Podział ten ilustruje profesor Uniwersytetu Śląskiego, socjolog Zbigniew Zagała, przytaczając raport „Twarze polskiej radykalizacji", który m.in. stwierdza:

„Większość badanych (ponad 70 proc.) zgadza się z opinią, że Polska jest podzielona na dwa plemiona, dostrzega coraz większą radykalność poglądów (68 proc.) i ostry podział polityczny (65 proc.), który nie pozwala zająć umiarkowanego stanowiska, ale wymaga opowiedzenia się po jednej ze stron" („Od podziału postsolidarnościowego do polaryzacji", „Zeszyty Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II", 2023).

Zagała w podsumowaniu swojego artykułu, w którym analizuje polaryzację (afektywną) między obozem PiS-u a obozem Platformy Obywatelskiej, pisze:

„Z zarysowanego szkicu wyłania się obraz dwóch metaforycznych plemion, z których każde posługuje się innymi pojęciami, z tych pojęć buduje odmienne rzeczywistości, odwołuje się do odmiennych wartości lub inaczej je pojmuje. Członkami plemion są zarówno politycy, jak i wyborcy, a wśród nich także osoby publiczne – dziennikarze, artyści, prawnicy, naukowcy, często obok liderów partyjnych nadający ton komentarzom towarzyszącym wypowiedziom, wydarzeniom, zjawiskom, procesom i każdej innej sprawie, z której uczynić można pretekst do dokonania rozróżnienia między »swoimi« i »obcymi« oraz do ataku na »obcego« – oponenta politycznego".

eprasa.pl bce484ca04

Ta synteza opisu zjawiska polaryzacji w Polsce koncentruje się na opisie dominujących cech poznawczego funkcjonowania dwóch antagonistycznie nastawionych do siebie społeczności. Można do tego dodać, że istotną cechą tej polaryzacji jest jej aspekt afektywny - intensywna wrogość mająca korzenie w silnej identyfikacji z określonym obozem politycznym. Znaczy to, że ujmujemy siebie jako członka społeczności, z którą mamy wspólnego wroga i odczuwamy wobec niego żywe negatywne emocje - niechęć, wrogość, nienawiść, czasami też lęk lub pogardę.

Towarzyszy temu znaczny wzrost ogólnego poziomu nieufności w polskim społeczeństwie. Zjawisko to jest szeroko omawiane w publikacji pod redakcją Andrzeja Eliasza i Krystyny Skarżyńskiej („Nieufność: źródła i konsekwencje", 2023).

Procesy te mają niszczący wpływ na demokrację. Powstaje więc pytanie, dlaczego demokracje ulegają tego rodzaju deformacjom. Przecież, jak pisał wybitny polski historyk myśli społecznej Bronisław Baczko, demokracja miał to być system, w którym zakłada się „wypracowanie politycznych i społecznych form współżycia między autonomicznymi, wolnymi jednostkami, o równych uprawnieniach i równej godności" („Jak wyjść z Terroru. Termidor a rewolucja", przeł. Wiktor Dłuski).

Pewne przybliżenie do odpowiedzi na takie pytanie może dać analiza przebiegu polskiej transformacji (pisałem o tym w pracy zbiorowej „Psychologia Okrągłego Stołu", 2019). Na szczególną jednak uwagę zasługuje proces rozwijania się polaryzacji afektywnej w Polsce.

Niektórzy autorzy zajmujący się kwestią podziałów w polskim społeczeństwie od czasu powstania III RP wyróżniają trzy okresy tego procesu: okres podziału postkomunistycznego, podziału postsolidarnościowego i okres podziału postsmoleńskiego (np. Joanna Sanecka-Tyczyńska).

Podział postkomunistyczny

Podział ten zarysował się wkrótce po utworzeniu rządu Tadeusza Mazowieckiego, który, jak się można domyślać, chciał zapobiec temu podziałowi. Chyba dlatego ogłosił politykę „grubej kreski". Polityka ta spotkała się z bardzo szeroką falą krytyki ze strony środowisk solidarnościowych. W rezultacie doszło do powstania dwóch obozów różniących się tożsamościowo.

Jednym był obóz, który uważał się za lewicę, ale był uważany za „postkomunistyczny", bo jego członkami były głównie osoby związane biograficznie z poprzednim ustrojem, nawet jeśli pod względem przekonań ideologicznych lub politycznych nie identyfikowały się z tym ustrojem. Jego odpowiednikiem na scenie politycznej był Sojusz Lewicy Demokratycznej (SLD) – partia, która powstała po rozwiązaniu PZPR i nawiązywała do tradycji Okrągłego Stołu.

Drugą stronę podziału tworzył obóz postsolidarnościowy, który składał się z partii i ugrupowań nawiązujących do tradycji „Solidarności". Były to partie o różnych ideologicznych profilach – o profilu liberalnym, prawicowym, ale także lewicowym. Ich członkami byli zarówno działacze opozycji demokratycznej w okresie PRL-u, aktywiści „S", jak i osoby identyfikujące się z „S", nawet jeśli ta identyfikacja nie przybrała w niedawnej przeszłości żadnych praktycznych przejawów.

Podział postkomunistyczny zakotwiczony był w tożsamościach uformowanych przez historyczne okoliczności związane z historią PRL-u. Tak więc wzajemna ocena stron mogła zależeć nie tylko i nie przede wszystkim od poglądów i działań poszczególnych osób, lecz od tego. kim są i kim byli w okresie PRL-u, a więc od ich historycznej tożsamości. Podtrzymywała go rywalizacja wspomnianych dwóch obozów.

Ale termin okres podziału postkomunistycznego odnosi się nie tylko do stron podziału, ale również do tematyki dominujących w owym czasie konfliktów. Np. tematem bardzo istotnych konfliktów był stosunek do Okrągłego Stołu i do jego moralno-politycznego dziedzictwa. Chodziło też o takie kwestie, jak lustracja, dekomunizacja, a także sposób reformowania państwa.

Polaryzacja okresu postkomunistycznego miała pewne szczególne cechy, które odróżniają ją od innych przypadków afektywnej polaryzacji, w szczególności od tych form polaryzacji, które pojawiły się w następnych okresach w Polsce i występują w różnych krajach Europy. Otóż podział ten nie wykluczał współdziałania między jego stronami. Takie współdziałanie miało miejsce w Sejmie kontraktowym przy głosowaniach nad reformami społeczno-gospodarczymi, które wprowadzał rząd Tadeusza Mazowieckiego.

Bardzo doniosłe znaczenie miało współdziałanie stron przy tworzeniu i uchwalaniu Konstytucji RP. Powstała ona ponad podziałami, ale tylko dzięki temu, że podziałowi uległ obóz postsolidarnościowy. Jego prawicowa strona gwałtownie sprzeciwiała się temu współdziałaniu. Jeszcze innym przykładem współdziałania stron było przeprowadzenie zmian ustawowych, które były warunkiem przystąpienia Polski do NATO i do Unii Europejskiej.

Wszystkie te okoliczności wskazują, że w tzw. okresie postkomunistycznym polaryzacja afektywna z jej wszystkimi konsekwencjami obejmowała tylko część sceny politycznej.

Podział postkomunistyczny obejmował okres lat 90. i początek pierwszej dekady następnego wieku. W literaturze poświęconej tej problematyce na ogół stwierdza się, że ów podział zaczął wygasać w miarę tego, jak Sojusz Lewicy Demokratycznej tracił społeczne poparcie i przestawał być traktowany przez partie postsolidarnościowe jako poważny przeciwnik.

Ale pewną rolę w tym wygaszaniu mogły odgrywać jeszcze inne okoliczności. Jedną z nich był fakt, że znaczna część elit obu obozów wykazywała zdolność do kooperatywnego rozwiązania ważnych problemów, jakie się wyłaniały w polskim życiu politycznym.

Co więcej, nie wykorzystywały różnic między obozami dla wytwarzania nastroju walki i zagrożenia. Ale była też taka część elit, która wrogość do drugiej strony podsycała.

Drugą okolicznością, która mogła odgrywać tu pewną rolę w osłabianiu podziału między dwoma obozami, była polityka prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, nastawiona na społeczne porozumienie, a nie na bezwzględną rywalizację i na wzmaganie podziałów politycznych.

Ilustracją skuteczności jego polityki może być następujący fakt: w wyborach prezydenckich w2000 roku, które Aleksander Kwaśniewski wygrał w pierwszej turze (otrzymał 9 mln 485 tys. 224 głosy), głosowało na niego aż 40 proc. wyborców, którzy w poprzednich parlamentarnych wyborach głosowali na partię AWS (Mirosława Grabowska, „Podział postkomunistyczny". 2004), czyli partię postsolidarnościową o prawicowym nastawieniu. Wynik ten może wskazywać na to, że przekaz polityczny tego prezydenta był pozytywnie odbierany ponad podziałami.

Podział postkomunistyczny nie zniknął z polskiego życia politycznego, ale stał się zjawiskiem marginalnym. ●

Dokończenie za tydzień

Tekst ukazał się w wydawanym przez PAN kwartalniku „Nauka" nr 1/2026. Tytuł –„Wyborcza" (tytuł autorski: „Walka z wrogiem jako deformacja demokratycznej polityki. Polaryzacja afektywna w Stanach Zjednoczonych, Europie i Polsce"). Cytowane i wykorzystane przez autora prace: Wyborcza.pl/magazyn

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Kazimierz Brakoniecki*

W Czarnym Piecu, 1988

Mogłoby się to wydarzyć w Oszmianie, Kolonii Wileńskiej,
Krakowie, Toruniu, a zdarzyło w Czarnym Piecu
na granicy Mazur i Warmii, na letnisku, do którego wjazdu
strzegą wypalone oczy niemieckich schronów.
Poszukiwałem obrazów na wystawę o międzywojennym Wilnie
Janiny Oświecimskiej-Gołubiew, żeby zamknąć kwerendę.
Malarkę odnalazłem nie pod Ostrą Bramą, Wawelem,
na Nowym Świecie, ale pod Olsztynem, w miejscu,
które wielokroć mijałem na rowerze, ale pomijałem;
co za zbieg okoliczności, a raczej fortuny, teraz
zjeżdżam w leśną drogę bez obaw, że pomylę czasy.

Młody poeta Czesław Miłosz, gdzieś na polnej Wileńszczyźnie,
minął przyjaciół jadących na rowerach jak zakochani:
Janina Oświecimska, Antoni Gołubiew, studenci Uniwersytetu
Stefana Batorego, wkrótce małżeństwo, artystka i pisarz,
po wojnie wygnani z ojczystych Kresów, unoszeni historią
znaleźli się w Krakowie, w Polsce nad Wisłą, ale nie nad Wilią:
dzieci, katolicyzm, rozumność, krąg „Tygodnika Powszechnego",
pisanie piastowskiego eposu podczas stalinowskich nocy,
retrospekcje sztuki na kuchennym stole obok szkolnych zeszytów.
Rzeki i jeziora mazurskie wypełniły romantyczne wody wileńskie,
spływy kajakowe, noce pod namiotami, moralne gwiazdy Kanta.
Antoniego Gołubiewa zabiła podwójna śmierć synów kajakarzy,
na odzyskanych Mazurach i w chłodnej Finlandii.
Jak mocować się ze swoim Bogiem, żeby inaczej zwyciężyć?

Teraz pukam do drzwi północy, gdzie lasy i wody,
staję przed wdową i matką, artystką, starszą panią
ze złamaną nogą w gipsie i chyba też poszkodowaną ręką;
obok krząta się siostra, jest wnuczka studiująca orientalistykę,
której uroda i pilność wykraczają poza geografię uczuć:
ciemne Mazury, błękitna Warmia, srebrny prąd Wilejki,
oszmiański powiat, kraina tysiąca granic i wspomnień,
hymny, mokre obłoki, barokowe kościoły, tkliwe weduty.

Zapraszam do udziału w wystawie, pani Gołubiew powraca
do sztuki jako Janina Oświecimska, studentka Ruszczyca.
Niewiele ocalało, ale chyba coś się znajdzie pod pajęczyną losu:
uśmiecha się Janina Oświecimska, tak jak Barbara Houwalt,
pokazująca w kuchni dawne prace, swoje i męża Ildefonsa,
aż przepalił się czajnik; jak Nadzieja Bittel-Dobrzyńska,
dumna z grafik brata Lwa pochowanego w zaścianku Łosza.

Mogłoby się to wydarzyć w Oszmianie, Wilnie, Grodnie, Nowogródku,
zdarzyło się w innej epoce w prusko-mazurskim Czarnym Piecu,
wyrzuceni na brzeg przez Lewiatana historii, z miłosną troską
układamy puzzle rodzinnej wędrownej Polski.

FOT. ROBERT ROBASZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Kazimierz Brakoniecki.** Ur. w 1952 r., poeta, eseista, tłumacz, regionalista. Debiutował tomem wierszy „Zrosty" (1979). Współzałożyciel i jeden z liderów Stowarzyszenia i Fundacji Wspólnota Kulturowa „Borussia" w Olsztynie. Ostatnio opublikował wspomnienia „Mój Olsztyn. Domonologia". „W Czarnym Piecu" to wiersz wcześniej niepublikowany.

eprasa.pl bce484ca04

ALE HISTORIA

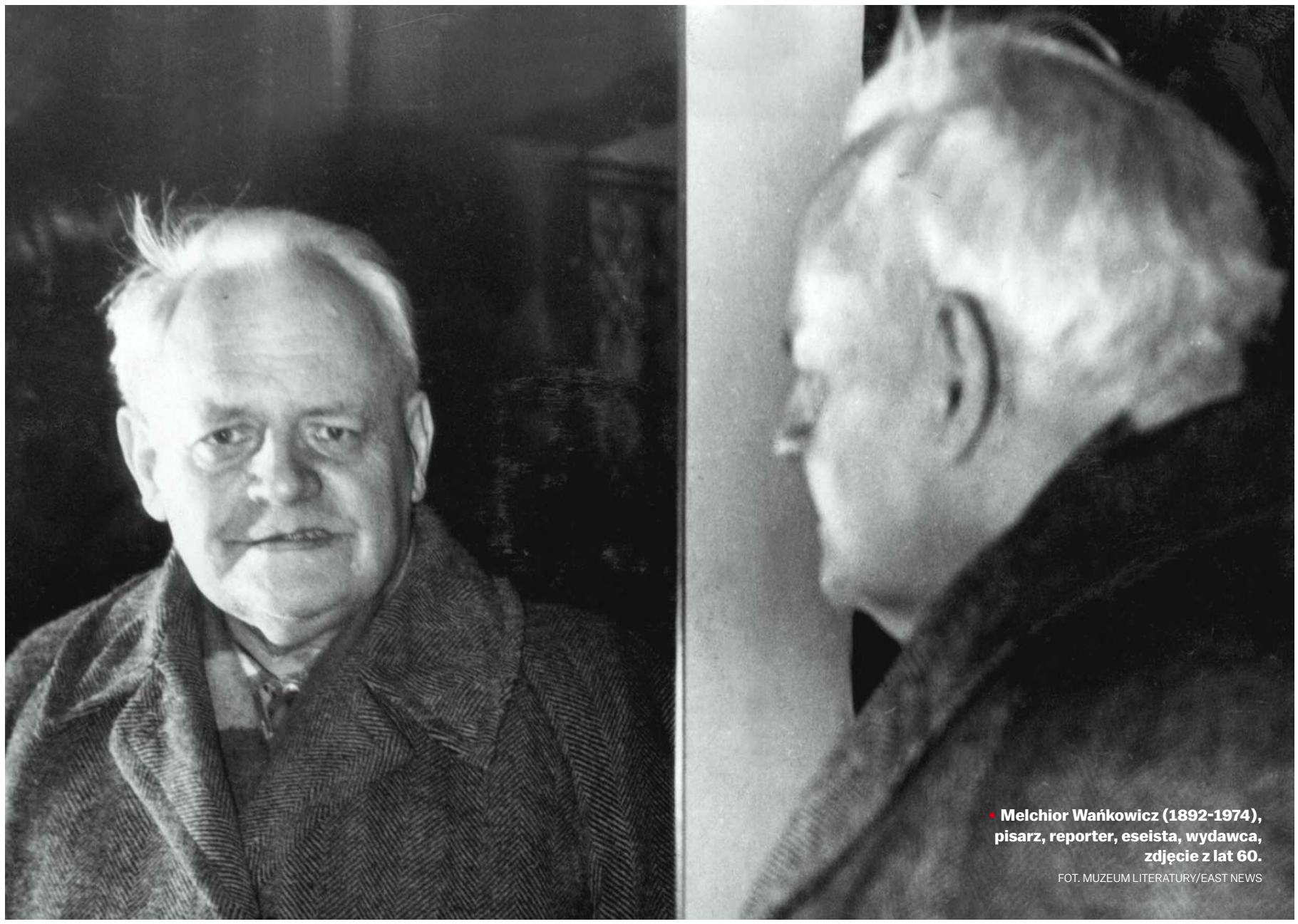

• Melchior Wańkowicz (1892-1974), pisarz, reporter, eseista, wydawca, zdjęcie z lat 60.
FOT. MUZEUM LITERATURY/EAST NEWS

Melchior

PĘDZIŁ JAK szalony

Wańkowicz uważał, że popularność, jaką zdobył, nie jest po to, by odcinać od niej kupony, tylko po to, by iść pod prąd.

Z ŁUKASZEM GARBALEM
ROZMAWIA WALDEMAR KUMÓR

eprasa.pl bce484ca04

WALDEMAR KUMÓR: Melchior Wańkowicz byłby królem internetu?
ŁUKASZ GARBAL: Z pewnością dobrze by się w nim odnalazł. Obecne czasy przypominają mi zresztą w medialnym klimacie początek lat 20. XX wieku, gdy Wańkowicz był sekretarzem redakcji i miał nocne dyżury w „Kurierze Porannym”. Wtedy wychodziło mnóstwo gazet i każda chciała być zauważona. Trwała walka na krzykliwe tytuły czcionką na pół strony, sensacyjne historie. Wańkowicz był w tym naprawdę dobry. Dziś zapewne byłby cennym pracownikiem portali – i plotkarskich, i informacyjnych.

Umiał pisać pod wyobrażonego czytelnika. Inaczej pisał na przykład o rewolucji w Meksyku dla pism konserwatywnych – tu podkreślał prześladowanie Kościoła, a inaczej dla pism liberalnych – pokazywał reformy społeczne. Ale – co ważne – nie zmyślał; pokazywał jedynie tę pasującą dla danej „bańki informacyjnej” część obrazu. Przecież to tak jak w dzisiejszych mediach społecznościowych.

To jest dziennikarstwo? Po co tak robił?
– Żeby wzbudzić reakcję, żeby czytelnicy dyskutowali o ważnych sprawach. Od początku kariery starał się pokazywać świat z różnych punktów widzenia. Ubolewał, że się mało czyta, że się wierzy bez weryfikacji, że się nie myśli krytycznie. Minęło 100 lat, a jest może jeszcze gorzej.

I dlatego pracował w cenzurze? Przecież to sprzeczne z ideą wolności słowa.
– W połowie lat 20. był naczelnikiem wydziału Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, który nadzorował cenzurę. Pamiętajmy o kontekście: sowieckie bandy dywersyjne na wschodniej granicy, młode niepodległe państwo, posłowie, którzy bezkarnie mogą mówić, co chcą, nawet kłamać, a prasa ma to bez szemrania drukować, bo jest „wolność słowa”.

A Wańkowicz pojmował cenzurę tak, jak dziś mówimy o walce z fake newsami, kłamstwami – chciał urzędowo i za pomocą zapisów w prawie walczyć z dezinformacją. Wówczas – sowiecką, którą szerzyli posłowie komunistyczni. Wańkowicz uważał, że wolność słowa nie może być jak granat, którym sami się rozrywamy. Jako doświadczony dziennikarz i myślący redaktor widział, jak Sowieci poprzez swoich agentów i pożytecznych idiotów szerzą w Polsce dezinformację. I w tym sensie postulował formę cenzury.

Uważał, że rola dziennikarza nie może ograniczyć się do wypuszczenia w obieg publiczny wszystkich głosów – bo w ten sposób autorytetem dziennikarskim można autoryzować wirusa dezinformacji – tylko ustalenie prawdy, sprawdzanie faktów. Traktował dziennikarzy jako osoby zaufania publicznego, a nie jak akwizytorów klikalności.

Czy teraz, w sytuacji trwającej już prawdziwej wojny informacyjnej prowadzonej z Polską i Zachodem przez Rosję, to spojrzenie Wańkowicza nie jest aktualne?

Dlaczego nie został politykiem? Być może byłby skuteczniejszy.
– Faktycznie mógł zostać politykiem – dokładnie opisuję te możliwości w książce – ale się na to nie zdecydował. Mówiąc językiem współczesnym: nie chciał powtarzać partyjnych przekazów dnia, jednostronnych, podawanych często wbrew faktom. Był zbyt niezależny, miał zbyt polemiczny charakter. Lubił prowokować, zmuszać do myślenia.

Nawet wtedy, gdy pracował w MSW, drukował pod pseudonimem teksty polemiczne wobec siebie jako urzędnika! Po to by ludzie dyskutowali, by zostało wypracowane rozwiązanie wynikające z debaty publicznej – a nie dane z góry, przez władzę. Wierzył, że trzeba być świadomym i aktywnym obywatelem swojego państwa.

Ta postawa Wańkowicza warta byłaby przypomnienia dziś, w epoce tzw. mediów społecznościowych, które promują skrajności, czarno-białe klisze zamiast próby zrozumienia całej wielokolorowej rzeczywistości. By uaktywnić milczącą część społeczeństwa, która, bezradna wobec jawnie szerzonych kłamstw, jest manipulowana przez algorytmy promujące polaryzację. Przez to wygrywać może ten głośniejszy, bardziej chamski – bo jest „wyrazisty”. Tworzy się świat, w którym fakty nie mają znaczenia – bo ludzie chcą wierzyć w „nasze fakty”.

Już w 1961 roku Wańkowicz mówił na spotkaniu z historykami w Klubie Krzywego Koła – że ludzie chcą wierzyć w mit; choć nie napisał, że Polacy szturmowali szczyt Monte Cassino (bo tak nie było) – to wielu czytelników, wbrew temu, co napisał, jest i będzie o tym przekonanych.

Tak jak po mojej książce, w której podjąłem się weryfikacji biografii Wańkowicza. Znanej dotychczas przez pryzmat wytworzonej przez niego legendy, bo on przecież swoje życie sprzedawał we własnych książkach – zrobił z własnej biografii reklamowy produkt – ludzie dalej będą powtarzać owe legendy o haśle „cukier krzepi”, chociaż prawda jest ciekawsza niż legenda. Trzeba jednak ustalać fakty i nagłaśniać te ustalenia – właśnie w walce o prawdę przeciw dezinformacji.

Wańkowicz. Życie na kraterze

Łukasz Garbal

Wyd. Czarne

Dr Łukasz Garbal (ur. 1976) – polonista, kustosz dyplomowany w Instytucie Dokumentacji i Studiów nad Literaturą Polską, oddziale Muzeum Literatury w Warszawie. Autor książek biograficznych o Janie Józefie Lipskim i trzech pokoleniach rodziny Wedlów. Wydał korespondencję Jerzego Giedroycia ze Stefanem Kisielewskim i J. J Lipskim.

Często przedstawia się Wańkowicza jako konformistę, człowieka, który lgnie i chce dobrze żyć przy każdej władzy.
– Między innymi dlatego też chciałem napisać biografię Wańkowicza, by pokazać go wielowymiarowego, a nie tylko człowieka owianego mitami, legendami powielanymi często przez zazdrosnych kolegów po piórze, opisywanego uproszczeniami, obrazami, które – nie ukrywam tego – także sam wytwarzał.

Czy konformistą jest ktoś, kto rezygnuje z dobrej posady w „Kurierze Porannym”, bo ukazał się nieprawdziwy tekst atakujący nacjonalistycznego posła? On się z poglądami tego posła nie zgadzał, mógł przecież przymknąć oko i „robić swoje”, a nie narażać się na brak środków do życia. Czy konformistą jest ktoś, kto w proteście zrezygnował z ciepłej ministerialnej posady? Ktoś, kto współorganizował strajk szkolny?

Czy to wtedy spoliczkował łamistrajka, czy Wańkowicz to sobie wymyślił?
– Precyzyjniej: nawet znokautował. Wylądował wówczas na kilka miesięcy w areszcie; pisała o tym nawet zagraniczna – krakowska – prasa. To zresztą niezwykłe, jak dużo nowych informacji możemy znaleźć, po prostu uważnie czytając dawne gazety.

Ale wywiad z Wincentym Witosem to już sobie wymyślił.
– Pisał o tym jako przykładzie cynizmu mediów. Bez odbycia rozmowy z politykiem miał napisać wywiad, który ów polityk autoryzował. To była taka demonstracja Wańkowicza: zobaczcie, politycy mówią takimi przewidywalnymi kliszami – opozycja zawsze uderzy w to samo, rząd – w to samo, że inteligentny dziennikarz jest w stanie sam napisać wywiad. Ale był to też przykład kompromitacji mediów, które wymyślają wywiady i „fakty”, byle tylko się sprzedać i zarobić, by mieć wyższą – jak to się teraz mówi – „klikalność”.

Niejednoznaczny ten Wańkowicz. To nie jest wada i nie mówię po to, by go zaszufladkować. Pomaga mi w tym pana biografia.
– Podam też taki przykład.

W wyniku pokoju ryskiego po wojnie polsko-bolszewickiej Wańkowiczowie stracili cały swój majątek, który znalazł się poza granicami II RP. Wańkowicz mimo to nie pluje jadem, nie koncentruje się na krzywdzie rodziny rozjechanej przez bezduszny walec historii. W „Szczenięcych latach” pokazywał wielowymiarową rzeczywistość, nie kliszę: owszem, opisał utracony świat, w którym czuł się szczęśliwy, ale pisał też o „drugiej prawdzie”, od pierwszego, przedwojennego wydania książki, akcentując w jej zakończeniu trwający wcześniej dramat i wyzysk białoruskich chłopów (dzięki któremu miał ową sielską szlachecką arkadię). Nie był piewcą kresowego mitu – a niestety i dziś czytany jest wbrew swoim własnym intencjom. Wprost pisał, że w swoich książkach odbywa żałobę, ale rozumie, że żałoba powinna się kiedyś skończyć, a ta szlachecka sielskość była oparta najzwyczajniej na wyzysku.

W czasie wojny z bolszewikami aktywnie działał w Towarzystwie Straży Kresowej, które promowało niezrealizowaną, niestety, ideę Polski nieprzykrojonej do wąskiego nacjonalizmu, Polski jako federacji różnych grup etnicznych, językowych, religijnych, czasem bez sprecyzowanej tożsamości. Rozumiejąc specyfikę Europy Środkowej, wywodząc się z ziem dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego, w większości ziem dzisiejszej Białorusi, wiedział, że każdy nacjonalizm, bazujący na kliszach, te splątane, także w rodzinach, tożsamości, będzie kroił niczym nożem. Będzie przyczyną rzezi. Że ta ideologia na równi z komunizmem zagraża przyszłości Polski. Polski, która miała być antytezą imperialnej Rosji – która miała przyciągać, promieniować przykładem tolerancji, demokracji i samorządności lokalnej.

Pisał, że Polska nie może zachowywać się jak okrutny kolonizator wobec Białorusinów, Ukraińców, Rusinów czy Żydów. Wprost apelował, by uczyć się patrzeć na świat oczami „tych innych”. Takie idee postulowała i propagowała późniejsza paryska „Kultura” Giedroycia i Czapskiego – którzy także pochodzili spod białoruskiego Mińska.

Czy to jest koniunkturalizm? Nie sądzę, to była po prostu postawa konstruktywna, propaństwowa.

To po co uparcie dążył do tego, by być popularnym?
– Wańkowicz przez całe życie uważał, że popularność, jaką zdobywa jako pisarz, nie jest po to, by odcinać od niej kupony. Uważał, że jego rolą jako bestsellerowego pisarza – czy też niemalże „influencera” o wielkich „zasięgach” czytelniczych – jest to, by mówić i pisać niepopularne rzeczy, by iść pod prąd.

Już jego pierwszy esej z czasów przed pierwszą wojną światową mógłby być przykładem patriotyzmu krytycznego, prawdziwie wstającego z kolan, bo uznającego wstydliwe karty narodowej historii. Wańkowicz, zapewne myśląc o dziejach własnej rodziny, pisał o przodkach, którzy „nurzali się w rozpuście i bezrządzie za Sasów i byli twórcami 3 Maja, niweczyli go targowicą i bronili w rozpaczliwym boju konfederatów”.

Naszą polską tradycję trzeba przyjąć w całości, a nie wybiórczo; tak jak przyjmujemy majątek w ramach rodzinnego spadku – tak przyjmujemy też długi. Husarze pod Wiedniem – owszem, ale jednocześnie bratobójczą bitwę pod Guzowem. Jedno i drugie, łącznie. I to pisał młody gimnazjalista, który wkrótce zwiąże się z ruchem legionowym – gdy ogół społeczeństwa traktował tę ówczesną garstkę jako ludzi niespełna rozumu, bo chcą niepodległości. I jeszcze jakichś reform socjalnych!

Jak w praktyce wyglądało jego pójście pod prąd wobec czytelników?
– Na przykład Wańkowicz dokładnie w tym samym czasie wydał „Szczenięce lata” oraz książkę z pobytu w sowieckiej Moskwie, która, korzystając z popularności pierwszej, miała dawać do myślenia, pokazywać niepopularne opinie. Tłumaczył później swojej córce, że zbiera kapitał popularności – by wydać go, głosząc prawdy niemiłe. Tak właśnie postrzegał rolę pisarza: wpływanie swoim autorytetem, a nie podążanie z prądem zgodnie z sondażami.

To jednak wymagało wcześniejszego wypracowania owego kapitału czytelniczego zaufania, popularności. Pisał córce, że to dlatego jej książka została przemilczana, bo nie miała tego kapitału, a głosiła rzeczy niepopularne, pisząc w czasie wojny, że nie chce nienawidzić Niemców, że we wrogach też trzeba dostrzec ludzi. To niezwykła książka Marty Wańkowiczówny, warta wznowienia.

Ale żeby takie rzeczy pisać, trzeba mieć duży autorytet, który pozwala narażać się ludziom, którzy czasem spojrzą jak na wariata. Tak wiele razy patrzono na Wańkowicza.

Choćby gdy parę lat po powrocie z emigracji do kraju podpisał List 34 przeciwko polityce kulturalnej PRL. Wydawało się, że był pieszczochem tamtej władzy, a został skazany i mógł trafić do więzienia. „Przyszła pora na Melchiora” – mówiło się w Warszawie. Władza się spodziewała, że Wańkowicz będzie prosił o łaskę. A on tego nie zrobił.

Legendą jest, że zorganizował sobie fotografa, by zrobił mu zdjęcie, jak wchodzi do aresztu na Rakowieckiej?
– W książce staram się to zrekonstruować jak najprecyzyjniej – na tym właśnie przykładzie, pokazując trudności w ustaleniu faktów w tak zmitologizowanej i autopromocyjnej biografii. Udało mi się dotrzeć do bezpośredniego świadka, który widział, jak Wańkowicz bierze szczoteczkę do zębów i mówi żonie, że idzie zgłosić się do aresztu, a żona zaczyna płakać...

Podaję też inne źródła wskazujące, że Wańkowicz – skazany prawomocnie na więzienie, nie ukrywając się, a przeciwnie, mocno demonstrując swoją obecność „na mieście” – zmusił PRL-owską władzę do wycofania się.

Znaliśmy dotychczas Wańkowicza poprzez współtworzone przez niego legendy. Ja chcę pokazać go jak najprawdziwiej, bez założeń, że muszę bohatera na czymś przyłapać, ale też bez budowania mu kapliczki.

Zadaniem biografa jest przedstawienie faktów oraz pokazanie kontekstu; dla mnie ważna jest też próba zrozumienia bohaterów. Tak, jak my rozmawiamy ze sobą – chcąc zrozumieć drugą stronę: dlaczego zrobił tak, a nie inaczej, co na niego wpłynęło?

Praca nad taką biografią jest poświęceniem dużego kawałka własnego życia – trzeba mocno wejść w życie bohaterów, nie tylko zebrać fakty, zweryfikować źródła, odnaleźć nowe, uwzględnić możliwe błędy przekazu, przekopać się przez dziesiątki archiwów i bibliotek – nieustannie dziękuję bibliotekarkom i archiwistom, bo oni tworzą fundament takich prac – ale także próbować zrozumieć motywacje i emocje ludzi, o których się pisze.

Największą pochwałą był dla mnie ostatnio list od Czytelniczki, która – jak się okazało – była towarzyszką

eprasa.pl bce484ca04

zabaw jednego z bohaterów mojej wcześniejszej książki o Wedlach. Kiedy czytam w liście, że dobrze odtworzyłem klimat czasów przed wybuchem powstania warszawskiego, w którym ów chłopak zginie... To dla mnie bardzo ważne – chcę pokazać, jak było naprawdę. Nazywam to archeologią pamięci.

A wyzwanie jest jeszcze większe przy opisywaniu życia osoby, która sama sprzedawała je jako produkt, opisując się w swoich książkach. Starałem się dotrzeć do wszystkich możliwych faktów, przedrzeć się przez legendy, sprawdzić, jaka była rzeczywiście pogoda w dniu, o którym pisał. I pokazać bogactwo człowieka – reportera, świadka i uczestnika historii.

Też propagandysty. Pisze pan, że niektórych tekstów się wstydził.
– Tak, całe życie wstydził się swoich tekstów chwalących polską aneksję Zaolzia w 1938 roku. Czyli wtedy, gdy Hitler zajął Czechosłowację.

A przyjazdu do Polski po drugiej wojnie światowej?
– W tym przypadku także narosło mnóstwo mitów. Było wiele powodów, jednym z nich, a niezauważanym, były wezwania ze strony rodziny, by odwiedził ciężko chorującą starszą siostrę. Wbrew fake newsom „udostępnianym dalej" bez weryfikacji nawet przez historyków – nie witała go kronika filmowa i władze z kwiatami na Okęciu. Przyjechał pociągiem z Paryża do Poznania za własne pieniądze. Witał go tylko znajomy, niedawno wypuszczony z więzienia...

Mało znany jest fakt, że Wańkowicz wszystkie pieniądze z honorariów wydał na pomoc rodzinie i potrzebującym w Polsce, m.in. dawnej kurierce AK czy przedwojennej generałowej pracującej jako garderobiana. W listach dopytywał, czy napiwki zostawione w hotelu rzeczywiście trafiły do pań sprzątających.

To po co wrócił?
– Miał 65 lat, myślał, że już go nic nie spotka, że kariera minęła; pracował na farmie kurzej. Brakowało mu żywego kontaktu z czytelnikami. Rozpaczliwie go szukał, jeżdżąc po USA i Kanadzie, niczym komiwojażer własnych książek. Frustrowało go umysłowe lenistwo emigracji, konsumpcjonizm, lekceważenie kultury. Był przerażony tym, że ludzie czytają coraz mniej książek. W kraju poczuł się, jakby zaczerpnął tlenu. Była nim dla niego po prostu – polskość. Język, ludzie, kultura.

Z początku myślał, że będzie mógł mieszkać w Stanach, a pisać i wydawać w Polsce – w tak różnych miejscach jak „Tygodnik Powszechny", „Przekrój", „Przegląd Kulturalny".

Jaką Polskę zobaczył?
– Uderzyła go wszechobecność alkoholu. Widać to choćby w podpisie fotografii suto zastawionego stołu podczas spotkania w Lasach Parczewskich: „Dużo wódki". Po jednym z takich wydarzeń napisał w liście do gazety, że za pijaństwo za publiczne pieniądze w ramach rekompensaty przekazuje pieniądze miejscowej bibliotece...

Kiedy zamieszkał w Warszawie w kamienicy na rogu Puławskiej i Rakowieckiej – a była to wtedy okolica robotnicza – wielokrotnie publicznie alarmował o wszechobecności pijaństwa i społecznej akceptacji tego faktu. Pisał o konieczności „odgruzowania człowieka", co było polemiką z propagandą władzy akcentującej odbudowę Warszawy i wielkie projekty industrializacji. A jednocześnie cieszył się z powszechnego dostępu do edukacji i kultury.

Z pana książki wynika, że Wańkowicz był niewyobrażalnie pracowity i bardzo kreatywny. Teraz zapewne wydawnictwa płaciłyby każde pieniądze, by napisał blurb na okładce jakiejś książki.
– Pracy pod presją czasu nauczył się podczas nocnych dyżurów redaktorskich w „Kurierze Porannym". Do tego był mistrzem w wymyślaniu tytułów. Wiedział, ile znaków i akapitów musi mieć tekst, by pasował na szpaltę.

Gdy rzucił pracę etatową, założył własne wydawnictwo – Rój. Ryzykowny przecież pomysł, mógł popłynąć finansowo w czasach galopującej inflacji. Działał trochę jak platformy streamingowe – produkować dużo, by na czymś zarabiać, epatować tytułami o seksie czy zbrodni. Czytelnik jego wydawnictwa na początku płacił stały abonament... Później to się zmieniło.

Zasłużył się dla polskiej kultury także jako wydawca, bo drukował awangardowych debiutantów, którzy z czasem stali się klasykami polskiej kultury: Bruno Schulz czy Witold Gombrowicz. Prowadził firmę wynajmującą tzw. grube Kaśki, czyli słynne słupy ogłoszeniowe.

Naprawdę był człowiekiem orkiestrą: konspiratorem, powstańcem (zapomniane powstanie w Mińsku w 1918), niedoszłym politykiem, felietonistą, redaktorem, wydawcą, naczelnikiem w MSW, reklamiarzem, pisarzem, copywriterem (kampania z hasłem „Cukier krzepi").

To też ciemniejsza strona Wańkowicza, którą pan opisał, bo oprócz hasła nic o niej nie wiedzieliśmy.
– Tak, prawdziwa historia jest ciekawsza od legendy: nie było to jedno hasło wymyślone na poczekaniu, ale prowadzona przez niego trzy lata kampania, by uzależnić Polaków od cukru. Był szefem kampanii reklamowej konsorcjum producentów cukru. To także bardzo współczesne, niestety, użycie rzekomo patriotycznych klisz – i manipulacji. Wańkowicz postulował m.in. stworzenie fikcyjnego Towarzystwa Ochrony Niemowląt, które miało przedstawiać cukier jako coś dobrego dla polskich niemowląt – pod patronatem pani prezydentowej. Żeby matki tych dzieci nie używały sacharyny, bo sacharyna jest niemiecka.

To ciekawe, bo przecież sam lubił, też w PRL, jeździć niemieckim Mercedesem.
– Podobnie towarzysz pierwszy sekretarz Władysław Gomułka... Paradoksy propagandy, które trzeba pokazywać, bo okazują się zadziwiająco współczesne.

Wańkowicz w ogóle był dobry w wymyślaniu haseł reklamowych. Do końca życia, kiedy wygrał konkurs na hasło promujące PLL „LOT". Ale tu też nie było tak prosto jak w legendzie: on wymyślił hasło „LOT-em blisko"; ktoś inny później przeredagował to w sławne „LOT-em bliżej". To kolejny przykład, że trzeba – tak w edytorskim, archiwistycznym duchu – przyglądać się szczegółom, a nie przepisywać wciąż te same legendy. Trzeba samemu na nowo sięgać do źródeł pierwotnych.

Już w 1961 roku Wańkowicz mówił na spotkaniu z historykami w Klubie Krzywego Koła – że ludzie chcą wierzyć w mit; choć nie napisał, że Polacy szturmowali szczyt Monte Cassino (bo tak nie było) – to wielu czytelników, wbrew temu co napisał, jest i będzie o tym przekonanych

Warto czytać Wańkowicza?
– Warto. Jest wciąż aktualny. Warto czytać w całości jego teksty, a nie tylko fragmenty czy wyrwane z kontekstu cytaty. Dopiero wtedy widać jego zmagania z rzeczywistością, próby opisania skomplikowanego świata. By, pisząc o świecie i ludziach, pokazywać nie tylko czerń i biel, ale też inne kolory. Jak przez sławną „karafkę la Fontaine'a".

Nawet w tekstach rzekomo sławiących osiągnięcia pisał krytycznie. Chodziło mu bowiem nie o propagandę sukcesu czy jałowe krytykanctwo – ale o konstruktywną krytykę, aktywizm dla dobra wspólnego. W „Sztafecie" pisał nie tylko o budowie wielkich fabryk – ale wskazywał robotnikom, by domagali się swoich praw, krytykował błędy w planowaniu. A w reportażu o dumie i chlubie niepodległej Polski – Gdyni – pisał o panujących tam chorobach wenerycznych, porównując ich powszechność z miastem w Afryce. Chciał opisać wszystko, co widział – dobre i złe, każdy odcień.

Wciąż wraca fałszywe oskarżenie, że ugiął się przed PRL-owską władzą i zgodził się na cenzurę swojej bodaj najpopularniejszej książki „Bitwa o Monte Casino". Tymczasem wystarczyłoby pójść do biblioteki i sprawdzić: w każdym PRL-owskim wydaniu mimo działań cenzury występuje generał Anders, Wańkowicz nie godził się na usunięcie jego nazwiska. Były skróty, ale nie znaczące. Zostały nawet łatwe do odczytania dla ówczesnych czytelników aluzje do sowieckich łagrów.

Tak jak walczył z cenzurą o ocalenie Andersa, walczył też, by jego książka nie była zmieniona w pochwałę niepotrzebnej brawury: sławiąc bohaterstwo, przełamywanie strachu, dbał, by w każdym wydaniu została opinia brytyjskiego chirurga, że ci Polacy to idioci, bo walczą bez hełmów. Tyle niepotrzebnych śmierci! I pisał to w książce będącej pomnikiem – ale nie bezkrytycznym.

Walczył też wcześniej z cenzurą wojskowych z armii Andersa, którym nie podobała się krytyka ich decyzji.

Krytykowany był też za książkę „Na tropach Smętka".
– Długo krążyła legenda, że pisząc przed wojną „Na tropach Smętka", naraził opisanych tam ludzi na niemieckie represje, ale z tego, co udało mi się ustalić, do wybuchu wojny nikt z bohaterów książki nie był represjonowany z jej powodu. A wielką zasługą tej książki – napisanej po zachętach bliskiego znajomego, wówczas polskiego wicekonsula w Allenstein, którego tajne raporty do polskiego MSZ były ignorowane – była zmiana polityki państwa. Chciałoby się dzisiaj, żeby pisarze byli czasem czytani przez polityków.

Czy żyjąc w PRL, miał świadomość, że jest inwigilowany i podsłuchiwany?
– Jego sekretarz Antoni Kroh twierdzi, że tak. Wańkowicz prowadził grę z władzą. Przykład: składał reklamacje na poczcie, kiedy nie dostawał – zakazanej w PRL, a prenumerowanej przez siebie – paryskiej „Kultury". Potrafił na otwartych kartach pocztowych pisać do Giedroycia, których numerów nie dostał: to nie była naiwność, lecz komunikat dla kontrolujących korespondencję: Wańkowicz, sławny pisarz, korzystając ze swojego kapitału sławy, groził, że nie zawaha się go użyć. I w końcu użył – podpisał protest przeciw cenzurze, na kilka tygodni znalazł się w areszcie, został skazany na więzienie, choć wyroku nie wykonano. Już po historii z Listem 34 wysłał kartkę do Giedroycia z sowiecką karykaturą i stemplem: „Tydzień pisania listów". Miał poczucie humoru i dawał sygnał władzy: robię to, na co mam ochotę, jestem wolnym człowiekiem.

Te paradoksy i znaczenie Wańkowicza dostrzegał Jan Józef Lipski, o czym powiedział podczas pogrzebu pisarza, który anonimowo wspierał finansowo działania mikroskopijnej wówczas opozycji.

Co dziś warto przeczytać?
– Z pewnością „Karafkę La Fontaine'a". To suma doświadczeń reporterskich Wańkowicza, opowieść, by patrzeć z różnych punków widzenia, by pamiętać, że każdy widzi inny kolor karafki w zależności od tego, gdzie pada na nią promień słońca. Ktoś widzi kolor czerwony, ktoś brunatny. Trzeba dostrzec całą złożoność i paletę kolorów.

Przerażająco współczesne jest „Ziele na kraterze". Czytajmy je jednak nie jako reportaż – bo nim nie jest – ale jako przejmującą opowieść o stracie jednej z córek w czasie walk powstania warszawskiego. Książka jest niejako wspólną autoterapią rodziców po śmierci córki. Jest też próbą odpowiedzi na pytanie, jak rodzice mają wychowywać dzieci, by przygotować je na nadciągający wybuch wojny. Był zaniepokojony, że młodzi czytelnicy w PRL pisali do niego, że chcą zginąć jak bohaterowie jego książek: nie pisał ich jako przykład do naśladowania, ale jako zapis tragedii, której powtórzenia nie chciał.

Wańkowicz był geniuszem, pracusiem, wybitnym i dowcipnym człowiekiem. Ale – zdaje się – źle jeździł tymi swoimi niemieckimi Mercedesami.
– Bała się z nim jeździć Maria Dąbrowska. Wiele razy powtarzają się relacje, że ktoś na niego wpadł albo on wpadł na kogoś. W książce publikuję fotografię, na której Wańkowicz robi miny przy wgniecionej masce swojego auta... Córka ucieszyła się, gdy je sprzedał.

Ale w życiu nie potrafił się zatrzymać – od roku 1891 do śmierci w 1974 pędził jak szalony. I te wszystkie jego aktywności chciałem pokazać nie przez propagandową kliszę, ale w całej wielokolorowej palecie. ●

Rozmawiał Waldemar Kumór

eprasa.pl bce484ca04

PUBLICYSTYKA czy PORNOGRAFIA

– Ten spór przypomina mi czasy radzieckie – mówi prof. Hieronim Grala o awanturze między dwoma konserwatywnymi magistrami historii, Piotrem Gursztynem i Piotrem Zychowiczem.

Piotr Głuchowski

Resortowe dziecko oszukało i wykorzystało prawicę” – tak 56-letni Piotr Gursztyn, z tygodnika „Sieci” rozpoczął swój artykuł o innym publicyście historycznym – młodszym o dekadę Piotrze Zychowiczu. Ten się odwinął, po czym nastąpiła dogrywka.

Prof. Antoni Dudek: – Ta kłótnia jest odbiciem debaty, która toczy się na prawicy: z jednej strony realiści, z drugiej hurrapatrioci ze swoim myśleniem martyrologicznym.

Prof. Hieronim Grala: – Mieliśmy już większe spory historyków: o Władysława Warneńczyka, Henryka Sienkiewicza... Potrafiliśmy jednak walczyć na argumenty, nie posądzając adwersarzy, że mają niewłaściwych rodziców.

Prof. Andrzej Nowak: – Wątek familijny nie powinien wchodzić w zakres tej debaty, ale niestety – wszedł.

Prof. Marek Kornat: – Krytyka czyjejś rodziny nie hańbi krytykującego, jeśli krytykowany wcześniej na temat tej rodziny zmyślał.

Nowak w Zerze: Zychowicz pokazuje Polskę w najgorszym świetle.

Wpierw o adwersarzach:

Pochodzący Braniewa Gursztyn w 1993 roku bez powodzenia startował do Sejmu z Konfederacji Polski Niepodległej. Pracował w związanych z Kościołem Radiu Plus i Telewizji Puls, potem w Polsacie, jako reporter „Wydarzeń”. Publikował w katolickiej „Frondzie” i prowadził rozmowy polityczne w Superstacji oraz RDC. Za rządów Zjednoczonej Prawicy dostał dyrektorską posadę w TVP Jacka Kurskiego. Stracił stołek po przegranej swych politycznych patronów w 2023 roku. Opublikował trzy książki: o rzezi Woli, o społeczeństwie Rosji i o stosunkach polsko-niemieckich przed II wojną światową. Jako publicysta należy do stajni Jacka Karnowskiego i Romualda Orła (pismo „Sieci”, portal wPolityce.pl, Telewizja wPolsce24).

Warszawiak Zychowicz, który prowadzi na YouTube subskrybowany przez prawie 800 tysięcy widzów kanał Historia Realna, reprezentuje konkurencyjne środowiska Pawła Lisickiego i Tomasza Sakiewicza (tygodnik „Do Rzeczy”, „Gazeta Polska”, serwis Niezalezna.pl i TV Republika). Jako student Uniwersytetu Warszawskiego dostał posadę w „Rzeczpospolitej”, gdzie w dziale gospodarczym pracowała jego mama – dziennikarka z PRL-owskim stażem. Doszedł do stanowiska zastępcy szefa działu zagranicznego „Rz”, dalej był naczelnym pism „Uważam Rze Historia” i „Historia Do Rzeczy”, udzielał się także w Republice.

Jego książki prezentujące kontrowersyjne tezy i alternatywne scenariusze polskich dziejów sprzedały się w kilkusettysięcznym nakładzie.

W „Pakcie Ribbentrop-Beck” dowodził, że w 1939 roku najlepszym rozwiązaniem dla Polski był sojusz z III Rzeszą i wspólny atak na Związek Sowiecki.

Na kartach „Paktu Piłsudski–Lenin” forsował tezę o odpowiedzialności Marszałka za to, że komunizm nie zdechł u zarania – bo „Dziadek” nie wspomógł militarnie białych Rosjan przeciwko czerwonym.

W „Obłędzie ’44” nie zostawił suchej nitki na odpowiedzialnych za wybuch powstania warszawskiego.

W roku 2018 Zychowicz wydał „Skazy na pancerzach. Czarne karty epopei Żołnierzy Wyklętych”, a rok później „Wołyń zdradzony. Jak dowództwo AK porzuciło Polaków na pastwę UPA”.

W połowie lutego 2026 prof. Andrzej Nowak, konserwatywny historyk sympatyzujący z PiS, doradca prezydenta Nawrockiego i autor fundamentalnych „Dziejów Polski”, określił książki Zychowicza jako „skrajną manipulację prawdą historyczną”.

• Piotr Zychowicz (drugi od lewej) w 2018 roku podczas debaty o Józefie Piłsudskim w Muzeum Narodowym w Warszawie. Na lewo od Zychowicza Rafał Ziemkiewicz, na prawo Piotr Semka i Paweł Lisicki

FOT. JĘDRZEJ NOWICKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wypowiedź profesora dla Kanału Zero: – Pan Zychowicz stawia tezy radykalnie niezgodne ze źródłami, manipulujące (...) ściśle zbieżne z propagandą Władimira Putina i części mediów niemieckich. Jeżeli ludzie uwielbiają pokazywać Polskę w jak najgorszym świetle po to, by samemu wydać się godnym następcą [Józefa] Mackiewicza to jest ubolewania godne.

ZYCHOWICZ I PEDAGOGIKA WSTYDU

22 lutego do krytyki przyłączył się Gursztyn, który ogłosił w tygodniku „Sieci”, że Zychowicz jest „autorem jednego z największych oszustw ostatnich lat w Polsce”, bo według Gursztyna:

• ”Wielu recenzentów książek [Zychowicza] wskazywało przykłady ordynarnego fałszowania źródeł. Leszek Żebrowski, badacz specjalizujący się w tematyce podziemia antykomunistycznego [ekonomista, historyk amator, specjalizujący się w opisywaniu partyzantki narodowej], znalazł fałszerstwa w książce o żołnierzach wyklętych: Zychowicz powoływał się na rzekome zapiski Józefa Kurasia »Ognia«, podczas gdy wiadomo, że to ubeckie fałszywki. Ale nawet gdyby nie był fałszerzem, lecz jedynie głosicielem kontrowersyjnych haseł, to i tak trzeba stwierdzić, że jego poglądy są dla Polski szkodliwe. Książkę atakującą pamięć powstania warszawskiego omawiały niemieckie media, które nie były w podobny sposób zainteresowane innymi polskimi publikacjami na temat II wojny światowej. [W Rosji] szczególnie spodobała się zaś praca o tym, że Polska winna się była sprzymierzyć z Hitlerem. [Zychowicz tak dobrze] realizuje zamówienie polityki historycznej Władimira Putina [że] ambasada rosyjska postanowiła uczcić wydanie jego książki”.

• ”Zychowicz próbuje zdemolować wydarzenia z naszej historii, z których Polacy są dumni. W jego ujęciu praktycznie wszyscy polscy bohaterowie pierwszej połowy XX wieku to szkodnicy albo idioci. Stworzył własną wersję pedagogiki wstydu – przykrytą patriotycznym ornamentem, ale o zawartości identycznej jak ta, którą propagowała »Wyborcza«”.

• ”Badacz dziejów AK doktor Wojciech Kempa trafił na wiele oszustw w książce o rzezi wołyńskiej, gdzie negatywnym bohaterem jest Armia Krajowa. Kempa w swojej recenzji wskazał, że Zychowicz pomija wszystko, co stawia AK w dobrym świetle, a Niemców – w złym”.

• Dalej Gursztyn wytoczył najcięższe działa: [Zychowicz] „Chętnie opowiada o swoich ziemiańskich, kresowych korzeniach i wynikającym z nich rycerskim etosie. Swój profil na portalu X opatrzył lakonicznym podpisem: »Antykomunista«. Przez lata nikt nie kwestionował tej autoprezentacji [natomiast Zychowicz] ją wzmacniał. Jego ojciec, żołnierz Szarych Szeregów, nosił amunicję i chodził na zwiady. Przeżył właściwie cudem. Problem w tym, że Muzeum Powstania Warszawskiego nie ma w swoich zasobach informacji o nim. [W rzeczywistości] Zychowicz senior nie był ani

eprasa.pl bce484ca04

Piotr Gursztyn: Zychowicz nie skrywa swej otwartej wrogości wobec PiS

FOT. MACIEK JAŹWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

ziemianinem, ani powstańcem, tylko komunistą. Z badań Wojskowego Biura Historycznego wynika, że pełnił funkcję lektora przy Komitecie Centralnym PZPR. Pracował też jako dziennikarz PRL-owskiej prasy, łącznie z »Trybuną Ludu« [gdzie była zatrudniona] matka Zychowicza. Pisał wydawane przez MON książki o agresji amerykańskich imperialistów przeciw ludowi Wietnamu i Kambodży. Był za to odznaczany i zabezpieczany przez Departament I MSW, czyli wywiad SB".

• "Jako redaktor naczelny dodatku historycznego tygodnika »Do Rzeczy« Zychowicz promował komunistycznego agenta Mariana Zacharskiego, przedstawiając go jako PRL-owskiego Jamesa Bonda. Zacharski pracował w Departamencie I, czyli tym, który zabezpieczał Zychowicza seniora. Zasadne jest postawienie pytania, z czego wynikła zażyłość rzekomego antykomunisty z esbekiem. Czy młody redaktor pomagał staremu komuchowi, czy kolega taty resortowemu dziecku? I czy nie jest to źródłem wydawniczego sukcesu książek Zychowicza?".

• Puenta tekstu Gursztyna: „Dzisiaj, gdy prawica jest w opozycji, Zychowicz nie skrywa swej otwartej wrogości wobec PiS. Jako dziecko komunistycznych dziennikarzy jest w tym uczuciu autentyczny. Za rządów PiS nie obnosił się z tą niechęcią, zwłaszcza że los sprawił, iż pracował w prawicowych mediach. Trafił do pracy w dzienniku »Rzeczpospolita« dzięki znajomościom matki. Wszedł między prawicowe wrony, więc krakał tak jak one, zwłaszcza kiedy się opłacało".

WYRZUCIĆ GURSZTYNA Z ZAWODU!

„Jest to paszkwil oparty na insynuacjach, skandalicznych kłamstwach i teoriach spiskowych, podłe grzebanie życiorysie – odpowiedziałał Gursztynowi Zychowicz. Jego godzinna riposta na kanale Historia Realna nosi dramatyczny tytuł „W obronie rodziny! Kto chce zniszczyć Zychowicza i jego mamę?". Gursztynowi zarzucił kłamstwa i że od lat ma obsesję na jego punkcie:

• "Nie jestem »resortowym dzieckiem«. Żadne z moich rodziców nie pracowało w peerelowskim MSW. Mówiąc o wyniesionym z domu etosie rycerskim, nie kłamałem, mój dziadek Józef Zychowicz był bowiem kawalerem Virtuti Militari, walczył w kampanii 1920 roku, pod kulami nieprzyjaciela wysadził most, do którego zbliżali się czerwoni i sam wziął do niewoli sowiecki patrol (...)".

• "Nie mam nic wspólnego z rosyjską ambasadą, w odróżnieniu od magazynu »Sieci« (...). Przypomnę, że kilka dni po napaści Putina na Ukrainę w tygodniku tym ukazał się kuriozalny wywiad z ambasadorem Siergiejem Andriejewem, któremu pozwolono na wielu stronach szerzyć rosyjską propagandę (...)".

• "Co do »Ognia« – w mej książce »Skazy na pancerzach...« zaznaczyłem wyraźnie, że pochodzący z jego dziennika opis ucięcia języka Żydówce, jaki znalazł się wcześniej w książce Jana Tomasza Grossa »Strach«, był ubecką fałszywką. Gursztyn nie doczytał, mamy więc do czynienia albo z rażącą niekompetencją, albo ze złą wolą (...)".

• "Mój ojciec Andrzej Zychowicz zarówno brał udział w powstaniu warszawskim, jak i należał do PZPR. Jedno z drugim się nie wyklucza. Nie zgłosiłem ojca do rejestru powstańców prowadzonego przez Muzeum Powstania Warszawskiego, bo nie ma takiego obowiązku, a mój negatywny stosunek do MPW jako instytucji promującej kult klęski jest ogólnie znany. Tata rzeczywiście był w PZPR, czego nie pochwalam, ale przecież nie mogę odpowiadać za decyzje podjęte przez ojca na długo przed moim urodzeniem (...)".

• "Gursztyn kłamie, pisząc, że ojciec był dziennikarzem »Trybuny Ludu«. Rzeczywiście publikował w mediach komunistycznych, bo żył w PRL. Pracował w »Żołnierzu Wolności", co chwały mu nie przynosi, gdyż była to okropna gazeta dla trepów; potem w redakcji »Perspektyw« a od 1982 do 1991 roku – w Polskim Radio. Był faktycznie zabezpieczany przez wywiad PRL, co służy Gursztynowi do śliskiego sugerowania, że był komunistycznym szpiegiem. To kłamstwo. Osoba zabezpieczona to w terminologii SB ktoś, kim służba się interesuje. Ani IPN, ani żaden historyk nie traktuje osób zabezpieczonych jako agentów. Zabezpieczeni byli w PRL między innymi Jarosław Kaczyński, Mateusz Morawiecki i wiele innych osób, których nikt nie oskarża o agenturalność. Osoby zabezpieczane przez służby PRL najczęściej nawet o tym nie wiedziały. Żadne akta dotyczące tego zabezpieczenia się nie zachowały, więc snucie na ten temat domysłów jest skandalicznym nadużyciem (...)".

• "Moja rzekoma zażyłość z komunistycznym szpiegiem Marianem Zacharskim polegała na tym, że jako redaktor naczelny »Historii Do Rzeczy« drukowałem jego teksty, ponieważ Zacharski wydawał wówczas bardzo ciekawe prace o walce wywiadu II RP z wywiadem niemieckim. Natomiast źródłem wydawniczego sukcesu moich książek – w odróżnieniu od kiepsko się sprzedających publikacji Gursztyna – nie jest spisek z Zacharskim jako przedstawicielem służby państwa nieistniejącego od czterech dekad, tylko wolny rynek i zainteresowanie kilkuset tysięcy czytelników".

• "Wszystkie powyższe kłamstwa Gursztyna bledną w porównaniu z tym, że zaatakował moją mamę, która – w przeciwieństwie do ojca – żyje. I nie pracowała w »Trybunie Ludu«, ale w TVP, gdzie nie przeszła komunistycznej weryfikacji w roku 1983; potem w »Słowie Powszechnym«, magazynie »Firma« i w »Rzeczpospolitej«.

Zychowicz pokazał do kamery jej legitymacje, przepustki i wizytówki z logo Solidarności. Tej pierwszej.

• "...a Gursztyn uczynił z niej komunistkę, aby mnie nazwać »resortowym dzieckiem«. Nie wyobrażam sobie, aby po tym, co ten człowiek zrobił mojej mamie, jakakolwiek redakcja wydrukowała jakikolwiek jego tekst, czy zaprosiła do jakiejkolwiek audycji. Zwracam się do mediów prawicowych, lewicowych, centrowych: musimy stanąć ponad podziałami w obronie ludzkiej przyzwoitości i naszych standardów zawodowych!

Z OSZCZERCAMI NIE ROZMAWIAM

Mimo tego apelu Gursztyna zaprosiło konserwatywne radio Wnet. Powtórzył tam wiele zarzutów z „Sieci", nie odnosząc się w ogóle do riposty adwersarza. Przypomniał natomiast, że na antenie tego radia prof. Antoni Dudek nazwał twórczość Zychowicza „historyczną pornografią". Stwierdził również, że Zychowicz, będąc osobą publiczną, chętnie osądza i demitologizuje postacie historyczne, więc on ma prawo, by zdemitologizować i osądzić jego. „Gdyby się uczciwie rozliczył, byłoby mu wybaczone, bo dzieci nie odpowiadają za czyny rodziców, ale odpowiadają za mówienie prawdy".

Dzień później naczelny Radia Wnet Krzysztof Skowroński osobiście zaprosił Zychowicza. Podczas rozmowy prowadząca Jaśmina Nowak zaproponowała mu radiową debatę z Gursztynem. Zychowicz się wykręcił: – Jak mogę rozmawiać z człowiekiem, który w sposób skandaliczny atakuje moją rodzinę?

Następnie znów wymienił „kłamstwa Gursztyna", których wyszło ponad 20 i dodał z uśmiechem, że „pisany nienawiścią" artykuł w „Sieciach" przyniósł wzrost wyświetleń jego kanału.

Prowadząca poprosiła Zychowicza, by skomentował krytykę ze strony autorytetów akademickich, choćby profesora Nowaka? A ten wytłumaczył, że pisze publicystykę, która nie ma ambicji naukowych.

– Gdybym pisał tak samo i tak samo podchodził do źródeł, jak to robię, ale wymowa byłaby zgodna z poglądami profesora Nowaka i jego znajomych, to by mi stawiali pomniki, dosłownie. W Polsce toczy się bowiem walka między polityką historyczną a historią realną. Ta pierwsza polega na pudrowaniu i pokazywaniu, że Polacy zawsze byli ofiarami albo bohaterami. To zalewanie komunistycznej formy patriotyczną treścią.

Jaśmina Nowak: – Zgodziłby się pan na dyskusję z profesorem Nowakiem w Radio Wnet?

– Mogę dyskutować z każdym, ale nie wtedy, kiedy ktoś mnie obraża i obrzuca błotem, mówiąc, że pracuję dla Moskwy. Miałbym rozmawiać o tym, czy jestem agentem Rosji, czy może raczej Niemiec?

MAGISTER BEZ WARSZTATU MA WIZJE

– Ja nie zarzucam panu Zychowiczowi agenturalności – mówi mi prof. Nowak. – Natomiast zbieżność niektórych jego tez z przekazem płynącym z Rosji jest zastanawiająca. Pomaga rosyjskiej propagandzie jako pożyteczny idiota. Nie obrażam go tym stwierdzeniem, a jedynie pokazuję istotę jego funkcji... każdemu wolno stawiać najdziwniejsze tezy, jeśli to służy ożywieniu wyobraźni, ale niech autor przedstawi siebie jako publicystę, pisarza fantastycznego, nie – historyka. Bo gdyby nie wyśmiewane przezeń powstania, gdyby nie narażanie życia przez naszych bohaterskich przodków, może nie rozmawialibyśmy dzisiaj po polsku.

Natomiast wątek rodziny pana Zychowicza w ogóle nie powinien wchodzić w zakres tej debaty.

Prof. Antoni Dudek, wykładowca na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego, potwierdza, że rzeczywiście książkę „Obłęd '44" nazwał „pornografią". – Sam mam krytyczny stosunek do powstania warszawskiego, ale nie można tego nazywać zbiorowym obłędem – tłumaczy. – Na tym właśnie polega różnica między filmem erotycznym a pornograficznym – na pójściu za daleko. Spór Zychowicza z Gursztynem to odbicie debaty, która toczy się na prawicy od dekad. Z jednej strony są realiści, którzy uważają, że Akcja Burza była błędem. Ale co w zamian? Nie wiadomo. Z drugiej strony hurrapatriotyczna prawica uważa, że dla powstania nie było alternatywy. Nazwałbym to myśleniem martyrologicznym.

Według prof. Dudka Gursztyn z Zychowiczem nie cierpią się od 2019 roku, gdy wybuchła awantura wokół konkursu IPN, TVP i Polskiego Radia o nazwie „Książka Historyczna Roku".

– Byłem wówczas członkiem jury. W poprzednich latach wśród jurorów przeważali krytycy Zychowicza, stąd jego „Skazy na pancerzach" nie były nominowane – opowiada profesor. – Ale w roku kolejnym, gdy wydał „Wołyń zdradzony", jego krytycy chwilowo zaspali i pozostali jurorzy, w tym ja, dali książce szansę. Wówczas Gursztyn, który pracował w TVP, zadziałał kuluarowo i praca Zychowicza straciła nominację. Podałem się do dymisji jako juror, sam konkurs został unieważniony. Pozostał niesmak i nienawiść między Gursztynem a Zychowiczem, która teraz ponownie wybuchła.

Co do meritum sporu: nauka historii tym się różni od postepowania w sądzie, że wyroki mogą być różne i równouprawnione. Generalnie na razie górą jest Gursztyn – na prawicy zwycięża hurrapatriotyzm. Natomiast zarzuty względem rodziny Zychowicza uważam za haniebne. To wyjście poza ramy najostrzejszej nawet debaty, coś niedopuszczalnego.

Wymieniony w tekście Gursztyna prof. Marek Kornat, konserwatywny historyk, sowietolog, badacz dziejów dyplomacji z Polskiej Akademii Nauk, który wykłada również na UKSW, jest zdecydowanie przeciw Zychowiczowi.

– Popieram jednoznacznie Gursztyna, bo zgadzam się z profesorem Nowakiem, że książki w rodzaju „Paktu Ribbentrop-Beck" nie podnoszą, a wręcz obniżają świadomość historyczną Polaków. Teza o potrzebie sojuszu z Niemcami w 1939 roku to jakieś horrendum. A stawia ją magister bez warsztatu historycznego, który tworzy sobie literackie wizje: jak to jego dziadek ułan zdobywałby Moskwę u boku niemieckich sojuszników. W Polsce, kraju, który jeszcze się nie otrząsnął z tragicznych przejść XX wieku, taka publicystyka jest bardzo nie na miejscu. Wywołuje natomiast entuzjazm w Rosji, bo pomaga tworzyć narrację, że Polska to państwo z ciągotami faszystowskimi. Na Zachodzie również mamy środowiska, które tak uważają.

Spotkałem się z Zychowiczem raz, na debacie w Instytucie Sobieskiego ponad 10 lat temu. Przy stole siedział m.in. późniejszy szef dyplomacji Witold Waszczykowski. Kiedy Zychowicz wyłożył swoją tezę, że trzeba było iść na Sowiety wespół z III Rzeszą i zaczął to udowadniać – wyszedłem. Nie rozmawiam z kimś, kto ma takie poglądy.

– A jak pan oceni zlustrowanie rodziny Zychowicza?

– To nie lustracja, tylko ujawnienie faktów. Dlaczego opinia publiczna ma nie wiedzieć, że Zychowicz senior był komunistą? Rodziców nikt nie wybiera, ale skoro autor w swoim pisarstwie odwołuje się do rzekomo patriotycznych i chlubnych kart historii rodzinnej, to niech się zmierzy z prawdą.

– Profesor Dudek uważa, że atak na rodzinę to hańba dla atakującego.

– Ja tak nie uważam. Problem byłby, gdyby zaatakowano człowieka, który nigdy nie zmyślał na temat swojej rodziny.

ROBI BŁĘDY, WALI PAŁKĄ I KŁAMIE

Znalezienie historyków-akademików, którzy poparliby Zychowicza, okazało się nieco trudniejsze.

– Moim zdaniem nikogo takiego pan nie znajdzie – wróżył prof. Kornat. – Spośród mi znanych jedynym mówiącym ciepło o twórczości Zychowicza jest Sławomir Cenckiewicz.

Niestety: szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego przy prezydencie Karolu Nawrockim z „Wyborczą" nie rozmawia.

Zadzwoniłem więc do Zychowicza.

– Czy ktokolwiek z akademików trzyma pańską stronę w sporze z Gursztynem?

Autor „Obłędu '44" nie był w stanie wymienić nikogo z pamięci, lecz obiecał się zastanowić. Ostatecznie przysłał listę pół tuzina historyków, z których większość nie chciała rozmawiać. Nieoficjalnie usłyszałem, że wobec ostrej postawy „pierwszego dziejopisa", czyli prof. Nowaka „mało kto chce się wychylić z pochwałą Zychowicza". Ostatecznie odważyło się dwóch.

– Ja go zwyczajnie lubię, a nawet cienię, bo stawia bardzo ciekawe

eprasa.pl bce484ca04

pytania, chociaż często udziela zbyt prostych odpowiedzi – mówi mi pierwszy z nich, prof. Grzegorz Motyka, dyrektor Wojskowego Biura Historycznego. – Występowałem w jego „Historii Realnej”, gdzie prowadziliśmy merytoryczne, wartościowe rozmowy na temat Wołynia i gdyby mnie znowu zaprosił, poszedłbym jeszcze raz. Zaś atak na jego rodzinę uważam za zwyczajnie okropny. Jeśli prof. Dudek powiedział panu, że to hańba, ja się całkowicie z nim zgadzam. Zwłaszcza że Gursztyn w swoim artykule w „Sieciach” popełnił rażące błędy. Powołał się na rzekome badania WBH tyczące Zychowicza seniora, a takich badań nie było. Skłamał i nadużył autorytetu Biura dla prywatnej gry.

Drugi rozmówca, prof. Hieronim Grala, badacz dziejów Rusi i Rosji, dyplomata i były dyrektor Instytutu Polskiego w Moskwie, był kiedyś wykładowcą Gursztyna.

– Wszyscy trzej, z Zychowiczem włącznie, kończyliśmy ten sam Instytut Historyczny Uniwersytetu Warszawskiego. Znamy się od lat. Tym bardziej ubolewam nad tragicznie niskim poziomem niniejszego sporu. Można się nie zgadzać z innym publicystą – a obaj adwersarze są publicystami, którzy korzystają z literatury historycznej – trzeba jednak pozostać wiernym zasadzie: sine ira et studio [bez gniewu i namiętności].

Zastosowanie przez Gursztyna argumentów *ad personam* jest zaprzeczeniem rzetelności historyka i humanisty. On chyba leniuchował na lekcji o Cyprianie Kamilu Norwidzie, któr zalecał, aby”różnić się pięknie”. Mieliśmy już większe spory: czy Władysław Warneńczyk, łamiąc zawarty chwilę wcześniej pokój z Turcją, dopuścił się krzywoprzysięstwa? Spór o historyczność, czy raczej ahistoryczność w książkach Henryka Sienkiewicza... i potrafiliśmy walczyć na argumenty, nie posądzając adwersarzy, że stoją za nimi rosyjskie siły albo wraże pieniądze. Z całym szacunkiem dla Andrzeja Nowaka, którego cenię, choć w wielu kwestiach różnimy się zasadniczo, takie pełne podejrzeń zarzuty wynikają z nieumiejętności starcia się na argumenty. A nie jest dobrze, gdy spierając się o treść książek, używamy środków z innego partykularza: wojny plemiennej albo sporu teologów odmiennych konfesji.

Obok obiegu naukowego od zawsze istniał popularyzatorski. Nie możemy mierzyć wywodu pisarza, który używa uproszczeń, bo taki jest wymóg rynku –ze stricte naukowymi pracami. Stosując krytykę kagańcową wobec tez, które budzą debatę, lecz się nie podobają, likwidujemy zainteresowanie historią. Sam wiele razy nie zgadzałem się z Zychowiczem, zarzucałem mu nieznajomość tego czy innego źródła... ale nie tatę w PZPR! Gursztyn rozstrzyga spór, waląc pałką. Niestety przypomina to czasy radzieckie. Gdy nie umiemy wykazać własne racji – anihilujmy adwersarza jako nieswojego.

– Jak by pan profesor spuentował cały spór?

– Więcej wzajemnego szacunku zamiast szukania haków w aktach. ●

Okruchy historii

Papież płacze nad antysemityzmem

Niespotykana dotąd reakcja na list biskupów z okazji 40. rocznicy wizyty Jana Pawła II w synagodze, dowodzi słuszności jego publikacji.

Motyka

„Gdy Jezus był już blisko Jerozolimy, na widok miasta zapłakał nad nim” – ten fragment Ewangelii św. Łukasza dobrze zapamiętałem. Omawialiśmy go bowiem na spotkaniach oazowych organizowanych w salkach przy parafiach w mrocznych czasach stanu wojennego. Dowodził on, że chrześcijaństwo nie jest sprzeczne z patriotyzmem. Bo choć Jezus głosił uniwersalne przesłanie miłości bliźniego, nie zapominał o tym, z jakiego narodu pochodzi i myśląc o tym, co spotka miasto podczas tłumienia żydowskiego powstania przez Rzymian, odczuwał ból straty.

Wrażenia z tych młodzieńczych lektur Biblii stanęły mi przed oczami, gdy w ostatnich dniach śledziłem reakcje „prawdziwych patriotów” na list episkopatu Polski z okazji 40. rocznicy wizyty papieża Jana Pawła II w rzymskiej synagodze.

Wśród osób, które uznały go za „skandaliczny” i głośno przeciwko niemu zaprotestowały, jest m.in. red. Krystian Kratiuk z portalu Polonia Chrystiana. Pierwszy raz go usłyszałem, kiedy w jednej z internetowych dyskusji bronił prawa katolików do głosowania na Grzegorza Brauna. Wypowiedź o „żydowskim żonkilu” uznał za „błąd”, lecz nie oburzyła go zawarta w tych słowach pogarda dla powstańców w getcie warszawskim i ofiar Holocaustu. Jego zdaniem, Braun zręcznie wykorzystuje „judeosceptycyzm” dla „zagospodarowania swojego pola elektoralnego”, co umyka ocenie moralnej. Zresztą, perorował z przekonaniem: „W temacie na literę »Ż« jesteśmy w Polsce zahukani”. Chyba list episkopatu uznał za objaw tego rzekomego zahukania, bo nagrał nawet ponad godzinny program tylko o nim.

Kratiuka i innych krytyków listu biskupów oburzyło nazwanie w nim Żydów dalej narodem wybranym. Nie wiem, co o tym myśli Pan Bóg, jednak wtedy, w latach 80. płacz Jezusa nad Jerozolimą był przez nas odbierany jako wyraz przywiązania do własnego narodu i ojczyzny. Nie widziałem wtedy i nie widzę dziś niczego dziwnego w tym, że Jezus był żydowskim patriotą. Tak jak Karol Wojtyła, zostając papieżem wszystkich katolików, nie przestał być Polakiem, tak Jezus, umierając na krzyżu za wszystkie narody (jak wierzą chrześcijanie) nie przestał być Żydem. Cóż, to tak jak z Maryją: Jezus kocha wszystkie mamy, jednak swoją jednak bardziej. Jak to ująć inaczej, niż pozostawaniem przez Żydów narodem wybranym?

Zdaniem publicysty portalu Polonia Chrystiana, Braun zręcznie wykorzystuje „judeosceptycyzm” dla „zagospodarowania swojego pola elektoralnego”, co umyka ocenie moralnej

Krytycy listu podnoszą argument fatalnie dobranego „momentu geopolitycznego”. Faktycznie, reakcja armii izraelskiej na zbrodnie Hamasu z 7 października była niewspółmiernie brutalna. Nad zbrodniami popełnionymi w Gazie nawet najwięksi sympatycy Izraela nie mogą przejść obojętnie. Ale choć wymagają one rzetelnego rozliczenia, to jednak nie usprawiedliwiają w żadnym razie antysemityzmu, nazwanego przez biskupów jednym ze „śmiertelnych deficytów miłości”. A niespotykana dotąd w Polsce reakcja na list biskupów dowodzi raczej trafności ich diagnozy i słuszności publikacji dokumentu.

Czytając przed 40 laty doniesienia o wizycie papieża w synagodze, nie byłem nią zdziwiony i chyba odczuwałem coś w rodzaju dumy, że to akurat Polak przełamuje narodowościowe stereotypy. Jego słowa o „umiłowanych” i „starszych braciach w wierze” były czymś naturalnym, znakomicie współbrzmiąc z ideami podziemnej „Solidarności” walczącej o wolność.

Przełomowość wizyty polegała na tym, że dowodziła otwartości Kościoła oraz równego i podmiotowego traktowania przez niego wszystkich ludzi bez względu na pochodzenie. W ten sposób Kościół dawał też świadectwo nowoczesności – było przecież oczywiste, że to Wojtyła jest postępowy, a nie Jaruzelski. Kratiuk i inni krytycy listu biskupów nie zauważają, że ich – nierzadko histeryczna reakcja – jest odwróceniem się lub przynajmniej pomniejszeniem wagi tej dobrej tradycji Kościoła Wojtyły.

Śledząc internetowe dyskusje, postanowiłem przypomnieć sobie wygłoszone wtedy przemówienie papieża. I aż zastygłem, kiedy odnalazłem w nim słowa, że Kościół „opłakuje akty nienawiści, prześladowania, przejawy antysemityzmu, które kiedykolwiek i przez kogokolwiek kierowane były przeciw Żydom. Powtarzam: przez kogokolwiek”. Przez chwilę odniosłem bowiem wrażenie, że tak jak Jezus zapłakał nad Jerozolimą, tak papież wtedy w rzymskiej synagodze zapłakał nad naszym polskim antysemityzmem. ●

Prof. Grzegorz Motyka
– historyk, politolog, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN

◀ **Papież Jan Paweł II podczas wizyty w rzymskiej synagodze, 13 kwietnia 1986 roku**
FOT. Â©GIANCARLO GIULIANI/CPP/IPA/PAP

eprasa.pl bce484ca04

NASZ ŚWIAT KRUCHY

„Nie umierać za Gdańsk" brzmi dziś tak samo jak „nie umierać za Chersoń".

Krzysztof Król

Wojna polska 1939" Leszka Moczulskiego jest książką historyczną, która tworzyła historię. Została napisana w latach 60., gdy od wybuchu wojny minęło niewiele ponad 20 lat, a żołnierze, którym udało się przeżyć, byli jeszcze w pełni sił. Poborowi z września 1939 mieli 40-50 lat, zawodowa kadra oficerska dopiero osiągnęła wiek emerytalny. Wspomnienia wciąż były żywe: klęska w wojnie z Niemcami, napaść Rosjan, okupacja, Holocaust, wszystko zdarzyło się niedawno. Stwarzało to niezwykłe warunki pisania i czytania.

Zwiastunem książki był artykuł w lipcowo-sierpniowym numerze „Więzi" z roku 1959. Autor musiał użyć pseudonimu Leszek Karpatowicz, ponieważ miał zakaz pisania pod nazwiskiem. Niedawno wyszedł z więzienia po procesie, w którym odpowiadał za próbę przekazania informacji na Zachód. W tym samym numerze „Więzi" gen. Roman Abraham, we wrześniu dowódca Wielkopolskiej Brygady Kawalerii, a w PRL lider podziemnego Nurtu Niepodległościowego, opisywał swoje starcia z Niemcami, a Melchior Wańkowicz relacjonował spotkanie w Rumunii z ministrem Józefem Beckiem i marszałkiem Edwardem Rydzem-Śmigłym jesienią 1939 roku. Miesięcznik „Więź" pełnił wówczas funkcję odpowiednika paryskiej „Kultury" i jej „Zeszytów historycznych", wykorzystując formułę katolickiej otwartości do przełamywania komunistycznej propagandy. Jego autorami w późniejszych czasach PRL, oczywiście pod pseudonimami, byli m.in. Jacek Kuroń i Adam Michnik.

JAK PRZECHYTRZYĆ CENZURĘ

Artykuł Leszka Moczulskiego „Polski plan wojny", przedstawiający podstawy polskich działań, powstał m.in na podstawie rozmów z płk. Józefem Szostakiem, przed wojną oficerem Sztabu Generalnego i współtwórcą planu „Zachód", w latach 70. uczestnikiem podziemnej konspiracji, a od 1979 – jawnej Konfederacji Polski Niepodległej. Autor z powodów cenzuralnych nie odnosił się do porozumienia niemiecko-rosyjskiego, które zniweczyłoby każdy, nawet najlepszy plan obronny. Dopiero w „Wojnie polskiej 1939" udało mu się napisać więcej. W PRL każda książka, artykuł, przedstawienie, a nawet nekrologi były poddane cenzurze, czyli akceptacji tekstu przed drukiem. Pracownicy aparatu cenzorskiego mieli dokładne wytyczne, co można, a czego nie można pisać. Szczególnie pochylali się nad kwestiami polsko-rosyjskimi.

W wydanej w 1972 roku przez Wydawnictwo Poznańskie książce Leszka Moczulskiego pojawia się informacja, jak komunistyczna Rosja współpracowała z hitlerowskimi Niemcami w przygotowywaniu zajęcia Polski. Cytowany jest sowiecki minister spraw zagranicznych Wiaczesław Mołotow mówiący 31 października 1939, że wyzwoleńczy marsz Armii Czerwonej wraz z uderzeniem wojsk niemieckich doprowadził do rozbicia Polski, „pokracznego bękarta traktatu wersalskiego".

Jak doszło do wydania takiej książki?

Po pierwsze, Mołotow pojawia się w przypisie zawierającym fragment wydanego w niewielkim nakładzie rosyjskiego dzieła z 1964 roku „Historia Wielkiej Wojny Narodowej Związku Radzieckiego". Cenzorzy nie śmieli cenzurować dokładnego cytatu sowieckiej literatury historycznej. Po drugie, Moczulski uzupełnił to innym cytatem z rosyjskiej książki, że współcześni moskiewscy historycy krytycznie odnoszą się do wypowiedzi stalinowskiego ministra. Po trzecie, cenzura po wydarzeniach 1970 roku zelżała i nie była aż tak uważna jak wcześniej.

Czwartą przyczyną był kolejny fortel Moczulskiego. Po przejściu książki przez cenzurę wydawnictwo pilnowało, aby autor niczego nie mógł dopisać. Moczulski jednak najpierw kontrowersyjne cytaty opatrzył rozwadniającymi komentarzami i opiniami, a następnie poprosił wydawnictwo o ich wykreślenie. Dopisywać nie można, skreślać można – pewnie pomyśleli w wydawnictwie. Dowód tego zabiegu znajduje się w „próbnym wydruku" z zaznaczonymi ingerencjami cenzury, który można obejrzeć w krakowskim Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego współprowadzonym przez Uniwersytet Jagielloński i miasto Kraków.

POLOWANIE NA „WOJNĘ"

Po ukazaniu się „Wojny polskiej" ambasada Związku Radzieckiego zażądała wycofania jej z księgarni i bibliotek. W komunistycznej prasie ukazały się artykuły pełne oskarżeń. Poszukiwana książka osiągała niebotyczne ceny na wolnym rynku. Niedługo później zakazano pisania o niej i ścigano każdą wzmiankę na jej temat. Prof. Andrzej Friszke w „Opozycji politycznej w PRL 1945-1980" pisze o akcji przeciwko książce. „Wojnę polską" uznano za „antyradziecką oraz rehabilitującą politykę Becka, oraz strategię Śmigłego-Rydza", a sam autor „stał się osobą szerzej znaną jako historyk i publicysta pozostający w konflikcie z władzami".

Prof. Friszke sam zresztą doświadczył siły kampanii przeciw „Wojnie polskiej". W wywiadzie rzece „Zawód: historyk" opowiada, że jako młody badacz został zaproszony w 1976 roku do stworzenia listy lektur zalecanych przygotowującym się do olimpiady historycznej i umieścił na niej książkę Moczulskiego. Wywołało to awanturę, w której kierownik Wydziału Komitetu Centralnego PZPR Jarema Maciszewski i sekretarz KC Andrzej Werblan korespondowali, że propozycja Friszkego miała „wyraźny posmak prowokacji politycznej" – cytuje historyk. Melchior Wańkowicz w drugim tomie „Karafki La Fontaine'a" odsyła do „Wojny polskiej": „Taką dokumentację znalazłem dopiero w wydanej w 1972 roku książce Leszka Moczulskiego". „Karafka" ukazała się w 1981 roku, w czasie karnawału „Solidarności".

Tytuł książki stał się kodem, za pomocą którego na początku lat 70. ludzie rozpoznawali swoje antykomunistyczne poglądy. Jeśli ktoś wypowiadał się o niej pozytywnie, oznaczało to, że jest przeciwnikiem PRL. W latach przed powołaniem jawnej opozycji, Komitetu Obrony Robotników oraz Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela takie sygnały były najprostszym sposobem rozpoznawania osób o zbliżonych poglądach. Osoba ze znacznie młodszego pokolenia, Rafał Trzaskowski, tak wspomina znaczenie książki w wywiadzie rzece „Rafał" przeprowadzonym przez Donatę Subbotko: „Ojciec miał bzika na punkcie »Wojny polskiej 1939« Leszka Moczulskiego, chyba do dzisiaj najlepszej książki o kampanii wrześniowej".

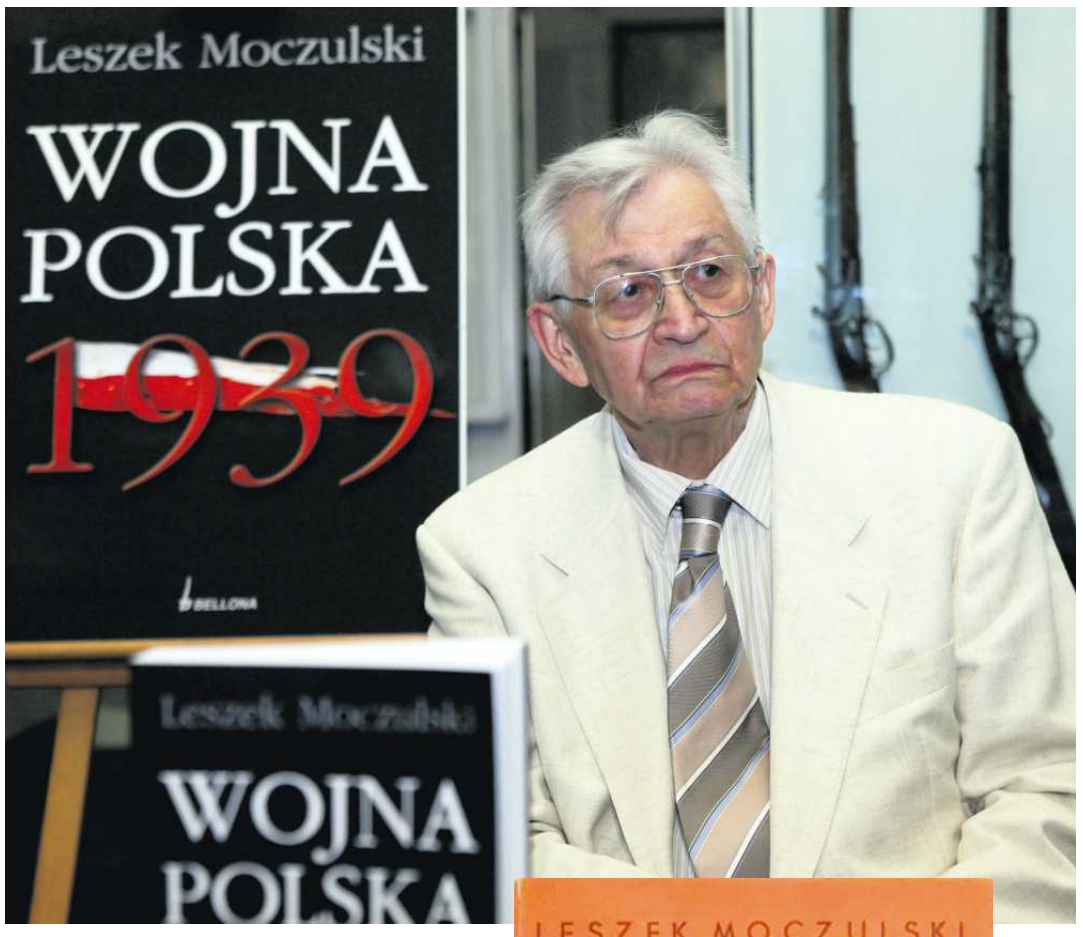

• **Leszek Moczulski podczas promocji książki „Wojna Polska 1939", wznowionej w 2009 roku przez wydawnictwo Bellona**
FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

NIEWYBACZALNA BIERNOŚĆ ZACHODU

Słowa Mołotowa i tajny pakt sowiecko-hitlerowski, bez którego być może Hitler nie rozpoczęłby wojny, a wojska francuskie wykonałyby we wrześniu 1939 swoje zobowiązania sojusznicze, nie były jedynym tematem książki. Jej największa objętościowo część jest poświęcona krótkowzroczności polityków Zachodu, ich niezrozumieniu zagrożenia, naiwności, niechęci do działań, które wymagałyby zaangażowania finansowego i militarnego. Zamiast być liderami państw dbających o bezpieczeństwo, zachowywali się jak urzędnicy, których największym pragnieniem jest spokój. Ich problemem był też strach przed odpowiedzialnością za ewentualne błędy. Nie zdali egzaminu z historii, licząc na szczęście. Małość liderów doprowadziła do tragedii i śmierci dziesiątek milionów ludzi.

Leszek Moczulski wymienia kilka okazji do powstrzymania Hitlera, z których każda mogła zapobiec wybuchowi wojny światowej. Z żadnej ówczesni politycy nie skorzystali.

Pierwszą było dojście Hitlera do władzy i poważne potraktowanie jego planów remilitaryzacji i budowy wielkich Niemiec przez

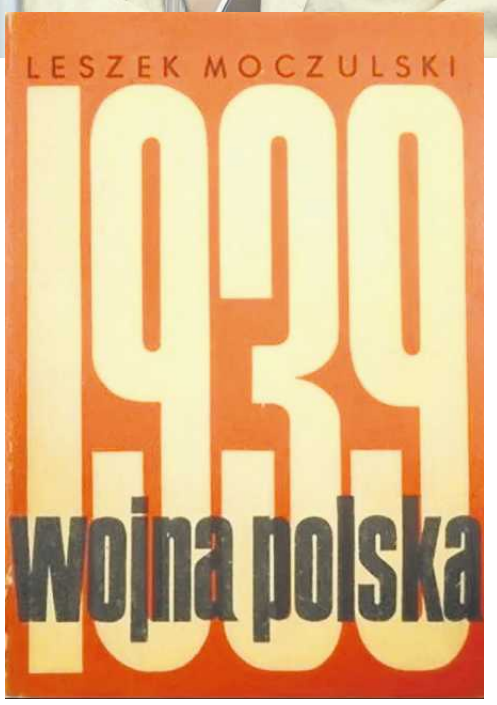

• **Okładka pierwszej edycji monografii z 1972 roku, wydanej przez Wydawnictwo Poznańskie**
FOT. MATERIAŁY WYDAWNICTWA

Po ukazaniu się „Wojny polskiej" ambasada Związku Radzieckiego zażądała wycofania jej z księgarni i bibliotek. W komunistycznej prasie ukazały się artykuły pełne oskarżeń

eprasa.pl bce484ca04

JAK W ’39

podbicie innych krajów i zajęcie przestrzeni życiowej. Trzeba było tylko poważnie potraktować „Mein Kampf” opublikowaną w 1925 i 1927 roku. Józef Piłsudski sondował Francuzów w sprawie wojny prewencyjnej w 1933 roku. Plan odrzucono. Leszek Moczulski poświęcił tej kwestii osobną książkę, „Wojna prewencyjna. Czy Piłsudski planował najazd na Niemcy”, wydaną w 2017 roku przez Bellonę.

Drugą była ewentualna stanowcza reakcja na remilitaryzację Nadrenii. Francuzi mieli wówczas ogromną przewagę militarną nad Niemcami, tak dużą, że nawet w rozkazach Wehrmachtu były zalecenia wycofania się z akcji, gdyby Francja zareagowała.

Trzecią był Anschluss Austrii w marcu 1938. Hitler nie był w stanie kontynuować działań, gdyby spotkał się z reakcją siłową lub choćby poważną jej zapowiedzią.

Czwartą był kryzys sudecki i Monachium jesienią 1938, stanowiące oddanie nazistom części terytorium Czechosłowacji, jej granicznych fortyfikacji i praktyczną eliminację czeskiego przemysłu zbrojeniowego.

Piątą był rozbiór Czechosłowacji w marcu 1939.

Szóstą była możliwość zdecydowanego przeciwdziałania po ujawnieniu paktu niemiecko-sowieckiego.

Siódmą było wykonanie zobowiązań militarnych już po agresji niemieckiej przez wojska francuskie i angielskie. Gdyby armia francuska rzeczywiście ruszyła przeciw Niemcom po 3 września 1939, to Trzecia Rzesza poniosłaby klęskę. Gdyby sojusznicy Polski zachowali się odpowiedzialnie i zgodnie z zawartymi traktatami, to także nieprzygotowani do wojny Sowieci nie zaatakowaliby Polski, czekając na wynik wojny w Europie.

Według Moczulskiego Zachód swoją biernością sam popychał Hitlera w stronę wojny.

RYDZ-ŚMIGŁY NIE MIAŁ WYJŚCIA

Brak wsparcia francuskiego autor „Wojny polskiej” nazywa zdradą Polski przez sojuszników, pozostawieniem nas na polu bitwy oraz felonią, czyli najgorszym rodzajem nielojalności. Także rodzajem najgłupszym, bo Francuzi zapłacili za swoje błędy już w następnym roku, gdy sami musieli się zmierzyć z armią niemiecką. Obrona potężnej Francji trwała w czerwcu 1940 krócej niż obrona Polski we wrześniu 1939.

Moczulski obszernie relacjonuje polsko-niemieckie starcia, zauważa zarówno determinację, jak i błędy, wykazuje spełnienie podstawowego zadania dla polskiej armii: wytrzymania natarcia hitlerowskiego do momentu, gdy wojska alianckie uderzą z Zachodu na Niemcy. Niestety, zamiast tego uderzenia Polska otrzymała cios w plecy ze Wschodu.

„Wojna polska” nie unika tematu opuszczenia Polski przez władze. Autor omawia, że tradycją XIX-wieczną było wycofywanie wojsk i przywódców za granicę po poniesieniu porażki. Tak było z opuszczeniem kraju przez Tadeusza Kościuszkę w 1792, Ludwika Mierosławskigo w 1848 i 1863, Mariana Langiewicza w 1863. Według Moczulskiego marszałek Rydz-Śmigły nie miał innego racjonalnego wyjścia. „Śmierć lub niewola oznaczały symboliczne potwierdzenie nie klęski, ale Rzeczpospolitej” – pisze. Opuszczeniu kraju i formowanie rządu Polski za granicą było wpisane w filozofię Konstytucji 1935 roku.

Jednocześnie Moczulski pisze, że autor „Nikodema Dyzmy” Tadeusz-Dołęga-Mostowicz, znany krytyk sanacji, wolał zginąć w nierównej walce z sowieckimi czołgami, niż przejść polsko-rumuński most graniczny na Czeremoszu.

Autor opisuje też zamach stanu, który z udziałem opozycyjnych działaczy, ambasadora RP w Rumunii Rogera Raczyńskiego oraz polityków francuskich spowodował zatrzymanie polskich władz w Rumunii i wymusił przekazanie rządów prezydentowi Raczkiewiczowi i generałowi Sikorskiemu.

CZY HISTORIA SIĘ POWTARZA?

W „Wojnie polskiej” pada też argument przeciwny koncepcjom sojuszu polsko-niemieckiego w walce z ZSRR. „Czy po zwycięstwie Hitler wstrzymałby się od uruchomienia Auschwitz?” – pyta retorycznie autor. I czy w kolejce do likwidacji nie znaleźliby się Polacy?

Dzisiejsza lektura książki, która ukazała się 50 lat temu, a jej poprawione wydanie niemal 20, wywołuje współczesne refleksje. Czy świat jest dziś mniej kruchy niż w latach 30. XX wieku? Czy jesteśmy dalej od wojny? Czy liderzy wolnego świata są odpowiedzialni i przewidująco uprzedzają grożące katastrofy?

Czytając Moczulskiego, łatwo znajdziemy współczesne odpowiedniki polityków z Polski, Niemiec, USA i Francji.

Jesteśmy świadkami podobnego rozniecanie konfliktów narodowościowych, wzajemnego szczucia i składania propozycji „ratujących pokój”. „Nie umierać za Gdańsk” brzmi tak samo jak „nie umierać za Chersoń”.

Wystarczy wyobrazić sobie, że prezydentem USA w momencie agresji Rosji na Ukrainę w 2022 nie jest Joe Biden, że ówcześni politycy Polski i Węgier przyjmują ofertę „zabezpieczenia” części Zakarpacia i Podola. Porządek europejski i atlantycki runąłby w jednej chwili, Kreml odzyskałby strefę wpływów sprzed 1989 roku, zaczęłaby się kolejna tragedia Rzeczypospolitej.

Leszek Moczulski pokazuje, że historia nie jest zdeterminowana, nie jesteśmy okrutnym laboratorium Pana Boga, ale narody, wybierając swoich przywódców, decydują, jak potoczą się ich losy. ●

Fundacja im. Leszka Moczulskiego, jako właściciel praw autorskich, zdecydowała się opublikować „Wojnę Polskę” w Internecie, udostępnić ją bezpłatnie w wersji elektronicznej na stronie https://moczulski.org.pl/, rozesłać dziesiątkom bibliotek i możliwością dalszej, dowolnej dystrybucji. Było to możliwe dzięki wsparciu Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych. Takie działanie ma nie tylko znaczenie popularyzatorskie. W dobie sztucznej inteligencji warto zasilać zasoby cyfrowe wartościowymi danymi. Każdy system komputerowy jest tak mądry, jak to, czym zostanie zasilony.

Krzysztof Król

• Działacz opozycji demokratycznej i więzień polityczny w PRL, poseł na Sejm I i II kadencji, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego, doradca sejmowej Komisji Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Środków Przekazu

Stare dobre czasy

Chleb i władza

Lepiej, by głodni nienawidzili piekarzy niż tych, którzy doprowadzili do wzrostu cen chleba, wzniecając wojny.

Anna Brzezińska

W średniowieczu łatwo było zaznać głodu. Kronikarze ze zgrozą opisywali lata nieurodzaju, poprzedzane pojawieniem się krwawych komet na niebie, a niekiedy po prostu niekończącymi się ulewami czy gradobiciami niszczącymi plony na polach. Podstawowych artykułów nie przewożono masowo na wielkie odległości, więc niedoborów nie dawało się łatwo uzupełnić. Nawet lokalne nieurodzaje sprawiały więc, że ceny żywności rosły, a ludzie zaczynali przymierać głodem.

Nie zawsze jednak mogli o swoje nieszczęście obwiniać naturę, która w ręku Boga stawała się narzędziem kary wymierzanej grzesznikom. Czasami trafiał się im zapalczywy i ambitny feudał, który w przypływie żądzy sławy lub dla odwrócenia uwagi od innych kłopotów rozpętywał jakąś absurdalną wojenkę. Potem wszystko toczyło się już znanym torem: tratowano zasiewy, rabowano sioła, palono spichrze, mordowano poddanych – i ceny rosły. Kiedy zaś ceny rosły, wielu ludziom zaczynało brakować nie tylko na chleb powszedni, ale nawet na kaszę czy polewkę.

Sposoby walki z drożyzną – podobnie jak wiele imperialnych pomysłów – średniowiecze odziedziczyło po antyku. Władze starożytnego Rzymu szybko zorientowały się, że wygłodzeni poddani potrafią sobie spontanicznie zorganizować rozrywki wymierzone przeciwko tym, którym brak chleba zawdzięczają. Były one szczególnie niebezpieczne w Wiecznym Mieście, stolicy imperium, gdzie rozeźlony plebs szybko przechodził od słów do czynów. Rozkołysane nastroje usiłowano tam uśmierzać rozdawnictwem i stałymi cenami zboża, potem chleba, czemu służył system aprowizacji Rzymu, stworzony przez cesarza Augusta.

Państwa, które powstały w Europie po upadku imperium rzymskiego, nie dysponowały administracją zdolną sprostać podobnym wyzwaniom; jedynie Karol Wielki usiłował wprowadzać stałe ceny zboża. Ale od XIII wieku, głównie w miastach, zależnych od dostaw i podatnych na ruchawki, zaczęto wracać do starych pomysłów regulowania ceny chleba, a z czasem te regulacje rozszerzano na inne produkty. Chcąc zapobiec spekulacjom i drożyźnie w czasie wojen czy nieurodzajów, władze usiłowały przejąć kontrolę nad handlem zbożem, podstawowym artykułem żywnościowym, zapewnić miastom niezbędne dostawy i ustabilizować ceny chleba, a tym samym zaskarbić sobie wdzięczność poddanych, szczególnie najbiedniejszych. W XIII-XV wieku od Florencji, Genui i Wenecji poprzez Marsylię, Brugię i Amsterdam po Norymbergę, Frankfurt i Gdańsk uchwalano więc specjalne prawa i taksy chlebowe, oraz powoływano urzędników, którzy mieli zadbać o respektowanie przepisów i kontrolować jakość produkcji.

W tych taksach władze określały urzędową maksymalną cenę chleba. Ale ceny zboża się wahały, więc by utrzymać tę stałą, zmieniano wagę bochenków i im droższe stawało się zboże, tym lżejsze były bochenki. Obowiązującą wagę bochenka ustalano oficjalnie, zwracając uwagę na takie szczegóły, czy ważony chleb jest świeży czy czerstwy, bo pieczywo, w miarę jak stygnie i odparowuje, staje się coraz lżejsze.

Ale zmiany cen zboża były znaczne, a wagi bochenków nie dawało się zmniejszać w nieskończoność. Piekarze bywali więc rozżaleni, że nie mogą sobie rekompensować rosnących kosztów i wielokrotnie utyskiwali, że władze ich krzywdzą. Nie spotykało się to z wielkim zrozumieniem, gdyż dość powszechnie uważano ich za zdzierców, spekulantów i oszustów. Ponadto średniowieczni teolodzy potępiali nieumiarkowany zysk jako grzeszną chciwość. Ceny – przynajmniej w teorii – miały być sprawiedliwe, a nie napełniać kabzy zachłannym bogaczom. Natomiast zmiany wagi chleba nie budziły moralnej odrazy.

By powetować sobie straty, piekarze uciekali się do różnych sztuczek. Konsumenci narzekali, że notorycznie zaniżają wagę bochenków, dosypują do mąki piasku czy nawet umieszczają w wypiekach metalowe przedmioty. W niektórych miastach zajadle ich kontrolowano, a do wykrytych nadużyć podchodzono z wielką surowością. Na przykład w Londynie piekarzy, których chleb nie spełniał norm, włóczono po ulicach i wystawiano pod pręgierzem, a recydywistów pozbawiano prawa do wykonywania zawodu i praw miejskich, wypędzano z miasta lub nawet karano śmiercią. Hańbiące te kary miały jeszcze jedną zaletę: wskazywały wygłodniałym mieszkańcom winnych. Bo czyż nie lepiej, by głodni nienawidzili piekarzy niż tych, którzy doprowadzili do wzrostu cen, na przykład rozpoczynając jakąś bezsensowną wojnę? ●

Anna Brzezińska – pisarka, gwiazda polskiej fantastyki, mediewistka

eprasa.pl bce484ca04

weekend ówka

WILCZE SPRAWY

Kiedy do Kacpra Wosińskiego docierają dramatyczne wieści o stanie zdrowia jego małżonki Maryny, ten weteran powstańczych walk z zaborcami (mamy rok 1848) rusza bez zwłoki do rodzinnego majątku. Na miejscu zastaje sytuację gorzej niż złą. Oto Maryna, po próbie przerwania ciąży, jest w agonii, czuwający przy niej lekarz nie daje kobiecie żadnych szans. Co gorsza, Maryna wcale nie wita swego ślubnego serdecznie. Wypomina mu, że się nią nie interesował, ciska wyzwiskami, przyznaje się też do spalenia krzyża, który wisiał nad jej łożem. Wreszcie, tuż przed śmiercią, składa mroczną obietnicę, że go odnajdzie. Kacper w dłoni zmarłej odkrywa dziwne zawiniątko. Okazuje się, że to zajęcza łapa. Jeśli do tego wszystkiego dodamy skowyczącego za oknami wilka, oraz Mateusza, brata Kacpra, który koniecznie chce przebić serce trupa osinowym kołkiem, by zapobiec złowieszczemu przyrzeczeniu Maryny o odszukaniu małżonka, już wiemy, że będzie grubo...

Tak zaczyna się „Wilczyca", film Marka Piestraka z 1983 roku, uchodzący, zupełnie słusznie, za pierwszy polski rasowy horror.

„Chciałem, żeby ten film rozgrywał się w dusznej atmosferze powstania styczniowego, ale nie pozwolono mi na to, bo na ekranie, jako oprawcy, musieliby się pojawić Rosjanie. Kazano mi przenieść akcję do roku 1848 i zastąpić Rosjan Austriakami. Starałem się, żeby to nie był horror typu gore, żeby krew nie tryskała strumieniami. Tu wampiryzm łączy się ze zdradą narodową. To jest horror polsko-dworkowo--romantyczny" – opowiadał o „Wilczycy" Piestrak w rozmowie z Jackiem Szczerbą dla „Wyborczej".

Do Piestraka przylgnęła łatka „polskiego Eda Wooda", czyli w powszechnym mniemaniu kinomaniaków najgorszego reżysera w historii, twórcy kiczowatych „Planu 9 z kosmosu" czy „Narzeczonej potwora". Absolutnie się z tym nie zgadzam. Zgoda, efekty specjalne w „Klątwie Doliny Węży" czy „Teście Pilota Pirxa" bardzo źle się zestarzały (no dooobra, młodości też nie mogą zaliczyć do udanej), ale filmy Piestraka wcale takie złe nie są. „Wilczyca" – choć też parę razy można się przy niej uśmiechnąć, ma klimat, bardzo dobre aktorstwo i mroczną historię. Powstała na podstawie noweli „Wadera" Jerzego Gierałtowskiego, który napisał też m.in. opowiadanie „Grobowiec rodziny von Rausch", zekranizowany jako jeden z odcinków „07 zgłoś się". A że dziś mijają dokładnie 43 lata od kinowej premiery „Wilczycy" – film na dużym ekranie obejrzało aż 2 mln spragnionych grozy widzów – dzisiejszą „Weekendówkę" poświęcamy wilkom. Auuuuuu! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl

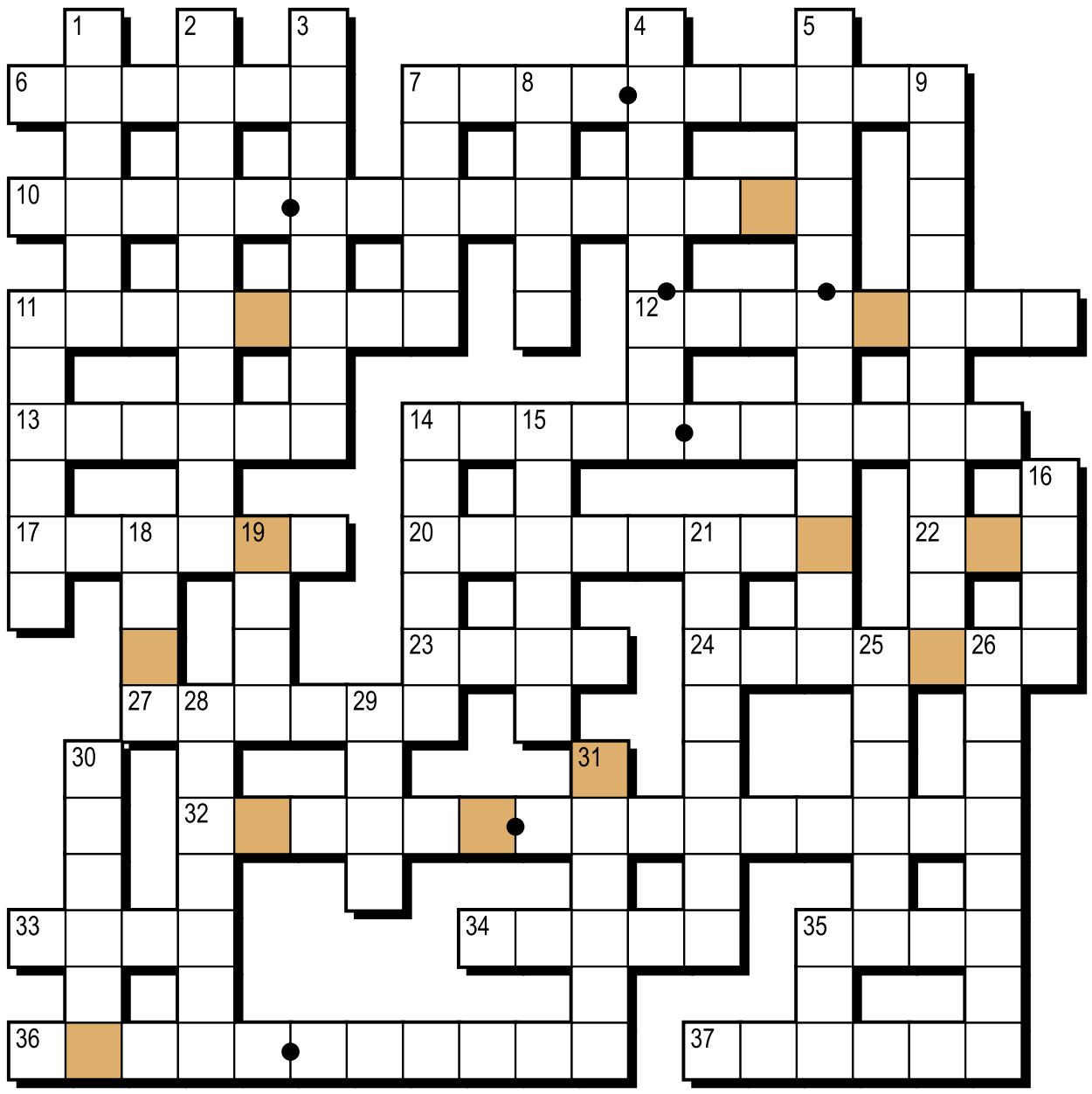

WILCZYM TROPEM
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
6) wilka – to wadera
7) „Wilk z ...", film z Leonardem DiCaprio
10) wykonawca piosenki z określenia 17 poziomo
11) w gwarze łowieckiej: głowy wilków
12) tournée Wilków
13) ... ciągnie wilka do lasu (przysłowie)
14) sędziwy wilk samiec
17) piosenka, w której „giną ciągle wilki młode na całym wielkim świecie"
20) Geralt nazywany Białym Wilkiem
22) niejeden na widok wilka w lesie zrobi w ... zwrot
23) miasto założone przez bliźniaków wykarmionych przez wilczycę
24) James, autor powieści „Łowcy wilków", „Szara Wilczyca"
27) trudno dostępne miejsca w puszczy
32) najważniejszy w zespole Wilki
33) „Wilcze ...", film z akcją osadzoną w Bieszczadach
34) wilczęta
35) „O wilku i siedmiu koźlątkach", w zbiorze braci Grimm
36) autor powieści „Wilcze gniazdo", „Diabeł Łańcucki", opowiadania „Wilczyca"
37) ... podwodne, mogą atakować, stosując taktykę wilczego stada

Pionowo:
1) stado wilków albo dzików
2) ... piękna („Samotny wilk" Hessego, „Wilk" Hłaski, „Wilczęta z czarnego podwórza" Dąbrowskiej...)
3) Wilcza – w Bieszczadach
4) spiczaste zęby wilków
5) uhonorowany Oscarem za rolę w filmie „Tańczący z Wilkami"
7) słychać ...? znakomicie!
8) oczy wilka w gwarze łowieckiej
9) wilk – przebiegłość, zając – ? (symbolika w bajkach)
11) Jack, autor powieści „Wilk morski"
14) wilkołaki
15) wilczy ... (ależ chce się jeść)
16) wilczy ..., czyli bulimia
18) wawrzynek wilcze ..., krzew o czerwonych trujących owocach
19) Paweł Kozioł w urzędzie w Wilkowyjach („Ranczo")
21) ... Pfeiffer i Jack Nicholson, wystąpili w filmie „Wilk"
25) Wilków w gminie Głogów lub Wilkasy w powiecie giżyckim
26) istoty takie jak mutanty, wilkołaki
28) „Wychowane przez wilki" i „Wilczy król"
29) owczarek alzacki lub niemiecki, nazywany potocznie wilczurem
30) bohaterka bajki o Czerwonym Kapturku i wilku
31) pokrzyk wilcza ..., bylina o trujących owocach
35) gęsty stary las

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 199 z 4.04:
Poziomo: 1) chwast 4) opera 7) aktor 10) Roth 11) Szlak 12) Holmes 15) Gierymski 16) telefonia 17) oranż 19) znak 20) dynia 22) hymn 23) Irlandia 26) Agent 27) karate 31) ogon 32) Tadeusz Zawadzki 34) zespół 36) rudzielec 38) Hiszpanki 39) cytrusy 40) Wrocławiacy. **Pionowo:** 2) Harrison 3) Alternatywa 5) palmiarnia 6) rokitnik 8) Kalifornia 9) Ocean 12) Holandia 13) smażenie 14) Manhattan 18) Marek Grechuta 21) cykata 24) leczo 25) Donald 28) rydze 29) Trump 30) likiery 33) grzyby 35) sosy 37) ubiór. **Hasło: KOLOR MELONA I MANGO**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34426992

1 RP

eprasa.pl bce484ca04

DODATEK PROMOCYJNY ZAWIERA WYŁĄCZNIE MATERIAŁY PRZYGOTOWANE I POCHODZĄCE OD WARSAW PRESS

// WARSAW PRESS.

nr 12 /KWIECIEŃ 2026

DIAGNOZA: NOWOTWÓR

www.eksperciozdrowiu.pl

Wcześniej w onkologii ogromnym sukcesem było jedynie nieznaczne przesunięcie mediany czasu przeżycia chorych, a dziś wiemy, że przesuwamy to przeżycie po prostu "na zawsze".

Prof. James Allison

Wybitny immunolog, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny

str. 6-7

Koniugaty w onkologii

Precyzyjne niszczenie guza

str. 3

Glejaki

Przełamywanie najtrudniejszych barier

str. 4-5

Immunoterapia

Obudzić wewnętrzną armię

str. 6-8

ZDJĘCIE: MD ANDERSON/JAMES P. ALLISON INSTITUTE

eprasa.pl bce484ca04

Diagnostyka onkologiczna z przeszkodami

Diagnostyka nowotworów prowadzona od początku właściwą ścieżką generuje niższe koszty dla systemu; niższe są też koszty leczenia, a sama terapia jest krótsza i z większą szansą na wyleczenie.

Prof. dr hab. n. med. Piotr Rutkowski
Przewodniczący Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Onkologicznego

W Polsce problemem jest to, że nowoczesne terapie, mimo ich dostępności, częściowo są niewykorzystane – głównie z powodu niedoskonałej ścieżki diagnozowania pacjentów i braku akredytacji placówek wykonujących badania patomorfologiczne.

Właściwa ścieżka diagnostyczna – klucz do optymalnej terapii

Dostępność terapii w większości najczęstszych nowotworów jest u nas bardzo dobra. Wchodzi też dużo nowych leków, w tym – ukierunkowanych molekularnie, lecz z powodu braku odpowiedniej diagnostyki molekularnej pojawia się problem ze wskazaniem refundacji. Pacjent musi nieraz samodzielnie, poza systemem opieki koordynowanej, dążyć do zrealizowania potrzebnych mu badań. Opóźnia to rozpoznanie i może spowodować, że chory z powodu pogorszenia się stanu zdrowia nie będzie kwalifikował się do określonego leczenia. Trzeba tu podkreślić, że koszty tych badań stanowią dla płatnika minimalny wydatek.

Odpowiednia diagnostyka nowotworów, zarówno patomorfologiczna, jak i molekularna, powinna mieć miejsce od razu, szczególnie w często występujących rakach: płuca, jajnika, jelita grubego, piersi; i nie powinna być dzielona na etapy. Problemy tkwią tu w kwestiach organizacyjnych i w braku refundacji badań pełnego panelu genetycznego w wybranych nowotworach – mimo że już od dwóch lat mamy pozytywną opinię AOTMiT na tego typu profilowanie. Przykładu dostarcza rak jajnika – mamy leki, ale wciąż brakuje refundacji badania HRD, które jest kluczowym testem genetycznym wykrywającym zaburzenia naprawy DNA. Powoduje to, że pacjentka wykonuje badanie komercyjnie bądź jest ono finansowane przez firmę farmaceutyczne. Tak nie powinno być. Kolejny przykład to płynna biopsja w raku płuca – to badanie genetyczne z próbki krwi, które dostarcza wyników umożliwiających precyzyjne dobranie optymalnej terapii. Diagnostykę ma ostatecznie zorganizować Krajowa Sieć Onkologiczna (KSO), ale nie uda się tego zrobić bez zakończonej akredytacji zakładów patomorfologii. Obecnie chorzy trafiają do przypadkowych ośrodków; jeśli nie mają one akredytacji, to nie ma tam też rozliczania badań histopatologicznych z NFZ. Powoduje to, że wszyscy w tej sytuacji oszczędzają – mimo że podstawowa diagnostyka molekularna jest w Polsce refundowana.

> ***Odpowiednia diagnostyka nowotworów, zarówno patomorfologiczna, jak i molekularna, powinna mieć miejsce od razu, szczególnie w często występujących nowotworach i nie powinna być dzielona na etapy.***

Ukierunkowanie na profilaktykę onkologiczną w priorytecie

Priorytetem na 2026 rok jest dalsze wdrażanie Krajowej Sieci Onkologicznej. Czekamy na kartę e-DiLO, która pomoże uporządkować obecną sytuację – po nowelizacji ustawy o KSO. Kolejny priorytet to większe środki i silniejsze ukierunkowanie nas wszystkich na profilaktykę. Jest to niezbędne, gdyż wydatki na prewencję generują realne oszczędności dla systemu opieki zdrowotnej (np. w przypadku kolonoskopii każda wydana złotówka to około 30 zł oszczędności w systemie).

Badania molekularne w ramach profilaktyki pierwotnej są u nas refundowane – służą one wykrywaniu zaburzeń związanych z uwarunkowanymi genetycznie nowotworami. Jednak przeszkody biurokratyczne utrudniają ich wykonywanie. Przykład: od 1 lipca 2025 roku mamy możliwość przeprowadzenia testu z krwi w kierunku zaburzeń w genach BRCA1 i BRCA2. To proste badanie, które można wykonać w ambulatorium na zlecenie onkologa lub poradni genetycznej, ale często przeprowadzane jest w warunkach szpitalnych, bo nie wszystkie jednostki mają możliwość jego wykonania. W profilaktyce wtórnej badania molekularne nie odgrywają tak dużej roli, jak w prewencji pierwotnej – z wyjątkiem testu molekularnego HPV HR, który jest obecnie powszechnie dostępny w ramach profilaktyki raka szyjki macicy. Zachęcam, aby wykonać ten nowoczesny test.

W tym roku planowane jest wejście niskodawkowej tomografii komputerowej jako badania z zakresu profilaktyki raka płuc u osób przewlekle palących – jest ono skuteczne i może istotnie poprawić wykrywalność tego nowotworu we wczesnych stadiach. Kolejnym ważnym elementem realizacji profilaktyki nowotworów w Polsce jest wdrożenie testu FIT jako alternatywy dla kolonoskopii. Interesuje też nas większa digitalizacja w onkologii, co usprawni działania zarówno profilaktyczne, jak i możliwość rejestracji chorych na badania. Poza tym jest jeszcze kilka rzeczy systemowych, przede wszystkim wdrażanie Lung Cancer Units i ośrodków kompetencyjnych dla nowotworów rzadkich.

Zmiany w polskiej onkologii *w opinii pacjentów*

Elżbieta Markowska
Prezes Zarządu Fundacji Polska Koalicja Pacjentów Onkologicznych

Stworzenie Narodowej Strategii Onkologicznej (NSO) i wprowadzenie Krajowej Sieci Onkologicznej (KSO) to krok w bardzo dobrym kierunku, lecz wciąż obarczony licznymi problemami realizacyjnymi.

KSO nakłada na ośrodki obowiązek wyznaczenia koordynatora onkologicznego dla każdego pacjenta. Ma on prowadzić chorego przez system, pilnować terminów badań i pomagać w formalnościach, co w pilotażu oceniono pozytywnie pod kątem satysfakcji pacjentów. Choć przepisy istnieją, w wielu placówkach brakuje rąk do pracy, a koordynatorzy, którzy pracują, są przeciążeni zbyt dużą liczbą pacjentów. Zatem z punktu widzenia pacjentów wciąż w wielu placówkach istnieje problem z realnym dostępem do koordynatorów. Wskutek tego chorzy i opiekujący się nimi bliscy nadal bywają zagubieni w systemie czy zostawieni sami sobie.

Celem KSO jest zapewnienie jednakowej jakości leczenia niezależnie od miejsca zamieszkania, a podział ośrodków na poziomy (SOLO I, II i III), ma zapewniać kierowanie pacjentów z rzadszymi nowotworami do najbardziej wyspecjalizowanych placówek. Jednak proces tworzenia sieci ośrodków o różnej referencyjności nie toczy się tak szybko, jakbyśmy chcieli, co sprawia, że dla wielu pacjentów i w przypadku niektórych typów nowotworów kod pocztowy nadal ma znaczenie. Natomiast cieszy nas, pacjentów, e-rejestracja, dostępność wielu nowych terapii i to, że coraz więcej z nich ma formy podania, które nie wymagają hospitalizacji czy częstych wizyt w ośrodkach.

Wszystko, co pozwala skrócić i uprościć leczenie jest bardzo pożądane. Czekamy więc na wdrożenie e-DiLO (elektronicznej karty pacjenta) i paszportu onkologicznego, co ułatwi przepływ dokumentacji między szpitalami; ułatwi też życie pacjentom. Niecierpliwie też oczekujemy na (wciąż odwlekane) wdrożenie Lung Cancer Units, oraz na opracowanie zasad działania kolejnych unitów narządowych, bo wiemy, że ich tworzenie ma ogromny wpływ na jakość i efekty leczenia onkologicznego.

Problemem pozostaje dostęp do nowoczesnej diagnostyki, która jest niezbędna do korzystania z nowoczesnych terapii. Tu na pewno konieczne są zmiany i bardzo byśmy chcieli, by decydenci wsłuchiwali się w głos ekspertów w tej kwestii. Nie może być tak, że problemy z przeprowadzeniem właściwej diagnostyki, np. molekularnej, powodują opóźnienia we wdrożeniu leczenia i prowadzą do wyboru suboptymalnej terapii lub powodują, że pacjent z powodu pogorszenia stanu zdrowia nie dostaje szansy na skorzystanie z nowoczesnego leczenia.

PORTAL ONKOLOGICZNY
ZWROTNIKRAKA.PL
Wsparcie informacyjne dla Pacjentów onkologicznych.
Baza wiedzy o nowotworach.

PATRONAT NAD KAMPANIĄ OBJĘLI
PARTNERZY STRATEGICZNI
SPONSOR

// WARSAW PRESS.

Kontakt: biuro@warsawpress.com **Druk:** AGORA S.A. **Redakcja:** Bartosz Danel, Katarzyna Kieś-Kokocińska
Fotografie: Adobe Stock, zasoby własne **Warsaw Press, ul. Kaleńska 5, 04-367 Warszawa, NIP: 6772320883**

eprasa.pl bce484ca04

Koniugaty w onkologii – skuteczne „konie trojańskie”

Leczenie koniugatami w onkologii jest bardzo efektywne w odniesieniu do nowotworu, zaś na zdrowe tkanki terapia działa tylko w niewielkim stopniu.

Dr hab. n. med. Tadeusz Pieńkowski
Prof. CMKP, Radomskie Centrum Onkologii

Obecnie w dużej części nowotworów potrafimy identyfikować w tworzących je komórkach charakterystyczne tylko dla nich cechy (markery) i konstruować leki działające głównie na te komórki, podczas gdy na inne komórki leki te nie będą działać wcale lub działać będą znacznie słabiej. Takie celowane leczenie jest lepiej tolerowane przez chorego niż terapie klasyczne. Do rozpoznawania typów nowotworów wykorzystywane są zlokalizowane na nieprawidłowych komórkach biologiczne markery pełniące funkcję przezbłonowych receptorów, które komórki nowotworowe wytwarzają w ilościach znacznie większych niż komórki zdrowe. Pobudzenie tych receptorów przez czynnik zewnętrzny powoduje, że wewnątrz komórki następuje kaskada różnych reakcji, w wyniku czego komórka otrzymuje sygnały do dzielenia się, ale także zyskuje pewne możliwości oporności na leczenie klasyczne. Wykorzystywane m.in. w onkologii leki nazywane przeciwciałami monoklonalnymi to białka, które łączą się z zewnętrzną częścią tych przezbłonowych receptorów i blokują przepływ sygnałów do wnętrza komórki nowotworowej, zachęcających ją do dalszego dzielenia się. Wytworzenie i wykorzystanie przeciwciał monoklonalnych było pierwszym krokiem w kierunku opracowania wysoce zaawansowanych leków przeciwnowotworowych zwanych koniugatami.

Koniugaty w onkologii – precyzyjne i skuteczne

Koniugaty to ogromna zdobycz nauki; w porównaniu do klasycznej chemioterapii leczenie z ich zastosowaniem cechuje się bardzo wysoką specyficznością działania. Koniugat składa się z przeciwciała, pasującego do konkretnego receptora komórki nowotworowej jak klucz do zamka, i dołączonego doń leku cytostatycznego. Kompleks ten działa niczym koń trojański, gdyż podstępem wprowadza do wnętrza komórki nowotworowej lek, który ma ją zniszczyć. Po przyłączeniu przeciwciała do receptora nieprawidłowa komórka sama bowiem wchłania cały koniugat; w jej wnętrzu cytostatyk jest uwalniany i niszczy ją od środka.

Dzięki zastosowaniu koniugatów, po pierwsze, blokowane są pobudzające komórkę do podziałów sygnały, które dotychczas były przewodzone przez błonowy receptor, a po drugie – komórka zostaje „zainfekowana” lekiem, który działa na nią od środka i jest aktywny w danym typie nowotworu. Po trzecie wreszcie – cząsteczki leku, które zostają uwolnione w danej komórce nowotworowej, mogą przedostawać się do sąsiadujących z nią nieprawidłowych komórek i niszczyć je. Cytostatyki wykorzystywane w terapiach koniugatowych działają jak klasyczne leki przeciwnowotworowe, ale w przeciwieństwie do wielu z nich nie działają na wszystkie mnożące się komórki, lecz niszczą bardzo wybiórczo komórki, które chcemy zlikwidować.

Dzięki opisanym mechanizmom można zastosować nieporównywanie mniejsze dawki leków niż w terapii klasycznej.

Koniugaty nie tylko w raku piersi

Obecnie technologia terapii koniugatami jest intensywnie rozwijana i jest (lub w najbliższej przyszłości będzie) stosowana w coraz większej liczbie nowotworów – wiąże się z nią duże nadzieje na poprawę wyników leczenia i wydłużenie czasu przeżycia chorych. Cytostatyki zawarte w koniugatach podawane są w nieporównywalnie mniejszych dawkach niż te same leki przeciwnowotworowe aplikowane dożylnie. Leczenie to jest bardzo skuteczne i jednocześnie bezpieczne. Nie powoduje takich działań niepożądanych, jakie mogłyby wystąpić przy podawaniu leków dożylnie w wyższych dawkach. Przekłada się to korzystnie na jakość życia osób leczonych koniugatami – jest ona zdecydowanie lepsza niż przy terapiach klasycznych.

Koniugaty onkologiczne rozpoczęły swoją wielką karierę w raku piersi, ale obecnie stosuje się je również w leczeniu chłoniaków, raku pęcherza, płuca. W raku piersi wykorzystuje się je np. w nowotworach z nadmierną ekspresją receptora HER2 i w raku potrójnie ujemnym. Zatem potencjalne benefity z zastosowania koniugatów w raku piersi dotyczą ogromnej grupy chorych.

Choć dostępność do leczenia koniugatami w raku piersi w Polsce stale rośnie i obejmuje kolejne wskazania, barierą pozostaje sam system. Dostęp do tych innowacyjnych terapii jest możliwy jedynie poprzez programy lekowe, które nierzadko zawężają kryteria kwalifikacji w stosunku do oficjalnych rejestracji medycznych. Dodatkowo programy te wiążą się z dodatkową biurokracją. Najwyższy czas rozpocząć dyskusję, czy w obecnych realiach onkologicznych programy lekowe to nadal optymalny model udostępniania nowoczesnego leczenia.

Koniugaty w potrójnie ujemnym raku piersi

Światową innowacją jest stosowanie koniugatów w potrójnie ujemnym raku piersi na początku leczenia, bo wyniki tak prowadzonej terapii w porównaniu do klasycznych chemioterapii są lepsze, co potwierdzono badaniami klinicznymi.

Dr n. med. Katarzyna Pogoda
Narodowy Instytut Onkologii im. Marii Skłodowskiej-Curie Państwowy Instytut Badawczy w Warszawie

Potrójnie ujemny rak piersi (TNBC – triple-negative breast cancer) to najrzadszy z podtypów nowotworów piersi; i jeden z bardziej agresywnych, gdyż mimo stosowania nowoczesnych metod leczenia, wciąż potrafi zaskoczyć szybkim nawrotem. Na szczęście, nie zdarza się to zbyt często.

Leczenie TNBC – są nowe możliwości

Potrójnie ujemny rak piersi charakteryzuje się brakiem ekspresji receptorów estrogenowych, progesteronowych i nadmiernej ekspresji receptora HER2. Ponieważ obecność tych receptorów na komórkach nowotworowych ma decydujący wpływ na wybór sposobu leczenia choroby, w TNBC – z powodu ich braku – nie można zastosować hormonoterapii ani terapii celującej w receptor HER2.

Przez długie lata w leczeniu chorych z tym nowotworem stosowano samodzielną chemioterapię. Od pewnego czasu do intensywnej chemioterapii, w której wykorzystujemy wiele złożonych schematów leczenia, dołącza się immunoterapię. Jest ona obecnie refundowana w przypadku guzów o wielkości powyżej 2 cm i/lub przerzutów do węzłów chłonnych. Leczenie zaczynamy od terapii przedoperacyjnej, po której następuje zabieg, później kontynuujemy immunoterapię. Dodatkowe leczenie uzupełniające wdrażane jest w zależności od tego, czy w wyciętym podczas operacji guzie znaleziono komórki rakowe.

O ile raka piersi HER2-dodatniego i hormonozależnego – nawet w postaci uogólnionej – potrafimy już leczyć jak chorobę przewlekłą, o tyle w przypadku TNBC z przerzutami odległymi nadal pozostaje to wyzwaniem. Niemniej, w ostatnich latach zarejestrowano kilka nowych terapii dla zaawansowanej postaci tego nowotworu. Polskie pacjentki mogą z nich korzystać w ramach programu lekowego, który obejmuje również innowacyjne leczenie koniugatami. Przykładem takiego koniugatu przeciwciało–lek jest preparat ukierunkowany na receptor TROP2, obecnie dostępny w praktyce klinicznej, który stanowi istotny przełom terapeutyczny w leczeniu tego trudnego podtypu raka piersi. Możemy również stosować immunoterapię w pierwszej linii leczenia (podstawą kwalifikacji jest tu obecność białka PD-L1 w komór kach raka). Jeśli zaś chora jest nosicielką mutacji BRCA, w leczeniu wykorzystuje się inhibitory PARP.

W potrójnie ujemnym raku piersi mamy więc kilka możliwości postępowania. W związku z tym, że linie leczenia często bywają krótkie, to przy każdej progresji choroby staramy się wykorzystywać najbardziej skuteczne opcje terapeutyczne. Warto wspomnieć, że wyodrębniamy też raki HER2-low, czyli z niską ekspresją receptora HER2. W leczeniu tych nowotworów, jak i w raku HER2+, także stosowany jest koniugat.

> *Nowoczesne terapie onkologiczne z zastosowaniem koniugatów mogą całkowicie zmienić perspektywę leczenia trudnych nowotworów piersi, w tym TNBC.*

Koniugaty – wybór na początek leczenia

Terapia z zastosowaniem koniugatów zyskała w ostatnich 2-3 latach ogromną popularność w onkologii, w tym w leczeniu raka piersi. Choć TNBC charakteryzuje się brakiem trzech głównych receptorów (hormonalnych i HER2), koniugaty potrafią ominąć ten problem, znajdując na komórkach nowotworowych zupełnie inny punkt uchwytu. Jest nim np. receptor TROP-2, występujący na wielu typach komórek nowotworowych, w tym właśnie w TNBC. To jego obecność umożliwia przedostanie się koniugatu do wnętrza komórki i wywarcie precyzyjnego efektu leczniczego.

Nowoczesne terapie onkologiczne z zastosowaniem koniugatów mogą całkowicie zmienić perspektywę leczenia trudnych nowotworów piersi, w tym TNBC. Niestety, u znacznej części pacjentek choroba postępuje tak szybko i agresywnie, a stan ich zdrowia na tyle się pogarsza, że nie kwalifikują się one do kolejnych etapów terapii. Dlatego tak kluczowe jest, aby już w pierwszej linii leczenia zaoferować chorym najskuteczniejsze opcje. Odkładanie zastosowania koniugatów na później niesie ryzyko, że pacjentka może nie zdążyć z nich skorzystać.

Biorąc pod uwagę aktualny stan rejestracji leków, dysponujemy w Polsce wszystkim, co jest obecnie standardem w leczeniu TNBC. Liczymy jednak, że wkrótce pojawią się nowe decyzje rejestracyjne na poziomie Unii Europejskiej – podczas dużych kongresów onkologicznych w 2025 r. przedstawiono ważne wyniki badań wskazujące na poprawę leczenia właśnie koniugatami na początku TNBC z przerzutami odległymi. Otworzyłoby to drogę do udostępnienia koniugatów pacjentkom w Europie już na najwcześniejszym etapie terapii, gdzie mają one szansę zadziałać najlepiej.

eprasa.pl bce484ca04

Glejak – trudny przeciwnik

Dr hab. n. med. Tomasz Dziedzic
Neurochirurg,
Warszawski Uniwersytet Medyczny

Ból głowy rzadko jest pierwszym objawem glejaka; najczęściej pojawia się dopiero w zaawansowanym stadium tego nowotworu.

Glejaki to pierwotne nowotwory ośrodkowego układu nerwowego, wywodzące się z komórek podporowych tkanki nerwowej – gleju. To choroby rzadkie – w Polsce rozpoznaje się około 1,8 tysiąca przypadków rocznie, co odpowiada światowej zapadalności na poziomie 5/100 000 mieszkańców/rok. Stanowią jedno z najtrudniejszych wyzwań dla współczesnej medycyny.

„Alfabet" glejaków

W klasyfikacji histopatologicznej wymienia się trzy główne grupy glejaków, w zależności od tego, z których komórek gleju te nowotwory się wywodzą: gwiaździaki (astrocytoma), skąpodrzewiaki (oligodendroma), wyściółczaki (ependymoma). Dominujące są dwa pierwsze typy, a zwłaszcza gwiaździaki – do tej grupy należy najbardziej agresywny glejak wielopostaciowy, czyli glioblastoma.

Obowiązuje też klasyfikacja Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) z 2021 roku, dzieląca glejaki pod względem ich agresywności. Grupa G1 obejmuje postaci ograniczone, łagodne, rosnące powoli, które występują u pacjentów młodych i najmłodszych. U dorosłych glejaki klasyfikowane są pod względem agresywności do grup 2-4. Grupa G2 obejmuje glejaki rozlane (o niskiej złośliwości, naciekające), G3 – anaplastyczne, o średniej złośliwości, G4 – o największej złośliwości.

Podtyp glejaka i stopień jego złośliwości określane są w oparciu o wyniki badań neuropatologicznego i genetycznego.

Dla postawienia ostatecznego rozpoznania kluczowe znaczenie ma diagnostyka molekularna. Obowiązkowo w różnicowaniu glejaków oznacza się obecność mutacji enzymu dehydrogenazy izocytrynianowej (IDH), gdyż jej występowanie jest najistotniejszym czynnikiem określającym rokowanie i możliwość zastosowania konkretnego leczenia. Obecność mutacji (IDH-mutant) jest czynnikiem korzystnym, wiążącym się z lepszą odpowiedzią na leczenie. Brak mutacji (typ dziki, IDH-wildtype) jest typowy dla najbardziej złośliwych form (G4).

Red flags, czyli kiedy podejrzewać glejaka

Bardzo trudno przed zdiagnozowaniem glejaka skojarzyć objawy z rozwijającym się w mózgu nowotworem, bo nie są one charakterystyczne. Kliniczne „czerwone flagi" zależą w dużej mierze od wieku pacjenta. U młodych dorosłych dominującym objawem (często jedynym) jest pierwszy w życiu napad padaczkowy. Czasami mogą to być drętwienia w obrębie kończyny górnej czy dolnej, bądź mimowolne ruchy tej kończyny. Każdy incydent drgawkowy u osoby dorosłej bez wcześniejszej historii padaczki wymaga zatem pilnej diagnostyki obrazowej. U osób dojrzałych objawy mogą mieć charakter ogniskowych deficytów neurologicznych, sugerujących udar mózgu, jak osłabienie siły mięśniowej kończyn, zaburzenia mowy (afazja), zaburzenia czucia, zmiany osobowości.

Podstawowym narzędziem diagnostycznym w glejakach jest rezonans magnetyczny (MRI) z kontrastem. Tomografia komputerowa (TK) znajduje zastosowanie tylko w stanach nagłych (np. aby wykluczyć krwawienie po urazie wynikającym z napadu padaczkowego), ale nie pozwala na precyzyjną ocenę charakteru guza. W przypadkach wątpliwych poszerzamy diagnostykę o spektroskopię MRI (pozwala ocenić skład metaboliczny tkanki) czy perfuzję MRI (służy do oceny mikrokrążenia). Ekstremalnie rzadko pojawia się konieczność wykonania biopsji diagnostycznej, przeprowadzonej tylko w celu postawienia rozpoznania.

Maksymalnie i bezpiecznie – priorytety resekcji

W glejakach cele zabiegowe są dwa: pobranie materiału do badań diagnostycznych i maksymalna bezpieczna resekcja, czyli usunięcie jak największej części guza przy zachowaniu funkcji neurologicznych chorego. Aby resekcja była maksymalnie bezpieczna, przed operacją w określonych przypadkach guzów położonych w okolicach ważnych czynnościowo wykonujemy czynnościowy MRI oraz traktografię. Pierwsze badanie obrazuje obszary odpowiadające u pacjenta za ruch, mowę (bo nie zawsze obraz anatomiczny jest tożsamy z czynnościowym); drugie pokazuje położenie dróg istoty białej i to, jak guz poprzemieszczał je w obrębie mózgu. Zabieg przeprowadzamy zaś z asystą mikroskopu operacyjnego i neuronawigacji – wgrywamy przedoperacyjne badanie MRI w komputer, co pozwala ocenić położenie guza i modyfikować plan zabiegu na bieżąco. Stosujemy też tzw. operacje w ciemności, czyli w świetle niebieskim, w którym nieprawidłowe komórki świecą na różowo dzięki barwnikowi fluorescencyjnemu, który pacjent przyjął przed zabiegiem. W czasie operacji przeprowadzamy badania neurofizjologiczne – stymulujemy mózg specjalną elektrodą, co ujawnia lokalizację w obrębie kory i dróg istoty białej ośrodków odpowiedzialnych za ruch. Łączymy to z tzw. operacjami w wybudzeniu, gdyż chory musi być przytomny, kiedy lokalizujemy ośrodki odpowiedzialne za mowę i chcemy zachować ich funkcję, wycinając guz w ich okolicy.

Ponieważ całkowita resekcja nie zawsze jest możliwa (szczególnie w glejakach rozlanych), a naciekający charakter choroby prowadzi do jej nawrotu nawet po całkowitym wycięciu guza, wymagane jest leczenie uzupełniające – głównie radio-, chemioterapią, ale są też nowe leki, jak inhibitor IDH o potwierdzonym wydłużeniu czasu do progresji choroby i do kolejnych interwencji medycznych, zarejestrowany w ubiegłym roku w Unii Europejskiej do stosowania w guzach o drugim stopniu złośliwości i posiadających mutację IDH.

Radioterapia – wciąż standard leczenia w glejakach

Prof. dr hab. n. med. Jacek Fijuth
Prezes Polskiego Towarzystwa Radioterapii Onkologicznej

Strach przed radioterapią może być psychologiczną barierą, ale nie powinno się zwlekać z podjęciem takiego leczenia, gdyż nowotwory mózgu mogą szybko nawracać i ulegać progresji złośliwości.

Przekonanie, że radioterapia zastosowana w leczeniu glejaków nieuchronnie doprowadza do poważnego uszkodzenia funkcji intelektualnych u wszystkich chorych, nie jest uzasadnione. Wynika ze złych doświadczeń po napromienianiu całego mózgu, zwłaszcza u dzieci i młodocianych pacjentów. W nielicznych publikacjach analizujących to zagadnienie w przypadku glejaków wykazano, że po pooperacyjnym leczeniu napromienianiem sprawność intelektualna może nawet ulec poprawie w porównaniu do stanu sprzed zabiegu neurochirurgicznego. Ryzyko toksyczności istnieje, ale stale zmniejsza się wraz z postępem w zakresie technik leczenia napromienianiem.

Leczenie po zabiegu neurochirurgicznym

Decyzja o ścieżce leczenia chorego po zabiegu neurochirurgicznym zostaje podjęta przez konsylium wielospecjalistyczne w oparciu o wynik pooperacyjnego badania histologicznego i molekularnego, w którym, przede wszystkim, ocenia się obecność dwóch cech - mutacji dehydrogenazy izocytrynianowej (IDH) i kodelecji 1p19q. Oceniane są też kliniczne i radiologiczne czynniki ryzyka – przede wszystkim stan sprawności ogólnej i neurologicznej, doszczętność resekcji chirurgicznej, lokalizacja guza w mózgu i jego rozległość oraz wiek chorych. Glejaki występujące u dorosłych trudno jest usunąć w całości podczas zabiegu chirurgicznego, gdyż rosną w sposób głęboko naciekający tkankę nerwową. Dotyczy to zwłaszcza nowotworów o wyższym stopniu złośliwości. Od kilkunastu lat standardem w leczeniu pooperacyjnym pozostaje radioterapia w skojarzeniu z chemioterapią. O ile promieniowanie jonizujące łatwo przenika tkanki mózgu, w przypadku chemioterapii dostęp cytostatyków ogranicza bariera krew – mózg i tylko nieliczne z nich osiągają stężenie terapeutyczne w tkance nowotworu. Nowoczesna radioterapia umożliwia precyzyjne niszczenie pozostawionej przez neurochirurga tkanki guza oraz mikro-nacieków szerzących się poza granicami resekcji chirurgicznej. Skojarzenie obu metod terapeutycznych, chociaż jest obarczone toksycznością hematologiczną wywołaną cytostatykami, ma korzystne przełożenie na poprawę dwóch najważniejszych celów leczenia: przeżycia ogólnego i przeżycia bez progresji nowotworu.

Jak radioterapia działa na glejaki?

Nowoczesna radioterapia umożliwia zdeponowanie energii fotonów lub protonów, z chirurgiczną precyzją, w ściśle określonej anatomicznie i radiologicznie objętości chorych tkanek. Precyzyjne planowanie rozkładu dawki promieniowania jonizującego umożliwia ochronę wrażliwych struktur mózgu odpowiedzialnych za funkcje poznawcze, intelektualne i pamięć. Są to leżące głęboko w strukturach mózgu części tzw. układu limbicznego, noszące nazwę hipokampów. Promieniowanie jonizujące przerywa nici DNA komórek nowotworowych, co uniemożliwia ich dalsze podziały i wzrost guza, a uszkodzenie ważnych wewnętrznych struktur komórkowych finalnie prowadzi do ich obumarcia w mechanizmie apoptozy, czyli programowanej śmierci komórek. W radioterapii guzów mózgu wykorzystuje się jej dwie formy – klasyczną, z zastosowaniem wysokoenergetycznych fotonów X i rzadziej dostępną, z zastosowaniem protonów. Protonoterapia jest leczeniem z wyboru w przypadku glejaków o niższej złośliwości, określonej w międzynarodowej klasyfikacji jako stopień WHO G2. Ta forma leczenia jest dostępna w Polsce i refundowana przez NFZ w jedynym ośrodku – w Centrum Cyklotronowym w Bronowicach pod Krakowem, współpracującym z krakowskim Instytutem Onkologii. Protonoterapia jest w odniesieniu do guza tak samo skuteczna, jak terapia fotonowa, ale posiada unikalne właściwości związane z ograniczoną penetracją w głąb mózgu. Protony, po wejściu w tkankę, ulegają całkowitemu wyhamowaniu na zaplanowanej głębokości, tuż za granicą guza. Umożliwia to, w odróżnieniu od fotonów, wyłączenie z obszarów napromieniania zdrowych części mózgu, w tym struktur odpowiedzialnych za funkcje intelektualne. Guz nowotworowy lub jego pozostałość otrzymuje wysoką dawkę leczniczą, ale tkanki prawidłowe nie są obciążone napromienianiem. Jest to medycznie i społecznie istotne u chorych na glejaki rozlane, WHO G2, których średnie przeżycie po leczeniu przekracza 10 lat. W przypadku glejaków o wysokiej złośliwości – WHO G3, G4 i glioblastoma – zastosowanie ma wyłącznie terapia fotonowa.

Czy radioterapię można odroczyć?

Odroczenie leczenia przewidzianego międzynarodowym standardem w glejakach o wysokim stopniu złośliwości (WHO G3, G4 i glioblastoma) działa zdecydowanie na niekorzyść chorego. Podstawą pozostaje tu radio-chemioterapia – albo sekwencyjna, albo jednoczesna. Jednak u chorych na glejaki o mniejszej złośliwości nie zawsze dąży się do natychmiastowej radioterapii po zabiegu operacyjnym. U niektórych chorych (decyduje o tym brak określonych czynników ryzyka progresji) stosuje się aktywną obserwację i monitorowanie okresowo wykonywanymi badaniami rezonansu magnetycznego (RM) mózgu. Do 2023 roku, według międzynarodowych rekomendacji medycznych, młodsi chorzy w grupie WHO G2, po makroskopowo doszczętnej resekcji neurochirurgicznej, podlegali obserwacji i monitorowaniu badaniami RM, natomiast pozostali pacjenci poddawani byli radioterapii i chemioterapii. Ta strategia uległa zmianie po publikacji w 2024 roku wyników badania z lekiem, będącym inhibitorem IDH. U chorych leczonych pooperacyjnie tym lekiem, w stosunku do chorych poddanych wyłącznie obserwacji wykazano, że zastosowanie inhibitora, u chorych nie wymagających podjęcia natychmiastowej radio- i chemioterapii, pozwala wydłużyć czas do progresji nowotworu i konieczności zastosowania leczenia ratującego. Obecnie, jeśli decyzją konsylium wielospecjalistycznego chory nie wymaga natychmiastowej, pooperacyjnej radio-chemioterapii, do rozważenia jest zastosowanie inhibitora IDH po przejściu procedury kwalifikacji przez wojewódzki nadzór specjalistyczny. Natomiast jeżeli decyzją konsylium chory wymaga wdrożenia radio-chemioterapii, leczenie takie powinno być podjęte bezzwłocznie.

eprasa.pl bce484ca04

Leczenie systemowe glejaków

Dr hab. n. med. Tomasz Kubiatowski
Prof. UR, onkolog kliniczny

Choć obecnie nie ma leku, który wnosiłby do terapii wszystkich chorych na glejaka absolutnie nową jakość, to rozwój biologii molekularnej umożliwił opracowanie nowego leczenia dla chorych z mutacją w genie IDH.

Postęp w leczeniu systemowym glejaków o wysokim stopniu złośliwości nie jest, niestety, tak dynamiczny, jak w innych nowotworach. Powodem są liczne ograniczenia dla terapii systemowych.

Ograniczenia w leczeniu glejaków

Wciąż dużym ograniczeniem dla skuteczności terapii stosowanych w leczeniu nowotworów ośrodkowego układu nerwowego (OUN) jest obecność funkcjonalnej bariery krew-mózg, uniemożliwiającej przenikanie cząstek leków z krwiobiegu do tkanki nerwowej. Glejaki mają też zdolność do indukowania immunosupresyjnego fenotypu w mikrośrodowisku guza, który uniemożliwia skuteczne rozpoznawanie i niszczenie komórek nowotworowych przez komórki układu immunologicznego. A to przecież jest jedno z podstawowych działań immunoterapii. Chemioterapia ma w leczeniu glejaków ograniczone znaczenie. Wynika to z obecności wspomnianej bariery krew-mózg, ale także z oporności pierwotnej lub wczesnego nabywania oporności wtórnej przez komórki tego nowotworu na stosowane cytostatyki, zwiększonego metabolizmu leków przeciwnowotworowych oraz ich działania neurotoksycznego, które rośnie w wyniku interakcji z innymi lekami lub radioterapią. Na skuteczność chemioterapii wpływają także stan ogólny chorego czy obecność chorób współistniejących, które mogą istotnie modulować toksyczność prowadzonego leczenia.

Chemioterapia jako opcja

Cytostatykami o względnej skuteczności w leczeniu pierwotnych nowotworów OUN są m.in. pochodne nitrozomocznika czy leki alkilujące. Nie zawsze postawienie pierwotnego rozpoznania jest bezwzględnym wskazaniem do natychmiastowego zastosowania terapii systemowej; czasem jedynym postępowaniem po operacji jest obserwacja lub wyłączna radioterapia. U chorych na glejaki o dużym stopniu złośliwości czy doświadczających progresji po leczeniu pierwotnym leczenie systemowe jest zawsze opcją, po którą sięga lekarz specjalista. Stąd ważne jest, aby proces planowania i prowadzenia leczenia był koordynowany w ramach zespołu wielodyscyplinarnego.

Nowoczesna onkologia zmierza do leczenia ambulatoryjnego u tych chorych, u których jest to możliwe. Chorzy z glejakami otrzymujący terapie dożylne, u których w przeszłości wystąpiły reakcje nadwrażliwości na stosowane leki lub objawy znacznie nasilonej toksyczności, mogą wymagać leczenia w warunkach szpitalnych, natomiast terapie oparte na doustnej formie leku są prowadzone w warunkach ambulatoryjnych pod ścisłym medycznym nadzorem nad chorym.

Terapie celowane w glejakach

Obecnie najbardziej obiecującym sposobem zwiększania skuteczności systemowego leczenia nowotworów OUN jest stosowanie terapii personalizowanych.

Onkologiczne terapie ukierunkowane molekularnie opierają się na założeniu, że blokowanie funkcji określonego białka lub białek w komórce nowotworowej doprowadzi do zatrzymania jej podziałów i w konsekwencji zostanie ona skierowana na drogę apoptozy (programowanej śmierci). W glejakach jedna z pierwszych terapii ukierunkowanych molekularnie była oparta na przeciwciele, które hamowało przebieg neoangiogenezy (proces tworzenia patologicznych naczyń krwionośnych, które zaopatrują wzrastający guz). Lek wydłużał czas przeżycia wolny od progresji choroby u chorych na glejaki o wysokim stopniu złośliwości, u których doszło do postępu choroby po pierwotnym leczeniu o założeniu radykalnym.

Obiecującą terapią, która uzyskała we wrześniu 2025 roku rejestrację w leczeniu chorych z rozpoznanym gwiaździakiem lub skąpodrzewiakiem stopnia 2, z mutacją IDH1 R132 lub IDH2 R172, bez istotnego wzmocnienia kontrastowego, leczonych jedynie chirurgicznie i niewymagających natychmiastowej radio- i chemioterapii, jest leczenie drobnocząsteczkowym inhibitorem blokującym działanie białek kodowanych przez zmutowane geny IDH1 i IDH2 oraz cechującym się wysokim stopniem przenikania do OUN. Lek ten istotnie wydłuża, w stosunku do placebo, czas przeżycia wolny od progresji choroby oraz czas do kolejnej interwencji, a u stosujących go chorych istotnie zmniejszyły się też liczba napadów padaczkowych i tempo wzrostu guza. Co ważne, terapia ta nie prowadziła do pogorszenia jakości życia w trakcie jej stosowania.

Wprowadzenie do diagnostyki techniki NGS umożliwiło wykrycie w komórkach glejaka zaburzeń znanych z innych nowotworów. Stąd też u wybranych chorych z mutacją BRAF V600E rozważyć można zastosowanie terapii anty-BRAF+anty-MEK, zaś u chorych z rearanżacją NTRK – działających selektywnie inhibitorów kinaz tyrozynowych.

Aktualnie w badaniach klinicznych oceniana jest skuteczność nowych leków o działaniu antyangiogennym, hamujących kinazę Src czy inne białka zaangażowane w proces transformacji nowotworowej. Są to jednak badania wczesnych faz, których wyniki nie mogą stanowić podstawy dla zmiany dotychczasowych standardów postępowania. Podejmowane są również próby zastosowania immunoterapii, jednakże wczesne wyniki badań nie potwierdzają jednoznacznie istotnego wpływu np. skojarzonego stosowania określonych leków na czas przeżycia wolnego od progresji choroby czy przeżycia całkowitego u chorych na glejaki o wysokim stopniu złośliwości niewykazujących metylacji promotora MGMT. Tak więc na kolejne przełomowe terapie musimy, niestety, poczekać.

Wybrane terapie molekularne stosowane w leczeniu nowotworów, posiadające odpowiednie rejestracje na terenie Unii Europejskiej, dostępne są w Polsce w ramach procedury ratunkowego dostępu do technologii lekowych (RDTL) lub programów lekowych.

Rak dróg żółciowych - jest leczenie celowane

W Polsce od 1 kwietnia 2026 r. po raz pierwszy pojawia się dla chorych z rakiem dróg żółciowych opcja leczenia celowanego w programie lekowym.

Dr n. med. Leszek Kraj
Onkolog kliniczny, Warszawski Uniwersytet Medyczny

W onkologii, dzięki coraz lepszemu poznawaniu biologii nowotworów, uwidacznia się trend personalizowania leczenia. Wprawdzie w raku dróg żółciowych (CCA – cholangiocarcinoma) leczenie celowane jest już od pewnego czasu w standardach postępowania, to podstawę terapeutyczną w tym nowotworze nadal stanowi chemioterapia z dodatkiem, ewentualnie, immunoterapii w pierwszej linii. Leczenie ukierunkowane molekularnie jest obecnie dostępne dla wąskiej grupy pacjentów z CCA – można tu mówić o zmianie paradygmatu terapeutycznego, gdyż ostatnie lata przyniosły zmiany, dzięki którym przeszliśmy od braku opcji do innowacyjnego leczenia precyzyjnego.

Lepszy dostęp do nowoczesnej terapii CCA

Dostępny w naszym kraju od kwietnia 2026 r. w programie lekowym B5 lek dla chorych z CCA należy do grupy inhibitorów FGFR1-3. Przeznaczony jest do drugiej linii leczenia jako monoterapia dla dorosłych chorych z miejscowo zaawansowanym lub przerzutowym gruczolakorakiem dróg żółciowych z fuzjami i rearanżacjami (specyficznymi zaburzeniami molekularnymi) w genie FGFR. Szacuje się, że program obejmie 10-15% pacjentów z rakiem wewnątrzwątrobowym dróg żółciowych.

Bardzo cieszy fakt, że – wprawdzie z pewnym opóźnieniem, ale jednak – otrzymujemy do dyspozycji nowoczesną celowaną terapię w tym nowotworze. Będzie to bowiem pierwsza tego typu terapia dla chorych z CCA dostępna nie w ramach RDTL (Ratunkowego Dostępu do Technologii Lekowych) lecz w programie lekowym. Nie będziemy zatem musieli występować o możliwość wykorzystania tej wysokokosztowej technologii indywidualnie dla konkretnego chorego, lecz pacjent, jeśli będzie spełniał określone kryteria włączenia do programu lekowego, będzie mógł otrzymać finansowanie terapii z zastosowaniem tego nowoczesnego leku. Oczywiście, ciągle czekamy na udostępnienie kolejnych terapii celowanych molekularnie, ukierunkowanych na inne zaburzenia genetyczne u chorych z rakiem dróg żółciowych. Jednym z najważniejszych jest tu mutacja w genie IDH – szacuje się, że nieprawidłowość tę ma, również, około 15% pacjentów z CCA. Lek dla tej grupy chorych został już zarejestrowany – należy on do grupy inhibitorów enzymu IDH1.

> ***Wdrożenie wysoce zaawansowanej technologii leczniczej wymaga odpowiednio nowoczesnej diagnostyki.***

Leczenie celowane CCA wymaga nowoczesnej diagnostyki

Wdrożenie wysoce zaawansowanej technologii leczniczej, która precyzyjnie uderza w konkretne zaburzenia molekularne, wymaga odpowiednio nowoczesnej diagnostyki. Istnieje więc absolutna konieczność przeprowadzenia badań genetycznych u chorych z rakiem dróg żółciowych pod kątem występowania określonych mutacji. Przy kwalifikacji do terapii celowanej dostępnej od niedawna w programie lekowym kluczowe jest oznaczenie u chorych fuzji w genie FGFR. Badanie to powinno być przeprowadzone już na początku ścieżki diagnostycznej, gdyż uzyskane wyniki determinują drogę terapeutyczną chorego. Ponadto, w razie wykrycia nieprawidłowości w genie FGFR, możliwe jest wdrożenie bez zbędnej zwłoki terapii celowanej dostępnej w programie lekowym w drugiej linii leczenia, jeśli leczenie w pierwszej linii nie przyniesie efektu czy nastąpi progres choroby. Niezwłoczna implementacja drugiej linii leczenia jest ważna i z tego powodu, że postęp CCA doprowadza do szybkiego osłabienia chorego, żeby zaś wdrożyć terapię celowaną, pacjent nie tylko musi być nosicielem nieprawidłowości w genie FGFR, ale też musi mieć odpowiednio dobrą kondycję ogólną. Sprawność chorych oceniamy w skali ECOG od 0 do 4, gdzie 0 oznacza pełną sprawność, a 4 – pełną niesprawność, wymaganie opieki i spędzanie 100% czasu w łóżku. Żeby chory mógł być zakwalifikowany do leczenia celowanego, jego kondycja musi być maksymalnie na poziomie ECOG2 – to chory o ograniczonej sprawności, ale chodzący i spędzający w łóżku mniej niż 50% czasu. U chorych o sprawności na poziomie ECOG 3 lub 4 już nie podejmujemy leczenia mimo możliwości zastosowania odpowiedniej terapii, gdyż osłabiony pacjent nie będzie w stanie jej przetrwać. Sprawna ścieżka diagnostyczna, ale też i optymalizacja ścieżki terapeutycznej pacjenta mają więc fundamentalne znaczenie dla możliwości skorzystania przez chorych z dostępnych, nowoczesnych rozwiązań terapeutycznych. Przedłużająca się diagnostyka może zaś spowodować, że pacjent nie doczeka podania innowacyjnego leczenia. W przypadku raka dróg żółciowych ścieżka diagnostyczna jest trudna, a badania powinny być wykonywane w specjalistycznych pracowniach molekularnych, których nie jest zbyt dużo. Jesteśmy jednak w pewien sposób przygotowani na wdrożenie w raku dróg żółciowych leczenia celowanego, gdyż od zeszłego roku istnieje możliwość diagnostycznego profilowania genetycznego w tym nowotworze. To dobry zwiastun; daje nadzieję, że niebawem pojawią się kolejne programy lekowe i nowe możliwości terapeutyczne. Jestem też głęboko przekonany, że będziemy coraz częściej profilować molekularnie pacjentów, ponieważ widzimy ku temu głęboki sens – wysoce zaawansowane technologicznie terapie dla chorych z CCA są już dostępne.

eprasa.pl bce484ca04

Prof. James Allison
Profesor Uniwersytecki ds. Badań nad Rakiem na wydziale im. Olgi Keith Wiess, Dyrektor Instytutu Badań nad Rakiem Parkera, Dyrektor Wykonawczy Platformy Immunoterapii.

Dyrektor Instytutu Jamesa P. Allisona w MD Anderson Cancer Center. Poświęcił swoją wybitną karierę badaniu regulacji odpowiedzi limfocytów T i opracowywaniu strategii immunoterapii nowotworów.

W 2018 roku **zdobył Nagrodę Nobla** w dziedzinie medycyny.

Zwalnianie hamulców układu odpornościowego

Przez lata tradycyjna onkologia w walce z chorobą skupiała się niemal wyłącznie na bezpośrednim niszczeniu chorych komórek. **Prof. James Allison, laureat Nagrody Nobla** w dziedzinie medycyny, udowodnił jednak, że najpotężniejszy klucz do zdrowia nosimy we własnym organizmie. Jego przełomowe badania nad immunologicznymi punktami kontrolnymi pozwoliły „zdjąć hamulce" z ludzkiego układu odpornościowego, otwierając drogę do trwałego wyleczenia setek tysięcy pacjentów na całym świecie.

Wywiad przeprowadził: **Bartosz Danel**

Panie Profesorze, kiedy po raz pierwszy zaproponował pan leczenie układu odpornościowego zamiast bezpośredniego uderzania w guz, spotkał się pan ze znacznym sceptycyzmem. Co pana wtedy motywowało?

Początki prób przekonania ludzi były bardzo frustrujące. Pomysł wykorzystania układu odpornościowego do leczenia raka istniał od dawna – pierwszy artykuł na ten temat napisał niemiecki chemik Paul Ehrlich. My jednak próbowaliśmy zrobić coś nieco innego. Myślę, że ludzie po prostu nie rozumieli, jak skomplikowany jest układ odpornościowy. Chodziło o to, by skłonić własny organizm do ataku na komórki nowotworowe. Wszyscy wtedy powtarzali, że raka trzeba leczyć, celując w komórkę nowotworową: zastrzelić ją, wysadzić w powietrze, napromieniować. Ja mówiłem: nie, niech po prostu zrobi to układ odpornościowy. Jeśli próbujesz uderzyć w guz, potrzebujesz nowego leku na każdą mutację lub każdy nowy nowotwór. Jeśli nie zadziała u pacjenta, utykasz w martwym punkcie. Ale z układem odpornościowym organizm radzi sobie sam.

Wiele osób w mojej rodzinie zmarło na raka, więc z jednej strony po prostu nienawidziłem raka i chciałem coś z tym zrobić. Z drugiej strony kochałem naukę. Pomyślałem, że skoro mam do tego taką pasję, mógłbym zrobić coś ważnego, co połączyłoby biologię komórek nowotworowych i limfocytów T z praktycznymi aspektami leczenia tej choroby. Motywację dał mi fakt, że potrafiliśmy wyleczyć każdy model eksperymentalny u myszy. Czasami wymagało to dodatkowego użycia niewielkiej ilości radioterapii czy chemioterapii, aby tylko „zranić" guz, ale wyniki były niezaprzeczalne.

Mimo tych dowodów, przez lata żadna duża firma farmaceutyczna nie chciała podjąć ryzyka. Zderzyliśmy się bowiem z poważnym problemem technologicznym: potrafiliśmy wygenerować odpowiednie przeciwciała, ale nosiły one „mysie ślady". Gdybyśmy podali je człowiekowi, ludzki układ odpornościowy natychmiast by taki zwierzęcy lek odrzucił. Potrzebowałem przeciwciała w pełni ludzkiego, a w swoim laboratorium nie posiadałem technologii, by to zrobić. Przełom nastąpił dzięki przypadkowi. Przez znajomego trafiłem na niewielką firmę, która stworzyła niezwykłą mysz – podmieniono w niej geny odpowiedzialne za produkcję przeciwciał na geny ludzkie.

Dzięki temu niesamowitemu krokowi technologicznemu mogliśmy wreszcie wygenerować w pełni „uczłowieczone" przeciwciała, które były bezpieczne dla człowieka. Kiedy ta mała firma się zaangażowała, udało nam się w końcu przyciągnąć uwagę firmy farmaceutycznej. To pozwoliło na rozpoczęcie testów na ludziach. Kiedy nasza terapia weszła w końcu w fazę pierwszą badań klinicznych – gdzie zazwyczaj sprawdza się tylko bezpieczeństwo u pacjentów w terminalnym stadium choroby – guzy całkowicie zniknęły u 3 z 12 pacjentów z czerniakiem. To przyciągnęło uwagę wszystkich.

Poza laboratorium jest pan znany z gry na harmonijce w zespole bluesowym „The Checkmates". Blues to głównie improwizacja i łamanie ścisłych reguł. Czy myślenie jak muzyk bluesowy pomogło panu zignorować sztywne zasady tradycyjnej onkologii?

Nigdy nie myślałem o tym dokładnie w ten sposób, ale ma pan rację, chodzi o improwizację. Grając w zespole bluesowym, uczysz się, jak wspaniale jest, gdy wszyscy grają razem. Nawet jeśli improwizujesz i grasz na własnym instrumencie po swojemu, wszystko to współgra i jest po prostu piękne. Identycznie jest w laboratorium, kiedy wiele mądrych umysłów wspólnie przeprowadza eksperymenty. Wszystko składa się w jedną całość i jest piękną prawdą, która ostatecznie pomaga ludziom.

Słyszałem też, że całkiem niedawno, realizując swoją muzyczną pasję, miał pan okazję zagrać na jednej scenie z samą legendą bluesa, Williem Nelsonem.

O tak, graliśmy razem w listopadzie zeszłego roku! Założyliśmy właśnie w Houston nowy instytut onkologiczny powiązany z MD Anderson Cancer Center, którego celem jest poszukiwanie terapii dla kolejnych pacjentów. Willie przyjechał ze swoim zespołem i zagrał wspaniały koncert charytatywny, by wesprzeć naszą inicjatywę. A ja miałem niesamowity zaszczyt zagrać z nim na scenie.

Naszym celem jest dostarczanie pacjentom przystępnej wiedzy. Jak wyjaśniłby pan koncepcję immunologicznych punktów kontrolnych i swoją słynną metaforę „zdejmowania hamulców" komuś bez wykształcenia medycznego?

Limfocyty T to „żołnierze" układu odpornościowego. Mamy co najmniej 10 miliardów, a prawdopodobnie nawet 10 bilionów ich różnych rodzajów. Krążą po całym organizmie z losowo generowanymi receptorami. Ich zadaniem jest poszukiwanie komórek zawierających wirusowe DNA lub takich, które produkują białka, jakich nie powinno tam być. Rozpoznawanie odbywa się za pomocą cząsteczki zwanej receptorem antygenowym limfocytów T (TCR), która działa jak „stacyjka zapłonu". Opublikowałem strukturę tego receptora w 1982 roku. Szybko jednak zdaliśmy sobie sprawę, że sam zapłon nie wystarczy. Okazało się, że istnieje jeszcze inna cząsteczka, CD28, o której pod koniec lat 80. wykazaliśmy, że działa jak „pedał gazu". Komórki nowotworowe potrafią ukrywać się przed układem odpornościowym, ponieważ nie wiedzą, jak nacisnąć na ten pedał.

Jednak kiedy układ odpornościowy w końcu się uruchomi, musi zostać zatrzymany, aby komórki nie dzieliły się w nieskończoność i nie zaszkodziły organizmowi. Wpadłem więc na pomysł, by wstrzyknąć białko – przeciwciało, które zablokowałoby ten hamulec (cząsteczkę CTLA-4), pozwalając systemowi działać nieco dłużej, aby pozbyć się guza. Po kilku tygodniach przeciwciało to jest wydalane z moczem, organizm wraca do normy, a my mamy wygenerowane limfocyty T zdolne do trwałej walki z rakiem.

Pojawia się tu bowiem fascynująca kwestia pamięci immunologicznej. Kiedy wygenerujesz odpowiednie komórki-zabójców, niektóre z nich przekształcają się w długowieczne komórki, podobne do komórek macierzystych, które potrafią się przebudzić, jeśli rak kiedykolwiek spróbuje wrócić. Dlatego nawet nie postrzegam tego, co dziś wstrzykujemy pacjentom, jako właściwego leku, a raczej jako swoisty „pro-lek". Prawdziwym lekiem są twoje własne limfocyty T. Podajemy środek, który działa przez około trzy tygodnie, a potem znika. Jednak dzięki temu, że na ten czas zdjęliśmy hamulce, układ odpornościowy dostaje szansę na zaatakowanie guza i będzie gotów zrobić to ponownie w przyszłości.

To niesamowity przełom. Jak rozwijały się te terapie w kolejnych latach? Wiem, że inny wybitny badacz również się do tego przyczynił.

Nasz lek na czerniaka został zatwierdzony w USA w 2011 roku. Z kolei Tasuku Honjo, z którym podzieliłem się Nagrodą Nobla, odkrył kolejny hamulec o nazwie PD-1. Działa on w zupełnie inny sposób, celując w komórki, które są już aktywowane. Fascynujące jest to, że kiedy połączy się oba te leki, działają one addytywnie. We wczesnych badaniach z naszym lekiem anty-CTLA-4, 20% pacjentów z czerniakiem żyło 10 lat po diagnozie. Z lekiem na PD-1 było to około 35%. Jednak podawane w kombinacji sprawiają, że ponad 50% pacjentów żyje 10 lat po diagnozie – co jeszcze w 2011 roku równałoby się zeru. Według prognoz jednego z instytutów w Nowym Jorku, mamy obecnie

> *Na początku naszej pracy ciągle zastanawialiśmy się, czy w ogóle możliwe będzie kiedykolwiek wyleczenie raka. Dziś mogę z całą pewnością stwierdzić: tak, bez wątpienia możemy to zrobić.*

Czy wiesz, że?

Leki stosowane w immunoterapii działają w organizmie tylko przez kilka tygodni, ale uwolnione dzięki nim komórki odpornościowe mogą trwale chronić Cię przed rakiem przez całe życie.

eprasa.pl bce484ca04

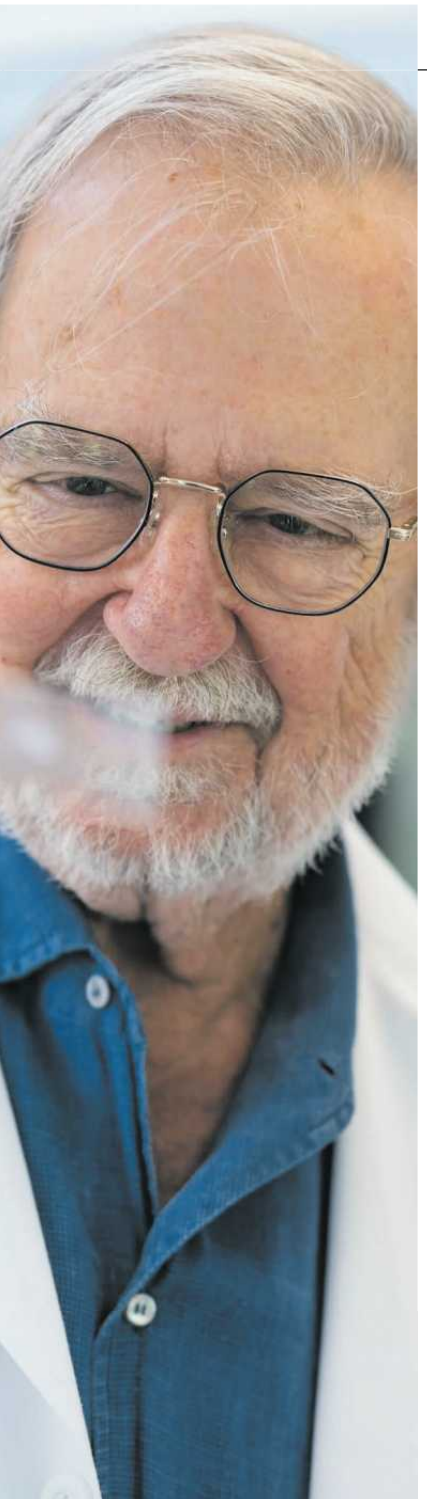

Zdjęcia (MD Anderson/James P. Allison Institute)
James Allison na początku swojej naukowej drogi (zdjęcie czarno-białe) oraz dziś, jako noblista i autorytet w dziedzinie immunoonkologii. To piękny dowód na to, że upór i konsekwencja jednego naukowca potrafią zmienić podręczniki medycyny i otworzyć zupełnie nową erę w onkologii.

około 400 000 osób na całym świecie, które są w całkowitej remisji od 5 lat lub dłużej i które uważa się za trwale wyleczone.

Jak wygląda łączenie immunoterapii z konwencjonalnymi metodami, takimi jak chemioterapia, radioterapia i chirurgia?

Kiedy zaczynałem tę pracę, naiwnie myślałem o idealnym świecie, w którym moglibyśmy całkowicie zrezygnować z tamtych metod. Stało się jednak jasne, że dzięki immunoterapii możemy ich używać po prostu inaczej, nie musząc już zabijać każdej komórki rakowej za ich pomocą. Jeśli tradycyjna terapia zabijająca nowotwór zostawi choć jedną komórkę, rak wróci, bo lek czy promieniowanie znikają w momencie zakończenia podawania. Natomiast raz wygenerowane komórki układu odpornościowego są "żywym lekiem" i zostają z tobą na resztę życia. Często wystarczy jedynie lekko "zranić" nowotwór odrobiną chemii lub niewielką operacją chirurgiczną. Powoduje to zapalenie i powstanie biologicznych resztek ze zmarłych komórek, co wznieca pożar przyciągający walczących żołnierzy układu odpornościowego. Działa to niemal tak, jak szczepionka podana prosto w nowotwór.

Immunoterapia jednak wciąż nie działa na każdego pacjenta. Jakie naukowe przeszkody musimy pokonać, aby tak zwane „zimne guzy" zaczęły reagować na leczenie?

Co intrygujące, immunoterapia działa najlepiej w rodzajach raka, które wcześniej uważano za najtrudniejsze do wyleczenia, ponieważ mają niezwykle dużą liczbę mutacji. Należą do nich czerniak, rak płuc i rak pęcherza moczowego, które są wywoływane przez promieniowanie UV, palenie tytoniu i zanieczyszczenia, więc wspaniale reagują na stymulowany układ odpornościowy. Problem pozostaje w przypadku guzów, które mają niewiele widocznych mutacji, takich jak rak trzustki czy glejak. Dowiedzieliśmy się, że w gęstej tkance takich guzów kryją się inne komórki, na przykład specyficzny podtyp makrofagów (komórek szpikowych), które potrafią wyłączać limfocyty T. Jest ich niezwykle dużo w glejaku i raku trzustki. Odkryliśmy na tych makrofagach specjalne molekuły używane do celowego hamowania limfocytów. Wierzę, że jeśli uda nam się opracować odpowiednie przeciwciała celujące w te wyłączniki i uderzające w nie, zajdziemy na tym polu bardzo daleko.

A co ze skutkami ubocznymi? Zdjęcie hamulców może sprawić, że system zaatakuje zdrowe tkanki. Jak możemy pomóc pacjentom, aby nie musieli rezygnować z leczenia?

Zdarzenia niepożądane na tle autoimmunologicznym rzeczywiście istnieją, chociaż na ogół są znacznie łagodniejsze niż w przypadku standardowej chemioterapii. Czasami w wyniku terapii u pacjentów rozwija się cukrzyca typu 1. Często występują wysypki skórne lub bardzo ostra biegunka. W 90% przypadków radzimy sobie z nimi skutecznie po prostu lecząc objawy – na przykład obecnie rutynowo zatrzymujemy ciężką biegunkę za pomocą przeszczepów mikrobioty kałowej. Badania na modelach zwierzęcych pokazały również, że pacjenci, którym trudno przebrnąć przez ten etap leczenia, mogą przerwać terapię bez absolutnie żadnego negatywnego wpływu na jej późniejszą skuteczność przeciwnowotworową. Znam biegacza chorującego na czerniaka, który w trakcie leczenia naszymi przeciwciałami nie opuścił w sezonie ani jednego maratonu. Zalecana jest jednak ostrożność, ponieważ te skutki uboczne, jeśli nie są leczone przez kompetentny personel, mogą stać się śmiertelne.

Co najbardziej ekscytuje pana w obecnych badaniach onkologicznych i jaka jest ich przyszłość?

Moim zdaniem szczepionki to kolejny wielki przełom, obok odkrycia nowych punktów kontrolnych. Jednym z marzeń, które obecnie realizujemy, jest wykorzystanie faktu, że sekwencjonowanie całego genomu stało się dziś bardzo tanie. Możemy zsekwencjonować guz pacjenta, a specjalne algorytmy komputerowe natychmiast wskażą nam mutacje zdolne do wywołania potężnej odpowiedzi immunologicznej. Używając ich, tworzymy fragmenty RNA, wprowadzamy je w sprawdzoną strukturę znaną ze szczepionek na COVID-19 i w ten sposób otrzymujemy w pełni zindywidualizowaną szczepionkę przeciwnowotworową dla konkretnego pacjenta. Próbowano już takich rzeczy, na przykład w opornym raku trzustki, i są zdecydowanie pozytywne sygnały. Badania pokazują, że podanie szczepionki jednocześnie ze zwolnieniem hamulców układu odpornościowego czyni ją jeszcze potężniejszą.

Niezwykle ekscytujące jest również to, że wreszcie dowiadujemy się znacznie więcej o tajnikach komunikacji zachodzącej bezpośrednio między poszczególnymi komórkami. Limfocyt T siedzący tuż obok guza wykonuje zupełnie inne zadania niż dokładnie taka sama komórka oddalona zaledwie o trzy lub cztery komórki. Stanowi to niesamowicie fascynujący program badawczy. Na początku naszej pracy ciągle zastanawialiśmy się, czy w ogóle możliwe będzie kiedykolwiek wyleczenie raka. Dziś mogę tu usiąść i z całą pewnością stwierdzić: tak, bez wątpienia możemy to zrobić. W przypadku ogromnej części pacjentów z niektórymi nowotworami pokonujemy chorobę trwale.

Pańskie odkrycie przywróciło koncepcję „wyleczenia" z diagnoz, które kiedyś uważano za śmiertelne. Jakie to uczucie spotkać uratowanych pacjentów osobiście?

Po raz pierwszy spotkałem pacjentkę uratowaną naszą metodą w 2005 roku. Sharon miała 24 lata i bardzo zaawansowanego czerniaka – 31 uciążliwych przerzutów w płucach, setki w wątrobie i guz wielkości 1,5 centymetra zlokalizowany w mózgu. Każda dostępna do tej pory metoda zawiodła. Jej lekarz powiedział wtedy: „Wyczerpaliśmy opcje, ale mamy nowy lek z badania klinicznego". Sharon odparła tylko „wszystko mi jedno" i zgodziła się go przyjąć. Kilka miesięcy później wróciła do szpitala na tomografię. Radiolog dzwonił do jej lekarza w absolutnym szoku, upewniając się, czy na pewno podano mu dobry numer pacjenta, ponieważ w jej ciele nie było śladu raka. Wszyscy w szpitalu po prostu skakali z radości.

Kiedy poznałem ją wtedy osobiście, ta nieco wyższa ode mnie dziewczyna nagle mnie chwyciła, mocno uściskała i powtarzała: „Uratował mi pan życie". To było niezwykle głębokie uczucie, po prostu nie do opisania. Doskonale znam ból związany z rakiem – straciłem matkę i brata z powodu nowotworów, a ja sam również dość poważnie chorowałem na raka prostaty. Z Sharon pozostaliśmy bliskimi przyjaciółmi. Co więcej, gdyby poddano ją wtedy standardowemu leczeniu, z pewnością straciłaby szansę na macierzyństwo. Na szczęście, dzięki naszej terapii, mogła założyć rodzinę i urodziła dwoje wspaniałych dzieci, które dziś kończą szkołę średnią. Jakiś czas temu widzieliśmy się, bo organizowała zbiórkę funduszy dla naszego instytutu. Zdobyłem nawet przez internet specjalne uprawnienia, tylko po to, by móc osobiście udzielić jej drugiego ślubu. Nadal odczuwam ten sam obezwładniający dreszcz emocji, kiedy zupełnie nieznajomi ludzie zatrzymują mnie dziś na ulicy i mówią, że moja terapia uratowała ich bliskich.

Panie Profesorze, czy ma pan wiadomość dla polskich pacjentów onkologicznych i ich rodzin? Z tego, co pan mówi, nadzieja stale rośnie.

Zdecydowanie powiem, że nowe rzeczy nadchodzą w szybkim tempie. Wcześniej w onkologii ogromnym sukcesem było jedynie nieznaczne przesunięcie mediany czasu przeżycia chorych, a dziś wiemy, że przesuwamy to przeżycie po prostu "na zawsze". Tylko w samych Stanach Zjednoczonych dopuszczono do rynkowego użytku już ponad 80 terapii opartych ściśle na tych mechanizmach, a nauka nadal pędzi w bardzo niesamowitym tempie. Zawsze bezwzględnie warto o tym pamiętać – obecna diagnoza nowotworowa nie musi stanowić dla pacjenta wyroku śmierci. Jeżeli twój aktualny lekarz dysponuje lekiem, który zapewni ci tylko trochę czasu, pamiętaj, że to wciąż jest czas, w którym w laboratoriach może powstać kolejna przełomowa innowacja. Skonsultujcie się niezwłocznie z lekarzem i zawsze domagajcie się możliwie najlepszej dostępnej opieki medycznej.

Ważne!

Immunoterapia to dynamicznie rozwijająca się dziedzina medycyny - każdego roku pojawiają się nowe wyniki badań klinicznych, które poszerzają jej zastosowanie w leczeniu różnych typów nowotworów. Oznacza to, że wskazania do terapii, dostępne leki oraz schematy ich stosowania mogą się zmieniać wraz z postępem nauki i aktualizacją wytycznych medycznych.

eprasa.pl bce484ca04

Immunoterapia redefiniuje paradygmat leczenia nowotworów

Dr hab. n. med. Bożena Cybulska-Stopa
Prof. PWr, Kierownik Katedry Onkologii i Hematologii Wydziału Medycznego Politechniki Wrocławskiej oraz Kierownik Centrum Onkologii Klinicznej i Translacyjnej Dolnośląskiego Centrum Onkologii, Pulmonologii i Hematologii, Członek Zarządu Głównego PTO, Przewodnicząca Sekcji Immunoonkologii PTO

Pacjenci powinni mieć zapewniony realny, ciągły dostęp do immunoterapii, ponieważ jej wartość kliniczna w onkologii jest znacząca i wymaga konsekwentnego utrzymania.

Jeszcze kilkanaście lat temu, w obliczu zaawansowanego procesu nowotworowego, medycyna często pozostawała bezradna. W ciągu ostatnich 10–15 lat, dzięki rozwojowi immunoterapii, sytuacja ta uległa zasadniczej zmianie. Zmienił się sposób myślenia o leczeniu chorych onkologicznych, co doprowadziło do przełomu w obowiązującym paradygmacie – redefinicji celów terapii oraz całych ścieżek diagnostyczno-terapeutycznych.

Immunoterapia nie działa poprzez bezpośrednie niszczenie komórek nowotworowych. Jej mechanizm opiera się na wykorzystaniu inhibitorów punktów kontrolnych, które umożliwiają utrzymanie aktywności układu odpornościowego, jego zdolność do rozpoznawania komórek nowotworowych oraz ich eliminacji. Dzięki temu podejściu możliwe stało się zastosowanie skutecznych terapii w wielu różnych typach nowotworów.

Istotnym aspektem immunoterapii jest coraz lepsze poznanie jej profilu bezpieczeństwa. Choć działania niepożądane nie są w pełni przewidywalne i mogą mieć zróżnicowany przebieg, w ostatnich latach znacząco wzrosła wiedza na temat ich mechanizmów oraz sposobów postępowania. Jednocześnie lekarze i personel medyczny zdobywają coraz większe doświadczenie w rozpoznawaniu i leczeniu powikłań immunologicznych. Warto podkreślić, że charakter toksyczności jest w dużej mierze podobny niezależnie od typu nowotworu, co ułatwia jej monitorowanie i prowadzenie odpowiedniego leczenia.

Od innowacji do standardu leczenia

W ciągu ostatniej dekady immunoterapia przeszła drogę od leczenia wybranych, zaawansowanych nowotworów do szeroko stosowanego standardu terapeutycznego. Po raz pierwszy spektakularne efekty immunoterapii zaobserwowano u chorych na czerniaki – były to długotrwałe odpowiedzi na leczenie, które pozwoliły uzyskać ponad 50% przeżycia 5-letnie w chorobie zaawansowanej/przerzutowej, co wcześniej było nieosiągalne (przeżycia 5-letnie na poziomie 5%).

Obecnie immunoterapia stanowi standard leczenia w wielu nowotworach, takich jak rak płuca, czerniak, nowotwory skóry, rak nerki, rak pęcherza moczowego, nowotwory głowy i szyi, nowotwory ginekologiczne, a także w wybranych przypadkach raka piersi i nowotworów przewodu pokarmowego. Wprowadzenie tej metody leczenia istotnie poprawiło rokowanie chorych. W wielu nowotworach obserwuje się znaczące wydłużenie przeżycia całkowitego. Szczególnie wyraźny przełom dotyczy raka płuca — obecnie 5-letnie przeżycia w stadium zaawansowanym przekraczają 30% w wybranych grupach pacjentów leczonych immunoterapią, co wcześniej było niemożliwe.

> *Immunoterapia stała się jedną z najważniejszych przełomowych strategii leczenia chorych na nowotwory, w tym także tych dotychczas uznawanych za nieuleczalne.*

Kluczowe znaczenie ma analiza biomarkerów, takich jak ekspresja PD-L1, niestabilność mikrosatelitarna (MSI/dMMR) czy obciążenie mutacyjne guza (TMB), które — choć mają różną siłę predykcyjną i zastosowanie kliniczne — pozwalają lepiej dobierać chorych do immunoterapii, zwiększając jej skuteczność oraz ograniczając leczenie u pacjentów o niskim prawdopodobieństwie odpowiedzi.

Nowa nadzieja w chorobach o złym rokowaniu

Immunoterapia stała się jedną z najważniejszych przełomowych strategii leczenia chorych na nowotwory, w tym także tych dotychczas uznawanych za nieuleczalne. Jej kluczową korzyścią jest zmiana naturalnego przebiegu choroby — w wielu przypadkach z nieuleczalnej na przewlekłą. Nawet w zaawansowanych stadiach choroby część pacjentów osiąga całkowitą remisję utrzymującą się przez wiele lat, a w wybranych przypadkach możliwe jest uzyskanie trwałego wyleczenia. Należy zauważyć również, że w niektórych wskazaniach, takich jak np. rak szyjki macicy czy potrójnie ujemny rak piersi, leczenie coraz częściej podejmowane jest z intencją wyleczenia.

Zdolność do indukowania długotrwałych remisji — utrzymujących się u części pacjentów nawet po zakończeniu leczenia — stanowi jedną z najcenniejszych cech immunoterapii (w mojej praktyce najdłuższa obserwowana remisja przekraczała 10 lat). Co istotne z klinicznego punktu widzenia, efekty te obserwuje się również w nowotworach o niekorzystnym rokowaniu, takich jak potrójnie ujemny rak piersi czy zaawansowany rak płuca.

Mechanizm tego zjawiska jest charakterystyczny: im bardziej komórki nowotworowe różnią się od komórek prawidłowych, tym skuteczniej są rozpoznawane i eliminowane przez układ odpornościowy. W praktyce przekłada się to na realną możliwość długotrwałej kontroli choroby przez własny układ immunologiczny pacjenta — nawet w sytuacjach, które jeszcze niedawno wiązały się z bardzo złym rokowaniem.

Dobrym przykładem jest potrójnie ujemny rak piersi. Jeszcze do niedawna, poza chemioterapią, nie dysponowaliśmy skutecznymi metodami leczenia, a 5-letnie przeżycia dotyczyły jedynie około 10–15% chorych. Obecnie, dzięki wykorzystaniu immunoterapii, obserwujemy poprawę wyników leczenia. Choć czas obserwacji jest wciąż stosunkowo krótki i brakuje danych dotyczących wieloletnich przeżyć, już teraz widzimy wyraźnie, że pacjentki żyją dłużej.

Szersze perspektywy: leczenie okołooperacyjne

Zastosowanie immunoterapii nie ogranicza się już wyłącznie do leczenia choroby uogólnionej, lecz z powodzeniem obejmuje również leczenie okołooperacyjne (m.in. we wczesnych stadiach potrójnie ujemnego raka piersi, raka płuca czy czerniaka). Stanowi to jedno z najbardziej obiecujących podejść współczesnej onkologii. W wielu przypadkach zmienia się także intencja leczenia — z paliatywnej na radykalną.

Leczenie neoadjuwantowe (przedoperacyjne) nie polega jedynie na redukcji masy guza i eliminacji mikroprzerzutów, lecz również na wykorzystaniu obecności antygenów nowotworowych w organizmie pacjenta. Zastosowanie immunoterapii na tym etapie umożliwia „wytrenowanie" układu odpornościowego do rozpoznawania komórek nowotworowych w sytuacji, gdy guz jest jeszcze obecny, co sprzyja wywołaniu silniejszej i bardziej trwałej odpowiedzi immunologicznej.

W efekcie obserwuje się poprawę wyników leczenia, w tym wzrost odsetka całkowitych odpowiedzi patologicznych oraz wydłużenie czasu przeżycia wolnego od choroby. Dodatkowo możliwe jest ograniczenie rozległości zabiegów chirurgicznych. W szczególnie trudnym klinicznie potrójnie ujemnym raku piersi zastosowanie immunoterapii w leczeniu okołooperacyjnym wiąże się z uzyskiwaniem całkowitych remisji, co bezpośrednio przekłada się na poprawę rokowania — im częściej są one osiągane, tym lepsze są wyniki leczenia.

Jakościowa zmiana w życiu pacjentów

Immunoterapia prowadzi do aktywacji układu odpornościowego, umożliwiając organizmowi samodzielne rozpoznawanie i zwalczanie komórek nowotworowych. Jest to podejście jakościowo odmienne od klasycznej chemioterapii, której działanie ogranicza się do okresu podawania leku. W większości przypadków immunoterapia jest również lepiej tolerowana, co przekłada się na wyższą jakość życia pacjentów. Rzadziej obserwuje się typowe dla cytostatyków działania niepożądane, takie jak nasilone nudności, wymioty, znaczne osłabienie czy wypadanie włosów. Dzięki temu wielu chorych może kontynuować aktywność zawodową i codzienne funkcjonowanie w dobrym stanie ogólnym.

Należy jednak podkreślić, że profil działań niepożądanych immunoterapii różni się istotnie od tego, który obserwujemy przy innych metodach leczenia. Są to tzw. działania niepożądane o podłożu immunologicznym, wynikające z nadmiernej aktywacji układu odpornościowego. Co więcej, efekt immunoterapii może utrzymywać się po zakończeniu jej podawania — „przeprogramowanie" układu odpornościowego odpowiada zarówno za długotrwałe efekty leczenia, jak i za możliwość późnego występowania działań niepożądanych, nawet wiele tygodni lub miesięcy po zakończeniu terapii. Wraz z rosnącym doświadczeniem zespołów onkologicznych bezpieczeństwo tego leczenia systematycznie się poprawia.

W Polsce dostęp do immunoterapii stopniowo się zwiększa, choć nadal istnieją obszary wymagające dalszego rozwoju. Programy lekowe obejmują obecnie najważniejsze wskazania, w tym leczenie pierwszej linii oraz leczenie okołooperacyjne. Wciąż jednak obowiązują restrykcyjne kryteria kwalifikacji, a poziom finansowania nie zawsze nadąża za dynamicznym rozwojem tej metody. W praktyce oznacza to, że nie wszyscy pacjenci, którzy mogliby odnieść korzyść z immunoterapii, mają do niej dostęp.

Należy przy tym pamiętać, że skuteczność leczenia zależy od biologii nowotworu oraz indywidualnych cech chorego. Tym bardziej istotne jest zapewnienie pacjentom realnego i ciągłego dostępu do immunoterapii, której wartość kliniczna w onkologii jest nie do przecenienia i powinna być konsekwentnie utrzymywana.

Czy wiesz, że?

Immunoterapia nie działa jednakowo u wszystkich pacjentów, dlatego naukowcy intensywnie badają biomarkery, które pozwolą przewidzieć, kto najlepiej skorzysta z takiego leczenia.

eprasa.pl bce484ca04

Przedwczesna menopauza po leczeniu onkologicznym

Przedwczesna menopauza to częste, lecz wciąż przemilczane powikłanie po leczeniu onkologicznym. Pojawia się nagle, drastycznie obniżając jakość życia pacjentek, zwłaszcza w sferze intymnej. Najwyższy czas przestać traktować te objawy jako nieuniknioną cenę za wyleczenie i zacząć je skutecznie leczyć.

Lek. Kamil Zalewski
Ginekolog onkolog

Postęp onkologii sprawił, że coraz więcej pacjentek skutecznie kończy leczenie nowotworów. Jednocześnie coraz wyraźniej widzimy, że zakończenie terapii nie oznacza powrotu do stanu sprzed choroby. Jednym z najczęstszych, a zarazem niedostatecznie omawianych powikłań jest przedwczesna menopauza indukowana leczeniem, która może pojawić się po chemioterapii, radioterapii miednicy, operacyjnym usunięciu jajników lub w trakcie leczenia hormonalnego. I w przeciwieństwie do menopauzy fizjologicznej nie przychodzi powoli, jak zmiana pory roku – nie jest to harmonijna, reymontowska sekwencja następujących po sobie etapów, lecz nagłe załamanie tej ciągłości. To gwałtowne przejście z lata w zimę, na które organizm nie ma czasu się przygotować.

Objawy są dobrze znane: uderzenia gorąca, zaburzenia snu, przewlekłe zmęczenie. Z perspektywy ginekologicznej szczególne znaczenie mają jednak dolegliwości ze strony układu moczowo-płciowego. Suchość pochwy, ścieńczenie nabłonka, ból przy współżyciu czy nawracające infekcje prowadzą do istotnego pogorszenia jakości życia. Co ważne, wiele pacjentek nie zgłasza tych objawów – traktując je jako nieuniknioną „cenę leczenia".

To błąd. Współczesna medycyna oferuje konkretne i skuteczne rozwiązania. Problem polega na tym, że rzadko są one proponowane wprost. W praktyce klinicznej jednym z najczęściej pomijanych elementów wizyty kontrolnej pozostaje ocena funkcjonowania seksualnego. Tymczasem powinna stanowić integralną część wizyty – po stronie lekarza, nie pacjentki.

Konkretne rozwiązania zamiast milczenia

Podstawą postępowania są metody niehormonalne, które można stosować u wszystkich pacjentek. Preparaty z kwasem hialuronowym, globulki nawilżające (z polikarbofilem lub olejami roślinnymi i wit. E), probiotyki dopochwowe oraz lubrykanty nie są jedynie „wsparciem komfortu", ale elementem realnej terapii objawowej poprawiającej funkcjonowanie nabłonka i mikrobioty.

Kolejnym krokiem jest leczenie miejscowe. Niskodawkowe estrogeny dopochwowe lub dehydroepiandrosteron (DHEA) działają bezpośrednio na tkanki, przywracając ich elastyczność i odporność na urazy. W wielu przypadkach – również u pacjentek po leczeniu onkologicznym – ich zastosowanie jest możliwe po indywidualnej ocenie ryzyka i korzyści. W praktyce klinicznej oznacza to rozmowę, nie automatyczną rezygnację z leczenia.

Znacznie większe kontrowersje budzi hormonalna terapia systemowa. Nie jest ona standardem, jednak w wybranych sytuacjach może być rozważana. Kluczowe znaczenie ma tu współpraca ginekologa z onkologiem oraz indywidualizacja postępowania.

Aspekt psychoseksualny i jakość życia

Nie można pomijać również aspektu psychoseksualnego. Zmiany hormonalne, doświadczenie choroby i dolegliwości bólowe wpływają na obraz własnego ciała i relacje partnerskie. W praktyce często obserwuje się mechanizm unikania współżycia, który wtórnie pogłębia problem. Szczególne znaczenie ma to u kobiet po radioterapii miednicy. W tej grupie profilaktyka powikłań nie jest dodatkiem do leczenia, ale jego integralną częścią. Obejmuje ona stosowanie rozszerzadeł dopochwowych (dilatorów) oraz – w miarę możliwości – utrzymanie regularnej aktywności seksualnej, co pozwala ograniczyć ryzyko zwężenia i utraty elastyczności pochwy. To nie jest zalecenie opcjonalne, ale element postępowania, który realnie wpływa na jakość życia.

Z perspektywy lekarza istotne jest, aby nie czekać na zgłoszenie objawów przez pacjentkę, lecz aktywnie je rozpoznawać i proponować konkretne rozwiązania. Przedwczesna menopauza nie jest „efektem ubocznym", który należy przeczekać. Jest odrębnym problemem klinicznym, który można i należy leczyć.

Współczesna onkologia nie kończy się na wyleczeniu choroby. Jej integralną częścią powinna być troska o jakość życia po zakończeniu terapii. W przypadku kobiet oznacza to również świadome i aktywne leczenie objawów przedwczesnej menopauzy – bo powrót do zdrowia to nie tylko brak choroby, ale także powrót do normalnego, codziennego funkcjonowania.

Fundacja Alivia

Przegrywamy wyścig z czasem.

Na diagnozę onkologiczną pacjenci czekają miesiącami.

Co trzeci pacjent onkologiczny biorący udział w badaniu Onkofundacji Alivia czekał na diagnozę ponad trzy miesiące, a niemal co piąty – ponad pół roku. Raport „Potrzeby i doświadczenia pacjentów onkologicznych 2026" pokazuje powtarzalne problemy systemowe: stracony czas w diagnostyce, brak koordynacji opieki oraz niewykorzystany potencjał rozwiązań, które mogłyby poprawić sytuację chorych.

Nowotwory dotyczą dzisiaj niemal każdej polskiej rodziny – według szacunków zachoruje na nie co czwarta osoba, a co piąta z ich powodu umrze. Tylko w 2023 roku diagnozę usłyszało blisko 193 tysiące pacjentów – to tak, jakby w ciągu zaledwie dwunastu miesięcy zachorowali niemal wszyscy mieszkańcy Radomia. A problem będzie tylko narastał. Z raportu Onkofundacji Alivia wynika, że czas jest największym wrogiem osób mierzących się z nowotworami. Co trzeci pacjent otrzymał rozpoznanie dopiero po trzech miesiącach od zgłoszenia objawów, a aż 20 proc. badanych czekało na nie ponad pół roku. Główne przyczyny to długie kolejki do specjalistów i na badania obrazowe. W 2025 roku średni czas oczekiwania na wizytę u specjalisty wynosił 4,2 miesiąca. Z kolei wg danych z portalu Alivia Onkoskaner średni czas oczekiwania na rezonans magnetyczny na koniec 2025 roku wyniósł 2,5 miesiąca, a na tomografię komputerową 1,5 miesiąca.

Opóźnienia przekładają się na stadium choroby w momencie rozpoznania. Tylko co czwarty pacjent został zdiagnozowany we wczesnym stadium. Większość otrzymała diagnozę w stadium zaawansowanym, często z przerzutami. Problemy niestety nie kończą się na diagnozie. Choć 30% pacjentów rozpoczęło leczenie w ciągu miesiąca od uzyskania rozpoznania, a 45% w ciągu jednego, dwóch miesięcy, to wciąż co czwarty ankietowany pacjent oczekiwał na rozpoczęcie terapii powyżej trzech miesięcy.

Jednym z niewystarczająco wykorzystanych rozwiązań w systemie pozostaje rola koordynatora opieki onkologicznej. Mimo wzrostu liczby pacjentów objętych takim wsparciem, wciąż 38 proc. badanych nie miało dostępu do koordynatora. Ci, którzy skorzystali z tej pomocy, oceniali ją bardzo wysoko – jako realne wsparcie organizacyjne i emocjonalne. Oznacza to, że wzmocnienie roli koordynatora to najszybsza zmiana, która może poprawić sytuację chorych. Kolejnym obszarem, w którym nie wykorzystuje się potencjału systemu, jest kompleksowe monitorowanie ścieżki pacjenta. W teorii narzędziem do tego przeznaczonym ma być eDiLO, czyli elektroniczna karta Diagnostyki i Leczenia Onkologicznego, która pozwoli śledzić proces diagnostyczno-leczniczy. Nadal jednak nie ma pewności, kiedy eDiLO zostanie wdrożona we wszystkich placówkach sieci onkologicznej. Ponadto nawet po wdrożeniu tego rozwiązania nie zniknie problem monitorowania diagnostyki pacjentów przed uzyskaniem karty. Onkofundacja Alivia apeluje o trzy kluczowe zmiany: zapewnienie koordynatora każdemu pacjentowi, pełny monitoring procesu diagnostyczno-leczniczego oraz powiązanie finansowania świadczeń z ich jakością. Regularne badania doświadczeń pacjentów mają pomóc w identyfikacji barier i wyznaczaniu kierunków reform, tak aby opieka onkologiczna w Polsce była szybsza, skuteczniejsza i bardziej przyjazna chorym.

eprasa.pl bce484ca04

Zrozumieć raka prostaty

Prof. dr hab. med. Piotr Chłosta
Prezes Polskiego Towarzystwa Urologicznego (PTU) w latach 2015 – 2022, przewodniczący Komitetu Edukacji PTU, kierownik Katedry i Kliniki Urologii UJ CM w Krakowie

Mitów związanych z rakiem gruczołu krokowego jest wiele, ale najgorszy z nich to chyba ten, że lepiej nie wiedzieć, co choremu dolega.

Rak gruczołu krokowego (prostaty) jest jednym z najczęściej występujących nowotworów u mężczyzn. Rozpoznaje się go rocznie u około 23 tysięcy osób*. Bardzo długo nie daje żadnych objawów, a jego rozwój – w przeciwieństwie do innych nowotworów – jest stosunkowo powolny: od postaci mikroskopowej do formy jawnej klinicznie mija często wiele lat. Największym czynnikiem ryzyka wystąpienia raka gruczołu krokowego jest wiek – nowotwór ten występuje najczęściej po 80. roku życia i przeważająca większość mężczyzn nim dotknięta odchodzi z nim, a nie z jego powodu o ile jego stopień złośliwości nie jest istotny.

Bój się niewiedzy a nie spotkania z urologiem

Słowo rak determinuje, że jest to nowotwór złośliwy, ale rak gruczołu krokowego może mieć również niski potencjał onkologiczny, czyli jest mało złośliwy. Stopień jego złośliwości może być różny, a określany jest – zaakceptowaną przez Międzynarodowe Towarzystwo Patologii Urologicznej – punktacją w skali Gleasona.

Choć we wczesnym stopniu zaawansowania rak prostaty nie daje żadnych objawów, to zaawansowany miejscowo czy przerzutowy może powodować nie tylko burzliwe dolegliwości ze strony miednicy, ale również bóle kostne, gdyż potrafi tworzyć przerzuty do układu kostnego. Bardzo często pierwsze spotkanie z urologiem nie dotyczy obecności nowotworu a dolegliwości ze strony dolnych dróg moczowych, spowodowanych przez łagodny rozrost gruczołu krokowego (który nie wyklucza jednak współistnienia nowotworu). Urolog, dysponując narzędziami takimi, jak: badanie fizykalne, USG przezodbytnicze, zbadanie określonych parametrów laboratoryjnych (na przykład określenie stężenia PSA i jego frakcji w surowicy krwi), rezonans magnetyczny, biopsja, potrafi nakreślić postępowanie odpowiednie do rodzaju problemu.

Stężenie PSA w surowicy (wartość) nie przesądza o nowotworze

PSA (z ang. prostate-specific antigen) to marker gruczołu krokowego. Nie jest to bynajmniej marker nowotworowy – u niektórych mężczyzn stężenie PSA jest nieco powyżej normy laboratoryjnej, a nie mają oni raka prostaty, natomiast u części mężczyzn nowotwór ten wystąpi, mimo prawidłowych wyników dla PSA. Czynnik ten, będąc markerem prostaty a nie raka tego gruczołu, może przyjmować różne wartości w zależności od wieku mężczyzny, stanów zapalnych gruczołu krokowego czy jego wielkości. Z tego powodu, opierając się na wyniku badania PSA nie można przesądzać o obecności nowotworu; nie można też wyrokować o tym na podstawie wyniku badania metodą rezonansu magnetycznego. Raka gruczołu krokowego rozpoznaje się wyłącznie przez analizę materiału biologicznego pod mikroskopem, pobranego, na przykład, w ramach biopsji gruczołu krokowego. Biopsja nie boli, gdyż wykonuje się ją w znieczuleniu – miejscowym bądź ogólnym. Czas trwania tego zabiegu zależy od jego celu. Gdy chcemy potwierdzić istnienie nowotworu, gdyż wszystko przemawia za jego obecnością, wystarczy pobrać 1-2 wycinki, a zabieg trwa krótko – ok. 10-15 minut. Biopsja zmierzająca do wykluczenia choroby może trwać nieco dłużej, około 30 minut, ponieważ gruczoł krokowy musi zostać nasycony nakłuciami – to biopsja saturacyjna, z reguły wykonywana pod kontrolą badania USG przezodbytniczego, z włączeniem rezonansu magnetycznego.

Leczenie chorego na raka prostaty a aktywny nadzór nad chorobą

Przy nowotworze o niskim ryzyku progresji (mało złośliwym, mało istotnym klinicznie) zarówno u mężczyzn młodych, jak i w podeszłym wieku, można zastosować nadzór aktywny, który pozwala uniknąć ryzyka leczenia aktywnego – radykalnego: np. toksyczności radioterapii lub powikłań leczenia chirurgicznego. Choroba musi jednak cechować się niewielkim stopniem złośliwości, dotyczyć nie więcej niż 15-20% badanych rdzeni pobranych podczas biopsji, stężenie PSA nie może przekroczyć w momencie rozpoznania raka 10 ng/mL, w badaniu fizycznym nie stwierdza się nieprawidłowości, a w badaniu metodą rezonansu nie występuje ryzyko wychodzenia choroby poza prostatę. Mężczyznę chorego na raka klinicznie istotnego, czyli takiego, którego rozległość i histologiczna złośliwość (potencjał onkologiczny) wskazują, że może to być nowotwór o wysokim ryzyku progresji bądź może on wywrzeć wpływ na długość i jakość życia chorego, leczymy aktywnie. Przeprowadza się wówczas radykalną prostatektomię, czyli wycięcie prostaty razem z okolicznymi węzłami chłonnymi. Zabieg wykonywany jest wyłącznie laparoskopowo z asystą robota chirurgicznego. Wykorzystuje się też radykalne napromienianie z zewnątrz (teleradioterapię) bądź od wewnątrz (brachyterapię, czyli napromienianie śródmiąższowe) z różnego rodzaju wariacjami, na przykład wykorzystując do tego CyberKnife, czyli nóż cybernetyczny.

Bądź mężczyzną, idź do urologa

Pacjentowi możemy pomóc, jeśli wiemy, co mu dolega. W przypadku raka prostaty, jeśli zaawansowanie choroby na to pozwala, możemy leczyć mężczyzn małoinwazyjnie (inaczej: w sposób nieokaleczający). Tymczasem średni wiek mężczyzny, który po raz pierwszy w życiu bada stężenie PSA, jest w Polsce wciąż za wysoki. W mojej opinii, badanie to powinien wykonać każdy mężczyzna po 45. roku życia, a osoby, u których w rodzinie w linii prostej wystąpił nowotwór, nawet wcześniej. Aby poszerzać świadomość na temat zdrowia układu moczowego i roli wczesnej diagnostyki, która może uratować życie, od 2014 roku organizujemy w Krakowie Festiwal KultURO, w ramach którego łączymy muzykę, sztukę i naukę, spajając tym samym lekarzy i pacjentów. My, lekarze, mamy obowiązek mówić głośno i odważnie o tym, że wczesna diagnostyka ratuje życie – zawsze przecież lepiej gasić iskrę niż pożar.

* „ Nowotwory złośliwe w Polsce w 2023 r.", raport KRN i NIO, Warszawa, 2025, s. 48.

Prof. dr hab. n. med. Piotr Wysocki
Klinika Onkologii Uniwersytetu Jagiellońskiego-Collegium Medicum

Rak prostaty – leczenie bez strachu

W leczeniu raka prostaty najważniejszym priorytetem jest wydłużenie przeżycia pacjenta przy zachowaniu maksymalnie dobrej jakości jego życia.

W raku prostaty dysponujemy obecnie licznymi terapiami, które są bezpieczne, skuteczne i nie obniżają jakości życia chorego; są dobierane pod sytuację zdrowotną pacjenta i jego stan sprawności. Pacjenci mający pierwotnie guz tylko w obrębie gruczołu krokowego mogą być czasami pozostawieni w tzw. aktywnym nadzorze, czyli regularnej obserwacji, co jest możliwe w przypadku, gdy nowotwór ma niewielkie rozmiary i bardzo niską złośliwość, a stężenie PSA nie przekracza 10 ng/ml. W większości przypadków, chorzy z rozpoznaniem raka prostaty zlokalizowanym w gruczole krokowym są kierowani do leczenia o założeniu radykalnym (leczenie z zamiarem całkowitego wyleczenia) - chirurgicznego (prostatektomii – usunięcia prostaty) lub do radioterapii (napromienienie prostaty w celu zniszczenia guza). Jeżeli jednak u chorych doszło do rozprzestrzenienia choroby w organizmie (przerzuty odległe), wymagane jest wdrożenie leczenia systemowego (przewlekłe stosowanie leków o założeniu paliatywnym – bez możliwości wyleczenia). W takiej sytuacji najczęściej stosuje się nowoczesną hormonoterapię, chemioterapię bądź leczenie celowane. Pacjentów, którzy już pierwotnie mają chorobę uogólnioną, nie jesteśmy w stanie wyleczyć; terapia w takich przypadkach staje się trudniejsza. Przy podejrzeniu raka prostaty warto zatem zgłosić się do onkologa jak najszybciej – im lepsza jest kondycja pacjenta, tym łatwiej i skuteczniej chorego się leczy.

Niuanse nowoczesnego leczenia raka prostaty

W leczeniu raka prostaty mającego postać choroby przewlekłej z założenia wykorzystuje się wszystkie dostępne sposoby terapii, bo każda z nich stanowi element układanki terapeutycznej dającej szansę na wieloletnie przeżycie pacjentów. Wspomniane już nowoczesne leczenie hormonalne i chemioterapia to obecnie najlepsze rozwiązania u pacjentów z pierwotnie uogólnioną chorobą, szczególnie tych, u których masa choroby jest duża. Chemioterapia to jeden z ważnych elementów leczenia systemowego raka prostaty, zarezerwowany zasadniczo dla chorych, u których nie mówimy o możliwości wyleczenia. Niewykorzystanie chemioterapii w trakcie długotrwałego, wieloetapowego leczenia chorych na raka prostaty zdecydowanie pogarsza ich rokowanie, bo po prostu nie dostaną kilku ważnych, bardzo aktywnych leków. U większości chorych na uogólnionego raka prostaty, po chemioterapię nie trzeba sięgać od razu; można to zrobić dopiero, gdy wyczerpuje się skuteczność nowoczesnych leków hormonalnych. U większości pacjentów z rakiem prostaty w chemioterapii znajdują zastosowanie dwa podstawowe leki tzw. taksany (docetaksel i kabazytaksel). Zaczęto ich używać powszechnie w pierwszej dekadzie XXI wieku, gdy wykazano, że dzięki ich zastosowaniu (jak i innych nowoczesnych leków) udało się wyraźnie wydłużyć przeżycie chorych z uogólnionym rakiem prostaty opornym na klasyczne leczenie hormonalne. W zależności od agresywności nowotworu czy obecności objawów choroby, decyzje o momencie wdrożenia chemioterapii mogą się zmieniać, ale kolejność stosowania leków (najpierw docetaksel, po nim kabazytaksel) najczęściej nie ulega zmianie. Leki te podawane są w formie dożylnej w warunkach ambulatoryjnych, najczęściej raz na 2-3 tygodnie, w ośrodku onkologicznym mającym doświadczenie w leczeniu raka prostaty.

Znaczenie bezpieczeństwa chorego i jakości jego życia

Lekarz onkolog jest zobowiązany do przestrzegania standardów i aktualnych wytycznych, w tym Polskiego Towarzystwa Onkologii Klinicznej, Europejskiego Towarzystwa Onkologii Klinicznej, Europejskiego Towarzystwa Urologicznego. Zadaniem onkologa w przypadku z chorobą uogólnioną (przewlekłą) jest długotrwała, efektywna i bezpieczna kontrola choroby, czyli takie prowadzenie leczenia, żeby u pacjenta, którego nie możemy wyleczyć z raka prostaty, ani leczenie onkologiczne, ani choroba nie stanowiły istotnego problemu wpływającego na dobrostan chorego. W leczeniu raka prostaty niezwykle ważne jest więc wyważenie pomiędzy bezpieczeństwem leczenia a uzyskaniem zakładanych korzyści terapeutycznych.

Jeśli spojrzeć przez pryzmat rzeczywistego bezpieczeństwa leków stosowanych w raku prostaty i efektywności ich działania, strach przed chemioterapią jest nieuzasadniony. Leki te wnoszą dużo korzyści terapeutycznych, zaś pomijanie ich w procesie leczenia jest poważną stratą dla pacjenta. Chemioterapia powinna być zatem oferowana pacjentom z uogólnionym rakiem prostaty. Onkolog musi jednak znać profil bezpieczeństwa stosowanych leków oraz sposoby zapobiegania i leczenia działań niepożądanych tych leków. Priorytetem zawsze pozostaje bezpieczeństwo pacjenta i jakość jego życia. Rolą onkologa jest też zweryfikowanie, czy istnieje ryzyko interakcji między lekami obecnie przyjmowanymi przez pacjenta z powodu chorób współistniejących a chemioterapeutykiem, który planuje się wdrożyć. Żeby nie bać się stosowania chemioterapii u chorych przyjmujących inne leki, lekarze mają do dyspozycji systemy oceny interakcji lekowych. Ponieważ w raku prostaty bardzo rzadko podejmuje się decyzję o natychmiastowym włączeniu chemioterapii, w przypadku ryzyka interakcji zazwyczaj jest czas na zmianę leków, np. internistycznych, i optymalizację leczenia onkologicznego.

Czy wiesz, że?

Jeśli Twój ojciec lub brat chorował na raka prostaty, polscy urolodzy zalecają rozpoczęcie regularnych badań profilaktycznych już po 40. roku życia.

eprasa.pl bce484ca04

Dr n. med. i n. o zdrowiu Maja Czerwińska
Dietetyk kliniczny i psychodietetyk

Znaczenie kwasów omega-3
w okresach silnego osłabienia organizmu

W okresach przewlekłego osłabienia organizmu i rekonwalescencji znacząco wzrasta zapotrzebowanie na kluczowe składniki odżywcze — takie jak witamina D czy kwasy omega-3.

Silne obciążenie organizmu – na przykład w wyniku długotrwałego osłabienia, stresu fizjologicznego czy w okresach rekonwalescencji – często wiąże się z pogorszeniem stanu odżywienia i spadkiem wchłaniania składników pokarmowych. Prowadzi to do ogólnego wyczerpania i uczucia przewlekłego zmęczenia. W takich sytuacjach organizm potrzebuje szybkiej regeneracji, co wymusza wymianę starych komórek na nowe i wymaga zaopatrzenia w różnorodne składniki odżywcze, na czele z białkami, które są kluczowe dla odnowy tkanek. O ile u w pełni zdrowej osoby zapotrzebowanie na białko wynosi około 0,8 g na kilogram masy ciała, o tyle w stanach wzmożonego zapotrzebowania znacząco ono wzrasta. Niezwykle ważne we wsparciu dietetycznym osłabionego organizmu są również witaminy, składniki mineralne (między innymi cynk) i antyoksydanty.

Trudności w zbilansowaniu diety w chwilach osłabienia

Właściwe odżywianie pełni kluczową rolę w utrzymaniu sił witalnych. Składniki odżywcze powinno się w maksymalnym stopniu dostarczać wraz z dietą. W przypadku słabego apetytu lub trudności z przyjmowaniem pokarmów warto — w porozumieniu z lekarzem lub dietetykiem — zadbać o odpowiednią podaż substancji szczególnie istotnych w tym okresie, takich jak witamina D czy kwasy omega-3.

Witamina D występuje w pożywieniu w niewielkich ilościach; organizm pozyskuje ją głównie dzięki syntezie zachodzącej w skórze pod wpływem promieniowania słonecznego. W naszej strefie klimatycznej zaspokojenie zapotrzebowania na tę witaminę drogą naturalnej syntezy jest możliwe głównie od kwietnia do września, pod warunkiem przebywania na słońcu. Osoby przebywające w domu z powodu osłabienia lub te, które ze względów zdrowotnych muszą unikać bezpośredniej ekspozycji na słońce, są w grupie wysokiego ryzyka niedoborów tej witaminy. Kwasy omega-3 są nieco mniej oczywistym składnikiem, którego niedobory zwykle podejrzewamy. W praktyce jednak ich niska podaż jest bardzo powszechna, co w stanach obniżonej odporności czy gorszej formy może negatywnie wpływać na ogólną kondycję i wydolność organizmu.

Kwasy omega-3 to grupa cennych substancji – ich głównym źródłem są ryby i algi, ale znajdziemy je również w oleju lnianym. Teoretycznie możemy dostarczyć organizmowi te związki, jedząc regularnie tłuste ryby morskie. W okresach znacznego osłabienia organizmu zapotrzebowanie na kwasy tłuszczowe omega-3 znacząco rośnie — wówczas szczególnie warto zadbać o ich regularną i wystarczającą podaż. Na szczególną uwagę zasługują dwa kwasy: EPA (kwas eikozapentaenowy) i DHA (kwas dokozaheksaenowy). Są one bezpośrednio dostępne w tłustych rybach i morskich algach, natomiast nie znajdziemy ich w takiej formie w olejach roślinnych, w tym – w oleju lnianym. Aby zaspokoić wysokie zapotrzebowanie organizmu na te substancje z samej żywności, trzeba by zjadać każdego dnia pokaźne porcje ryb. W takiej sytuacji, zwłaszcza przy gorszym apetycie, warto omówić z lekarzem lub dietetykiem klinicznym możliwości uzupełnienia diet w EPA i DHA. Na rynku dostępne są również produkty na bazie alg, dzięki czemu osoby na diecie roślinnej mogą bez przeszkód uzupełniać te braki.

Wszechstronne wsparcie organizmu

Kwasy omega-3 — w szczególności EPA i DHA — pełnią istotną rolę w wielu funkcjach organizmu. Badania wskazują na ich znaczenie w żywieniu osób z problemami takimi, jak obniżony apetyt, niezamierzona utrata masy ciała czy ogólne osłabienie. Specjaliści ds. żywienia klinicznego zwracają uwagę, że odpowiednia podaż kwasów omega-3 jest szczególnie pomocna u osób z utratą masy ciała i stwierdzonym niedożywieniem. Badania potwierdzają też, że dbanie o odpowiedni profil kwasów tłuszczowych w diecie, w tym kwasów EPA i DHA, ma ogromne znaczenie dla optymalnego odżywienia komórek i łagodzenia skutków długotrwałego obciążenia organizmu.

U osób zmagających się z silnym, przewlekłym wyczerpaniem często dochodzi do głębokiego niedożywienia, któremu towarzyszy utrata masy ciała, a przede wszystkim – utrata tkanki mięśniowej. Stan ten mocno opóźnia powrót do zdrowia i utrudnia ewentualną rekonwalescencję. Właściwe wsparcie żywieniowe, w tym uzupełnienie diety w kwasy omega-3, może jednak działać wspomagająco – poprawiając apetyt i wpływając stabilizująco na masę ciała. Zwiększa to szanse na utrzymanie masy mięśniowej, dzięki czemu osoby osłabione znacznie lepiej znoszą trudne okresy i szybciej odzyskują siły witalne. Dbanie o stan odżywienia, w tym odpowiednią podaż EPA i DHA, przekłada się na realną poprawę jakości życia w chwilach największego wyczerpania fizycznego. Dbałość o odpowiednią podaż kwasów omega-3 wpisuje się w szersze podejście do żywienia w okresach zwiększonego zapotrzebowania organizmu — takich jak czas przed planowanymi zabiegami czy intensywnym wysiłkiem fizycznym. W każdym przypadku decyzję o ewentualnej suplementacji i przyjmowanych porcjach suplementu należy podjąć wspólnie z lekarzem lub dietetykiem klinicznym.

Osoby, które najbardziej skorzystają na zadbaniu o podaż kwasów omega-3, to pacjenci narażeni na niedożywienie – zmagający się z problemami w obrębie przewodu pokarmowego, trudnościami z przełykaniem, ale też wszystkie osoby przewlekle osłabione, którym brakuje apetytu na standardowe posiłki.

Kwasy omega-3 – jak wybrać dobrze?

Wybierając preparat zawierający kwasy omega-3 należy sprawdzić, ile faktycznie tych związków jest w produkcie i jaką część kwasów wielonienasyconych stanowią EPA i DHA, a także – czy preparat jest certyfikowany i przeszedł odpowiednie badania, przede wszystkim na zawartość PCB i metali ciężkich, oraz czy ma oznaczony wskaźnik TOTOX. Wskazuje on na stopień utlenienia kwasów tłuszczowych – im niższa jest jego wartość, tym bardziej świeże są kwasy omega-3 i tym lepiej zachowane są ich właściwości. Zgodnie z wytycznymi, TOTOX powinien wynosić poniżej 26, ale najlepiej wybierać produkty, dla których wartość tego wskaźnika jest w okolicach 10. Najwyższą czystością cechują się oleje z dzikich, wolno żyjących ryb, o krótkim cyklu życia i na początkowych poziomach w łańcuchu pokarmowym (kumulują mniej zanieczyszczeń), jak małe ryby atlantyckie (sardele, makrele). Najlepiej też sięgać po nieskoncentrowane suplementy z kwasami omega-3 w naturalnej postaci trójglicerydów, którym mogą towarzyszyć jedynie naturalne antyoksydanty, jak oliwa z oliwek, witamina E czy ekstrakty roślinne, bądź naturalne olejki eteryczne, które nadają produktowi przyjemny smak. Dodatek oliwy z oliwek nie tylko chroni wrażliwe kwasy omega-3 przed utlenianiem, ale dostarcza też cennych polifenoli z oliwek, które pomagają w ochronie lipidów we krwi przed stresem oksydacyjnym.

Decyzja o wyborze postaci suplementu zależy od dawki tych kwasów, którą codziennie trzeba przyjąć, i od zawartości tych związków w preparacie. Zazwyczaj produkt w płynie zawiera więcej EPA i DHA niż produkt w kapsułkach – jedna łyżka oleju zastępuje całą garść tabletek, co dla osób ze słabym apetytem i ogólnym osłabieniem ma ogromne znaczenie. Dla osób, które mogą mieć trudności z przełykaniem czy wrażliwy przewód pokarmowy, bardziej wygodną formą uzupełniania diety w kwasy omega-3 będzie płyn. Powinien być on szczelnie zamknięty w ciemnej, szklanej butelce, co zabezpiecza go przed działaniem powietrza i światła. Ponieważ kwasy omega-3 bardzo szybko się utleniają, należy zamknięty produkt przechowywać w lodówce, a po otwarciu butelki – zużyć jej zawartość możliwie jak najszybciej, lecz zgodnie ze wskazaniami producenta, w ciągu miesiąca od otwarcia bądź w minimalnie dłuższym czasie. Wybór suplementacji należy też skonsultować z lekarzem lub dietetykiem.

Jarosław Gośliński
Redaktor naczelny portalu onkologicznego zwrotnikraka.pl

Język, relacje, leczenie.
O słowach, które ranią – i tych, które zostają.

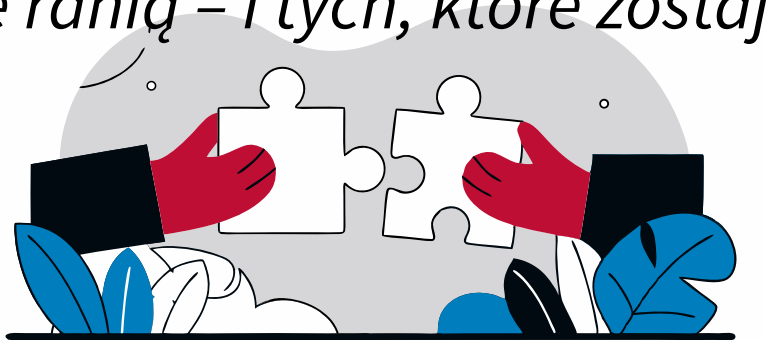

W rozmowach o nowotworach często króluje retoryka militarna: „walczy z rakiem", „toczy bitwę", „przegrał z chorobą". Brzmi mobilizująco, ale jednocześnie ustawia pacjenta w roli żołnierza i wprowadza logikę frontu tam, gdzie potrzebne są przede wszystkim spokój, rzetelna informacja i leczenie.

Retoryka „walki" ma budować dramaturgię i wywoływać podziw dla „niezłomnych". Problem polega na tym, że ta figura retoryczna porządkuje doświadczenie choroby według prostego schematu: zwycięstwa - porażki, bohaterowie - przegrani. Tymczasem choroba nowotworowa nie jest konkurencją, a pacjent nie jest uczestnikiem pojedynku. Słowo „walka" może – nawet wbrew intencjom mówiących – wytwarzać presję. Skoro jest „walka", wypada być dzielnym, pogodnym, „nie poddawać się" i „wygrywać". A przecież leczenie bywa długie, obciążające, pełne nawrotów lęku i zmęczenia. Najbardziej bolesny jest jednak zwrot: „przegrał z rakiem". W jednym zdaniu pojawia się się sugestia winy – jakby zabrakło wysiłku, hartu ducha, „woli życia". A przecież o przebiegu choroby decydują w dużej mierze czynniki niezależne od pacjenta: biologia nowotworu, stadium rozpoznania, odpowiedź organizmu na terapię i dostępność leczenia. Język „walki" może pogłębiać poczucie winy zwłaszcza wtedy, gdy leczenie nie przynosi oczekiwanych efektów. Medycyna mówi prościej i trafniej: raka się leczy. Druga sprawa to komunikacja. Trudna diagnoza potrafi „rozszczelnić" relacje: bliscy milkną, bo nie wiedzą, co powiedzieć, boją się nietaktu, cierpienia, niełatwych emocji. Część osób wycofuje się w milczenie, unika kontaktu z chorym, „daje przestrzeń", która w praktyce staje się dla pacjenta samotnością. Fundacja Rak'n'Roll w swojej nowej kampanii „Pierwsze słowo" opisuje zjawisko cancer ghosting – znikanie lub ograniczanie relacji po diagnozie. Szacuje się, że 6 na 10 osób chorujących doświadcza izolacji społecznej. Dla chorego taka cisza brzmi jak opuszczenie.

W takich momentach najbardziej potrzebne są nie wielkie słowa i hasła, ale obecność i szczerość. Czasem wystarczy jedno „tęskniłem, jak się dziś masz?" – nieidealne, ale prawdziwe. Zamiast obietnic „wszystko będzie dobrze", które potrafią brzmieć pusto, lepiej zagaić: „Nie wiem, co powiedzieć, ale jestem przy Tobie". Zamiast pocieszania na siłę – zapytać o potrzeby: „Wolisz dziś porozmawiać czy po prostu pobyć razem?". Ogólne deklaracje warto przekuć w konkret: „Mogę zawieźć cię na badania", „zrobię zakupy", „zadzwonię w piątek".

Język nie leczy guzów, ale może leczyć relacje. A one są częścią terapii: zmniejszają stres, wzmacniają psychicznie i pomagają chorym przejść przez kolejne etapy leczenia. Czasem naprawdę zaczyna się od pierwszego słowa.

eprasa.pl bce484ca04

Swixx BioPharma
Modern Medicines for All

Innowacyjne metody leczenia.
Pacjent zawsze w centrum naszych działań.
Profesjonalny, pełen pasji zespół.

Swixx BioPharma to firma farmaceutyczna reprezentująca portfolio spółek międzynarodowych oferujących produkty biofarmaceutyczne, produkty dostępne bez recepty oraz wyroby medyczne, zastępująca ich spółki zależne lub jednostki organizacyjne na rynkach, na które nie chcą one wkraczać, lub z których chcą się wycofać.

Nasz oddany zespół, który za cel stawia sobie poprawę wyników leczenia pacjentów, niestrudzenie dąży do zapewnienia potrzebującym dostępu do nowoczesnych leków od naszych partnerów.

Swixx BioPharma specjalizuje się w czterech strategicznych obszarach leczenia, wprowadzając wysoce innowacyjne, nowe terapie w zakresie chorób rzadkich, onkologii/hematologii, opieki specjalistycznej i szczepionek.

SWIXX BIOPHARMA SP. Z O.O.
UL. PROSTA 51, 00-838 WARSZAWA
TELEFON: +48 22 460 07 20
E-MAIL: poland.info@swixxbiopharma.com

domowe laboratorium
OD 1987 ROKU

WYNIK JUŻ PO 10 MINUTACH

Producent: ANHUI DEEPBLUE MEDICAL TECHNOLOGY CO., LTD.
Podmiot prowadzący reklamę: Hydrex Diagnostics sp. z o.o.

FECAL OCCULT BLOOD & TRANSFERRIN TEST (COLLOIDAL GOLD)

COMBO FOB TEST PLUS

Test na krew utajoną w kale COMBO FOB Test Plus
Jest jakościowym testem wykrywającym ludzką hemoglobinę i transferynę w próbkach ludzkiego kału.

Jest to jedno z narzędzi diagnostycznych w profilaktyce zachorowań na **nowotwory jelita grubego**.

Producent: VEDA.LAB
Podmiot prowadzący reklamę: Hydrex Diagnostics sp. z o.o.

TEST NA PROSTATĘ

PSA TEST

To narzędzie diagnostyczne służące do wykrywania **podwyższonego poziomu antygenu PSA** we krwi, który towarzyszy zmianom chorobowym w obrębie gruczołu krokowego.

Test wykrywa **specyficzne antyciała prostaty**, których stężenie jest niezwykle niskie.

NIE CZEKAJ, DZIAŁAJ!
Zrób prosty i szybki test PSA!

Te i inne testy diagnostyczne znajdziesz na
WWW.DOMOWELABORATORIUM.PL

To jest wyrób medyczny.
Stosuj go zgodnie z instrukcją używania lub etykietą.

eprasa.pl bce484ca04

wysokieobcasy.pl

wysokieobcasy

10 / Twarze
Helen Garner: australijskie true crime

26 / Zdrowie
Ziewanie to espresso dla mózgu

wyborcza

LILIANNA KUPAJ

Krzywda się nie przedawnia

– rozmowa Magdaleny Karst-Adamczyk

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej". Sprzedaż łącznie z „Wyborczą" wysokieobcasy.pl NR 15 (1386) SOBOTA – CZWARTEK, 11-16 KWIETNIA 2026

eprasa.pl bce484ca04

Odważne

ALEKSANDRA LUBAŃSKA-CZUBAK

To niesamowite, że czytając książki kogoś starszego o ponad 40 lat, można mieć poczucie, że ten ktoś pisze o twoich problemach. Takie wrażenie ma Agata Pyzik, która rozmawiała z Helen Garner, jedną z najważniejszych współczesnych australijskich pisarek. Jej książki do niedawna nie były tłumaczone na polski (pierwsza dopiero w 2022 r.). Ale sądzę, że to się szybko zmieni, bo Garner pisze o sprawach uniwersalnych, o problemach kobiet, o relacjach międzyludzkich, związkach, rodzinie. 83-letnia Garner ma ugruntowaną pozycję jako autorka przenikliwych psychologicznych portretów zmieniającego się obyczajowo australijskiego społeczeństwa. Po studiach pracowała jako nauczycielka, ale straciła pracę w szkole za szczere rozmowy z uczniami o seksie. Potem się rozwiodła i samotnie wychowywała córkę z autyzmem. Wtedy zaczęła pisać. Kiedy w 1977 r. ukazała się jej pierwsza książka, kultura literacka w Australii była całkiem zdominowana przez mężczyzn. Garner: „Krytykowali moją pierwsza książkę za to, że jest zbyt osobista, ma za małe ambicje, jest zbyt emocjonalna, czyli to, co zawsze. Musiałam sobie poradzić z całym nawałem tych bzdur". Wsparcia nie miała nawet w partnerach. Rozwiodła się trzykrotnie. Jej ostatni mąż, Murray Bail, powieściopisarz, lekceważył i wiecznie krytykował jej pisanie, nie cenił jej pracy dziennikarskiej i reporterskiej, choć jest na najwyższym poziomie. Otwarcie okazywał jej pracy pogardę. Na szczęście ona robiła swoje i nie oglądała się na mężczyzn. Jej opowieść o wolnym seksie i hipisach była wyłomem w australijskiej literaturze. A do bólu szczere reporterskie dzienniki są dziś wychwalane przez krytykę. Poddaje w nich surowej ocenie siebie, swoje związki; ich publikacja nie była dla niej łatwa, naraża się wielu osobom. Ale jej życie pokazuje, że warto robić swoje, być wierną sobie i nie bać się. Dziś jest szczęśliwą babcią.

Druga bohaterka tego numeru „WO" przeszła w dzieciństwie piekło. Jej ojciec uderzył ją po raz pierwszy, kiedy miała 5 lat. Matka była wobec tej przemocy bierna, w domu nie było przytulania. A kiedy Lillianna skończyła 40 lat, uświadomiła sobie, że jako dziecko była też molestowana seksualnie przez księdza. Po latach terapii zdecydowała się o tym mówić, a nawet opowiedzieć publicznie, zawalczyć o siebie, o sprawiedliwość. Wspierał ją w tym wszystkim oddany i kochający mąż. Lillianna spojrzała swojemu oprawcy w twarz, wykrzyczała wszystko, wyrzuciła złość i poczuła ulgę.

To bardzo złożone i trudne opowieści. Ale obie mają dobre zakończenie. I w jakiś sposób są podobne. Są o odwadze, o prawdzie i o dążeniu do szczęścia, które jest możliwe nawet po bardzo trudnym życiu. I napawają mnie nadzieją. Obie bohaterki są dziś dojrzałe, przeszły trudną drogę, miały bolesne doświadczenia; obie popełniały też w życiu błędy, o których mówią i piszą. Obu życie nie rozpieszczało, a mimo to czują się szczęśliwe, wyzwolone, spełnione. Swoim życiem udowadniają, że nigdy nie jest za późno, żeby zawalczyć o siebie, odkryć nawet bolesną czy wstydliwą prawdę, i że może ona być uwalniająca. ▲

| **Aleksandra Lubańska-Czubak** – redaktorka „Wysokich Obcasów"

W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA"

- **TEMAT NUMERU:** Piersi w Polsce
- **NA OKŁADCE:** Anja Rubik: Umiem mówić „nie"
- **TWARZE:** Ewa Szykulska, Paulina Młynarska, Natalia Przybysz, Kinga Preis, Maria Sadowska, Halina Poświatowska
- **PSYCHOLOGIA:** Zdrada kontrolowana
- **TRENDY** w modzie i urodzie

www.wysokieobcasy.pl **wysokieobcasy** **wysokieobcasy.pl** **listy@wysokieobcasy.pl**

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Aleksandra Lubańska-Czubak

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska
GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska
Marta Rozenbajgier
Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Sylwia Sass

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
Marek Wilk
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Wioletta Napurka
SZEF PROMOCJI:
Agnieszka Placek

Z-CA SZEFA PROMOCJI:
Katarzyna Stożek
DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.
Na stronach 3, 15, 21, 28 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy" nr 15 (1386)
NA OKŁADCE:
LILIANNA KUPAJ
FOT. JAKUB WŁODEK/ AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl bce484ca04

SKECHERS

HANDS FREE Slip-ins

GLIDE-STEP

Air-Cooled MEMORY FOAM™

BEZ UŻYCIA RĄK PO PROSTU WSUŃ STOPY I GOTOWE

Zakładanie butów jeszcze nigdy nie było łatwiejsze dzięki Skechers Hands Free Slip-ins®. Zero schylania się. Bez dotykania butów. Po prostu wsuwasz stopy i gotowe.

Heel Pillow™ utrzymuje stopy bezpiecznie w miejscu!

NIGDY WIĘCEJ DOTYKANIA BUTÓW RĘKAMI

NIGDY WIĘCEJ SCHYLANIA

MOŻNA PRAĆ W PRALCE

Joanna Krupa

skechers.pl

eprasa.pl bce484ca04

LILIANNA KUPAJ

Mój krzyk mnie *uwolnił*

Do 40. roku życia nie miałam świadomości, że byłam molestowania seksualnie. Ale gdy wróciły te obrazy, uświadomiłam sobie, że nosiłam je przez całe życie

eprasa.pl bce484ca04

eprasa.pl bce484ca04

Z **LILIANNĄ KUPAJ**
ROZMAWIA **MAGDALENA KARST-ADAMCZYK**
ZDJĘCIA **JAKUB WŁODEK/AGENCJA WYBORCZA.PL**

Miała pani 40 lat, gdy wróciły do pani wspomnienia.
Mam w głowie dwie sytuacje. Pierwsza: rozmawiam z koleżanką coachką, z którą mam superwizję, i nagle przed moimi oczami pojawia się wyraźny obraz z salki katechetycznej. Druga sytuacja ma miejsce mniej więcej w tym samym czasie: piszę książkę „Coaching przy kuchennym stole", przywołuję w niej temat nadwagi, temat w moim życiu trudny i bolesny, i znów widzę ten obraz.

Jaki to obraz?
Nie wiem, ile dokładnie mam lat, może osiem, może dziewięć. Siedzę na kolanach księdza i czuję jego wzwód pod moim udem, a jego rękę pod moją koszulką. Rzecz dzieje się na oczach całej klasy. Dzieci – domyślam się teraz – przyjmują tę sytuację jako normę, bo ksiądz to autorytet.

Czy sytuacja się powtarza?
Gdy dziś to analizuję, myślę, że mogło to trwać przez dwa lata.

Wraca do mnie jeszcze jeden obraz: jestem z księdzem w tej samej sali katechetycznej, ale tym razem jesteśmy sami i on daje mi jakieś czekoladki, kasztanki, po czym każe mi przysiąc na Boga i zobowiązuje mnie do tajemnicy.

Słynne: tylko nie mów nikomu.
Tak. Nie ma jednak w mojej pamięci tego, co wydarzyło się tam chwilę wcześniej. Te wspomnienia wciąż nie są w pełni zintegrowane. Ale moje ciało czuło i zapamiętało przekraczanie granic fizycznych.

Czy można powiedzieć, że umysł schował przed panią te wspomnienia?
Do 40. roku życia nie miałam świadomości, że byłam molestowana seksualnie przez księdza. Ale gdy wróciły do mnie te obrazy, uświadomiłam sobie, że nosiłam je w sobie przez całe życie, tylko nie byłam z nimi połączona. Tak jakbym na wiele lat odcięła się od tych doświadczeń, zdysocjowała od wspomnień i emocji z nimi związanych.

Była pani dzieckiem. Może umysł nie był w stanie przetworzyć takich doświadczeń, radził sobie tak, jak potrafił.
Na pewno takiemu doświadczeniu, jakim jest przemoc seksualna, towarzyszy stres traumatyczny i sądzę, że mój umysł, rzeczywiście, chciał mnie też ochronić.

W szkole psychoterapii miałam zajęcia o przemocy seksualnej, podczas których superwizorka powiedziała, że to jest amnezja dysocjacyjna.

Traumatyczne doświadczenia wpływają na nasze życie nawet wtedy, gdy pozostają nieuświadomione. W jaki sposób odbiły się na pani?
Pamiętam, że gdy miałam 13 albo 14 lat, przeczytałam książkę, w której był opisany gwałt zbiorowy na dziewczynie, która wskutek tego gwałtu zmarła. Bardzo ciężko było mi się po tym pozbierać. Potem za każdym razem, gdy czytałam o przemocy seksualnej lub oglądałam filmy, w których się pojawiały obrazy z nią związane, miałam nudności, potrzebę ucieczki. Zawsze czułam, że to mocno narusza moją równowagę, ale przez dużą część życia myślałam, że taka po prostu jestem, wrażliwa. Niepokojące sygnały pojawiały się także w moim życiu seksualnym, np. po intymnych sytuacjach z mężem często płakałam. Nasze życie w tej sferze przez długie lata było nieudane, choć bardzo się kochaliśmy.

Kiedy zaczęłam kształcić się w obszarze coachingu, jedna z trenerek zwróciła uwagę na moje reakcje i powiedziała, że one są zupełnie nieadekwatne. To mi dało do myślenia. Był nawet taki moment, gdy zapytałam moją mamę, czy to możliwe, żeby tata skrzywdził mnie seksualnie w dzieciństwie. Powiedziała, że to wykluczone, co przyjęłam i zamknęłam temat.

Jaką miała pani relację z tatą? Jak taka myśl w ogóle mogła zakiełkować?
To była trudna relacja. Mój tata był wobec mnie przemocowy. Miałam pięć i pół roku, gdy uderzył mnie po raz pierwszy. Do tamtego czasu byłam żywym dzieckiem, potem moja radość została przez niego zabita batem, kablem, drewnianym kijem. Bił mnie czym popadło.

Miałam młodszego brata, ale to nie na nim, nie na mamie, lecz na mnie tata wyładowywał swój gniew. Choć brat później też swoje przeżył w relacji z ojcem.

Ojciec prawdopodobnie w czasie wojny był świadkiem ogromnej przemocy. Potem ich rodzinny dom został spalony. Dziś wiem, że ojciec jest zamrożony i straumatyzowany. To pozwala mi o nim trochę inaczej myśleć, dostrzec źródło jego agresji.

Prawda jest taka, że w moim rodzinnym domu nie było przytulania, głaskania. Było napięcie, agresja i złość. Mama czasem – jak nie była pod wpływem ojca – była inna.

Broniła pani?
Nie, nigdy. Stała jak sparaliżowana i patrzyła. To moja najtrudniejsza relacja w życiu, też oparta na przemocy, choć nie fizycznej i przez długie lata nieuświadomionej. Do 40. roku życia traktowałam mamę jak przyjaciółkę. Dopiero w czasie bolesnej terapii zaczęłam odkrywać skomplikowane warstwy naszej relacji. Parentyfikacja jest czymś straszliwym w dorosłym życiu.

Mówi się o tym, że pedofile nie wybierają ofiar przypadkowo. Że dostrzegają skrzywdzone, zaniedbane emocjonalnie dzieci. Czy ten ksiądz to w pani zobaczył?
Jestem przekonana, że moja sytuacja w domu rodzinnym otworzyła drogę pedofilowi. Takie osoby są w stanie celnie wytypować ofiarę, która z jednej strony potrzebuje uwagi, z drugiej nie pójdzie i nie poskarży się rodzicom, bo nie ma z nimi dobrej relacji.

eprasa.pl bce484ca04

Wiele lat później pewna terapeutka powiedziała mi, że wszystko, czego w życiu doświadczyłam, było na granicy przeżycia. Bo najpierw ojciec, potem ksiądz, a potem jeszcze przez długie lata mama.

Co zrobiła pani, gdy wspomnienia z sali katechetycznej wróciły?
Pierwszą osobą, z którą o tym rozmawiałam, była wspomniana koleżanka superwizorka. Zaraz potem powiedziałam mężowi. Nagle poukładały nam się w głowie klocki – że krzywda wyrządzona mi przez księdza odbija się na naszym życiu intymnym.

Te dwie rozmowy były ważne z jeszcze jednego powodu – pierwszy raz połączyłam te wspomnienia z wypowiedzeniem tego na głos, a to znaczy, że jakiś fragment mojego doświadczenia został zintegrowany.

Następnego dnia zadzwoniłam do mamy. Moi rodzice od lat mieszkają w Stanach, więc nasz kontakt jest głównie kontaktem telefonicznym, ale w tamtym czasie miałyśmy z mamą wciąż bardzo silną relację.

Pojechała pani do niego sama?
A skąd! Na to bym się nie odważyła. Był ze mną mój mąż, który od początku tej drogi towarzyszy mi i bardzo mnie wspiera. Często mobilizuje mnie do działania.

Jak wyglądała konfrontacja?
Ksiądz P. był proboszczem w małej miejscowości. Wchodząc do jego kancelarii, byłam zamrożona emocjonalnie, w innym wypadku bym tego nie przetrwała. Powiedziałam: „Nazywam się Lilianna Kupaj, ksiądz mnie uczył religii, doświadczyłam przemocy seksualnej ze strony księdza, robił mi ksiądz takie i takie rzeczy". A on na to: „Co pani mówi?". Byliśmy u niego około godziny, wszystkiemu zaprzeczył.

Byłam kompletnie skołowana. Nawet zaczęłam mu wierzyć. Rozumie pani? Uznałam, że z moją głową jest coś nie tak. Kiedy mąż zobaczył, jak się rozsypuję, powiedział: „Niech ksiądz przysięgnie na krzyż". A mój Krzyś był kiedyś bardzo związany z Kościołem. Kazał więc księdzu przysiąc i zaczął mówić mu słowa, które tamten miał powtórzyć. Ksiądz rzeczywiście dotknął krzyża, ale mówił kompletnie inne rzeczy.

Mam osiem, może dziewięć lat. Siedzę na kolanach księdza i czuję jego wzwód pod moim udem, a jego rękę pod moją koszulką. *Rzecz dzieje się na oczach całej klasy*

Jak zareagowała?
Zapytała: „Co ty mówisz?". Ale zapytała takim tonem, jakbyśmy rozmawiały o jakieś wstrząsającej książce, a nie o moim życiu. I wtedy zaczęłam płakać, płakałam długo, w końcu mama oprzytomniała i zdała sobie sprawę, że to nie jest jakiś harlequin, tylko moje doświadczenie.

Co było dalej? Zawiadomiła pani kurię?
Nie. Minęło kilka lat, zanim podjęłam działania. Pewnie musiałam się z tym ułożyć, potrzebowałam czasu, by do tego dojrzeć, ale sądzę, że na to, jak się wówczas zachowałam, co zrobiłam, a czego nie, duży wpływ wywarła moja mama. Powtarzała: odpuść, zostaw. Zrobiłam, co kazała.

Przez większość życia byłam od jej opinii uzależniona. Kiedy w wieku 40 lat zaczęłam nad sobą pracować i odkryłam, że mam wpływ na własne życie, to było jak skok kwantowy. Wcześniej byłam kompletnie bezwolna, jej głos był zawsze decydujący. Wie pani, wciąż czasem pojawia się we mnie taka myśl, że rodzice są starzy i co ze mnie za córka, skoro jestem daleko i nie opiekuję się nimi. A przecież to, że mieszkają na innym kontynencie, to była ich decyzja, nie moja. A poza tym mój brat mieszka od nich 12 minut jazdy samochodem.

Gdy zdecydowała się pani działać, co pani zrobiła najpierw?
W pierwszej kolejności skonfrontowałam się z księdzem. Zrobiłam to, bo wierzyłam, że mnie przeprosi. Byłam naiwna. Wszystko, co mówił Krzyś, przeinaczał, przekręcał. Wtedy straciłam resztki nadziei, że to spotkanie ma jakiś sens. Powiedziałam do męża: „Chodźmy stąd, ja zostawiam tę sprawę Bogu, niech Bóg się z księdzem rozliczy". Ksiądz wtedy oświadczył, że zgłosi sprawę biskupowi, na co mąż odpowiedział, że tak, zgłosimy sprawę biskupowi. I tamten wtedy zmiękł, chyba się wystraszył. Powiedział: „Dajcie mi rok". Odparłam, że daję mu miesiąc na odejście z parafii. To był rok 2019.

Chwilę później dziwnym zbiegiem okoliczności ksiądz przeszedł na emeryturę. Mieszka dziś w domu księży emerytów – z kucharką, sprzątaczką, pralnią. Kilometr od mojego domu. Dowiedziałam się o tym kilka lat później.

Z jakimi emocjami pani została po tamtej konfrontacji?
Wtedy myślałam, że to Bóg wszystko rozlicza, że on to za mnie załatwi. Ale nie załatwił. Dzisiaj myślę tak: to moja wiara pozwoliła mi dotrzeć do tego miejsca. Myślę też, że przysięga złożona księdzu w dzieciństwie wciąż działała gdzieś we mnie.

Co było dalej?
Minęło znowu trochę czasu. W 2021 roku zgłosiłam sprawę w tarnowskiej kurii, gdzie potem byłam kilkukrotnie i składałam zeznania. Przesłuchiwani byli także mój mąż i koleżanka superwizorka z Krakowa, ta, która jako pierwsza usłyszała o moich doświadczeniach. Kuria nie wykonała jednak żadnego kroku, aby przesłuchać koleżanki i kolegów z klasy. Scedowali to na mnie. Nawet przez chwilę rozważałam,

eprasa.pl bce484ca04

czy tego nie zrobić, ale ostatecznie nie znalazłam na to siły. Było też we mnie dużo złości na tę sytuację.

Do dziś nie wiem, czy poza mną ktoś oskarżył księdza P. Nie wiem, kto oprócz mnie został przez niego skrzywdzony. Oczywiście pamiętam dziewczynki, które ksiądz też brał na kolana, szczególnie jedną, ale nie mogę mówić w imieniu innych. Każdy ma prawo opowiedzieć swoją historię na własnych zasadach, każdy ma też prawo milczeć.

Jakie ostatecznie decyzje zapadły w pani sprawie?
Znów minęło sporo czasu. Wie pani, ja działałam zrywami, nie miałam w sobie determinacji, żeby w pełni się temu oddać. Krzyś, który jak wspomniałam, jest tu moim przewodnikiem, nalegał, żebym zadzwoniła do kurii, dowiedziała się, czy coś wiadomo. W którymś momencie zadzwoniłam i usłyszałam, że niedawno wpłynęło pismo w mojej sprawie, więc pojechaliśmy spotkać się z księdzem delegatem do Sądu Diecezjalnego w Tarnowie. Na nasz widok uśmiechnął się i podał mi dokumenty, a ja nie mogłam uwierzyć w to, co zobaczyłam. Był marzec 2024, a dokumenty stanowiły, że 18 października 2022 roku zamknięto moją sprawę. Stwierdzono, że się przedawniła, w związku z czym, cytuję: „nie było możliwości prawnej prowadzenia postępowania karno-kanonicznego". Półtora roku to przeleżało i nikt mnie nie zawiadomił. Poczułam się zignorowana. Kościół w sprawach molestowania wykonuje tylko mikroruchy, pozoruje działania, a w efekcie nie robi nic.

Z pisma dowiedziałam się, że biskup tarnowski utrzymał w stosunku do księdza P. nakaz przebywania w wyznaczonym miejscu, zakaz sprawowania sakramentów oraz zakaz kontaktów z dziećmi i młodzieżą... To pokazuje, że decyzja o emeryturze księdza P. nie była dobrowolna.

Czy to przyniosło pani jakąkolwiek satysfakcję?
Nie, absolutnie nie. Może tylko rodzaj ulgi, że ten człowiek został odsunięty od pracy z dziećmi.

Przedawnienie w przypadku przestępstw seksualnych, szczególnie na dzieciach, to szczególna figura prawna. Polskie przepisy zostały w ostatnich latach zaostrzone (dziś osoba molestowana w dzieciństwie ma czas do ukończenia 40. r.ż. na wniesienie oskarżeń, wcześniej był to 30. r.ż.), ale wciąż trudno oprzeć się wrażeniu, że „przedawnienie" chroni sprawcę. Mechanizmy, które stoją za tym, że skrzywdzone osoby bardzo często potrzebują dekad, a czasem nawet całego życia, by opowiedzieć o swojej krzywdzie, są znane i dobrze opisane. A trauma często towarzyszy im całe życie, bo krzywda – w przeciwieństwie do przestępstwa – się nie przedawnia.
Mam 60 lat. Wydarzenia, do których wracam pamięcią, miały miejsce ponad 50 lat temu. Z wyrządzoną krzywdą trzeba mierzyć się przez całe życie i często jest to życie bardzo trudne.

Rozmawiałam z wieloma wykorzystanymi seksualnie osobami. Uczuciem, które nas zalewa, jest wstyd. Wiele osób potrzebuje lat, by opowiedzieć o swoich doświadczeniach, nawet najbliższym, a wiele nigdy się na to nie zdobędzie.

Jak pani znalazła siłę, by opowiedzieć swoją historię publicznie?
Uwolnił mnie krzyk.

Czy to był ten krzyk, który słyszeliśmy na nagraniu z tarnowskiego sądu, przed którym toczy się aktualnie inny proces – biskupa tarnowskiego Andrzeja J. oskarżonego o tuszowanie pedofilii?
Tak. Byłam w tym sądzie w pewnym sensie przypadkiem, w ogóle tego nie planowałam. Ten proces dotyczy mojej sprawy tylko pośrednio ze względu na przetrzymanie dokumentu wyroku ze Stolicy Apostolskiej, ale nie dotyczy mojego oprawcy.

Już nie oczekuję, że mój oprawca zostanie ukarany.

Wartością jest dla mnie prawda, dlatego mówię publicznie o tym, co mnie spotkało, kim jestem

Jest to jednak proces w polskim prawie bezprecedensowy, bo po raz pierwszy wysokiej rangi duchowny oskarżony jest o brak działania. Nie miałam zamiaru tam iść, ale mój mąż tego poranka przy kawie oznajmił, że wybiera się do sądu. Kiedy zapytałam, po co, odparł, że idzie zaprotestować. To mnie uruchomiło.

Pojechaliśmy razem. Nie zostaliśmy wpuszczeni na salę rozpraw, ale już rozeszła się wieść, że jest w sądzie osoba, która została skrzywdzona przez księdza. Nagle pojawiły się przede mną mikrofony, reflektory. I wtedy coś we mnie pękło. Pojawiła się bardzo silna złość i ja ją z siebie wykrzyczałam. To była złość osoby umniejszanej, dyskredytowanej, unieważnianej, złość dziewczynki, której odebrano dzieciństwo, złość dziecka zmuszonego przez księdza do złożenia przysięgi i dochowania tajemnicy, złość kobiety, która przez większą część życia nie wierzyła w siebie, czuła się nie dość wartościowa, niewystarczająca.

Gdyby to się wtedy tam nie wydarzyło, to ja być może odchodząc z tego świata, zabrałabym swoją tragedię, o której wiedziała tylko garstka osób, do grobu. Tamten krzyk mnie uwolnił. I dał mi siłę także do tego, by dziś usiąść przed panią i opowiedzieć swoją historię. 18 lat temu na pewno bym jej w sobie nie znalazła.

eprasa.pl bce484ca04

LILIANNA KUPAJ

- akredytowana coachka ICI, mentorka, trenerka, wykładowczyni akademicka. Należy do międzynarodowego stowarzyszenia ICI. Zapoczątkowała w Polsce nurt coachingu edukacyjnego. Autorka książek „Twój podręczny Mentor", „Coaching przy kuchennym stole", „Jesteś wystarczająca taka, jaka jesteś"

Niezwykle cenne jest to, że w tych trudnych sytuacjach ma pani obok siebie męża. Jak się poznaliście?
Mieliśmy po 21 lat. Trzy tygodnie później byliśmy po uszy zakochani, a trzy lata później pobraliśmy się.

Krzyś dał mi coś, czego nigdy wcześniej nie zaznałam – poczucie bezpieczeństwa. Wcześniej nawet nie miałam świadomości, jakie to ważne, on uświadomił mi, że to podstawa relacji.

Sporo razem przeszliśmy. Długo staraliśmy się o dziecko. Okazało się, że mam problemy z płodnością, co prawdopodobnie było pokłosiem przemocy, jakiej doświadczyłam w dzieciństwie. Zdecydowaliśmy się na adopcję i w naszym życiu pojawił się Maćko. A po adopcji stało się coś niezwykłego, jakby coś się we mnie odblokowało – po 20 miesiącach od pojawienia się Maćka zaszłam w ciążę i wkrótce na świat przyszła Justysia.

Chcieliśmy pójść za ciosem, mieć więcej dzieci, ale już się niestety nie udało.

Jak się pani odnalazła jako matka?
Popełniłam wiele błędów.

Dopóki nie zaczęłam nad sobą pracować, powielałam wzorce wpojone przez moją matkę. A ponieważ mama całe życie mnie oceniała i krytykowała, do pewnego momentu robiłam swoim dzieciom to samo.

Pamiętam np., jak jednym ruchem zrzucałam rzeczy z biurka Maćka, gdy był na nim nieporządek typowy dla dziecka: tu zeszyt, tu bułeczka, tam masełko. Dziś walnęłabym się za to w głowę. W pewnym momencie życia odkryłam, jak ważna jest pozytywna informacja zwrotna i że ona zupełnie inaczej ustawia relacje.

Wiem, o czym mówię, bo moja mama nie chwali mnie do dziś, a jej krytyka, mimo ciężkiej pracy na terapii, wciąż potrafi odebrać mi spokój i sen na wiele dni.

W moim i Krzysia rodzicielstwie było też sporo trudnych momentów, bo Maciek w dzieciństwie przez wiele lat poważnie chorował. A gdy choruje jedno dziecko, zwykle to drugie traci dużo uwagi, czasami staje się niewidoczne. Więc Justysia też zapłaciła za to wszystko wysoką cenę.

Jest pani bardzo odważna: kiedy publicznie wykrzykuje pani żal z powodu krzywdy wyrządzonej przez księdza, kiedy – tak jak w naszej rozmowie – mówi pani nie tylko o swoich ranach, ale też o błędach. Czy to też efekt pracy terapeutycznej nad sobą?
Wiele osób mówi mi, szczególnie ostatnio, że jestem odważna. Po moim wyznaniu na tarnowskim procesie powiedział mi to mój fryzjer, pani na bazarku, od której kupuję warzywa, powiedziało wiele osób za pośrednictwem Facebooka. Sama nie uważam tego za wielki akt odwagi.

Ja już nie oczekuję, że mój oprawca zostanie ukarany. Dziś największą wartością jest dla mnie prawda. Dlatego mówię publicznie o tym, co mnie spotkało, kim jestem. Chcę żyć w prawdzie.

Sprawiedliwość w tej sprawie już się dla pani nie liczy?
Już nie. Zaakceptowałam, że nie pociągnę swojego oprawcy do odpowiedzialności karnej, bo sprawa się przedawniła i prawo związuje mi ręce. Mogłabym jeszcze walczyć w sądzie o odszkodowanie i był nawet taki moment, gdy poważnie to rozważałam. Ale potem zadałam sobie pytanie, co zrobiłabym z wywalczonymi w ten sposób pieniędzmi. Czy kupiłabym za nie dom? Czy pojechałabym na wakacje? Uświadomiłam sobie, że nie ma takiej kwoty, która zadośćuczyniłaby mi za moje krzywdy.

Wracając do pytania o odwagę, myślę, że prawdziwym aktem odwagi wykazywała się ta 8-9-letnia dziewczynka, która co tydzień wchodziła do sali katechetycznej, choć wiedziała, co ją tam spotka. Musiała być nieprawdopodobnie odważna. Więc jeżeli ja dziś to w sobie mam, to zawdzięczam to jej. ▲

eprasa.pl bce484ca04

Cudowne życie w *pojedynkę*

Cieszę się, że nie muszę już walczyć z mężczyznami rano, w południe i wieczorem, tylko o to, żeby pozwolili mi być

eprasa.pl bce484ca04

Z **HELEN GARNER**, PISARKĄ, ROZMAWIA **AGATA PYZIK**

Jestem wielką fanką twoich trzytomowych „Dzienników", które zasłużenie dostają mnóstwo nagród. Nie tylko ja zafascynowałam się opowieścią starszej o kilka pokoleń feministki, która szczerze opowiada o swoich zmaganiach z mężczyznami w tonie zarówno cierpkim, jak i pełnym ciepła.

– Dziękuję, że to mówisz. To wciąż dla mnie nowość usłyszeć, że ktoś rozpoznaje siebie w moich książkach, bo pisząc jest się bardzo samotnym. Nie chciałam pokazywać swoich dzienników, aż do teraz, kiedy mam 83 lata i jestem już poza światem romansów, związków i relacji. Ostatni raz byłam w związku w 1998 roku. Mam rodzinę i nie żyję sama, ale odkąd zostałam babcią, nie byłam z mężczyzną i przyznam, że są to najszczęśliwsze lata mojego życia. Cieszę się, że nie muszę już walczyć z mężczyznami rano, w południe i wieczorem, tylko o to, żeby pozwolili mi być. Kultura w Australii mojej młodości była beznadziejnie patriarchalna i to się nie do końca zmieniło.

Jaka była twoja rodzina?

– Dorastałam jako najstarsza z sześciorga w rodzinie, gdzie był tylko jeden chłopiec. Od zawsze żyłam więc w świecie kobiet i dziewcząt, a kiedy miałam 20 lat, zaczęła się druga fala feminizmu, co było dla mnie doświadczeniem formatywnym. Feminizm stał się moim naturalnym sposobem bycia. Po raz pierwszy moje serce wobec mężczyzn zmiękło dopiero, kiedy miałam już wnuki. To dlatego, że nie jestem już na ich łasce, zarówno jeśli chodzi o moją pracę, jak i życie. Kiedy moja pierwsza książka wyszła w 1977 roku, kultura literacka w Australii była całkowicie zdominowana przez staromodnych akademików-mężczyzn. Krytykowali ją za to, że jest zbyt osobista, zbyt domowa, zbyt emocjonalna, czyli to samo co zawsze. Musiałam odpierać ten istny nawał bzdur.

Zanim stałaś się pisarką, byłaś nauczycielką. Jak doszło do tego, że zaczęłaś pisać?

– W połowie lat 60., kiedy ukończyłam Uniwersytet w Melbourne z bardzo przeciętnym dyplomem z języka angielskiego oraz z francuskiego z wyróżnieniem, nie miałam absolutnie pojęcia, co będę robić dalej – to znaczy, jak będę zarabiać na życie. Z pewnością nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłabym zostać pisarką.
Dwie z moich młodszych sióstr rozsądnie zostały pielęgniarkami – w tamtych czasach nauczanie i pielęgniarstwo uważano za zawody odpowiednie dla młodych kobiet z klasy średniej – to właśnie robiło się do czasu zamążpójścia, co oczywiście było głównym przeznaczeniem. Na szczęście brakowało wówczas nauczycieli szkół średnich i jak zobaczyli mój dyplom, natychmiast mnie przyjęli. A ja to pokochałam.

Co odnalazłaś w uczeniu?

– To była wolność, czas na podróże, czas dla córki, plus kochałam moich uczniów, aż do 1972 roku, kiedy zostałam zwolniona za odpowiadanie na pytania moich uczniów o seks. Wielu nauczycieli rozpoczęło jednodniowy strajk, by mnie wesprzeć, co być może pokazuje, że w szkołach szykowało się sporo zmian. Byliśmy też wszyscy podekscytowani ruchem wyzwolenia kobiet. Graliśmy w sztukach teatralnych i filmach, a nasze małżeństwa się rozpadały. Moje też, i nagle zostałam samotną matką.

Zaczęłaś pisać, żeby mieć co włożyć do garnka. .

– Dokładnie. Szykowałam się na taksówkarkę, poszłam nawet na szkolenie. Na szczęście zmienił się rząd na bardziej lewicowy i przyznano mi zasiłek dla samotnych matek. Przez kilka lat mieszkałyśmy we wspólnie wynajmowanych dużych domach z przyjaciółmi. To był bardzo intensywny i owocny czas, czytałam więcej niż kiedykolwiek. Zawsze będę wdzięczna za te lata wolności. I wtedy zaczęłam poważniej myśleć o pisaniu.

W Polsce wyszły na razie „Małe preludia" i „Woda była strasznie zimna", w planach jest „Małpi uchwyt". Podoba mi się, jak opisujesz bardzo trudne, zmieniające życie wydarzenia w bardzo oszczędnym, chłodnym stylu.

– Zawsze prowadziłam dziennik, pisałam w nim codziennie i tak nauczyłam się pisać. Starałam się pisać od razu pełnymi, wycyzelowanymi zdaniami. Moja pierwsza powieść, „Małpi uchwyt", jest wręcz zawstydzająco autobiograficzna, choć przez wiele lat o tym nie mówiłam, bo zostałabym potraktowana z lekceważeniem. Musiałam się chronić, seks był większym tabu niż narkotyki. Byłam w związku z mężczyzną uzależnionym od heroiny, co było skazane na porażkę od samego początku, ale wciąż kosztowało mnie mnóstwo szar-

FOT. JAMES DARREN, SIMON SCHLUTER/FAIRFAX MEDIA/GETTY IMAGES

eprasa.pl bce484ca04

paniny. Byłam namiętnie zakochana. Jednak w chwili beznadziei dostrzegłam, że w tym romansie kryje się opowieść.

Pomogło ci to, że nie myślałaś, że tworzysz literaturę?
– Tak! Młodzi ludzie, którzy dziś zaczynają pisać po kursach twórczego pisania, nie potrafiliby zrozumieć, że nie popychała mnie do tego ambicja. Ja natomiast byłam samotną matką, i musiałam przede wszystkim myśleć o tym, jak zapewnić byt mojej córce. Na szczęście udawało mi się zarabiać jako dziennikarka, co też oczywiście sprawiało, że pisałam bardzo dużo i ćwiczyło moje pióro. Zabrałam więc moje dzienniki do biblioteki i przepisywałam do nowego notesu te fragmenty o moim życiu, które wydawały mi się interesujące, i rzeźbiłam opowieść. Kiedy mój związek się zakończył, po prostu poszłam do domu i napisałam o tym. A potem wrzuciłam mój rękopis, blachę tekstu, do koszyka roweru i pognałam do wydawnictwa, które właśnie założyły dwie kobiety.

Twoja książka po prawie 50 latach nadal brzmi świeżo, kochają ją młode kobiety, próbujące radzić sobie w heterozwiązkach. W „Małych preludiach" za to opisałaś spokojną parę, w której życie wkracza rewolucja seksualna.
– W „Małych preludiach" chciałam zbadać, na czym zasadza się rodzina w dobie przemian społecznych i co się wydarzy, kiedy wniknie w nią para obcych i poturbowanych ekshipisów. Kiedy pisałam tę książkę, byłam w żałobie po kontrkulturze. To było najlepsze, co mogło przydarzyć się brutalnej kulturze australijskiej. Uwielbiałam tych pomyleńców, nawet jeśli wielu z nich szybko zgorzkniało, poróżniło się ze wszystkimi, a komuny, które odwiedzałam, rozpadły się.

W twoich książkach jest wiele dysfunkcjonalnych par. Ty jednak ich nie oceniasz. Athena i Dexter z „Preludiów" mają pewien układ, zbudowany wokół opieki nad chorym synem, który zostaje jednak zaburzony.
– Pisałam częściowo o mojej córce, która jest autystyczna. W tamtym czasie nikt o tym nie mówił, nie używał słowa „autyzm". Athena i Dexter byli na siebie częściowo skazani ze względu na ich obowiązek wobec dziecka. Jeśli masz wrażliwe dziecko, które nie radzi sobie w świecie, jesteś za nie nieustannie odpowiedzialna, masz silniejsze poczucie obowiązku wobec pewnej struktury, którą stworzyłaś dla niego. Dexter był dobry, ale zakładał, że Athena poświęci się dla rodziny, miał luksus życia konserwatywnymi fantazjami. Chciałam pokazać tych ludzi w całym ich uwikłaniu i okrucieństwie. Ale też to, jak pragnienie bycia dobrym dla innych jest ciągle w konflikcie z innymi pragnieniami i potrzebami.

HELEN GARNER

83-letnia australijska pisarka; w młodości pracowała jako nauczycielka i samotnie wychowywała córkę. W 1977 r. jej powieść „Monkey Grip" („Małpi uchwyt") o czasie, który spędziła w komunie hipisowskiej, stała się wielkim sukcesem. Jej pozycję jako autorki przenikliwych psychologicznych portretów zmieniającego się obyczajowo australijskiego społeczeństwa przypieczętowały „Małe preludia" (1984) - to jej pierwsza książka wydana po polsku (2022). W 1995 r., wiele lat przed #metoo, ogromną debatę w Australii wzbudził jej reportaż „Pierwszy kamień: kilka pytań o seks i władzę" o dwójce studentek, które oskarżyły wykładowcę o molestowanie. Zwrot w stronę non-fiction i true crime przyniósł Garner uznanie krytyki poza Australią. Doceniono „Pocieszenie dla Joe Cinque" (2004), a zwłaszcza „Woda była strasznie zimna" (2007), reportaż wydany pod koniec lutego 2025 po polsku (wyd. Czarne).

W Polsce niedawno ukazał się twój reportaż „Woda była strasznie zimna". Opisałaś bardzo kontrowersyjną sprawę, w której 40-letni Robert Farquharson, którego kilka miesięcy wcześniej zostawiła żona, jadąc samochodem z trójką swoich synów, zjechał nagle do głębokiego zbiornika z wodą, wskutek czego chłopcy utonęli, a on przeżył. Wyjątkowo koszmarna historia; czytając twój reportaż, można na kilka dni oszaleć, rozważając wszystkie jej moralne implikacje. Jedną z bardziej poruszających rzeczy jest tu wiwisekcja małżeństwa. Opisujesz cierpliwie, co to było za małżeństwo, a dzięki spokojnemu sposobowi, w jaki przytaczasz fakty, możemy zobaczyć, że ta dwójka nigdy tak naprawdę nie powinna być ze sobą. Napisałaś kilka niesamowitych książek non-fiction. Ostatnio we współpracy z dwiema młodymi dziennikarkami – „The Mushroom Tapes" o głośnej sprawie otrucia przez Australijkę Erin Patterson rodziny byłego męża. Jak to się stało, że po sukcesie kilku książek prozatorskich przerzuciłaś się na reportaż?
– Stało się tak, bo odkryłam, że każda osoba z ulicy może w Australii brać udział w procesach sądowych, bo tak działa anglosaska demokracja. W chwili, kiedy zdałam sobie sprawę, że mogę wejść i uczestniczyć w przebiegu sprawy, nie było już odwrotu. Uwielbiam czuć to podniecenie i jak każda część mnie działa na najwyższych obrotach. Sądy mają być przestrzenią rozumu, ale tak naprawdę rządzą nimi emocje. Jest struktura, która pozwala, żeby całość przebiegła zgodnie z prawem, przesłuchania, ale dla tych ludzi to najgorszy dzień życia. Ból jest fizycznie odczuwalny. Ja dostaję skoku adrenaliny na samą myśl, jak ludzka dzikość i irracjonalność jest potem rozpatrywana w tej sztywnej strukturze. Prawo, jak wiele innych rzeczy w człowieku, bywa okrutne i głupie. Jednak nie mogę oprzeć się swojej fascynacji sztywnością tej struktury. Przestałam chodzić na procesy tylko dlatego, że pogorszył się mój słuch.

Kiedy stwierdziłaś, że pisanie reportaży sądowych to twoja działka? Czy była to miła odmiana po tym, jak zostały potraktowane twoje powieści?
– Mój mąż [Murray Bail, powieściopisarz australijski] lekceważył i wiecznie krytykował moją pracę pisarską. Wcześniej chciałam oddać mężowi teren, żebyśmy ze sobą nie rywalizowali. Kiedy wróciłam do dzienników w 2019 r., zobaczyłam, że był to element składowy mojego bycia spychaną na niższą, żałosną pozycję. Dla niego liczyli się tylko Thomas Mann i Thomas Bernhard, natomiast nigdy nie miał szacunku do mojej pracy dziennikarskiej i reporterskiej. Przesunęłam więc swoje zainteresowania i tryb pracy. W końcu i tak się rozstaliśmy, a ja odkryłam, że czuję się w reportażu świetnie, i się od tego zwyczajnie uzależniłam.

W „Wodzie..." uderza mnie liczba detali i zastanawiałam się, jak udało ci się zgromadzić tak fantastyczną liczbę szczegółów.
– Jak już jesteś w sądzie, to wystarczy po prostu wytężyć uwagę i notować, te rzeczy do ciebie przyjdą. Kiedy jako młoda dziewczyna aspirowałam do bycia pisar-

eprasa.pl bce484ca04

Helen Garner z córką Alice, 2006 r.

Odkąd zostałam babcią, nie byłam

z mężczyzną i przyznam, że to najszczęśliwsze lata mojego życia

ką, myślałam, że nigdy mi się to nie uda, bo za bardzo interesują mnie najdrobniejsze szczegóły. Słyszałam w kółko, że literatura to jakieś filozoficzne uogólnienie. Nie umiałam myśleć wielkimi konceptami. Musiałam więc uświadomić sobie, że to właśnie moja siła: historia ujawnia się przed twoimi oczami w szczegółach, które ty musisz zauważyć.

Wydarzenia z „Wody" miały miejsce w części kraju, w której dorastałam, więc od razu się nią zainteresowałam. Od zawsze kochałam krajobraz Geelong i okolic: wielka rozpościerająca się dal, wulkaniczna, księżycowa równina. Dla kogoś, kto nie dorastał w takich okolicznościach przyrody, może wyda się nieciekawy, ale nie dla mnie.

No i to kolejne małżeństwo i kolejna rodzina w twojej książce. Może to zabrzmi jak ogólnik, ale czuję, że wszystkie twoje książki badają dziwność i tajemnicę ludzkich zachowań.

– Chyba jest tak, że interesują mnie struktury, jakie wymyślili ludzie i dlaczego one nie działają, na przykład rodzina, struktura wymyślona, aby trzymać się razem. Dlaczego przestała działać? Jest frustrująca zwłaszcza dla kobiet. Myślę, że każda z nas zadaje sobie pytanie, dlaczego nie mogę sobie w niej poradzić, dlaczego źle się w niej czuję?

Przedstawiasz bardzo subtelnie portret Cindy Gambino, żony Farquarsona, którą można łatwo obarczyć odpowiedzialnością za całą sprawę. Czy słyszałaś wiele takich głosów? Napisałaś obok siebie takie dwa zdania: „Cindy nie kochała Roberta. Było jej trudno namówić go na trzecie dziecko", co sprawiło, że nie wiedziałam, czy się śmiać, czy płakać, bo jak te dwa stwierdzenia mogą ze sobą sąsiadować? A jednak w życiu sąsiadują ze sobą bardzo często. Niewiele

eprasa.pl bce484ca04

z tego, co robimy, przetrwałoby test na niezmącony, racjonalny sens.
– Powiem ci coś o Cindy Gambino. Problem z nią był inny: ona była dość próżna. Wyróżniało ją to, że w małym miasteczku miała ambicje. Siostry Farquarsona jej nienawidziły. Pamiętam dzień skazania, kiedy spóźniła się chyba 20 minut i sąd musiał na nią czekać z ogłoszeniem wyroku. Za plecami usłyszałam szyderczy głos: „Rozwińcie czerwony dywan" i jestem pewna, że to była jedna z sióstr.

Regularnie zgłaszają się do mnie osoby, które chcą rewizji procesu. Mówią, że z kimkolwiek rozmawiają, ta osoba powołuje się na moją książkę, twierdząc, że sprawa została załatwiona. Chcą, żebym zabrała głos. Zawsze odmawiam.

Wydaje mi się, że jeżeli ktokolwiek próbuje podważyć ten wyrok, to dlatego jak odbierana była Cindy Gambino. A przecież ona doświadczyła czegoś niewyobrażalnego. Cindy zmarła w rocznicę śmierci dzieci kilka lat temu. Jak wiesz z książki, zaprzyjaźniłam się z jej rodzicami podczas procesu. To, jak to wydarzenie zniszczyło jej życie i życie jej rodziny, jest nie do opisania.

Czy zszokowało cię wtedy, jak wielką władzę masz ty, twój tekst, twoja pozycja jako pisarki?
– Kompletnie mnie to zszokowało i sprawiło, że zaczęłam w siebie wątpić. Kiedy jednak potem zajrzałam do książki, stwierdziłam, że wątpliwość jest tu na każdej stronicy. W żadnym momencie nie mówię: on to zrobił, wręcz przeciwnie. Na przedostatniej stronie piszę, że jeśli jest jakaś wątpliwość w jego sprawie, jest cienka jak bibułka od papierosa.

Moja dobra przyjaciółka, świetna pisarka, zadzwoniła do mnie, że też chce pisać o sprawie z trucicielką grzybami, bo istnieje możliwość, że jest niewinna. Powiedziałam jej, żeby absolutnie to robiła, jeśli chce. Wcale nie chcę mieć ostatniego słowa ani w tej, ani w żadnej innej sprawie. Bo czy coś takiego jak ostatnie słowo istnieje? Wolę ambiwalencję, poczucie niepewności.

W reportażu kryminalnym ludzie jednak oczekują pewności, bo pragną ulgi. Dlatego nie uważam siebie za reporterkę kryminalną. Jeśli coś mną kieruje, to skrajny szacunek dla niesamowitej zmienności ludzkiej myśli i zachowań. Dlatego sąd, gdzie próbuje się zsumować dowody i wydać jednoznaczna konkluzję, jest dla mnie tak fascynującym miejscem. Ja lubię, kiedy dowody się nie zgadzają.

Czy wzięłabyś się za to jeszcze raz, wiedząc, ile cię to będzie kosztowało?
– Tak. Oczywiście robiłam w międzyczasie wiele innych rzeczy, pomiędzy poszczególnymi procesami minęło wiele lat. Jeśli zaczniesz pisać coś o takiej mocy, możesz zakończyć to tylko w jeden sposób: pisząc i docierając do końca tej historii. Choć nie zrobiłabym tego teraz, bo wątpię, że mój mózg ma przed sobą aż siedem kolejnych dobrych lat.

Samotność w moim życiu istnieje,

ale cierpię wskutek niej może 20, w porywach do 40 minut rocznie

Muszę cię też spytać o twój bardzo ważny reportaż z 1995 r., „Pierwszy kamień", w którym mimo swojego feminizmu okazałaś sceptycyzm wobec studentek, które oskarżyły profesora o molestowanie. Byłaś za to krytykowana; ja też, przyznam szczerze, znając inne twoje prace, byłam zaskoczona.
– Moje zainteresowanie sprawą opisaną w książce wzbudził fakt, że dwie młode kobiety zgłosiły na policję zachowanie mężczyzny, które ja i moje przyjaciółki zbagatelizowałyśmy jako niedorzeczne, niezdarne i żałosne. Chciałam więc zrozumieć. Spotkałam się jednak z odrzuceniem moich bohaterek i ich bardzo silnego środowiska. Oni zwarli szeregi, by storpedować moje dochodzenie. Ich niechęć mnie jednak fascynowała. Moja książka była nienawidzona. Dowiedziałem się, jak to jest znosić wrogość tysięcy obcych. To mnie zszokowało i zabolało. Teraz uważam to za bardzo pożyteczne doświadczenie. Kiedy otrząsnęłam się po tym, jak usilnie wmawiano mi, że jestem heretyczką i zdrajczynią, zdałam sobie sprawę, że jako pisarka uwolniłam się od więzów obowiązku wobec tej sprawy. W późniejszych latach sporo kobiet przepraszało mnie za obraźliwe listy, które mi wysyłały, deklarując, że wyrzucą wszystkie egzemplarze moich pozostałych książek. Uważam, że to wielkie z ich strony. Takie przeprosiny są piękne, jak sądzę, i bardzo je doceniam. I zawsze odpisuję.

Ta sprawa pokazała mi, że młode kobiety oczekują innego feminizmu, bardziej zaciekłego od mojego. Oraz ogrom seksistowskiej, strukturalnej i hierarchicznej przemocy wobec kobiet w systemie akademickim, gdzie wpływowi mężczyźni krzywdzą kobiety; poznałam wiele przerażających historii. Te najgorsze sprawy nigdy nie wylądowały w sądzie.

Czemu zawdzięczasz swoją niezwykłą etykę zawodową? Widać na każdym kroku, jak ciężko pracujesz.
Lubię ambiwalencję, ale też precyzję. Lubię uporządkowanie. Bycie samotną matką uczy cię szacunku do czasu. Wiesz dokładnie, ile masz wolnego czasu, o ile w ogóle masz. Po odwiezieniu córki do szkoły wiedziałam, że mogę pracować od 10 do 15, i wytrenowałam się, żeby wtedy pisać. Nigdy nie pracowałam w nocy. Mój trzeci mąż, pisarz, pracował codziennie, od rana do nocy. Uważałam, że to głupie, fanatyczne i przeciwko życiu. Było mi go żal. Uważałam, że traci czas. Tak, jakby miał bat i się nim smagał.

Co powiedziałabyś młodym kobietom, które dziś próbują przezwyciężyć heteropesymizm i wciąż wiązać się z mężczyznami? Nie możemy z tego całkiem zrezygnować.
– Powiedziałabym: próbujcie dalej, ale spodziewajcie się rozczarowań. Ludzie powinni się dobrze zastanowić, czego oczekują od małżeństwa. Jestem sama od wielu lat, jednak aż do niemal sześćdziesiątki byłam w związkach. I to, czego się nauczyłam, to jak cudowne może być życie w pojedynkę. Samotność istnieje, ale cierpię wskutek niej może 20, w porywach do 40 minut rocznie. ▲

Wywiad w dłuższej wersji dostępny online na www.wysokieobcasy.pl

HELEN GARNER
„Woda była strasznie zimna. Rodzinna tragedia i proces o zabójstwo", wyd. Czarne

eprasa.pl bce484ca04

NOWOŚĆ OD GARNIER

Lustrzany blask i głęboki kolor? Z **Olia Gloss** to prostsze niż myślisz!

Już nie musisz wybierać między kolorem a pielęgnacją. Nowa maska koloryzująca - toner Olia Gloss od Garnier odświeża kolor i zapewnia efekt lustrzanego blasku na włosach. Sprawdź, jak łatwo możesz uzyskać modny look w stylu „Expensive Brunette" czy „Old Money Blonde" we własnej łazience.

MASKA KOLORYZUJĄCA - TONER DOSTĘPNA W 4 WYJĄTKOWYCH ODCIENIACH

Cowboy Copper – modny, miedziany brąz

Scandi Blonde – chłodny blond, który świetnie tonuje żółty odcień włosów

Expensive Brunette – Twój niezawodny sposób na niezwykle lśniący, chłodny brąz

Old Money Blonde – klasyczny, słoneczny blond

Twój kolor, tylko lepszy! Doskonała maska do użycia pomiędzy kolejnymi zabiegami farbowania włosów, ale też idealna dla każdej kobiety, która obawia się koloryzacji i chce łagodnie wejść w ten proces. Maska koloryzująca-toner Garnier Olia Gloss to nowoczesna forma koloryzacji, która łączy właściwości maski do włosów z delikatnym efektem koloryzacji. Pozwala odświeżyć kolor naturalnych lub farbowanych włosów, a przy tym poprawia ich wygląd bez trwałej ingerencji w strukturę włosa.

Cztery opcje kolorystyczne

Formuła wzbogacona o olejki z nasion kwiatowych zapewnia trwały blask aż do 6 myć* oraz sprawia, że włosy są odżywione i nawilżone. Do wyboru są cztery kolory: Expensive Brunette – niezawodny sposób na niezwykle lśniący, chłodny brąz, Cowboy Copper – modny, miedziany brąz, Old Money Blonde – klasyczny, słoneczny blond oraz Scandi Blonde – chłodny blond, który świetnie tonuje żółty odcień włosów.

Wystarczy 10 minut

Zaletą Garnier Olia Gloss jest też łatwość aplikacji. Produkt nakłada się jak zwykłą maskę – na umyte, wilgotne włosy, pozostawia na około 5-10 minut, a następnie spłukuje. To szybkie i wygodne rozwiązanie, idealne dla osób, które nie chcą poświęcać dużo czasu na koloryzację.

Twój kolor, tylko lepszy – to hasło najlepiej podsumowuje efekt, jaki dają maski koloryzujące Garnier Olia Gloss. Wybierz swój idealny odcień i przekonaj się, jak łatwo w domowym zaciszu możesz odświeżyć kolor oraz sprawić, że Twoje włosy będą wyglądały na zdrowe, jedwabiście gładkie i pełne lustrzanego blasku. Produkty z tej serii są dostępne w drogeriach Hebe.

*Test instrumentalny. | Produkt nie nadaje się do włosów bardzo rozjaśnionych oraz siwych.

eprasa.pl bce484ca04

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

TIMELESS FILM FESTIVAL

Ponadczasowa Brigitte Bardot

Strach przed kontrowersją to jedno, a ignorancja i nieudolna apolityczność to drugie – udowodniła w tym roku oscarowa Akademia Sztuki i Wiedzy Filmowej, wymazując jej nazwisko spośród zmarłych w 2025 roku gwiazd. Brigitte Bardot nie należała do postaci krystalicznych, co to, to nie. Obrażała mniejszości, podważała wiarygodność ruchu #metoo i nie powstrzymywała się od ksenofobicznych wypowiedzi w mediach, co nieraz skutkowało wyrokiem za podsycanie do nienawiści rasowej. Była też popkulturową ikoną. Status bożyszcza francuskiego kina oraz rewolucji seksualnej lat 60. bez cienia wahania oddała na rzecz walki o życie i prawa zwierząt, którym była wierna do śmierci. Trudno udawać więc, że nie istniała. O jej największych dokonaniach dla świata filmu przypomina 3. edycja warszawskiego Timeless Film Festival w sekcji Tribute to Brigitte Bardot. Od „I Bóg stworzył kobietę" i „Prawdy", poprzez „Pogardę", aż po „Vivę Marię!" i „Królowe Dzikiego Zachodu" – widzowie i widzki zobaczą na festiwalu całe spektrum aktorskiego emploi słynnej Francuzki.

Uwięziona w wizerunku seksownego „kociaka" przez lata kojarzyła się głównie z burzą blond włosów, kocim okiem i głębokim dekoltem. Na hasło „Bardot" mówili „kobieta-wamp" i wspominali jej nagie ciało z filmów Vadima czy Godarda. Choć mówiono na nią antyfeministka, wiele jej postaci żyło życiem całkiem feministycznym, a na pewno takim, które nie wpisywało się w patriarchalne oczekiwania części społeczeństwa. Grała kobiety spragnione miłości i jednocześnie wyzwolone – lubiące wolność, seks i męskie spojrzenie.

W ukazującym małomiasteczkową mizoginię „I Bóg stworzył kobietę" mężczyźni porównywali ją do nieoswojonego zwierzątka. „Jest we mnie coś, co pcha mnie do robienia głupot" – mówiła Juliette, przyznając, że małżeństwo nie jest dla niej. Mimo to wierzyła w miłość. Odarta z godności przez mężczyznę, którego pragnęła, tańczy. I to właśnie ten zmysłowy taniec zatracenia, w którym Bardot uwalnia się od męskich wpływów, paradoksalnie uczynił z niej światowy obiekt pożądania.

Kobietę dwuznacznie moralną, przez płeć męską potępianą i nierozumianą sportretowała także w „Prawdzie", w jednej z najbardziej przejmujących ról w karierze. Jako Dominique staje przed surowym obliczem sądu oskarżona o zabójstwo kochanka. Prokurator rozlicza bohaterkę z jej romansów, wmawia, że prowokowała adoratorów. Podczas gdy cała sala zastanawia się, po jakim czasie znajomości młoda kobieta powinna oddać się mężczyźnie (według sędziego trzy dni to za szybko, a dwa tygodnie to za długo), Dominique wspomina wolność, którą bezpowrotnie straciła.

„Pogarda" ugruntowała jej wizerunek. W głośnej ekranizacji powieści Alberta Moravii wcieliła się w Camille – nieszczęśliwą żonę konformistycznego scenarzysty, która pragnie w życiu czegoś więcej niż bycie męską zdobyczą. Kryzys małżeński pozostawia ją pustą, co beznamiętnie ukazuje na ekranie zredukowana do postaci zimnej modliszki. Oglądając dzieło Godarda, łatwo zapomnieć, że Francuzka świetnie radziła sobie także w komediach, co widać po „Vivie Marii!" i „Królowych Dzikiego Zachodu". W tym pierwszym Brigitte staje na czele ruchu oporu wobec gnębiącego lud reżimu. W drugim – przewodzi grupie wyzwolonych rewolwerowczyń, terroryzując rejony Nowego Meksyku. W obu całkiem błyskotliwych filmach pokazuje charyzmę, dystans oraz niemałe poczucie humoru. Timeless Film Festival przypomina więc, że ta zaszufladkowana gwiazda to w gruncie rzeczy aktorka o bardzo wielu twarzach. ▲ **(Daria Sienkiewicz)**

TIMELESS FILM FESTIVAL, 17-27 kwietnia 2026, Warszawa, więcej na: timelessfilmfestival.pl

eprasa.pl bce484ca04

KSIĄŻKA

Śmierć i wiosna

W dziwnej, niekiełznanej powieści Merce Rodoredy, uważanej za największą katalońską pisarkę XX wieku, człowiek nieustannie przegrywa w walce z naturą. Żywioły, przede wszystkim woda, zalewają wszystko i niszczą, prowadząc świat do rozkładu. Oceniana na chłodno „Śmierć i wiosna" to nieprawdopodobnie okrutna opowieść, w której na porządku dziennym są tortury, bicie, okaleczanie i pozbawianie życia na wiele odstręczających sposobów. Z drugiej strony, jest to napisane tak poetyckim językiem i w konwencji realizmu magicznego, że ledwie zauważamy to okrucieństwo.

To opowieść o nieznanym plemieniu, które żyje według wynaturzonych, morderczych zasad. Wszelkie przewinienia karane są tu śmiercią lub skrajną przemocą, a życie ludzkie nie znaczy nic. Złodzieje wpychani są do klatek, gdzie muszą przebywać wiecznie w pozycji siedzącej, upokarza się ich i bije. Kobietom w ciąży zawiązuje się oczy, ponieważ rzekomo, gdy spojrzą na innego niż mąż mężczyznę, to dziecko w ich łonie zacznie go przypominać. Każdej wiosny domy barwione są na czerwono proszkiem, który mężczyźni zdobywają z narażeniem życia i często giną. Raz do roku, aby zbadać nurt rzeki, mieszkańcy wrzucają do rzeki mężczyznę, który albo ginie, a jeśli przeżywa, ma zniekształconą twarz i staje się kaleką oraz zostaje wykluczony ze społeczności. W końcu, w najbardziej wstrząsających scenach, ludzie popełniają samobójstwa, wchodząc do drzew, a żeby ich dobić, mieszkańcy wlewają im do ust cement. W takiej rzeczywistości dorasta młody bezimienny narrator, który próbuje znaleźć w swojej egzystencji jakiś sens. Niestety, kiedy dorasta, społeczność natychmiast widzi, choć chłopiec stara się to za wszelką cenę ukryć, że ten dostrzega i rozumie więcej. Czy zostanie za to ukarany?

Czy to horror? Bez dwóch zdań. Ale suchy opis w żaden sposób nie odda najważniejszego osiągnięcia Merce Rodoredy, „katalońskiej Virginii Woolf", która jest od Woolf nieskończenie bardziej jednak szalona, ekscentryczna i dziwna. „Śmierć i wiosnę", pisaną od lat 60. i opublikowaną po śmierci pisarki w 1986 r., przepełnia okrucieństwo i groza. Nie mogąc pisać o dyktaturze wprost, Rodoreda stworzyła wstrząsającą metaforę przemocowego społeczeństwa, które może odżyć w każdej chwili.

▲ (Agata Pyzik)

Sylwetkę Rodoredy przeczytacie na wysokieobcasy.pl

Merce Rodoreda „ŚMIERĆ I WIOSNA" tłum. Anna Sawicka, Magdalena Pabisiak; Wyd. Marginesy

SERIAL

Pfeiffer i Montana

„Madison" to jeden z najlepszych seriali Taylora Sheridana. Akcja toczy się na rozległej farmie w Montanie, ale chwilami też w ekskluzywnych dzielnicach Nowego Jorku, gdzie mieszka rodzina Clyburnów. Stacy (znakomita Michelle Pfeiffer) mówi o sobie, że jest „miastową myszką", a od dzikich krajobrazów woli egzotyczną plażę. Jej mąż Preston (Kurt Russell) serce zostawił natomiast w tytułowej dolinie rzeki Madison, gdzie ma bezkresną farmę i gdzie razem z bratem samotnikiem relaksuje się, łowiąc ryby. Na marginesie – zarówno rzeka, jak i słynna nowojorska ulica Madison Avenue, wzięły nazwę od tej samej osoby – Jamesa Madisona, jednego z tzw. ojców założycieli Stanów Zjednoczonych, czwartego prezydenta USA i jednego z sygnatariuszy amerykańskiej konstytucji.

Dorosłe córki Stacy i Prestona – Abigail (Beau Garrett) i Paige (Elle Chapman) to, zasilane pieniędzmi rodziców, Nowojorczanki z krwi i kości, które w miejskiej dżungli czują się jak ryba w wodzie, niekoniecznie wiedząc cokolwiek o prawdziwej rybie i prawdziwej dżungli. Ułożonym i szczęśliwym życiem Clyburnów wstrząsa jednak ogromna tragedia, która zmusza Stacy do wyjazdu do Montany. I jak to u Sheridana, rodzina będzie musiała zmierzyć się z tym, co niesie los, przy okazji psując i naprawiając wzajemne relacje.

„Madison" to piękny serial o bólu po stracie, żałobie i sensie życia, o tym, co tak naprawdę jest ważne. Wspólny posiłek, zachód słońca, ludzie, którzy są obok. Podążanie za tym, co podpowiada serce, a nie rozum. O trosce i wdzięczności, wyrażanych pracą rąk, i o szczęściu, którego wartość mierzona jest jego ulotnością. ▲

(Joanna Wróżyńska)

„MADISON", Taylor Sheridan, reż. Christina Voros. Odcinki co tydzień w SkyShowtime

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI POLECA WIERSZ

***

We mnie zaczyna się jesień
gdy niosę puste głębokie talerze

tu przy czereśni patrzymy
na słodkie nadgryzione przez mrówki

osy. wspinamy się po gałęziach zrywamy
czerwone. w brzuchach nam

pełno, nas jest pełno, syci kulimy się
w jedno ciało

jeden spożywamy chleb.

KATARZYNA NANDZIK jest poetką, a powyższy wiersz ma swoją premierę na naszych łamach

MARTA FREJ RYSUJE

eprasa.pl bce484ca04

Wszystko szuka domu

Co powiecie na nagrodzony w Cannes przygodowy film science fiction? Ta historia wciąga, choć nikt tu nic nie mówi, a bohaterami są... dmuchawce

TEKST **JUSTYNA GROCHAL**

Na Ziemi dochodzi do serii katastrofalnych wybuchów nuklearnych. Cztery niełupki mniszka lekarskiego – Dendelion, Baraban, Léonto i Taraxa – zostają oddzielone od rośliny matki i rzucone w bezkres kosmosu.

W filmie „Dmuchawce" wyreżyserowanym przez Momoko Seto to właśnie te maleńkie, lekkie jak piórko nasionka dmuchawca stają się bohaterami – niesione wiatrem przemierzają świat w poszukiwaniu miejsca, które mogłyby nazwać domem.

Choć to film zanurzony w przyrodzie, natura nie jest tutaj tłem. Nie jest scenografią, dekoracją ani kontekstem dla „ważniejszych" ludzkich spraw. Jest aktorką, opowieścią samą w sobie. Reżyserka, która od lat zgłębia w swoich filmach tematy przyrodnicze, czerpie z tradycji animistycznej, opartej na przekonaniu, że wszystko ma duszę – rośliny, zwierzęta, góry, rzeki. Fabularyzuje więc naturę i ożywia pozornie bezosobowe elementy przyrody.

Jej animacja, nagrodzona FIPRESCI podczas Festiwalu Filmowego w Cannes i wyróżniona na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Animowanych w Annecy, nie tyle opowiada historię, ile zmienia sposób patrzenia – proponuje inną skalę, inną perspektywę.

TAJEMNICE MIKROSKALI

– Absolutnie nie – mówi stanowczo, gdy pytam, czy dorastała pośród natury. Momoko Seto, rocznik 1980, urodziła się w Japonii, w Tokio. Scenerią jej dzieciństwa były, jak wspomina, asfalt i budynki, natura była niemal nieobecna. – Moja mama w tamtym czasie nienawidziła jeździć na wieś, teraz dużo jeździ w góry. W latach 80. w Tokio panował totalny boom ekonomiczny, wszędzie były tylko fast foody, restauracje dla rodzin. Nie miałam w otoczeniu ogrodów, dlatego to, co filmuję, było w pewnym sensie egzotyką.

– Jak więc zaczęła się ta fascynacja światem natury? – dopytuję i dostaję opowieść o podyplomowych studiach w szkole arty-

eprasa.pl bce484ca04

Kadr z filmu „Dmuchawce”

stycznej Le Fresnoy we Francji: – Sporo wtedy eksperymentowałam w domu, na przykład hodowałam kryształ soli. Wiesz: wlewasz wodę i sól, mieszasz, nakładasz linę i tyle. A później wychodzą kryształy. Zafascynował mnie ten ich kwadratowy kształt. Rozmawiałam potem ze specjalistą od kryształów, który powiedział, że halit, czyli minerał soli, ma rzeczywiście idealne wymiary. Wydało mi się niesamowite, że natura potrafi stworzyć coś tak idealnego tylko z soli. Wpadłam na pomysł, żeby sfilmować to poklatkowo. Zawsze najpierw używam tej techniki. Bierzesz aparat, programujesz samowyzwalacz i robisz zdjęcia przez tydzień lub dwa. Potem widzisz formowanie się kryształu w szybkim przewijaniu.

Tak powstał pierwszy krótkometrażowy film Momoko „Planet A”, który był próbą uchwycenia tej „niewidzialnej rzeczywistości”, świata, który istnieje tuż obok nas, ale pozostaje poza naszym postrzeganiem. W tym doświadczeniu odsłania się coś, co później stanie się fundamentem kina Momoko i wróci w „Dmuchawcach”: przekonanie, że w mikroskali zachodzą procesy tajemnicze i spektakularne, niemal nadprzyrodzone. – Zainteresowało mnie to science-fictionowe spojrzenie na małą przyrodę. Dzieje się tam coś jakby boskiego – stwierdza Seto.

Ale za tą czułością wobec mikroskali stoi coś jeszcze – doświadczenie pracy blisko nauki. Momoko od lat tworzy filmy dokumentalne dla francuskiego Narodowego Centrum Badań Naukowych. To nauczyło ją myśleć obrazem w sposób bliski naukowej obserwacji. – Będąc w tym środowisku, mogłam konsultować się z naukowcami w sprawie mojej animacji, żeby lepiej filmować – dodaje Momoko. Centrum naukowe stało się także jednym z jej partnerów podczas pracy nad „Dmuchawcami”.

W DRODZE

Makrofotografia, animacja oraz ujęcia poklatkowe mchów, porostów, grzybów, owadów czy zwierząt w „Dmuchawcach” splatają się w obrazy, które są jak wciągające

eprasa.pl bce484ca04

kino akcji, kino przygodowe. Z mikroskopijnej obserwacji natury wyłania się epicka opowieść drogi. To natura aranżuje ten spektakl, wprawiając wszystko w ruch – nasiona czekają na podmuch wiatru, wodę albo sierść zwierzęcia, by móc przemieścić się dalej. Muszą czekać, reagować, dostosowywać się. W tej skali wszystko wydaje się walką o przetrwanie.

To właśnie droga staje się osią filmu. Podróż niełupek jest jednocześnie obca i zaskakująco znajoma.

– Mają wiele technik, by przetrwać i znaleźć swój dom. To były zresztą moje słowa kluczowe przy pisaniu scenariusza: znaleźć dom, znaleźć swoją ziemię. To trochę jak z nami – przemieszczamy się, by gdzieś osiąść, zmagamy się z różnymi ekosystemami – zauważa Seto. Sama, żyjąc między różnymi krajami, wpisuje w tę historię własne doświadczenie bycia w ruchu i poszukiwania domu. Pochodzi z Japonii, ukończyła Szkołę Sztuk Pięknych w Marsylii, później pojechała na wymianę międzynarodową do California College of the Arts w San Francisco, a obecnie żyje we Francji. – Ja, ty pewnie też, zadawałam sobie pytanie: dokąd iść, gdzie mieszkać, z kim. Pomyślałam, że pięknie będzie pokazać, że coś, co wydaje nam się bardzo odległe i nieznaczące, jak nasionko dmuchawca, ma te same problemy co my – dodaje Momoko.

W tym sensie „Dmuchawce" to także opowieść o migracji. Ale nie takiej, do jakiej przyzwyczaił nas język polityki. Momoko swoim filmem nie moralizuje, ale przesuwa punkt widzenia: pokazuje świat, w którym migracja nie jest kryzysem, lecz warunkiem przetrwania. Gdy pytam o ten kontekst, zwraca uwagę, że używam sformułowania „współczesny problem migracyjny". – Migracja nie jest problemem – mówi Seto. – To coś naturalnego. Wszelkie życie się przemieszcza, wszystko: rośliny, zwierzęta, nasiona. A jeśli się nie przemieszczasz, możesz umrzeć. Osobiście uważam, że ludzie muszą przemieszczać się jak rośliny. Dlaczego mielibyśmy stawiać tę fikcyjną granicę, którą ustanowił człowiek, i czynić z tego problem? Mój film dotyka tematu migracji ekologicznej, ale to również ponowne zakwestionowanie tego, czym w ogóle jest przemieszczanie się z jednego punktu do drugiego.

Momoko Seto

POZA SŁOWAMI

– Kiedy próbujesz przypisać głos nasionom, brzmi to bardzo głupio. To nie działa, bo nasiona nie mówią. Nie w ten ludzki sposób, choć oczywiście rozmawiają ze sobą w języku, którego nie rozumiemy – mówi Seto.

Dlatego jej „Dmuchawce" to film bez dialogów, za to pełen muzyki, dźwięków, rytmów, mikrosygnałów, które budują napięcie i emocje. Duża w tym zasługa muzyki Quentina Sirjacqa oraz odpowiadającego za dźwięk, nagrodzonego Oscarem za pracę przy filmie „Sound of Metal", Nicolasa Beckera.

– Ponieważ żyję w dwóch kulturach, języki zawsze stanowiły dla mnie pewien problem. Ale moim zdaniem, aby zrozumieć emocje, niekoniecznie potrzeba słów. Dzięki dźwiękowi, scenografii, światłu, aktorstwu można poczuć więcej emocji niż poprzez tylko wypowiedziane słowa: „jestem szczęśliwa" – mówi Seto, dodając, że chciała, by jej film był zrozumiały również dla dziecięcej publiczności. Jak przekonuje, dużym wyzwaniem było stworzenie filmu, w którym patrząc na rośliny, widz będzie odczuwał emocje jak podczas seansu kina akcji. Mimo braku dialogów udało jej się nadać każdej z niełupek odrębną osobowość. Jej film to pokaz ekspresji pozawerbalnej, który bazuje na bogactwie niuansów. A to sprawia, że „Dmuchawce" jeszcze bardziej stają się doświadczeniem – próbą, jak mówi sama reżyserka, „życia przez chwilę w ciele innym niż ludzkie". Pozwala poczuć wzruszenie wobec czegoś tak drobnego jak nasiono, zobaczyć świat z wysokości kilku centymetrów nad ziemią. Spojrzeć na znane elementy – żaby, paprocie, ślimaki, wodę – inaczej. Zrozumieć tempo, które nie jest naszym tempem.

Może właśnie w tym tkwi siła filmu Momoko. W przesunięciu, które wydaje się niewielkie – wystarczy przecież przyjrzeć się bliżej – a jednak zmienia wiele. Kiedy na końcu tej podróży bohaterowie docierają do swojej oazy, nie mamy pewności, czy przetrwają. Ale wiemy coś innego: że ich historia, niby tak odległa od ludzkiej, była przez cały czas historią o nas. ▲

Film „DMUCHAWCE" w reżyserii Momoko Seto w kinach od 10 kwietnia

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, GABRIEL HUTCHINSON

eprasa.pl bce484ca04

BALTIC OPERA FESTIVAL MECENAS GŁÓWNY ORLEN

BALTIC OPERA FESTIVAL

RYSZARD WAGNER

WALKIRIA

2 i 5 lipca 2026 / Opera Leśna w Sopocie

ORLEN MECENAS GŁÓWNY

Organizatorzy Festiwalu

Opera Bałtycka w Gdańsku

Samorząd Województwa Pomorskiego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Partner

Dal Segno Institute segno

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

eprasa.pl bce484ca04

Miasto do lepszego *życia*

Ludzie masowo włamywali się do nowego parku w Warszawie. To jasny komunikat, w co warto inwestować

TEKST **KATARZYNA STASZAK**

Pięć minut od centrum Gorzowa Wielkopolskiego nad Wartą do 1992 r. działało wysypisko śmieci. Zakład Utylizacji Odpadów miał w perspektywie przykrycie dawnego wysypiska ziemią. To tereny potencjalnie zalewowe, niczego nie można tu budować. Jednocześnie lokalni wielbiciele golfa zaczęli prosić ratusz o kawałek gruntu na pole. „Kawałek" to w przypadku golfa teren równy ponad 40 boiskom piłkarskim. I to w tej skromniejszej, dziewięciodołkowej wersji.

Dziś uczniowie grają tu w golfa bezpłatnie w ramach szkolnych klubów sportowych. W poniedziałki starsze osoby mają bezpłatne treningi. Latem w poniedziałki po południu bezpłatne granie jest dostępne dla wszystkich, niezależnie od wieku. Do pola golfowego dojeżdża komunikacja miejska.

Gra w golfa obniża ryzyko cukrzycy, demencji i innych chorób. W Szkocji lekarze sprawdzali, jakie skutki będzie miał golf zapisywany na receptę. „Pacjentów" przyjmowały lokalne pola. Po kilku tygodniach gracze opowiadali o lepszym nastroju, radości z przebywania na świeżym powietrzu i nowych przyjaźniach.

Powszechnie kojarzymy golfa z bogactwem, bo tak przedstawiają go amerykańskie filmy i seriale. Tymczasem Szwecja budowała publiczne pola jak my orliki. – Na 10 mln mieszkańców Szwecji aż 800 tys. gra w golfa, to prawie 10 proc. społeczeństwa. Działa tu 446 pól. Gdybyśmy byli jak Szwecja, grałoby u nas niemal 3 mln ludzi – mówi Radosław Frańczak, prezes Polskiego Związku Golfa.

TRIUMF CZWARTEJ PRZYRODY

Miejskie inwestycje mogą poprawiać nasz nastrój, zdrowie i relacje. W zeszłym roku zarośla, które spontanicznie wyrosły wokół Kanału Żerańskiego w Warszawie, zostały zamienione w park. Jest ścieżka przy wodzie, gęsty zagajnik, łąka, plac zabaw. Można siedzieć na ławce, chodzić, jeździć na rowerze, pływać kajakiem albo na desce SUP. – W pobliżu są kwartały zabudowy mieszkaniowej, więc park nie jest kolejną turystyczną atrakcją, do której trzeba dotrzeć, tylko funkcjonuje jako przestrzeń codzienna dla okolicznych mieszkańców – mówi Grzegorz Piątek, krytyk architektury. – Kiedy park był już skończony, ale jeszcze nieoddany oficjalnie do użytku, ludzie masowo włamywali się i korzystali z tej przestrzeni. To pokazuje, jak bardzo potrzebne są takie miejsca – podkreśla Piątek.

Park Żerański

Architekci zachowali dzikość. To kolejny w Warszawie przykład zwycięstwa tzw. czwartej przyrody. Pierwsza przyroda to tereny naturalne lub do nich zbliżone, w Warszawie to np. Las Bielański. Druga przyroda to pola, pastwiska, plantacje leśne i sady. Trzecia – zieleń urządzona, ogrody, skwery, trawniki i parki. A czwarta to miejskie nieużytki, tereny zniszczone, poprzemysłowe, które kolonizuje spontaniczna roślinność.

– Projektanci parku zostawili prefabrykaty po działającej kiedyś w pobliżu fabryce domów, bo przyroda je zagospodarowała. Obrosły zielenią, mogą być kryjówką zwierząt – mówi Monika Komorowska, naczelniczka w Biurze Architektury i Planowania Przestrzennego Urzędu Miasta Warszawy.

Park Żerański projektowały pracownie TopoScape i Archigrest, te same, które odpowiadają za Park Akcji Burza. Miejsce niezwykłe, stworzone na kopcu usypanym z gruzów zniszczonej Warszawy. Z gruzem zmieszała się gliniasta gleba i powstało zupełnie nietypowe podłoże – ekosystem niespotykany w środowisku naturalnym. Nie przyjęłaby się tu roślinność miejskich parków czy podmiejskich lasów.

– W takich zdegradowanych miejscach pojawia się roślinność ruderalna. Jest silna, powoli zmienia zdegradowany przez człowieka teren w środowisko, które byłoby naturalne dla danego obszaru. Dużo łatwiej utrzymuje się w parku roślinność, która sobie radzi, niż tę, którą trzeba sztucznie w danym miejscu utrzymywać – mówi Magdalena Młochowska z warszawskiego ratusza, dyrektorka koordynatorka ds. zieleni.

Okazało się, że sterta gruzu może dać las łęgowy, który jest europejskim odpowiednikiem lasów deszczowych. Las jest zasilany wodą deszczową spływającą po powierzchni skarpy. Na kopcu tworzą go wiąz szypułkowy, jesiony wyniosłe, czereśnie pospolite, liany powojnika pnącego i chmielu zwyczajnego. Zarząd Zieleni podaje, że teren kopca zasiedla ponad 20 gatunków ptaków, żyją tu nietoperze, jeże i lisy.

eprasa.pl bce484ca04

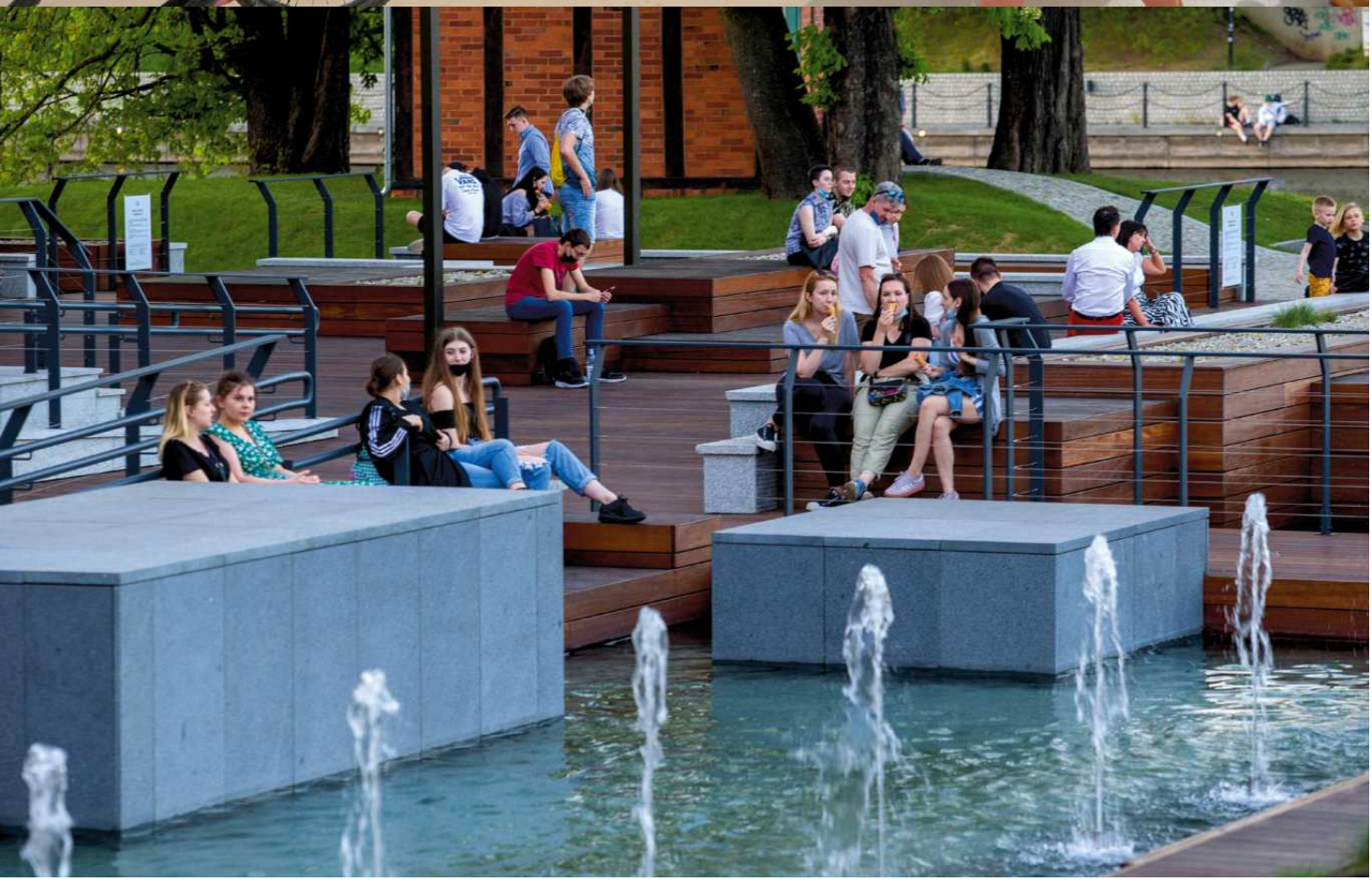

Włodarzom miast opłaca się tworzyć miejsca, do których można łatwo dostać się pieszo, w których możemy z kimś porozmawiać. Jak dowodzą naukowcy, patrzenie na wodę sprzyja relaksowi. Na zdjęciach: pieszo-rowerowa kładka w Warszawie i bydgoska Wyspa Młyńska

FOT. JACEK MARCZEWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL (2), ROMAN BOSIACKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, ROBERT KOWALEWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl bce484ca04

Park przyciąga nie tylko turystów, wokół powstają kolejne mieszkania. – Jest to więc też zieleń, którą mieszkańcy widzą z okna i z której mogą korzystać od niechcenia. Właśnie takich miejsc potrzebujemy najbardziej – uważa Piątek.

SAMOTNOŚĆ ZA DUŻO KOSZTUJE

Co się stanie, jeśli miejskie inwestycje będziemy oceniać przez pryzmat zdrowia psychicznego mieszkańców? Do takiego spojrzenia zachęca finansowana przez Unię Europejską inicjatywa ImperfectCity.

Wspiera ona „przyszłość inkluzywną, zrównoważoną i piękną – dla oczu, umysłu i duszy". Kwestionuje „dominujące narracje o miejskim »sukcesie« i »porażce«". Promuje dostępność, przystępność cenową i różnorodność wspólnie użytkowanych przestrzeni.

Dzięki inicjatywie przeznaczony do rozbiórki brutalistyczny Kulturhus Bunkeren w Aarhus w Danii ocalał i stał się centrum wsparcia dla młodzieży, czyli grupy, którą miasto uznało za szczególnie zagrożoną kryzysami psychicznymi. W 2017 r. samotnych czuło się 12 proc. nastolatków z Aarhus, w 2021 r. już 22 proc. Miasto inwestuje w przestrzenie, w których spotykać mogą się sąsiedzi, promuje inicjatywy wzmacniające więzi. Na platformie internetowej Genlyd mieszkańcy mogą publikować zaproszenia na spotkania hobbystyczne albo spacery. Działa grupa wspierająca osoby, które właśnie przeprowadziły się do Aarhus.

Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) przyrównuje wpływ samotności na zdrowie do palenia około 15 papierosów dziennie i wiąże go z około 100 zgonami na godzinę na świecie, czyli ponad 871 tys. rocznie. Samotność podnosi ryzyko demencji o 50 proc., a ryzyko udaru o 32 proc. Te schorzenia sprawiają, że ludzie potrzebują stałej opieki innych osób. A to oznacza realne koszty. Samotność dotyka około jedną na sześć osób na świecie, walka z nią się więc miastom opłaca.

Warto więc tworzyć miejsca, do których można łatwo dostać się pieszo i w których nie przeszkadza nam hałas. W których możemy z kimś porozmawiać, bezpiecznie spacerować albo uprawiać sport. Znaczenie mają nawet tzw. kieszonkowe ogrody, oczka wodne, uporządkowane kanały czy fontanny. Jak dowodzą naukowcy, patrzenie na wodę sprzyja relaksowi.

Park Akcji „Burza"

WCISNĄĆ ZIELEŃ, OTWORZYĆ SZKOŁY

„Dzielnice z dobrze utrzymanymi przestrzeniami społecznymi, takimi jak place, centra rekreacyjne i centra społecznościowe, odnotowują 25-procentowy wzrost interakcji społecznych w porównaniu z dzielnicami bez takich udogodnień. A badania przeprowadzone w miastach takich jak Barcelona wykazały, że przestrzenie społeczne zaprojektowane z uwzględnieniem inkluzywności dla dzieci i osób starszych skutkowały 15-procentowym wzrostem zadowolenia społeczności" – podają autorzy projektu ImperfectCity.

Widzę to, kiedy mijam mały ogród stworzony w Miasteczku Wilanów w miejscu, gdzie stoi pomnik Jana III Sobieskiego i jego żony Marysieńki. Kiedyś był otoczony betonem. Teraz są tu fontanna, staw, ławki, całoroczne hamaki i leżanki, miejsce na gry planszowe, piknik, a nawet na lekcje plenerowe czy pracę zdalną, bo krzesła mają blaty na komputer. Rano widuję panią koło sześćdziesiątki, która na ławce ustawia tablet i ćwiczy aerobik. Na spacery z pudlem przychodzi osiemdziesięciolatka; zostaje na dłużej, bo może siedzieć na ławce. Codziennie spotyka innych psich opiekunów, ja też się do niej przysiadłam dzięki mojej Loli.

Najczęściej jednak bywam w położonym 500 m dalej tzw. parku linearnym wokół Kanału Wolickiego. Tu spaceruję z psem i biegam, jak wielu innych mieszkańców. Szczęśliwie ktoś kiedyś wpadł na pomysł, żeby kilometrową ścieżkę wokół kanału wyłożyć tartanem. Nie musimy biec czy jechać na stadion, żeby truchtać po dobrej nawierzchni.

Kto woli sporty zespołowe, może sprawdzić, czy pobliska szkoła udostępnia popołudniami boiska – samorząd do tego zachęca. – Zapotrzebowanie na urządzone tereny rekreacyjne jest ogromne – mówi Monika Komorowska. – Warszawa stawia mocno na zdrowie w planowaniu miasta. By ograniczyć wyspę ciepła, rozbetonowujemy przestrzenie publiczne i sadzimy zieleń. Chcemy, by miasto działało jak gąbka: chłonęło wodę podczas deszczu i oddawało wilgoć w czasie suszy. Jesteśmy szczególnie dumni z warszawskich standardów szkolnych. Dzięki nim powstają nowe przyjazne, piękne, funkcjonalne i zdrowe szkoły.

Czego Warszawa zazdrości innym miastom? – Infrastuktury rowerowej, którą ma Amsterdam czy Kopenhaga. I systemu mieszkań komunalnych, z których słynie Wiedeń – odpowiada urzędniczka ratusza.

Grzegorz Piątek uważa, że potrzebujemy radykalnych działań w kwestii ograniczania ruchu. – Mamy przebudowaną ul. Chmielną, deptak i dosadzone drzewa, ale to przestrzeń z rodzaju tych odświętnych. Odwiedza się ją weekendowo, popołudniami, wieczorami. Brakuje u nas myślenia o przestrzeniach codziennych, wokół bloków. Ulice powinny być dostosowywane do potrzeb osób najsłabszych, bo

„Zaprojektowane po ludzku. Warszawa - miasto bardziej wspólne" to cykl, w którym chcemy pokazać empatyczne oblicze Warszawy. Bo dobrze zaprojektowana przestrzeń może budować relacje, zaufanie i poczucie bezpieczeństwa. Czytaj więcej: Wyborcza.pl/Zaprojektowanepoludzku

OGŁOSZENIE

eprasa.pl bce484ca04

wtedy będą dostępne dla wszystkich – opowiada Piątek.

Jako przykład podaje Łódź. – Konsekwentnie od kilkunastu lat jezdnie są esowane, czyli nadaje się im kształt litery „s", żeby samochody musiały spowalniać. Miasto dosadza drzewa, stawia się stojaki na rowery i ławki. Największe efekty widać w miastach, które na coś się uparły i myślą w perspektywie dłuższej niż jedna kadencja. Nie robią jednej pokazowej inwestycji, tylko konsekwentnie realizują swój program. Mieszkańcy to odczuwają i mogą zmienić styl życia, choćby częściej rezygnować z samochodu – mówi Piątek.

ARCHITEKTURA DLA ŻYCIA

Możemy zainspirować się koncepcją zdrowych ulic z Wielkiej Brytanii. Przejrzeć okolicę z checklistą 10 wskaźników: miejsca zacienione, miejsca do siedzenia, czyste powietrze, brak hałasu, przejścia dla pieszych, uczucie bycia mile widzianym, a także czy ulica sprzyja relaksowi oraz oferuje coś do zobaczenia i zrobienia.

Zbyt duże wymagania? „Health is wealth", zdrowie to (największe) bogactwo, opłaca się wydawać na to, co nam służy. Wspierać dobrostan poprzez decyzje, co robić, ale też co odpuścić.

Piątek w swojej najnowszej książce „Świątynia i śmietnik. Architektura dla życia" napisał o planowanej odbudowie Pałacu Saskiego, Pałacu Brühla i trzech kamienic przy Królewskiej. „Aby odtworzyć przedwojenne widoki, trzeba będzie wyciąć albo przesadzić 150 drzew. Większość z tych roślin została posadzona po wojnie, kiedy park poszerzono o tereny nieodbudowanych pałaców. Zieleni oszczędzonej przez wycinkę mogą zaszkodzić głębokie wykopy, które spowodują zaburzenie stosunków wodnych w okolicy.

Większość argumentów za tą inwestycją i przeciw niej odnosi się do historii, niektóre do teraźniejszości, a nieliczne do przyszłości. Architektura jest jednak działaniem ku przyszłości, dlatego zasadnicze pytanie brzmi: czy warto, powołując się na szacunek dla przodków i dla przeszłości, (dosłownie) zgotować potomnym jeszcze gorszą, jeszcze suchszą i gorętszą przyszłość? Za czym jesteś – za śmiercią czy za życiem?" – pyta Piątek.

Zauważa, że politycy, którzy nawołują do odbudowy historycznych fasad, nie bywają w Ogrodzie Saskim, tylko obok – przy Grobie Nieznanego Żołnierza. „Mówią o przywracaniu godności narodu, ale chodzi też przecież o stworzenie godnej scenografii do strojenia zadumanych min, dla czarnych płaszczy, granatowych garniturów i galowych mundurów" – napisał Piątek. Politycy myślą o telewizyjnej transmisji, „a miasto – jak ludzkie ciało – nie jest tylko obrazkiem, lecz prawdziwym, żywym organizmem, zamieszkiwanym przez prawdziwych, jeszcze żywych ludzi, żywe rośliny i zwierzęta".

Piątek twierdzi, że do rozwiązania cywilizacyjnych problemów trzeba ducha idealistycznego realizmu, „czyli idealizmu w rozwiązywaniu realnych problemów. Musimy nadać prestiż i priorytet tym działaniom i projektom, które mogą mieć realny wpływ na ludzkie i nieludzkie życie. Musimy dbać o żywe: ludzi i rośliny, rzeki i zwierzęta, ich zdrowie, komfort i dobrostan, a nie o martwe: rzeczy, maszyny, kapitał, tradycję".

To brzmi jak manifest. Kto się pod nim podpisze? ▲

OGŁOSZENIE

CODZIENNIE
w Wyborczej

Krzyżówka
Sudoku
Zakreślanka
Skojarzenia

Rusz głową! Nie nudź się w domu!

eprasa.pl bce484ca04

Espresso dla *mózgu*

Traktowaliśmy je jako dowód nudy. Tymczasem ziewanie to jeden z najsprytniejszych trików, jakie wymyśliła ewolucja

eprasa.pl bce484ca04

TEKST **OLGA WOŹNIAK**
RYSUNEK **JOANNA GNIADY**

Uwaga to zaraźliwe! Zaczyna się od zdradzieckiego drżenia w kącikach ust. Potem nadchodzi skurcz, którego nie da się przenegocjować ze swoim ciałem. Zwykle poprzedza go krótka, beznadziejna walka o zachowanie godności, która kończy się kapitulacją. Szeroko otwierasz usta, oczy zachodzą łzami, a świat przestaje istnieć na kilka sekund. Wewnątrz czaszki słyszysz szum, do gardła wpada strumień powietrza i następuje ziewnięcie.

Przez lata przepraszałyśmy za to na nudnych zebraniach. Zakrywałyśmy usta dłonią, widząc w tym krępujący sygnał znużenia, zwalając winę na brak tlenu, wstydziłyśmy się towarzyskiego faux pas. Tymczasem najnowsze doniesienia naukowców każą nam przestać przepraszać. Ziewnięcie nie jest białą flagą nudy wywieszoną przez organizm. To konieczny i genialny w restart systemu, który chroni nasz mózg przed przegrzaniem i emocjonalnym chaosem.

HYDRAULIKA POD KOPUŁĄ

Nauka już dawno pożegnała teorię tłumaczącą ziewanie niedostatkiem tlenu. Dziś widzimy je raczej jako proces hydrauliczny. Przełom w badaniach nad jego mechanizmem przyniósł styczeń 2026 roku. Zespół dr Eleny Rossi z Neuroscience Center przy Politechnice Federalnej w Zurychu, współpracując z badaczami z Rochester, opublikował na łamach „Nature Neuroscience" zaskakujące wyniki. Dzięki ultraszybkim skanom fMRI o niespotykanej dotąd rozdzielczości badacze zobaczyli coś, co wcześniej było tylko hipotezą: ziewnięcie działa trochę jak spłuczka w toalecie.

Kiedy wciągamy głęboki haust powietrza, skurcz mięśni twarzy i szyi działa jak potężna, biologiczna pompa. W kulminacyjnym momencie ziewnięcia następuje gwałtowny spadek ciśnienia, który otwiera śluzy dla płynu mózgowo-rdzeniowego. Ten przejrzysty płyn, w którym „pływa" nasz mózg, podczas ziewania robi gwałtowne „chlup!" i przepłukuje czaszkę, wypychając metaboliczne śmieci i robiąc miejsce dla świeżej, natlenionej krwi.

TWOJA ZIEWAJĄCA SYGNATURA

Okazuje się, że każdy z nas ma swój unikalny kod ziewania – różni się czasem trwania, siłą napięcia mięśni i głębokością „pompowania". Dr Rossi nazwała to „ziewającą sygnaturą". Ta sygnatura decyduje o tym, jak skutecznie usuwamy z pnia mózgu adenozynę.

Adenozyna to cichy sabotażysta naszej jasności umysłu. Gromadzi się w nas od momentu przebudzenia, sypiąc piasek w tryby neuronów, i powoduje poczucie senności. To biochemiczny produkt uboczny pracy naszych komórek. Im intensywniej myślimy, tym więcej „spalonego" paliwa w postaci adenozyny odkłada się w tkankach. Przez cały dzień ta substancja stopniowo oblepia receptory w neuronach, powodując, że zwalniają, odpuszczają, a wreszcie zasypiają. Adenozynę potrafi przechytrzyć kofeina, blokując dostęp do odpowiednich receptorów, ale nie potrafi jej sprzątnąć.

Tymczasem ziewnięcie działa jak doraźny, chemiczny peeling, spłukując ją z komórek. Mechanicznie uciskany nerw błędny wysyła odpowiedni sygnał, a fala płynu mózgowo-rdzeniowego wymywa adenozynę z okolic odpowiedzialnych za czuwanie. To dlatego po głębokim ziewnięciu czujemy krótkie uderzenie świeżości.

TERMOSTAT EMOCJI

Ziewanie to także nasz wewnętrzny termostat. Mózg jest potwornie kosztowny energetycznie: choć waży niewiele, zużywa ogromne ilości energii, a każda myśl, decyzja, emocja i fala napięcia podkręca jego metabolizm. Nic dziwnego, że łatwo się przegrzewa – zwłaszcza, gdy jesteśmy zestresowane, przebodźcowane, niewyspane albo targają nami silne emocje. Ziewnięcie działa wtedy jak „otwarcie okna" w dusznym pokoju. Głęboki wdech i napięcie mięśni twarzy oraz szczęki pomagają schłodzić krew krążącą w okolicach jamy ustnej i zatok, a ta z kolei niesie chłód dalej, do naszego biologicznego procesora. To kilka sekund fizjologicznej ulgi dla układu, który pracował na zbyt wysokich obrotach.

To dlatego ziewanie tak często dopada nas nie tylko wieczorem na kanapie, lecz także tuż przed egzaminem, prezentacją, wystąpieniem publicznym czy randką. W takich chwilach nie chodzi wcale o nudę ani brak zainteresowania sytuacją. Przeciwnie – organizm jest aż zanadto zaangażowany. Mózg próbuje więc odzyskać równowagę, obniżyć temperaturę i nie dopuścić do przeciążenia systemu. Z tej perspektywy ziewnięcie przestaje być oznaką słabości, a staje się czymś w rodzaju mikroskopijnego aktu samoregulacji. Ot, cichy, cielesny gest czułości wobec samej siebie.

UCIEKAJĄCA DUSZA

Nasze dzisiejsze zawstydzenie ziewaniem to stosunkowo świeży wynalazek zachodniej etykiety. W wielu kulturach traktowano je o wiele poważniej. Starożytni Grecy i Majowie wierzyli, że podczas ziewania dusza może próbować opuścić ciało, a demony wykorzystać okazję, by wślizgnąć się do środka (stąd nawyk zasłaniania ust, który przetrwał do dziś). Z kolei w niektórych plemionach afrykańskich ziewanie publiczne nigdy nie było tabu – wręcz przeciwnie, traktowano je jako szczery dowód zaufania i harmonii z otoczeniem.

Dziś wiemy, że ta kulturowa więź ma głębokie uzasadnienie w pracy neuronów lustrzanych. To niezwykłe komórki, ukryte w mózgowej korze przedruchowej, które służą nam jako skaner cudzych intencji. Pozwalają nam „poczuć" cudzy ruch lub emocję we własnym ciele, zanim zdążymy o tym pomyśleć. Dzięki nim boimy się, oglądając horrory, wzruszamy się na komediach romantycznych i podniecamy na filmach porno. To one są fundamentem naszej biologicznej wspólnoty – pozwalają nam bez słów zrozumieć ból, radość i, jak się okazuje, potrzebę systemowego restartu.

Kiedy widzimy kogoś ziewającego, nasze neurony lustrzane natychmiast symulują tę czynność, robiąc w mózgu „kopiuj-wklej" cudzego stanu. Dlatego ziewanie jest zaraźliwe. Samo myślenie o nim potrafi je wywołać. Ja, pisząc ten tekst, wciąż ziewam. Tym bardziej zaraźliwe staje się, kiedy ktoś (nawet kot czy pies) zaczyna ziewać w naszym towarzystwie. To ewolucyjny spadek po naszych przodkach. Nie ziewamy po to, by wspólnie zasnąć. Ziewamy, by wspólnie odzyskać czujność. To dowód na naszą głęboką, biologiczną empatię.

Więc następnym razem, gdy poczujesz napięcie w szczęce, nie walcz ze sobą, nie próbuj zaciskać ust, powstrzymywać odruchu ani udawać, że nic się nie dzieje. Podaruj sobie tę krótką chwilę neurologicznego espresso. To zaledwie kilka sekund, kiedy organizm uruchamia jeden ze swoich najbardziej sprytnych mechanizmów ratunkowych: przepłukuje, schładza, porządkuje. Może dlatego ziewanie jest tak fascynujące: wygląda nieelegancko, a w istocie rzeczy jest przejawem najwyższej biologicznej inteligencji. Pod pozorem małej utraty kontroli kryje się świetnie zaprojektowana troska o własną jasność myślenia, czujność i równowagę. To nie brak kultury. To najwyższa kultura dbania o siebie. ▲

eprasa.pl bce484ca04

wdech

wydech

wiosna

chillizet